

ALICJA
SINICKA
FLORYSTKI



ALICJA
SINICKA

FLORYSTKI



Copyright © by Alicja Sinicka, MMXXIII
Copyright © by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXXIII
Wydanie I
Warszawa MMXXIII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Motto

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Epilog

Podziękowania

Zbrodnia, mój kochany, to tylko nagłe podsumowanie tego, co już nieznacznie robimy codziennie...

Leon Kruczkowski, *Dramaty*

Prolog

Kroczy ścieżką uślaną wielkimi, płaskimi kamieniami. Na szlaku nie widać prawie nikogo, co trochę ją martwi. Jakiś czas temu z przodu majaczyły jeszcze sylwetki trzech mężczyzn, ale teraz zniknęły. W powietrzu unosi się mgła. Nie jest gęsta, ale i tak podsycza niepokój, uczucie samotności.

Odwraca się. Nikt za nią nie idzie, choć zdawało jej się, że wyraźnie słyszała odgłosy kroków, ale być może to tylko jej wyobraźnia. Od chwili, gdy otworzyła nad ranem oczy, rzeczywistość zdaje się do niej krzyczeć. Wszystko jest większe, wyraźniejsze, żywsze. Czuje się obserwowana, jakby świat czekał z zapartym tchem na każdy jej ruch.

Nie ma na co patrzeć, myśli, takie jak ja nie zasługują na nadmierną uwagę, choć zawsze o nią zabiegamy. Wstęgi złotych włosów płyną po jej plecach, które opina czarna, ortalionowa kurtka. Nie zamierza ich związywać, przynajmniej nie teraz. Rozcięcie obok wargi pali do żywego. Co chwilę przykłada do niego zimne opuszki palców, wtedy robi jej się lepiej. Ból na moment ustępuje. W oddali widzi już strome wzniesienie i wąską, skalną półkę zabezpieczoną łańcuchami. Na chwilę się zatrzymuje. Bierze głęboki wdech i przymyka oczy. Pod powiekami widzi białe, wilgotne od deszczu hortensje. Wielkie, sprężyste pąki na tle drobnej siatki.

Otwiera oczy i drży. Dopiero teraz dopada ją strach. Dotąd była zdeterminowana, wszystko robiła pewnie i bezrefleksyjnie. Podjęła decyzję dużo wcześniej. Postanowiła, że góry będą najlepsze. One nigdy niczego od niej nie oczekiwały. Wędrując ich szlakami, mogła pozwolić sobie na ciszę i bierność, czysty odbiór świata, nieskażonego ingerencją człowieka. W górach jej codzienne życie jest kojąco odległe.

Rusza dalej, powtarzając sobie, że niczego nie zepsuje, wszystko pójdzie, jak należy. Serce boleśnie dudni jej w piersi, znowu ogląda się za siebie. Wciąż nikogo nie dostrzega, choć ścieżka chwilę temu zakręciła i ktoś mógł

ukryć się za skałami – nie jest pewna. Chce już jednak mieć to za sobą. Znowu jest zmobilizowana, wie, że nie ma innego wyjścia, choć policzki jej drętwieją, a oddech jest płytki, niespokojny.

Spogląda w rozciągającą się tuż obok przepaść. W tej samej chwili coś trzaska, niewielki kamień toczy się gwałtownie po niemal pionowym, urwistym stoku. Patrzy za nim uparcie – aż znika między szerniałymi, ostro zakończonymi blokami skalnymi na dole. Wie, że to jest dobry moment. Teraz albo nigdy. Zamyka oczy. Gdy to robi, momentalnie wyczuwa jego obecność. Czy przyszedł tu za nią? Dlaczego na myśl o przesywającym spojrzeniu jego jasnych oczu po plecach przebiega jej dreszcz ekscytacji? Nie powinien. Nie powinien, powtarza w myślach, bojąc się otworzyć oczy. Czuje całą sobą, że wtedy ją dopadnie i będzie po wszystkim.

Słyszy, jak kolejny kamień toczy się w przepaść. Udaje się jej jeszcze wciągnąć powietrze do płuc, a potem...

Potem jest już tylko krzyk.

Rozdział 1

Sonia

Przekraczam próg kwiaciarni i już wiem, że wydarzyło się tu coś złego. Na podłogowych szarych płytkach jest kilka brunatnych smug i choć wymyślam różne scenariusze, coś podpowiada mi, że to krew.

Rozglądam się nerwowo po skąpanym w porannym świetle pomieszczeniu. Wazon, w którym z reguły trzymamy długie, czerwone róże, jest pusty. Pamiętam, że skończyły się w piątek po południu. Helena zadzwoniła do firmy dostarczającej nam kwiaty, prosiła o dostawę w sobotę rano. Miała przyjąć ją sama. Nie było mnie w ten weekend w pracy, miałam wolne. Wygląda na to, że albo nie kupiła nowych kwiatów, albo wszystko zeszło, ale to wydaje się mało prawdopodobne.

Szklany flakon z białymi goździkami jest przewrócony. Nie pękł, ale wylała się z niego woda, która lśni teraz między mokrymi, jasnymi pąkami. Przed ladą leżą rozsypłane wstążki i ostre nożyce, których używamy do cięcia papieru. Na blacie spoczywa nożyk florystyczny, ale jest przesunięty na środek. Helena z reguły trzyma go po prawej stronie, lubi mieć go pod ręką. Najbardziej jednak niepokoją mnie te smugi. Wyciągam telefon z torebki i wybieram numer Heleny. Abonent niedostępny. Dzwonię zatem do jej męża. Odbiera po dwóch sygnałach.

– Halo?

– Wiesz, gdzie jest Helena? Nie mogę się z nią skontaktować – mówię bez zbędnych wstępów.

– Powinna być w kwiaciarni – odpowiada z nutą zniecierpliwienia w głosie.

W tle słyszę krzyki nastolatków. Pracuje jako wuefista w pobliskim liceum.

– Jestem w kwiaciarni i z pewnością nie ma tu Heleny – odpowiadam, próbując zachować spokój.

– Może gdzieś pojechała?

Opieram się plecami o chropowatą ścianę i wpatruję się w przewrócony flakon, potem wędruję wzrokiem do nożyc leżących na podłodze. Dopiero teraz dostrzegam na ich ostrzu ciemną plamę. Kolana zaczynają mi drżeć. Odrywam się od ściany, podchodzę, pochylam się. Plama ma odcień purpury, jest podłużna, oblepia metal jak smoła.

Wydaje się trochę przyschnięta.

– Tu jest krew – szepczę.

– Co? O czym ty mówisz?

– Na podłodze. I w sklepie nie ma żadnych świeżych kwiatów.

– Poczekaj, zaraz przyjadę – mówi i zanim zdąży odpowiedzieć, przerywa połączenie.

Tymczasem do kwiaciarni wchodzi młoda kobieta z blond kokiem upiętym ciasno na czubku głowy.

– Chciałam zamówić wieniec – mówi, zanim zdąży rozchylić usta.

– Kwiaciarnia jest dzisiaj zamknięta – informuję.

– Nie ma pani Heleny? – dopytuje niezadowolonym tonem. – Miała być, dzwoniłam w piątek, mówiła, żeby przyjść dzisiaj rano.

– Przykro mi, nie ma jej.

– A kiedy będzie?

Przez chwilę milczę, czując, jak budzi się we mnie niepokój, że ktoś obcy jest tu teraz, choć nie powinien. Intuicja każe mi się go pozbyć. Chcę być tu sama, dojść do ładu z myślami, zrozumieć, co się stało.

– Proszę wyjść. – Wskazuję ręką drzwi i ruszam szybkim krokiem wprost na nią.

Chcę, by jak najprędzej opuściła to miejsce. W oczach kobiety dostrzegam strach. Natychmiast się wycofuje, a ja wyciągam klucz z kieszeni i zamykam za nią drzwi od środka.

Wracam do nożyc, obchodzę ladę, zaglądam pod nią, ale wszystko tu, jak zawsze, lśni czystością. Szpule wstążek ułożone są kolorystycznie na najwyższej półce. Niżej nożyczki – od najmniejszych do największych. Z boku folia, przezroczysta, srebrna, złota. Nic nie burzy porządku. Ten widok nawet mnie uspokaja. Tu czuć rękę Heleny, w przeciwieństwie do tego, co dzieje się po drugiej stronie lady. Tam jej nie ma. Tam są tylko pytania bez odpowiedzi.

Wyciągam telefon i po raz drugi wybieram numer przyjaciółki. Po chwili znowu słyszę automatyczny komunikat. Wdech i wydech. Może da się to jakoś sensownie wyjaśnić? Wracam do goździków, potem znowu patrzę na nóż. Gdyby skaleczyła się przez przypadek, na pewno nie zostawiłaby takiego rozgardiaszu. To nie w jej stylu. Helena jest perfekcjonistką. Dbą o swoją kwiaciarnię jak mało kto. Wspominam teraz chwilę, gdy kończyłyśmy pracę w piątek. Byłyśmy już przy drzwiach, gdy odwróciła się i powiedziała:

– Zostawiłaś sekator na blacie.

Potem spojrzała na mnie wymownie.

Nie lubi, kiedy go używam. Uważa, że łodygi kwiatów powinno przycinać się nożem, bo sekator miażdży tkankę roślinną, zamyka kanaliki, którymi płyną do pąków substancje odżywcze. Staram się używać go jak narzędziej, ale musiałam przyciąć naprawdę grube, nieco zdrewniałe łodygi róż, których potrzebowałam jedynie do flowerboxa, nie do wazonu.

Faktycznie, nie schowałam go do komody. Ruszyłam w jego kierunku, ale Helena mnie ubiegła. Szybko odłożyła narzędzie na miejsce. Potem, z rękami wetkniętymi w kieszenie jeansów, przebiegła wzrokiem po całej kwiaciarni, jakby szukała jeszcze jakichś odstępstw od reguł, ale wszystko było bez zarzutu. Niebieski flakon czekał na świeże róże, które miała do niego wsadzić w sobotę, witryny lśniły, bo chwilę wcześniej je wypolerowałam.

Teraz panuje tu chaos. Jestem pewna, że Helena na widok takiego bałaganu natychmiast zaczęłaby sprzątać. Podniosłaby wazon z goździkami, zmyła ślady krwi. Czy one należą do niej? A może do jakiegoś włamywacza? Drzwi jednak byłyby wtedy otwarte. Podchodzę do nich nerwowym krokiem i sprawdzam zamek. Nie widzę niczego podejrzanego.

Nagle słyszę, jak ktoś szarpie za klamkę. Spoglądam w kierunku drzwi. Kolejny klient. Jest kwadrans po dziewiątej. Kwaciarnia o tej porze z reguły jest już otwarta. Mężczyzna puka w witrynę i patrzy na mnie wyczekująco. Ma zarośnięte policzki, zmęczone oczy. Wygląda, jakby nie spał całą noc. Nachodzi mnie myśl, że to typ faceta, który kupuje żonie kwiaty, żeby ją za coś przeprosić, może za to, że nie wrócił na noc do domu. Tacy jak on odwiedzają nas od czasu do czasu. Zdarza się, że czuć od nich przetrawiony alkohol. W zależności od zasobności portfela kupują od jednej róży, przez kilka, aż po drogie, efektowne bukiety. Ubrani są różnie, we wczorajsze swetry i dresy, ale i eleganckie koszule ze złotymi spinkami. Wszyscy jednak mają takie samo poczucie winy w oczach. Helena zawsze się ze mnie śmieje, kiedy mówię do niej pod nosem, że przyszedł następny winowajca. Twierdzi, że sobie dopowiadam, ale ja wiem swoje.

Mężczyzna nie odpuszcza. Puka do drzwi i czeka. Podchodzę bliżej, mocno kręcę głową i mówię, szeroko otwierając usta:

– Zamknięte!

Z ruchu jego warg wyczytuję niecenzuralne słowo, szybko jednak odchodzi. Idę na zaplecze i wyciągam kartkę z podajnika drukarki. Piszę na niej zamasyście: „NIECZYNNE”.

Prosiłam Helenę tyle razy, żeby kupiła tabliczkę z tą prostą, acz niezbędną informacją. Z jednej strony „CZYNNE”, z drugiej „NIECZYNNE”. Ona jednak twierdziła, że godziny otwarcia wystarczą. Wyciągam z szuflady w komodzie taśmę klejącą i idę do drzwi. Potem przyklejam

kartkę do szyby. Gdyby Helena to zobaczyła, natychmiast by ją zerwała, mówiąc, że taki bohomas szpeci jej kwiaciarnię. Od zawsze przywiązuje wagę do szczegółów. Dbą o swój wygląd i, jak mówi, jakość świadczonych przez siebie usług. Trochę ją podziwiam – ja stanowię jej przeciwieństwo, ale myślę, że za bardzo jej to nie przeszkadza.

Wraz z upływem kolejnych minut niepokoję się coraz bardziej o przyjaciółkę. W mojej głowie pojawiają się coraz mroczniejsze wizje i czuję, że zaraz trzeba będzie zadzwonić na policję. Jakaś część mnie jednak nie chce tego robić. To będzie jak przypieczętowanie tego najczarniejszego wyobrażenia, w którym życie lub zdrowie Heleny jest zagrożone. Chcę poczekać z tym na Doriana. Tak ma na imię jej mąż. Kiedyś powiedziała mi: „Uważaj na niego. Jest równie cyniczny jak Dorian Gray”. Potem się uśmiechnęła. Była lekko podpita. Na co dzień nie pozwala sobie na takie komentarze. Jest wycofaną, bardzo skrytą kobietą, nigdy nie wyklada wszystkich kart na stół. Woli słuchać niż mówić, inaczej niż Dorian, który jest typem prawdziwego showmana.

Liczę na to, że to właśnie on zna jakieś sensowne wytłumaczenie tego, co się tu stało.

Kiedy Dorian w końcu staje przed drzwiami, rzucam się w ich kierunku. Po chwili wysoki szatyn wchodzi do środka, ściągając z głowy czapkę z daszkiem. Jest w koszulce termicznej i szarych spodniach dresowych, na stopach ma czarno-białe halówki. Jego policzki są zarumienione, ma płytki oddech. Odnoszę wrażenie, że zaraz po moim telefonie wybiegł z sali gimnastycznej i zatrzymał się dopiero pod drzwiami kwiaciarni. Lekko pochylony, z dłońmi opartymi na biodrach, patrzy teraz na podłogę. Jego szeroka klatka piersiowa unosi się i opada, nie wiem czy bardziej ze zmęczenia, czy ze stresu.

– Ma wyłączony telefon – mówi, nie odrywając wzroku od noża leżącego pod ladą.

– Wiem.

– Gdzie może być? – pytam.
– Miała być tutaj. Nie mam pojęcia, co się stało.
– O której wyjechała z domu?
– Nie wiem. – Spogląda na mnie. – Nie spałem dzisiaj w domu.
– A gdzie spałeś? – dociskam, nie wiedząc sama, skąd się wzięła moja nagła stanowczość.

– Cały weekend byłem z chłopakami. Jeździliśmy rowerami po górach. Wróciłem dzisiaj rano, przebrałem się i poszedłem do szkoły. Byłem pewien, że Helena jest tutaj.

Przestępuje z nogi na nogę.

– Kurwa, coś się stało – mówi po chwili ciszy, zupełnie innym tonem, w którym lęk miesza się z jakimś zniecierpliwieniem.

Krew na ostrzu nożyc, smugi na podłodze, przewrócony flakon. Nie da się już dłużej dyskutować z rzeczywistością.

Bez słowa wyciągam telefon z kieszeni i dzwonię na policję. Piętnaście minut później pod kwiaciarnię podjeżdża radiowóz. Wsiadają z niego dwaj policjanci. Kiedy wchodzi do środka, Dorian robi się blady, jak rozciągająca się za nim ściana. Ja pewnie wyglądam podobnie.

Policjanci przedstawiają się i pytają, co się stało. Gdy pokazuję im brunatne smugi na podłodze i zakrwawione nożyce, jeden z nich sięga po krótkofalówkę i prosi o wsparcie. Gdy słyszę, jak mówi, że „w kwiaciarni Chloris najprawdopodobniej doszło do napadu, ofiarą mogła być właścicielka”, jestem już pewna, że odtąd nic nie będzie już takie samo.

Rozdział 2

Około jedenastej przed południem do Doriana dzwoni pracownik schroniska w Dolinie Pięciu Stawów. Mówi, że Helena zameldowała się u nich w sobotę wieczorem. Dobę miała wykupioną do poniedziałku, ale nie wymeldowała się. Numer Doriana podała w kwestionariuszu. W jej pokoju zostały wszystkie rzeczy, jeden z turystów, który miał pokój obok niej, wspomniał, że planowała wyruszyć na Orlą Percć. Trzech mężczyzn widziało w niedzielę rano na szlaku kobietę podobną do niej. TOPR już rozpoczął poszukiwania.

Ta informacja jest tak nierealna, że kiedy Dorian mi ją przekazuje, siadam na ławce pod kwiaciarnią, opuszczam ramiona i patrzę tępo na asfaltową drogę, po której co chwilę sunie jakieś auto.

Co prawda, Helena lubiła górskie wędrówki, czerpała z natury inspiracje do tworzenia kompozycji wegetatywnych, odzwierciedlających naturalny krajobraz i środowisko. Zawsze wracała z takich weekendów w górach odmieniona, nasycona obserwacją przyrody. Czasem w poniedziałek rano zastawałam na blacie w kwiaciarni imitacje letnich łąk w drewnianych łubiankach, asymetryczne miniskalniaki ze splecionymi trawami i małymi gałązkami znalezionymi na górskich szlakach. Wyrastały z nich szafirki, kaliny, czasem maki, tworząc wrażenie chaosu, który jednak nie drażnił, tylko koił. Osiągała taki efekt grą kolorów, właściwą ekspozycją kwiatów o większych pąkach, stopniowaniem, a czasem nie wiedziałam, co w jej pracach na mnie oddziałuje, tylko patrzyłam na nie, czując, jak rośnie we mnie podziw dla jej talentu i tajemnicy, którą przesiąkały tworzone przez nią kompozycje. Rzadko kiedy były radosne, z reguły biła od nich melancholia, docierająca do najgłębszych zakątków w moim umyśle.

Lubiłam to uczucie. Chciałam odkryć w sobie taki potencjał, ale wiedziałam, że nigdy nie będę płynąć na podobnej fali.

Jestem pewna, że powiedziałyby mi, gdyby chciała znów wyjechać w góry. Miałyśmy tyle planów na ten tydzień, mnóstwo zamówień...

Doriana już przy mnie nie ma, wszedł do kwiaciarni najpewniej po to, żeby przekazać policjantom wiadomość, którą otrzymał od właściciela schroniska.

Słyszałam, że Orla Perć to jeden z najtrudniejszych szlaków górskich w Polsce. Jak mogła nie przyznać mi się, że chce tam pojechać? Przecież widziałyśmy się w piątek. W sobotę miałam – co prawda – wolne, ale rano przejeżdżałam obok kwiaciarni i drzwi były szeroko otwarte, jak zresztą w każdy słoneczny dzień tego lata. Kwiaciarnię zamykałyśmy tylko w niedzielę.

Nic z tego nie rozumiem. Wstaję z ławki i podchodzę bliżej sklepu. Ręce ciasno krzyżuję na piersi, jakbym chciała zamknąć się na wszystko, co widziałam i słyszałam od rana.

Dorian rozmawia teraz z wysoką policjantką z włosami związanymi w kucyk. Kobieta patrzy na niego uważnie, potem wychodzi z kwiaciarni i wyciąga telefon. Nie zwraca na mnie uwagi. Po chwili słyszę, jak mówi:

– Trzeba sprawdzić tę Orlą Perć. Potrzebujemy logowań z telefonu. Mąż ponoć też był w weekend w górach.

Po dłuższej przerwie dodaje nieco ciszej:

– Też o tym pomyślałam.

Później wszystko wydaje się cięższe. Choć nikt tego nie mówi wprost, zarówno policjanci, jak i Dorian zachowują się tak, jakby Helenie przydarzyło się coś bardzo złego. Ja wciąż tego do siebie nie dopuszczam. Wierzę, że niedługo wszystko się wyjaśni. Policjantka, z tego, co pamiętam – aspirant Walewska, prosi, żeby Dorian pojechał z nią na komendę. Ode mnie bierze tylko numer telefonu.

Policjanci wraz z Dorianem opuszczają kwiaciarnię około dwunastej. Ja biorę materiałowy worek, do którego w piątek schowałam stare książki

o florystyce, zalegające w komodzie, zamykam drzwi i wracam do domu. Parę godzin później dostaję wiadomość od Doriana:

„Helena faktycznie była od soboty w górach. Jej auto znaleziono na parkingu przed Doliną Pięciu Stawów. Ratownicy TOPR-u cały czas szukają jej na szlaku”.

Natychmiast do niego dzwonię, ale mnie odrzuca. Potem dostaję wiadomość:

„Jestem w trasie. Oddzwonię”.

Czuję się odsunięta na bok. Jeśli pojechał w okolice Zakopanego, żeby być bliżej miejsca, w którym widziano ją po raz ostatni, mógł wziąć mnie ze sobą. Jestem tak samo zainteresowana tematem jej zniknięcia jak on. A może nawet bardziej.

W każdym normalnym małżeństwie mąż wiedziałby, że jego żona wyjeżdża w góry, ale dobrze wiem, że między nimi nic nigdy nie było normalne. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że Dorian będzie teraz moim głównym źródłem informacji na temat Heleny. To z nim policja będzie kontaktować się w pierwszej kolejności. Ja jestem dla nich kimś obcym, kimś z boku, choć to ze mną Helena spędzała najwięcej czasu.

Wychodzę na balkon, czując, jak cierpną mi palce. Tydzień temu rzuciłam palenie. Helena mnie do tego namówiła. Teraz jednak tak bardzo chcę zapalić, roznosi mnie napięcie, które muszę jakoś rozładować. Niedawno rozstałam się z Łukaszem. Planowałyśmy z Heleną babski wypad nad morze. Kwaciarnią w tym czasie zajęłaby się Sylwia, która pracuje u nas na pół etatu. W zeszłym tygodniu miała jednak urlop, powinna być w pracy dopiero jutro. Oczywiście dzwoniłam do niej w międzyczasie. Powiedziałam jej, co się stało. Była równie zaskoczona jak ja.

Cały wieczór chodzę po mieszkaniu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Niepewność doprowadza mnie do szału. Przed dwudziestą dzwoni do mnie mama:

– Miałaś do mnie przyjechać – zaczyna bez wstępu.

Faktycznie, z tego wszystkiego zapomniałam odwiedzić matkę, która wciąż mieszka na wsi pod Oławą. Za każdym razem, gdy słyszę jej zachrypnięty głos, czuję się tak, jakbym znowu była nastolatką. Jakby matka uwięziła mnie w tym młodym, bojaźliwym wieku i w roli opiekunki, a to wcale mi się nie podoba. Odgrywam ją, bo nie mam innego wyjścia, a przecież jestem już trzydziestoletnią kobietą.

Prawda jest taka, że chcę wyjść z domu, zrobić ze sobą cokolwiek, odpowiadam zatem:

– Zaraz będę.

Rozłącza się. Nie sili się na uprzejmości, mówi i robi tylko to, co pozwala jej zaspokoić podstawowe potrzeby. Ma chorobę zwyrodnieniową stawów, która rozwinęła się głównie w stawach kolanowych i częściowo w biodrowych. Poza tym cierpi na depresję. Leczy się na to wszystko od lat, przynajmniej tak twierdzi. Ja jestem zdania, że zażywa wyłącznie leki na stawy. Depresję lekceważy. Kiedyś znalazłam w jej kosmetyczce nietknięte blistry z antydepresantami, które przepisał jej psychiatra. Po awanturze, którą jej zgotowałam, obiecała, że będzie brać tabletki, ale możliwe, że tylko zmieniła miejsce ich składowania. Do psychiatry poszła oczywiście za moją namową, sama by się nie zdecydowała. Trzy lata temu umarła moja młodsza siostra. Miała zespół Downa i bardzo słabe serce. Lekarze mówili, że nie dożyje dziesiątego roku życia, a ona przeżyła dwadzieścia pięć lat. Choć spodziewałyśmy się jej odejścia, i tak było ono dla nas bardzo bolesne. Matka do dziś się po tym nie pozbierała.

Przez całe życie opiekowałam się Elą i mamą. Ojciec był jak wiatr. Pojawiał się i znikał. Mieszkał dwa lata w domu, potem wyjeżdżał, niby na weekend, a wracał po paru miesiącach. Nasza rodzinna sytuacja go przerastała. Nie radził sobie z Elą, nie dogadywał się z mamą. Tylko przy mnie szczerze się uśmiechał. Kiedy znikał, zawsze analizowałam, co zrobiłam nie tak. Myślałam, że to przeze mnie, choć prawda była taka, że żył, jak chciał, na swoich zasadach. Kiedyś dopisałam do nazwy „Huragan”

na jego kolarzówce słowo „Mirka”, bo on sam kojarzył mi się z taką wichurą.

Pewnego dnia wyjechał i już nie wrócił. Matka powiedziała mi, że bardzo się pokłócili. Kuzynka mamy stwierdziła kiedyś, że chyba widziała go w Gdańsku z inną kobietą i małym chłopcem, podobnym do niego. Zanim jednak do nich podeszła, zniknął jej z oczu.

– Kawał drania – podsumowała go wtedy moja matka, zaciskając przy tym pięści. – Nie chcę o nim więcej słyszeć. Radzimy sobie.

Faktycznie jakoś sobie radziłyśmy. Miałyśmy rentę Eli, matka starała się o różne dodatkowe zapomogi. W związku z chorobą zwyrodnieniową stawów jej również przyznano rentę. Przyjmowała też drobne zlecenia jako krawcowa. W jej życiu pojawił się szybko nowy mężczyzna, Tadeusz. Pracował na budowie. Niestety był uzależniony od alkoholu. Matka szybko zaczęła z nim pić. Mimo wszystko od czasu do czasu dawała mi pieniądze i mówiła: „Jedź do miasta, kup sobie coś ładnego”. Miałam wrażenie, że to była zapłata za to, że zajmowałam się Elą, podczas gdy matka wraz z Tadeuszem zalegała na kanapie przed telewizorem, oczywiście w towarzystwie butelek. Takich wieczorów było wiele. Żadne z nich nigdy nie było wobec mnie agresywne, ale i tak z trudem wytrzymywałam z nimi pod jednym dachem.

Dwa lata temu, niedługo po śmierci Eli, Tadeusz miał wypadek. Spadł z dachu podczas pracy na budowie i teraz porusza się na wózku inwalidzkim. Ma trzydziestopięcioletniego syna Daniela, który mógłby mu pomagać, ale jednak chłopak nie pracuje. Wydaje mi się, że jest uzależniony, chyba od narkotyków. Odpowiedzialność za Tadeusza i matkę spada zatem na mnie.

Gdy jadę samochodem do domu matki, słyszę dzwonek telefonu. To Dorian. Akurat zatrzymuję auto w niewielkim korku przed przejazdem kolejowym, więc mogę odebrać.

– Halo?

- Wybacz, nie mogłem rozmawiać – mówi – jechałem samochodem.
- Dotarłeś do Zakopanego?
- Nie – odpowiada, wyraźnie zaskoczony.

Potem odchrząkuje i dodaje:

- To znaczy jeszcze nie.
- A planujesz?
- Chyba będę musiał. Wciąż nie mogą jej odnaleźć. Wszystko wskazuje na to, że nie wróciła ze szlaku.

Słucham Doriana, śledząc mknący torami pociąg osobowy, profile ludzi w małych oknach, obojętnych na ten koszmar. W głowie mam teraz poranne obrazy: smugi krwi na kaflach, brudne nożyce i pąki kwiatów leżące w wodzie.

- Coś jest nie tak – mówię, gdy rogatka zaczyna się podnosić.
- Co masz na myśli? – odpowiada po chwili.
- Powiedziałyby mi, gdyby planowała jechać w góry szybciej. Jestem pewna, że nie trzymałaby tego w tajemnicy. A ty gdzie byłeś na swojej wyprawie?

Wzdycha do słuchawki, chyba z jakimś rozdrażnieniem. Domyślam się, że słyszał dziś to pytanie wielokrotnie.

- W Bieszczadach. Z dwoma kumplami, policja już do nich dzwoniła.

Szlaban podnosi się. Auta przede mną zaczynają powoli toczyć się do przodu.

- Muszę kończyć – mówię – proszę, informuj mnie, gdy dowiesz się czegoś nowego.

- Jasne, masz to jak w banku – odpowiada, po czym rozłącza się.

Odkładam telefon na siedzenie pasażera i ruszam do przodu, w głowie wciąż maglując jego słowa, spokojny tembr głosu i zaskoczenie, gdy zapytałam, czy pojechał do Zakopanego. Może jestem zbyt zdenerwowana, żeby prawidłowo odbierać rzeczywistość, ale mam wrażenie, że Dorian bardzo szybko oswoił się z faktem, że jego żona zniknęła.

Rozdział 3

– Ta z blizną na ręce? – pyta matka, odrywając na chwilę wzrok od telewizora.

W ten sposób zawsze określa Helenę, co niezmiennie mnie drażni.

– Tak – odpowiadam jednak cierpliwie, rzucając torebkę na mały taboret – nie mam z nią kontaktu od rana.

– Szurnięta była, to zniknęła. – Matka macha ręką i podgłaśnia pilotem.

W telewizji lecą właśnie wiadomości. Tadeusz je jajecznicę przy stole i ogląda coś na swoim pękniętym smartfonie, a Daniel dłubie słonecznik obok ojca.

– Mam prośbę, Sonia. Czy ty mogłabyś nam zrobić większe zakupy? Chodzi o takie, wiesz, jak w makro robisz czasem. Zgrzewka mleka, kilka zgrzewek wody, cukier, mąka, ziemniaki. Cięższe rzeczy. – Matka patrzy na mnie wyczekująco, nerwowo mrugając oczami, okrągłymi i błyszczącymi jak paciorki. – I jeszcze parę butelek wina.

Otwieram usta, żeby stawić kontrę ostatniej prośbie, gdy prędko dodaje:

– W weekend ma do nas przyjechać ciocia Lucyna z ciocią Marianną. Będziemy świętować moje urodziny.

– Przecież to dopiero za dwa tygodnie – stawiam się.

– Ale im pasuje teraz. Nam zresztą też bardziej ten weekend odpowiada. Trzeba jeszcze obgadać sprawę domu po babci.

Babcia, mama mamy, zmarła przed paroma miesiącami. Jej niewielki dom w Wilkowie stoi teraz pusty. Rodzina chce go sprzedać, ale do spadku jest uprawnionych dziewięć osób – matka jest z wielodzietnej rodziny. Wciąż się wyklócają o to, jak to podzielić. Dwóch wujów jest przeciwnych sprzedaży, ale nie mają środków, żeby spłacić pozostałych. Matce i Tadeuszowi zależy na tych pieniądzach, zdaje się, że ostatnio cienko przędą. Nie da się jednak tak łatwo tego załatwić.

– To jak, pojedziesz do sklepu? – dopytuje mama.

Zerkam na Daniela. Chcę powiedzieć, żeby wreszcie ruszył się i coś zrobił, ale wtedy on spogląda na mnie i nerwowo strzela oczami, jakby nad tym nie panował. Chyba dzisiaj nic nie brał albo przeciwnie – wziął za dużo.

– Mogę zrobić wam teraz zakupy, może nie tak duże jak w makro, nie wiem, czy w tym tygodniu uda mi się tam pojechać – mówię w końcu.

– Szkoda, to może w normalnym markecie kupisz, co trzeba – słyszę w odpowiedzi.

– Tak, tak będzie lepiej.

Sprężyny kanapy skrzypią. Matka podnosi się z niej ociężałym ruchem. Idzie powoli do kuchni i otwiera „szafkę z pieniędzmi”. Tak ją nazywam od wielu lat. To w niej zawsze trzyma gotówkę. Nigdy nie wyrobiła sobie karty kredytowej, nie ma nawet konta w banku. Wierzy tylko w banknoty i monety. Żadna inna forma pieniądza nie wchodzi w grę. Wciąż pracuje jako krawcowa, oczywiście na czarno. Ludzie płacą jej gotówką, którą ona natychmiast przynosi tutaj. Daje mi teraz kilka pięćdziesiątek i prosi:

– Pamiętaj o tym winie.

Jadę do Kauflandu i robię jej zakupy. Jestem tak zmęczona całodzienną gonitwą myśli, że wszystko robię bezrefleksyjnie. Dwa razy łapię się na tym, że wkładam do koszyka nie to, co trzeba.

Gdy w końcu podjeżdżam do kasy, dostrzegam Dorianą. Jego widok w tym sklepie nie jest dla mnie niczym nowym. Czasem go tu spotykam. Obydwoje mieszkamy nieopodal. Z tym że on z Heleną w wielkim domu, a ja w mieszkaniu. Akurat dziś, po tym wszystkim, co się stało, nie spodziewałam się go na zakupach.

Stoi teraz w kolejce, a raczej kołysze się na boki, ściągając z półki dwa batoniki proteinowe. Kładzie je na taśmie. Obok niego widzę niską brunetkę w krótkim kremowym płaszczu. W pierwszej chwili zakładam, że

nie są razem, ale nagle kobieta kładzie dłoń na jego ramieniu, a jej kształtne usta rozciągają się w lekkim uśmiechu.

– Cześć, Dorian – mówię głośno, nienaturalnie wysokim głosem, jakbym chciała rzucić między nich swój napastliwy ton.

Natychmiast obydwójce obracają się. Przy okazji zauważam, że na taśmie mają tylko małą butelkę wody mineralnej, bochenek chleba i te dwa batoniki.

– Sonia, cześć – wita się ze mną.

Brunetka wciąż łagodnie się uśmiecha. Ma oczy w kształcie migdałów i szczupłe policzki muśnięte brzoskwinowym pudrem.

– Poznaj Klarę, moją kuzynkę – mówi dalej, kiwając głową w kierunku brunetki.

– Cześć. – Kobieta wyciąga do mnie dłoń.

Patrzę na nią, próbując dojść do tego, czy widziałam ją kiedykolwiek, ale wydaje mi się, że nie.

Ona, jakby czytając mi w myślach, mówi:

– Tak właściwie kiedyś się już poznałyśmy.

– Naprawdę?

– Jestem lekarką. Pracuję w szpitalu, na wewnętrznym. Pamiętasz? Przyszłaś do Heleny w odwiedzin.

– Coś mi świta – odpowiadam, czując, jak delikatnie ściska mi się gardło.

– Wybacz, nie zapamiętałam cię stamtąd, to było tak dawno.

– Nie ma sprawy. Ja pewnie też bym cię nie pamiętała, ale obserwuję profil Chloris na Facebooku. Czasem pojawiaasz się na zdjęciach. Może dlatego wiem, że ty to ty. Poza tym Dorian czasem o tobie wspomina...

– Cholera, jestem już nieprzytomny – odzywa się nagle Dorian, jakby chciał jej przerwać. – Oczywiście, że poznałyście się w szpitalu. Zresztą, ja wtedy też ciebie poznałem, Sonia. Spotkałem chwilę temu Klarę, właśnie jej powiedziałem, co się stało.

Taśma się przesuwają. Kasjerka zaczyna kasować jego zakupy.

– Woda jest moja – mówi brunetka – zapłacę.

Wręcza mu pieniądze, a Dorian płaci za wszystko kartą.

Gdy kasjerka zaczyna skanować moje zakupy, Dorian i Klara opuszczają sklep. Odprowadzam ich wzrokiem do drzwi wyjściowych, patrząc dłużej na zgrabną brunetkę. Odwiedziłam Helenę na oddziale wewnętrznym oławskiego szpitala dwanaście lat temu. W noc poprzedzającą te odwiedziny uratowałam jej życie. Zaskakujące, że właśnie dziś, po tym, jak Helena zniknęła, spotkałam w sklepie Doriana z lekarką, która się nią zajmowała. To spotkanie coś we mnie uruchamia. Płacę za zakupy, zostawiam je matce i wracam do siebie. Myśli o wypadku Heleny sprzed lat nie dają mi spokoju.

Przez całe popołudnie i wieczór wspominam chłodną marcową noc z 2010 roku.

Rozdział 4

Wracałam do domu po wspólnej nauce u Agaty, koleżanki z liceum. Przygotowywałyśmy się do matury z matematyki, siedziałyśmy nad zadaniami. Normalnie przenocowałabym u niej, ale nagłe przecucie, które pojawiło się, nie wiadomo skąd, kazało mi tym razem tego nie robić. Powiedziałam, że wrócę, choć dochodziła pierwsza w nocy. Dojeżdżałam już polonezem matki do domu, gdy zobaczyłam, jak auto jadące z naprzeciwka wypada z ulicy i z dużą prędkością uderza w drzewo. Nigdy nie zapomnę tego huk, który rozdarł noc niczym wystrzał z broni palnej. W pierwszej chwili sama poczułam się zagrożona, wydawało mi się, że ja też zaraz się rozbiję. Miałam zaledwie osiemnaście lat, dopiero co zrobiłam prawo jazdy. Zacisnęłam mocniej dłonie na kierownicy, zaczęłam zwalniać, próbując zapanować nad drżącymi nogami. W końcu zatrzymałam się i zjechałam na pobocze. Włączyłam światła awaryjne i czując, jak cierpnie mi ciało, wysiadłam z auta. Ruszyłam w kierunku srebrnego sedana, którego maska zgmiotła się niczym nadepnięte pudełko po zapalkach.

Samochód zatrzymał się na wiekowym kasztanowcu. Jego liście na tle granatowego nieba wyglądały jak chmara czarnych motyli.

Wyciągnęłam telefon komórkowy z kieszeni i zaskakująco przytomnie, jak na swoje zdenerwowanie, zadzwoniłam na numer alarmowy. Opisałam dyspozytorowi, gdzie mniej więcej jestem i co się stało. Zasypał mnie szczegółowymi pytaniami. Ilu jest poszkodowanych, czy są przytomni.

Gdy podeszłam bliżej, dotarło do mnie, że auto rozbiło się bardziej z prawej strony, a zajęte było tylko miejsce po lewej, za kierownicą. Ujrzałam jasne, zakrwawione włosy oblepiające poduszkę powietrzną. Opisałam mężczyźnie to, co widzę. Powiedział, że pomoc zaraz przyjedzie. Schowałam telefon do kieszeni i wpatrywałam się w kobietę uwięzioną

w samochodzie. Wyglądała kompletnie bezbronne i chyba słabła z każdą chwilą. Miałam wrażenie, że poduszka uniemożliwia jej oddychanie.

Czułam, że jeśli niczego nie zrobię, to może umrzeć, o ile już to się nie wydarzyło. Pociągnęłam za klamkę. Częściowo zdewastowane drzwi poruszyły się ze skrzypnięciem, ale zamek nie chciał puścić. Szyba była rozbita, odłamki szkła lśniły na włosach kobiety – miałam je na wyciągnięcie ręki. Pociągnęłam po raz drugi, tym razem z większą siłą. Drzwi zatrzeszczały głośniejsz niż wcześniej. Słyszałam, jak lekki wiatr niesie ten dźwięk zgrzytanego metalu i moje stękanie po pustej ulicy. Przy trzeciej próbie zamek puścił. Widziałam teraz jej szczupłe ciało, nienaturalnie wygięte przy poduszce. Pas nie był zapięty.

Czasem słyszy się, że ludzie działają instynktownie. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, co to oznacza, ale myślę, że to właśnie intuicja kazała mi wydobyć ją z samochodu. Coś podpowiadało mi, że jeśli tego nie zrobię, jeśli zostawię ją tam na kolejne minuty, ona umrze.

Z trudem wyciągnęłam ją z samochodu, wsuwając jej ręce pod pachy, tak jak to pokazywano na kursie pierwszej pomocy w czasie lekcji przysposobienia obronnego. Była drobna, dużo drobniejsza niż ja i nie oddychała. Jej twarz wyglądała jak skropiona ciemną farbą. Miała zamknięte oczy. Położyłam ją na ziemi. Potem uciskałam jej klatkę piersiową, nie miałam odwagi zbliżyć się do zakrwawionych ust. Wciąż tylko pompowałam, raz za razem, rytmicznie, wyczuwając pod materiałem cienkiej koszulki na ramiączkach twarde żebra. W pewnej chwili, gdy słyszałam już w oddali dźwięki syreny, złapała oddech i otworzyła oczy. Miała rozbiegane spojrzenie, ale z każdą chwilą robiło się coraz bardziej skupione i przytomne. W końcu zatrzymała je na mnie, a wtedy dostrzegłam w jej oczach lęk. Wymamrotała jakieś słowa, ale nic nie zrozumiałam. Zapytałam:

– Słucham?

Nie wiem, czy powtórzyła, czy bardziej kontynuowała, ale tym razem już zrozumiałam:

– To nie ja, to on.

– Proszę się nie martwić, nadjeżdża pomoc.

Spuściła wzrok, przechyliła głowę w prawo. Z oczu pociekły jej łzy. Gdy zatrzymała się przy nas karetka, ponownie spojrzała mi w oczy.

– Nie chciałam tego – powiedziała, a potem znowu straciła przytomność.

Oddychała już jednak miarowo i spokojnie.

Powiedziałam sanitariuszce, że ją reanimowałam. Poklepała mnie po ramieniu: „Taka młoda, a taka odważna”.

Potem rozmawiałam z policjantami, opisałam im, co się stało.

– Czyli celowo zjechała z drogi, tak? – wywnioskował postawny funkcjonariusz.

– Nie wiem, czy celowo – odpowiedziałam i dopiero mówiąc to, uświadomiłam sobie, że mógł mieć rację.

Na drugi dzień odwiedziłam ją w oławskim szpitalu. Nie dawały mi spokoju jej łzy, jak i pytanie policjanta sugerujące, że mogła specjalnie wjechać w to drzewo. Moja ciotka jest pielęgniarką, pomogła mi ustalić, gdzie leży kobieta, którą w nocy przywieziono z wypadku.

Tam, w lesie, przy szumiącym na wietrze kasztanowcu, którego pień wpychał się w maskę srebrnego sedana, poczułam z nią niewytłumaczalną więź. Leżała na OIOM-ie, więc nie mogłam do niej wejść. Ciocia powiedziała mi, że kobieta nazywa się Helena Bardo. Poprosiłam ją, żeby dała mi znać, gdy Helena poczuje się lepiej. Dostałam od niej wiadomość tydzień później. Przeniesiono ją na salę chorych, dochodziła do siebie.

Teraz pewnie nie miałabym tyle odwagi, żeby wejść na tę salę, przywitać się, zapytać, czy mnie pamięta, ale kiedy człowiek jest bardzo młody, wszystko wydaje mu się łatwiejsze. Dorosłość komplikuje życie, wprowadza niepotrzebne wątpliwości.

Helena natychmiast mnie rozpoznała. Na mój widok z jej oczu znowu poleciały łzy, przez które wyszeptła: „Dziękuję”. Miała dużo szczęścia. Co prawda, straciła sporo krwi, więc była bardzo osłabiona, ale nie odniosła ciężkich obrażeń. Jedna z lekarek powiedziała nawet, że to cud. Być może tą lekarką była Klara, nie pamiętam już.

W głowie utkwił mi za to widok Doriana. Siedział przy łóżku Heleny, ubrany na sportowo, jak zawsze. Ciemna bluza, kilkudniowy zarost, brązowe włosy pozostawione w nieładzie i mocno niebieskie, udręczone oczy.

– To ty jesteś tą bohaterką – powiedział, wstając z miejsca i wyciągając do mnie wielką dłoń.

Musiałam zadrzeć głowę, by utrzymać z nim kontakt wzrokowy przy witaniu się.

– Jaką tam bohaterką – zaprzeczyłam odruchowo.

– Nie każdy miałby odwagę zatrzymać się w środku nocy na ulicy. Gdy policjant powiedział mi, że to osiemnastolatka uratowała życie mojej żonie, wiedziałem, że muszę się dowiedzieć, kim jesteś. A ty jeszcze sama tu przyszłaś.

Helena w tym czasie wciąż na mnie patrzyła – z tym lękiem w oczach, jaki zapamiętałam z miejsca wypadku. Musiałam wzbudzać w niej nieprzyjemne skojarzenia z chwilą, w której prawie straciła życie.

Szybko zauważyłam, że małżeństwo jest ode mnie starsze. Niedługo potem dowiedziałam się, że Helena miała dwadzieścia cztery lata, a Dorian dwadzieścia osiem.

– Chciałam się tylko upewnić, że nic ci nie jest – spojrzałam na Helenę – bardzo mnie wtedy przestraszyłaś.

Nic nie odpowiedziała.

Objęłam dłońmi łokcie, spojrzałam w kierunku wyjścia. Nagle zapragnęłam jak najszybciej wydostać się z tej skąpanej w bieli sali, bo

zrobiło się niezręcznie. Mogliby pomyśleć, że oczekuję od nich jakiejś nagrody za to, że udzieliłam Helenie pomocy.

– Ja już pójdę – powiedziałam drętwo.

– Spieszysz się dokądś? – zapytał Dorian.

– Nie, to znaczy tak, muszę się uczyć. W tym roku matura.

– Z czego? – odezwała się w końcu Helena. Napięcie jakby odrobinę opadło.

– Z matematyki, polskiego i angielskiego.

Kiwnęła głową w zamyśleniu. W jej wielkich, zielonych oczach odbijały się promienie słońca.

– Do której szkoły chodzisz? – zapytał Dorian.

– Do liceum na Placu Zamkowym.

– Też je skończyłem.

– Co robiłaś na drodze o tak późnej porze? – Helena znów zwróciła się do mnie, ale tym razem jej głos miał dziwny, niemal oskarżycielski ton.

Nie wiedziałam, czy drażniła ją nasza drętwa pogawędka, czy może miała mi coś za złe.

– Wracałam od koleżanki, rozwiązywałyśmy zadania z matematyki do późna. Miałam u niej spać, ale coś mnie tknęło i powiedziałam, że wrócę.

– I bardzo dobrze, że coś cię tknęło – wtrącił Dorian, patrząc wprost na żonę, po czym znowu usiadł obok niej.

– Muszę już naprawdę iść – powiedziałam szybko.

– Wpadnij jeszcze, jak znajdziesz chwilę – rzucił na pożegnanie.

Wyszłam – już bez słowa. Na korytarzu poczułam ulgę, jakbym opuściła duszne pomieszczenie. Prześladował mnie jednak widok Heleny. Jej głowa oparta o postawioną pionowo poduszkę, wysokie kości policzkowe, ogromne oczy i drobne zadrapania rozsiane na czole i policzkach.

Nie wróciłam już do szpitala, choć dużo myślałam, tak o Helenie, jak i o jej mężu, przystojnym Dorianie Bardo. Dwa dni później w powiatowej gazecie pojawił się artykuł o tragicznym wypadku pod Oławą, w którym

prawie zginęła znana lokalna florystka, Helena Bardo, właścicielka dużej kwiaciarni Chloris. Ponoć zasnęła za kierownicą. Właściwie dopiero z tego artykułu dowiedziałam się, że w Oławie jest jakaś większa kwiaciarnia, i odkryłam, że istnieje taki zawód jak florystka. Byłam nastolatką. Dla mnie kobiety, które tworzyły w kwiaciarniach bukiety, były po prostu kwiaciarkami. Teraz, po wszystkich szkoleniach florystycznych, wygranych konkursach i pokazach, chyba poczułabym się urażona, gdyby ktoś mnie tak nazwał.

Miesiąc później, gdy w słoneczne kwietniowe południe zeskakiwałam ze schodów liceum po skończonych lekcjach, na chodniku pod szkołą zobaczyłam dużego, czarnego pick-upa z włączonymi światłami.

Szyba od strony kierowcy zjechała w dół i ujrzałam znajomą twarz.

– Cześć, Sonia! – zawołał.

Miał krótsze włosy, niż to zapamiętałam. Musiał w międzyczasie je podciąć. Stały sztywno na głowie, chyba wzmocnione pastą modelującą. Mimo wszystko i tak bez trudu go rozpoznałam. Dorian Bardo. Tym razem był ogolony. Skóra błyszczała na jego policzkach, szyję opinał schludny kołnierzyk białej koszulki polo.

Wyglądał, jakby na mnie czekał. Nie miałam pojęcia, skąd wiedział, gdzie chodzę do szkoły, o której kończę zajęcia, ale wszystkiego miałam się niebawem dowiedzieć.

– Masz chwilę? – zapytał, gdy podeszłam do niego niepewnie, słysząc za sobą zaskoczone komentarze koleżanek: „To do Soni? Wow, kto to jest?”.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, dodał:

– Zapraszamy cię z Heleną na obiad. Nie daj się prosić.

Na dźwięk jej imienia poczułam się odrobinę pewniej. Spojrzałam na siedzenie pasażera, ale było wolne. Wyłapał moje spojrzenie, bo zaraz dodał:

– Helena czeka w kwiaciarni.

– W Chloris? – zapytałam natychmiast.

– Tak – uśmiechnął się – liczy na to, że uda ci się znaleźć dla niej czas. Sama by przyjechała, ale jeszcze nie wsiada za kółko. Poza tym kończy właśnie robić kompozycję na zamówienie. To jak? – Uniósł brew i powiódł wzrokiem za Wojtkiem Larskim z 3c, który przejeżdżał obok nas na swoim supernowoczesnym rowerze górskim, którym zachwycała się cała szkoła.

– W porządku – odparłam.

Obeszłam auto i otworzyłam drzwi od strony pasażera. Gdy wsiadałam na skórzany fotel, czułam się odrealniona, jakbym bardziej śniła, niż przeżywała to naprawdę. Chciałam, żeby już ruszył z miejsca, przeszkadzało mi to zawieszenie pomiędzy dziewczyną, schodzącą po schodach liceum, a tą, która zje obiad z Heleną i Dorianem Bardo.

Właściwie nie wiem, dlaczego zgodziłam się na propozycję Dorianą, ale kiedy patrzę na tę sytuację dzisiaj, myślę, że to był moment przełomowy. Właśnie wtedy wywróciłam swoje życie do góry nogami.

Rozdział 5

Dorian

– I co teraz zrobisz? – pyta Klara, ściągając czarne buty. Zostawia je pod lustrem w moim holu, gubią się wśród sandałów, szpilek i adidasów Heleny.

Praktycznie nic nie zabrała ze sobą, wszystko jest tak, jak było w piątek. Zostawiła nawet swoje ulubione klapki, na które wydała kupę forsy, a od jakiegoś czasu zabierała je przecież w każdą podróż. Góry nie góry, klapki od Gucciego musiały być w walizce. Lubiła paradować w nich po domu, odziana w ultrakrótkie szlafroki. Kusiała mnie, choć w sypialni już od dawna nie pozwalała mi praktycznie na nic. Dziwne, że teraz o tym myślę, ale ja chyba zawsze myślę nie o tym, o czym trzeba.

– Dorian? – Klara wygląda tak, jakby na coś czekała.

– Co? – odpowiadam, a potem przypominam sobie, że zadała mi jakieś pytanie.

– Jaki masz plan?

– Muszę jutro jechać do Zakopanego.

– To jest przerażające. – Chowa twarz w dłoniach. – Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

– Ja też – odpowiadam, patrząc, jak podchodzi do lodówki i ją otwiera.

– Jak zawsze światło. Mogłeś zrobić większe zakupy. – Ściąga z półki otwartą butelkę wina musującego.

Dobrze zna mój dom, choć dotąd przebywała w nim tylko wtedy, gdy Helena była na wyjazdach. Nigdy się nie lubiły. Nie zapraszaliśmy Klary na żadne imprezy, nie spotykaliśmy się z nią na święta. Po wypadku samochodowym Heleny Klara parokrotnie sugerowała jej, że powinna zwrócić się do psychoterapeuty o pomoc. Widziała, w jak słabej kondycji

psychicznej jest moja żona. Helena jednak potraktowała rady Klary jak ujmę, może wręcz nietakt. Nie chciała być w jej oczach niedoszlą samobójczynią. Dlatego wybrała dystans i chłód. Wyeliminowała Klarę ze swojego życia. Wiedziała, że wciąż się z nią przyjaźnię i tolerowała to. Nigdy jednak jej nie zaakceptowała.

Kuzynka siada obok mnie przy stole. Właśnie kończę pozbawiony smaku batonik.

– Skąd wzięła się ta krew na posadzce? – pyta, uderzając krótkimi, niepomalowanymi paznokciami w blat stołu.

– Nie mam pojęcia.

– Należy do Heleny?

– Sprawdzają to. Mam nadzieję, że nie.

– A co, jeśli tak?

– Nie sędzę. Przecież zameldowała się w górach. Tam była, w schronisku sobie tego nie wymyślili.

– Mogła wrócić na własną rękę i ktoś mógł ją tu zaatakować. Nie wiesz, czy tak nie było.

Mierzę wzrokiem jej drobną twarz, podczas gdy ona wpatruje się we mnie czujnie. – Czy wiesz? – pyta ostrożnie.

– Na litość boską! – Uderzam pięścią w stół. Klara odruchowo odsuwa się.

– Przy niej też się tak zachowywałeś?

– Nie – odpowiadam natychmiast, choć przed oczami mam teraz przerażoną twarz Heleny, po tym, jak wybuchłem przy niej gniewem parę miesięcy temu.

Kłóciliśmy się w domu. Wcześniej sprawdziłem, czy wszystkie okna są pozamykane, żeby nasze krzyki nie wydostały się na zewnątrz. Dziwnie się czułem, robiąc to, jeszcze zanim zaczęliśmy rozmawiać. Wiedziałem, że się pokłócimy, chciałem zachować pozory przed sąsiadami. Korczowie mieszkający obok są bardzo ciekawscy. To ludzie, których pochłania mały

świat naszej ulicy. Wszystkich tu znają, o wszystkich wszystko wiedzą. Często można zobaczyć Jacka Korcza lub jego żonę, Martę, jak rozmawiają z którymś z sąsiadów przy drodze. A to Madejska znowu zrobiła głośną imprezę, a to Nowacki wywiesił w ogrodzie flagę biało-czerwoną, choć nie ma żadnego święta. A to świadkowie Jehowy za często tu chodzą, bo Drawska z końca ulicy ostatnio wstąpiła w ich szeregi i uznali to za zachętę.

Każdy temat jest dobry. Inicjują spotkania integracyjne, zbierają podpisy pod różnymi petycjami do burmistrza. Dzięki nim mamy tu asfaltową drogę i progi zwalniające. Pamiętam, jak trzy lata temu wjechałem w dziurę w drodze, gdy jeszcze był tu żwir. Zniszczyłem sobie oponę. Nie jestem typem, który idzie z takimi rzeczami do władz miasta z roszczeniem o odszkodowanie, ale zanim odjechałem dalej, Jacek Korcz wybiegł z domu z telefonem.

– Czekaj, Dorek, to na tej pieprzonej dziurze poszła opona, nie?

Oczy prawie wyskakiwały mu z orbit, na brodzie miał odrobinę białego sera, którą po chwili przetarł dłonią.

– Ja im, kurwa, dam, ja im dam – odpowiedział i, zanim zdążyłem zareagować, zaczął robić zdjęcia.

Mając takich sąsiadów, można i nie można spać spokojnie. Wszystko zależy od tego, czy ma się coś na sumieniu. Teraz cieszę się, że zawsze pilnowałem, żeby nasze kłótnie nie wydostały się na zewnątrz.

Gdy wracałem do domu z marketu, zauważyłem policyjny radiowóz pod domem Korczów. Pewnie śledczy pytali ich, jakim byliśmy małżeństwem. Wyobrażam sobie teraz Jacka Korcza, który drapie się po piwnym brzuchu opiętym przez ulubioną koszulkę w szerokie poziome paski, wydyma wargi i mówi:

– Nie no, fajni ludzie. Spokojni, kulturalni, kochali przyrodę.

Policjantka niechętnie zapisuje jego słowa, zła, że wciąż nic na mnie nie ma. Dobrze wiem, że w takich sytuacjach głównym podejrzanym jest mąż.

– Dorian, wszystko w porządku? – głos Klary wyciąga mnie z zamyślenia.

– Nic nie jest w porządku – odpowiadam – moja żona zaginęła, mam na głowie policję i ludzi, którzy będą mi teraz patrzeć na ręce.

– Masz też mnie. Wiesz, że możesz na mnie liczyć. – Kładzie dłoń na moim ramieniu.

To mnie natychmiast studzi, choć już zacząłem się nakręcać.

– Dzięki, Klara.

Kuzynka dopija wino i zbiera się do wyjścia. Proponuję, że podwiozę ją do domu, ale odmawia. Chce się przejść. Zerkam na telefon, sprawdzam, czy głośność jest na odpowiednim poziomie. Dziś mają jeszcze do mnie zadzwonić i powiedzieć, czy krew na podłodze kwiaciarni należy do Heleny. Mówili, że powinni mieć tę informację do dwudziestej pierwszej. Została godzina. Na piętrze mamy małą siłownię, zawiesiłem tam worek treningowy. Wchodzę po schodach, ściągając po drodze bluzę. Po chwili uderzam już rękawicami w plawil, wyrzucam z siebie wspomnienia. Po paru minutach czuję pot na karku i endorfiny krążące po moim ciele. Ulegam temu kojącemu złudzeniu, tej bezpiecznej ułudzie, że wszystko jest tak, jak było bardzo dawno temu, kiedy byliśmy z Heleną szczęśliwi.

Rozdział 6

Sonia

Witam się z sąsiadką spod jedyńki i zaglądam do swojej przegródki w metalowej skrzynce na listy. Przez dziurki widzę jakąś kartkę. Szukam kluczyka w torebce. To pewnie zwykła ulotka, ale nie chcę, żeby przez cały tydzień przykuwała mój wzrok. Codziennie w dni robocze sprawdzam w ten sposób, czy nie przyszła do mnie poczta. Wcześniej nie miałam do tego głowy, ale teraz otwieram drzwiczki i widzę, że jest to znajoma papeteria, której krawędzie są ozdobione malowidłami białych kalii, rosnących jedna obok drugiej, w równym rzędzie. Grube łodygi, lejuwate kwiatostany. Ręce zaczynają mi się trząść.

Białe kalie to symbol Chloris, a tą papeterią, wykonaną na zamówienie, posługujemy się od lat, pisząc ważne notatki i przyczepiając je pinezkami do małej tablicy korkowej na zapleczu kwiaciarni. Helena nie lubi samoprzylepnych karteczek, dla niej nawet tak prozaiczna rzecz jak robocza notatka powinna wyglądać przyzwoicie. Początkowo śmiać mi się chciało z jej nadmiernej dbałości o szczegóły. Uważałam, że przesadza. Potem jednak zrozumiałam, że forma wyzwala treść i gdy jesteś staranna w najdrobniejszych kwestiach, wyzwalasz energię, która pomaga ci sprostać większym wyzwaniom.

Wyciągając tę kartkę ze skrzynki, czuję się tak, jakby stopy wrosły mi w szarą podłogę. Zostawiła mi wiadomość, nie na tablicy korkowej w kwiaciarni, tylko tutaj. Nigdy wcześniej tego nie robiła. Musiała być tu w weekend. W piątek opróżniłam przecież swoją przegródkę.

To jej pismo, rozpoznałem je natychmiast, drobne, rozpełzające się litery, ledwie czytelne. Nie pomyślałabym, że osoba, która tak pięknie układa kwiaty, może mieć tak szkaradny charakter pisma.

Przez dwanaście lat naszej znajomości nie zdołałam się do niego przyzwyczaić. Teraz też ledwie odczytuję słowa, które natychmiast burzą mi krew, przyspieszają oddech:

„TO NIE JA, TO ON, PAMIĘTASZ? PRZEPRASZAM CIĘ, SONIA, ZA WSZYSTKO”.

I nagle znowu jestem osiemnastolatką. Klęczę nad jej wonnym ciałem, na chłodnym, pokrytym drobnymi patyczkami poboczu drogi, z dłońmi ułożonymi na jej klatce piersiowej. Gdy to do mnie mówiła, jeszcze ich nie zabrałam.

Zapamiętałam, co wówczas powiedziała, ale nigdy z nią o tym nie rozmawiałam. Uznałam, że jej słowa były zwykłym majaczeniem rannej kobiety, czymś w rodzaju snu na jawie. Teraz widzę je znowu i pojmuję, że to musiało być ważne, tylko dlaczego? O kim to powiedziała? O Dorianie? Przecież nie było go wtedy w samochodzie, nie kazał jej zjechać z drogi, zresztą zawsze utrzymywała, że zasnęła wtedy za kierownicą. Dlaczego właściwie wspomniała tamten wypadek? Właśnie teraz, kiedy zniknęła.

Wchodzę po schodach na górę, ściskając kartkę w dłoni. Chyba powinnam poinformować o tym policję. Zrobię to jutro rano, teraz dochodzi już dwudziesta, śledczy są w domu, być może ktoś pojechał w okolice Zakopanego. Właściwie nie wiem, kto będzie zajmował się sprawą zniknięcia Heleny. Lokalna policja czy ktoś z tamtych rejonów. Chciałabym obudzić się jutro rano i odebrać telefon od przyjaciółki. Usłyszeć, że to nieporozumienie, wyjechała w góry, już wróciła, cała i zdrowa. Mam nadzieję, że nie stała się jej żadna krzywda.

Przekraczając próg domu, dostaję wiadomość od Dorianiana.

„To jej krew w kwaciarni. Właśnie to potwierdzili”.

Idę prosto do barku w dużym pokoju. Nalewam sobie wina do kieliszka. Nie rozstaję się z kartką od Heleny, traktuję ją jak uchwyt w autobusie, bez którego stracę równowagę. Chciała mi coś przekazać. Z reguły mimo wszystko pisze starannie, mam wrażenie, że napisała to w pośpiechu,

z duszą na ramieniu. Kogoś się bała albo przed kimś uciekała. Czy mogło jej chodzić o Doriana? Widzę teraz te jego tajemnicze, błękitne oczy, lekki uśmiech, który rzadko schodzi z jego twarzy. Przez wszystkich lubiany, zawsze pewny siebie, czy w domu pokazywał Helenie drugą twarz? Znowu wracam pamięcią do czasów, gdy ich poznałam. Teraz myślę o przeszłości inaczej. Wszędzie szukam potencjalnych punktów zapalnych, które mogły doprowadzić do dzisiejszej tragedii. Helena ma na ramieniu rozległą bliznę. Ślad po pożarze, w którym zginęli jej rodzice. Gdy miała osiemnaście lat, spłonął jej dom. Dorian wyniósł ją w ostatniej chwili z płonącego budynku. Byli już wtedy parą. Zakradał się do niej przez uchylone okno balkonowe w jej pokoju. Tamtej nocy zrobił to po raz ostatni, kiedy dom stał już w płomieniach.

Opowiedziała mi to, gdy jadłyśmy razem pierwszy obiad na zapleczu jej kwiaciarni. Powiedziała, że Dorian też ma drobne blizny na dłoniach, ślady po tamtej nocy.

„Żyję dzięki tobie i Dorianowi” – stwierdziła.

Potem dodała jeszcze, że do naszych domów prowadzi ta sama, długa droga z lasu, na której się spotkałyśmy i że to przeznaczenie, któremu powinnyśmy się poddać. Zrozumiałam wtedy, że stałam się dla niej kimś wyjątkowym.

Potem zapytała, czy nie chciałabym jej pomóc udekorować salę weselną w pięciogwiazdkowym hotelu Czarkowski we Wrocławiu. Ślub brała jakaś zamożna bizneswoman. Dobrze płaciła. Zgodziłam się.

W ten sposób rozpoczęła się moja praca dla Chloris. Dojechałam do tego hotelu sama, Helena już była na miejscu. Pamiętam ten moment, gdy weszłam na salę weselną i zobaczyłam ściankę z zielonych roślin rozciągającą się za stolikiem pary młodej. Wystawały z niej liście bukszpanu, paproci, bananowców. Nie mogłam oderwać od niej wzroku. Ta intensywna zieleń miała w sobie coś hipnotyzującego. Była jak głęboki wdech.

Zapytałam Helenę, czy będzie wpinać w to jakieś kwiaty, pokręciła głową, powiedziała, że pracowała nad tą ścianką dwa dni i właśnie skończyła. Kwiaty by wszystko zniszczyły.

– Piękno nie lubi nadmiaru – stwierdziła. – Wyłania się z harmonii, a nie z efektownych dodatków. One z reguły szpecą.

Niektóre liście były na tej ścianie sztuczne – głównie te egzotyczne, jednak Helena zaaranżowała wszystko tak, że nie dało się tego zauważyć.

Przystroiliśmy salę wyłącznie zielonymi roślinami. Z wysokich flakonów wypływały girlandy bluszczu, spod nakryć wystawały liście monstery. Świeczniki ozdobiłyśmy mchem, a do krzeseł przymocowałyśmy liście paproci związane w pęki. Zieleń ogarnęła całą salę, stworzyliśmy tam niepowtarzalny, leśny klimat. Pod koniec odwiedziła nas przyszła panna młoda. Chłoneła wszystko wzrokiem z malującym się na twarzy wzruszeniem. Powiedziała, że marzyła o wyjątkowym wystroju, ale nie spodziewała się czegoś tak unikatowego.

Teraz takie zielone aranżacje są w modzie, ale dwanaście lat temu to był szczyt ekstrawagancji. Udzieliły mi się emocje przyszłej panny młodej, ja też poczułam się wyjątkowo. Zrozumiałam, że chcę wprawiać ludzi w taki zachwyt, chcę im sprawiać przyjemność. Do tamtego momentu moje wysiłki nigdy nie były doceniane, szczególnie w domu. Pragnęłam to zmienić, utwierdzić się w przekonaniu, że jestem coś warta. Wracając z hotelu Czarkowski, byłam zmęczona, dumna i chciałam więcej.

Od tamtej pory odwiedzałam Chloris regularnie, stawałam obok Heleny za blatem, szykowałam jej taśmy, cięłam papier, drutowałam goździki, przyglądałam się temu, jak łączy różne gatunki kwiatów i traw, ona nie pracowała, tylko komponowała. Niedługo potem sama zaczęłam tworzyć kompozycje, głównie bukiety.

– Sonia jest dobra w bukietach – powiedziała kiedyś Helena do jakiejś klientki przez telefon. – Poproszę ją, żeby się tym zajęła.

Cały dzień chodziły za mną jej słowa. Byłam Sonią – dobrą w bukietach. Czasem, gdy zostawałam w Chloris sama, szczególnie rano, czułam się, jakbym przez kwiaty wyrażała siebie, do swoich prac przemyślałam własne przeżycia. Gdy pewnego dnia przygotowywałam bukiet dla dziewczyny kończącej osiemnaście lat, wróciłam pamięcią do swoich urodzin. Do uśmiechu na twarzy matki, który przecież widziałam tak rzadko. Do małego tortu, który upiekła dla mnie ciocia Marianna i do palących się na nim świeczek. Sięgnęłam wtedy po delikatne kwiaty kremowej eustomy, pomiędzy które wsunęłam miodowe róże, niczym płomień na jednolitym tle. Potem patrzyłam na uśmiech klientki odbierającej bukiet, czując, że łączy nas coś nieokreślonego, magnetycznego, co rozpoczęło się we mnie, a skończy się w chwili, gdy jubilatka otrzyma bukiet.

To była magia, której nie rozumiem do dziś. A jednocześnie uwielbiam, kiedy się pojawia.

Kwiaty mi się poddawały, w przeciwieństwie do ludzi. Nie mogłam zapanować nad psychiką matki, nie byłam w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb siostry, ale mogłam stworzyć kompozycję z białych tulipanów w szklanym łąbędziu, która zachwyci klientkę i będzie ozdabiać stół pary młodej podczas wesela jej córki. Czułam, że nareszcie tworzę wartość. W Chloris poznałam mnóstwo ludzi, którzy przywiązują wagę do piękna. Sama czułam, że z dnia na dzień pięknieję.

Myślę, że uzupełniałyśmy się z Heleną. Ja byłam otwarta i wygadana, ona milcząca, ale konkretna. Najmniej mówiła przy Dorianie. Po naszej rozmowie często przyglądałam się jego dłoniom. Obserwowałam te drobne ściemnienia pod przegubami, ślady po pożarze, w którym Helena straciła rodziców. Wyniósł ją z płonącego domu, wydawałoby się, że to powinno przypieczętować ich uczucie, ale tak nie było. Nigdy nie okazywali sobie czułości. Miałam wrażenie, że żyli bardziej obok siebie, aniżeli razem. Nie mogłam tego zrozumieć, odnaleźć konkretnej przyczyny tego stanu rzeczy. Być może nadaremnie szukałam. W końcu jest wiele małżeństw, które

trwają przy sobie bez wyraźnego powodu. A może coś mi ucieka? Może było coś, co wiązało ich bardziej niż miłość?

Aż ciarki mnie przechodzą, gdy podchodzę do tego w ten sposób. Za dużo myślisz, Sonia, ganię się w duchu. Dziś jednak chyba nie da się nie myśleć, szczególnie po tym, co chwilę temu przeczytałam na firmowej papeterii Chloris.

Dostaję kolejną wiadomość od Doriana:

„Jutro rano jadę do Zakopanego. Jeśli chcesz, możesz pojechać ze mną”.

„Chcę” – odpisuję natychmiast, a potem nalewam sobie drugi kieliszek wina.

Dorian informuje, że przyjedzie po mnie równo o dziewiątej. To jeszcze dwanaście godzin. Czas bezlitośnie się wydłuża.

Rozdział 7

Gdy rano wychodzę na dwór, od razu rozkładam przezroczystą parasolkę. Choć do auta Doriana mam kilkanaście metrów, bez niej się nie obędzie. Pada rześisty deszcz. Wczoraj świeciło słońce. Idąc do samochodu, myślę, że gdyby dziś aura była podobna do wczorajszej, przyszłość jawiłaby mi się w jaśniejszych barwach.

Mam lekko opuchnięte usta i naprężoną skórę na twarzy, jak zawsze po winie. Żałuję, że je wypiałam, ale czasem nie widzę innego sposobu na to, by poczuć ulgę, na chwilę zapomnieć o tym, co dzieje się wokół mnie. Ostatnio tak się czułam, gdy umarła Ela. Jakaś część mnie przeczuwa, że Helenie przydarzyło się coś złego. Jestem rozdarta między tym upiornym przeczuciem a wątłą nadzieją na inny obrót spraw.

Skąd jednak ta kartka? Do tej pory nie poinformowałam o niej policji. Dziś nie wydaje mi się to tak oczywiste jak wczoraj. Przez pół nocy zastanawiałam się, za co Helena mogła chcieć mnie przeprosić. Przez głowę przelatywały mi różne pomysły. Jednym z nich była pewna sfera działalności Chloris. Czasem Helena prosiła mnie, żebym nie wystawiała paragonów, szczególnie za okazałe dekoracje kwiatowe. Mówiła: „Kobieta, która przyjdzie po odbiór tego zamówienia, nie potrzebuje żadnej faktury ani niczego. Po prostu jej to daj”.

Nie lubiłam omijać prawa i Helena dobrze o tym wiedziała. Robiłam to na jej prośbę, za każdym razem czując, jak serce przyspiesza swój rytm. Raz się nadziałam. Po odbiór dużego łapacza snów z kalii i róż przyszedł mąż kobiety, która zrobiła zamówienie u Heleny. Wręczyłam mu kompozycję i uśmiechnęłam się.

– A paragon? – zapytał z niechęcią w głosie, mierząc mnie z dołu do góry, jakbym była złodziejką.

– Jasne – odpowiedziałam, pobiegłam do kasy i drżącą ręką nabiłam siedemset dwadzieścia złotych.

Helena mówiła później, że niepotrzebnie to zrobiłam, że mężczyzna nie wiedział o jej umowie z klientką. Mogłam mu to wytłumaczyć.

– Sama im to tłumacz – odpowiedziałam. Przez resztę dnia nie odzywaliśmy się do siebie.

To było tydzień temu. Pierwszy raz od dłuższego czasu o coś się spięłyśmy. Może to utkwilo w głowie Heleny i dlatego postanowiła mnie przeprosić?

Jeśli pokażę tę kartkę policji, na pewno usłyszę pytanie: „Za co Helena panią przeprosiła?”. Wolałabym nie odpowiadać.

Dorian czeka na mnie w tym samym pick-upie, którym przyjechał pod moją szkołę dwanaście lat temu. Jego karoseria jest ciemna, z drobnymi zadrapaniami po bokach. Jeździ tym samochodem na rajdy, przemierza nim największe bagna i rwące strumyki, w zimie zakłada łańcuchy na opony i bez wahania unosi się i opada na górskich wybojach.

– Mówiłaś Łukaszowi, że Helena zniknęła? – pyta po tym, jak wsiadam do samochodu.

– Jeszcze nie.

Łukasz to mój były facet. Rozstaliśmy się miesiąc temu po trzech latach burzliwego związku.

– Może coś by nam podpowiedział – mówi Dorian, ruszając z miejsca.

Nie patrzy na mnie, tylko przed siebie. Jego ogolone policzki delikatnie błyszczą, włosy ma mokrawe, być może od deszczu, ale bardziej stawiałabym na to, że jeszcze nie wyschły po porannym prysznicu. Choć ma czterdzieści lat, nie widać tego po nim. Zawsze twierdziłam, że to przez zdrowy tryb życia, ale Helena mówiła, że ma dobre geny.

– Mogę do niego zadzwonić – mówię, próbując ukryć niechęć w głosie.

Łukasz jest byłym policjantem, obecnie pracuje jako prywatny detektyw. Być może powinnam się z nim skontaktować i opowiedzieć o tym, co się

stało, ale nasza relacja od czasu rozstania bardzo się zmieniła. Niby pozostaliśmy w dobrych stosunkach, ale czas rozłąki zrobił swoje. Zdystansowałam się od niego i nie wiem, jak powinnam się teraz do niego odnosić. Jest jakby obcym mężczyzną, z którym kiedyś sypiałam.

– Ja też mogę to zrobić – odpowiada Dorian – może nawet tak będzie lepiej?

Choć próbowałam to ukryć, najwyraźniej zrozumiał, że ten telefon byłby dla mnie trudny. Nic nie odpowiadam, tylko patrzę przez szybę na tonące w deszczu miasto. Dochodzi dziewiąta rano. Świat, choć nie chce, musi obudzić się do życia.

– Helena zostawiła mi wiadomość w skrzynce pocztowej – mówię, wpatrując się w Dorianą.

Nie wiem, czego teraz szukam na jego opalanej twarzy. Przebłysku niepokoju? Zniecierpliwienia? Chcę sprawdzić, jak zareaguje na tę informację. Gdzieś w dalekich zakamarkach umysłu rozważam, czy mógł mieć związek z jej zniknięciem. Oczywiście nic za tym nie przemawia, poza tym ma mocne alibi. Łapię się jednak na tym, że chcę go sprawdzić, a raczej wyeliminować z kręgu podejrzanych, dla spokoju ducha.

– Jaką wiadomość? – Posyła mi szczerze zaciekawione spojrzenie, a potem wraca nim na drogę.

Poprawiam się na fotelu i odpowiadam:

– Napisała mi coś na firmowej papeterii Chloris.

– Ale co? – dopytuje i jednocześnie dociska pedał gazu.

Nabieramy prędkości, powoli opuszczamy miasto. Za jakieś dziesięć minut wjedziemy na autostradę.

Wyciągam kartkę z kieszeni torby i czytam, kątem oka widząc, jak Dorian kręci głową, patrząc to na mnie, to przed siebie.

– „To nie ja, to on, pamiętasz? Przepraszam cię, Sonia, za wszystko”.

Głos mi się łamie przy „on”, ale mimo wszystko dokańczam. Dopiero teraz, gdy wyczytuję to wszystko przy Dorianie, pojmuję, jak bardzo

prawdopodobne jest to, że chodziło jej o męża. On jednak mówi coś, co mnie zaskakuje:

– Często wypowiadała takie słowa przez sen.

– Te, które przeczytałam?

Kiwa głową.

– „Przepraszam cię, Sonia”? – dopytuję z niedowierzaniem w głosie.

– Nie. – Uśmiecha się lekko. – „To nie ja, to on”, jakby się przed kimś tłumaczyła.

– O kogo mogło jej chodzić? – drążę.

– Na pewno nie o mnie – broni się, potrząsając głową. – Mnie w jej życiu prawie nie ma.

– To dlaczego właściwie jesteście razem?

Jeszcze nigdy nie pytałam o to ani jej, ani jego wprost, ale dziś nie mam sił na konwenanse.

Wzrusza ramionami.

– Przyzwyczaiła się do mojego domu.

– Dorian, daj spokój, co to za powód?

– Podczas pożaru straciła swój, niemal natychmiast zamieszkała ze mną i z moim ojcem. Pieniądze z odszkodowania zainwestowała w kwiaciarnię. Nie chciała odbudowywać własnego domu, sprzedała deweloperowi to, co po nim zostało. Miała dzięki temu zapas pieniędzy. Żyła bez stresu. Zawsze było ją stać na wszystko. Gdy umarł mój ojciec, wynajęła architekta wnętrz i wszystko zmieniła, pod siebie. Dlaczego miałyby z tego rezygnować? Kochała ogród, dobrze żyła z sąsiadami. To taki typ, który nie lubi zmian. Miała ułożone życie i nie chciała żadnych turbulencji. Dlatego zresztą nie mieliśmy dzieci.

– Mówiła, że nie chcieliście.

– Ona nie chciała.

Przed autostradą Dorian raptownie skręca w prawo, na stację benzynową. Tankuje i idzie zapłacić. Wraca do samochodu z dwoma

tekturowymi kubkami. Jeden wręcza mi.

Gdy wracamy na drogę, zapada cisza, w której słyhać tylko szum autostrady i skrzypienie starych wycieraczek. Obydwoje uciekamy gdzieś myślami. Kawa sprawia, że umysł pracuje mi szybko, przetasowuję w głowie wspomnienia. Coraz bardziej oswajam się z widokiem, który zastałam wczoraj w kwiaciarni. Teraz analizuję, czy Helena mogła pokłócić się z którymś z klientów, choć wydaje się to mało prawdopodobne. Nawet gdy przyjeżdża wcześniej rano do kwiaciarni, to pilnuje, żeby drzwi były zamknięte. Ktoś jednak mógł zapukać w witrynę, tak jak wczoraj zrobił to ten facet. Być może wpuściła go do środka, a on...

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że do tego doszło. – Dorian wyrywa mnie z rozmyślań.

Wydaje się być skupiony na sobie, powiedział to bardziej przy mnie, aniżeli do mnie.

– Przecież możliwe, że wróci, znajdziemy ją.

Prostuje się w fotelu, jakby się ocknął.

– Po prostu to wszystko nie wygląda dobrze – mówi z żalem w głosie.

– Jeszcze nigdy nie byłam w takiej sytuacji. Wczoraj w kwiaciarni przez chwilę miałam takie uczucie, jakby chwilę wcześniej kogoś tam... – nie kończę, tylko biorę głęboki wdech. – Tej krwi nie było dużo, ale jednak patrzenie na nią mnie dezorientowało. Nie wiedziałam, jak się zachować.

– Przecież uratowałaś kiedyś Helenie życie. Byłaś dużo młodsza. Mam wrażenie, że ty od zawsze wiesz, jak się zachować – odpowiada.

– Wtedy to było co innego. Sprawa wyglądała na ewidentną. Miała wypadek, trzeba było jej pomóc. A tu nie wiedziałam, co się stało. Wciąż tego nie wiem. Może gdyby była bardziej otwarta, coś by mi się nasunęło. Ciężko było ją rozgryźć. Zawsze zachowywała się tak, jakby miała jakieś tajemnice.

– Bo miała tajemnice, całe mnóstwo. Nie lubiła się nimi dzielić. Czasem odnosiłem wrażenie, że ją wzmacniały, dzięki nim miała więcej energii.

Cieężko to wytłumaczyć. – Przymyka na chwilę oczy.

Dopiero teraz widzę, że jest zmęczony. Pewnie spał tej nocy jeszcze gorzej niż ja. Wystarczy, że mężczyzna ogoli rano policzki i od razu wygląda rześko. Kobiety pod tym względem mają dużo gorzej.

– Zapytałeś ją kiedyś o to senne majaczenie?

– „To nie ja, to on”?

– No.

– Kilkukrotnie. Zawsze odpowiadała, że nie pamięta.

Kłamała, myślę. W innym razie nie napisałaby mi tego na kartce.

– Powiedziała mi to też zaraz po tym wypadku sprzed lat, jeszcze przy rozbitym samochodzie.

– Naprawdę? – dziwi się.

– Tak. To były jej pierwsze słowa, po tym jak otworzyła oczy. Powiedziała: „To nie ja. To on”. Ona prowadziła pamiętnik, Dorian. Widziałam parę razy, jak coś w nim pisała, nawet w kwiaciarni.

– Kiedy widziałaś?

– Całkiem niedawno.

– Myślałem, że przestała w nim pisać. – Wydaje się zaskoczony moimi słowami. – Chodziła kiedyś na terapię, psycholog jej doradził, żeby spisała wspomnienia. Nie widziałem jednak tego zeszytu od lat, chyba zresztą go przede mną ukrywała. Nie mam pojęcia, gdzie jest.

– Wiem, że prowadziła go bardzo skrupulatnie, bo kiedyś nawet opowiedziała mi o tym.

– Czytałaś ten pamiętnik? – pyta z niedowierzaniem w głosie.

– Nie. Nawet nie miałam go w rękach. Kiedyś po prostu ją o niego zapytałam, ale nie wiem, gdzie może być. Poszukaj go, Dorian. To może pomóc w ustaleniu, co się stało.

Znowu myślę o ciemniejszej stronie działalności Chloris. Kiedyś w ostatniej szufladzie komody znalazłam kopertę wypchaną pieniędzmi. Wiem, że trwały jakieś negocjacje z urzędnikami, związane z budynkiem

kwiaciarni, który należał do miasta. Potem sprawa jakby ucichła, a koperta zniknęła.

– Chyba bałbym się oddać go policji. – Przełyka ślinę.

– Dlaczego? – pytam.

Chcę poznać jego obawy. Dowiedzieć się, czy są zgodne z moimi.

– Przecież wiesz, że nie wszystko było u niej idealne.

– Chodzi ci o Chloris?

Spogląda na mnie z zaskoczeniem w oczach, jakby nie to miał na myśli.

Odpowiada jednak:

– Tak, o Chloris.

Potem włącza nowoczesne radio niepasujące do wysłużonego, przetartego kokpitu. Kabinę wypełnia głos spikera, który mówi, że w tak pochmurny dzień najlepiej pozostać w domu i otulić się dźwiękami dobrej muzyki.

Rozdział 8

Dorian

To naprawdę nasze auto – myślę, wpatrując się w srebrne BMW stojące na parkingu przed Doliną Pięciu Stawów. Co prawda, byłem na to przygotowany, wiedziałem, że je tu zastanę, jednak teraz nie wierzę własnym oczom. Chwilę temu przestało padać. Przyjechaliśmy tu za radiowozem zakopiańskiej policji, wprost z tamtejszego komisariatu. Krzepki, brodaty funkcjonariusz mówi, że poszukiwania zostaną wznowione po południu. Po intensywnych opadach deszczu wciąż jest bardzo niebezpiecznie i ratownicy TOPR-u musieli wstrzymać akcję poszukiwawczą.

Sonia patrzy na auto z rękami w kieszeniach cienkiej kurtki. Lekko kołysze się do przodu i do tyłu, jakby nie dowierzała, że to samochód Heleny. Ten widok jest jak przypieczone łosy. Faktycznie zostawiła tu auto i poszła w góry, już z nich nie wracając.

– W schronisku podczas meldunku była sama – mówi komisarz Wawrytko. – W góry też poszła sama, nikt jej nie towarzyszył.

– Jak już mówiłem na komendzie, lubiła samotne wędrówki – odpowiadam.

Najpierw przesłuchiwali mnie, a gdy dowiedzieli się, że Sonia jest najlepszą przyjaciółką Heleny, ją też zaprosili do pokoju przesłuchań. Nie wiem, o co ją pytali, podczas drogi z komisariatu na ten parking powstało między nami dziwne napięcie i ciężko mi było zagaić na ten temat. Wyglądała na zmęczoną. Ja zresztą czuję się podobnie.

– Nie wygląda pan na szczególnie przejętego zniknięciem żony – mówi funkcjonariusz, wyglądając jednocześnie gęste, siwe włosy.

Bije od niego góralska szczerłość. Co w głowie, to i na języku.

– Mam płakać? To by pana usatysfakcjonowało? – odgryzam się.

Sonia odruchowo kładzie mi dłoń na ramieniu i prawie niezauważalnie kręci głową.

Policjant posyła mi blady uśmiech, po czym obchodzi samochód, zaglądając do jego wnętrza przez szyby.

– Auto zaraz zostanie odholowane na policyjny parking. Jeśli żona nie odnajdzie się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, nasi technicy się nim zajmą. Musimy ustalić, co dokładnie się stało. Mam jednak nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

Pewność, z jaką wypowiada ostatnie słowa, jest zadziwiająca. Nie ma z nią kontaktu od doby, a on wierzy, że wszystko dobrze się skończy. Policja stąd musiała porozumieć się z oławskim komisariatem. Być może właśnie dlatego tak szybko zaangażowali się w tę sprawę. Nie wiem, czy przy zaginięciu każdej osoby w górach od razu pracuje policja, a nie tylko TOPR. Zastanawiam się, jakie przemyślenia musieli przekazać Wawrytce oławscy policjanci. Czy było to coś związanego ze mną?

Policjant żegna się z nami obietnicą, że gdy tylko czegoś się dowie, da nam znać i prosi nas o to samo.

– Bardzo dziękujemy – mówi Sonia, a ja posyłam mu tylko wyzywające spojrzenie.

Sonia spogląda na zegarek. Oczy ma przekrwione, chyba nie jest w najlepszej kondycji. Trudno jej się dziwić.

– Może prześpimy się w schronisku, w którym zameldowała się Helena? – proponuje.

– Tak, myślę, że nawet powinniśmy.

– Spakowałam sobie rzeczy na parę dni. Mam nadzieję, że będzie tak, jak powiedział ten policjant – mówi, wsuwając na ramiona plecak.

Robię to samo ze swoim. Też wziąłem kilka ciuchów na zmianę, bo przecież nie wiem, jak to wszystko się rozwinie.

Ruszamy przed siebie brukową kostką. Początek trasy pokrywa się ze szlakiem na Morskie Oko. Wokół nas zbiera się coraz więcej turystów. Po paru minutach zaczepia mnie nastoletnia blondynka i pyta, czy zrobię jej i jej chłopakowi zdjęcie. Mają na sobie identyczne, niebieskie bluzy z napisem: DREAM, PLAN, DO. Otóż to, myślę, fotografując ich roześmiane twarze.

Powietrze jest rześkie, czuć w nim podeszczową świeżość. Po kilkunastu minutach marszu robi mi się gorąco. Ściągam polar, Sonia też zdejmuje wiatrówkę i przewiązuje się nią w pasie. Mało rozmawiamy podczas drogi, wszystko wydaje się za ciężkie, za trudne.

Budynek schroniska przypomina wielką góralską chatę. Dobrze ją znam. Byłem tu już kilka razy. Kiedy do niego dochodzimy, oboje jesteśmy już głodni. Zaraz wciągnę w siebie coś ciepłego. Puszczam Sonię w drzwiach i wchodzę za nią do wyłożonego drewnem wnętrza. Czuję lekki zawrót głowy, gdy przystaję przed ladą recepcji. Mimowolnie rozglądam się w poszukiwaniu Heleny. To irracjonalne. Dobrze wiem, że jej tu nie zastanę. Mimo wszystko świadomość, że tu była, jest jak kamień przewalający mi się po głowie. Sonia zbladła, robi to samo co ja, patrzy na boki, a jej wargi układają się w cienką linię.

Przedstawiam się starszej kobiecie dyżurującej w recepcji. Mówię, że jestem mężem tej turystki, która nie wróciła z gór. Rozpoznaję nawet po głosie, że to chyba z tą kobietą rozmawiałem wczoraj przez telefon.

– Ach tak – mówi, masując się po czole. – Bardzo współczuję.

– Czy moglibyśmy zobaczyć jej pokój? – pyta Sonia. – Może coś się nam nasunie, wpadniemy na jakiś trop?

– Dałabym wam klucze, ale niestety, nie mogę. Ten nowy komisarz z Zakopanego, jak on tam ma? – Patrzy na nas pytająco, jakby prosiła o małą podpowiedź.

– Wawrytko – mówi Sonia.

– Tak, właśnie on, był tu i zabronił wstępu komukolwiek ze względu na procedury.

– Nawet mąż nie może wejść? – dopytuje Sonia.

– Mogę zadzwonić i dopytać – mówi kobieta.

– Nie, proszę tego nie robić – wtrącam się. – Zdajmy się na policję.

Nie chcę jeszcze bardziej przyciągać ich uwagi.

Ze względu na opady deszczu dużo osób zrezygnowało dziś z wyjścia w góry, przedłużyli pobyt o kolejną dobę, przez co w schronisku został tylko jeden wolny pokój. Musimy się na niego zdecydować, nie mamy wyjścia. Sonia jest zmęczona, tak samo jak ja. Niekoniecznie wędrówką z parkingu, ale zapewne bezsenną nocą. Oboje chcemy już odpocząć.

Po tym, jak dostajemy klucze, idziemy do baru. Zamawiam steka, Sonia bierze jakąś zieleninę, z której wystają mizerne kawałki kurczaka. Jemy w ciszy, skupiając się na swoich przemyśleniach. Potem idziemy na górę. Na szczęście w pokoju są dwa osobne łóżka. Pierwszy raz jestem z Sonią w takiej intymnej sytuacji. Przed nami wspólna noc, a jutro dalszy ciąg tej gehenny.

Rozdział 9

Sonia

Widzę Helenę. Stoi przy czymś na kształt mównicy, pośrodku skąpanego w bieli pomieszczenia. Ma rozpuszczone włosy, wzrok utkwiała gdzieś nisko, jej dłonie co chwilę unoszą się na wysokość głowy, potem opadają. Chyba przewleka przez coś taśmę. Tworzy kompozycję kwiatową. Nie widzę dokładnie, nad czym pracuje, utrudnia mi to czarna osłona przytwierdzona do blatu. Podchodzę bliżej. Helena nie zwraca na mnie uwagi. Wszystkie jej ruchy są płynne, pracuje w wielkim skupieniu. W końcu stoję tuż obok niej, wyczuwam nikłą, słodko-kwaśną woń potu. Zdarzało jej się tak pachnąć, szczególnie wieczorami, po pokazach. Ta woń przebijała się przez aromat różanego dezodorantu, który stosowała od lat.

Widzę łapacz snów. Ten, który kosztował ponad siedemset złotych. Na górze pąki róż, upchnięte ciasno, jeden obok drugiego, tworzące kulisty kształt, niżej łodygi kalii z kwiatostanami skierowanymi do dołu, niczym białe ogony. W pewnym momencie Helena mocno czymś rani dłoń, krew spływa po jej ręce i zaczyna kapać na kalie.

– Będą wyrazistsze – mówi. – Na pewno mu się spodobają.

– Komu?

– Nie wiesz? – pyta nienawistnym tonem, jakby zarzucała mi kłamstwo.

– Nie wiem.

Krwi jest coraz więcej. Łapacz snów zaczyna w niej tonąć. Helena znika, a ja, nie wiedzieć czemu, próbuję uratować jej dzieło. Unoszę je zrozpaczona, wykrzykuję imię przyjaciółki, nagle orientuję się, że jestem w naszej kwiaciarni. Podchodzi do mnie jakiś facet. Jest wysoki, twarz ma pokrytą sinymi bruzdami. Próbuje mi wyrwać łapacz snów. Siłuję się z nim, czując coraz większy strach.

W końcu budzę się ze snu, a raczej słyszę krótki wysoki dźwięk płynący z mojego telefonu. Otwieram oczy, jest jeszcze ciemno. Po pokoju lata jakaś mucha. Jej jednostajne bzyczenie z każdą chwilą staje się coraz bardziej męczące. Dorian śpi na swoim łóżku, odwrócony do mnie plecami.

Sięgam po telefon. Dochodzi trzecia w nocy. Dostałam wiadomość od obcego numeru.

„Ta sprawa dotyczy też ciebie”.

Odrywam głowę od poduszki i gwałtownie siadam na łóżku, jakbym dotknęła rozżarzonego węgla.

– Co? – pytam na głos, przecierając oczy.

– Co się dzieje? – słyszę za sobą zaspany głos Doriana.

– Dostałam wiadomość od obcego numeru.

Sprężyny skrzypią, Dorian podchodzi bliżej. Dziwnie się czuję, gdy siada obok mnie na łóżku. Ma na sobie tylko krótkie spodenki. Kiedyś Helena powiedziała mi, że Dorian od lat sypia w nocy nago.

Pokazuję mu telefon. Przez chwilę milczy, zatapiając zaspany wzrok w wyświetlaczu.

– Masakra. – Przykłada dłoń do czoła. – Kto mógł to napisać?

– Nie mam pojęcia – głos mi się łamie, gdy odpowiadam.

Taki esemes otrzymany w środku nocy wywołuje najgorsze przeczucia, łącznie z tym, że moje życie jest zagrożone.

– Z drugiej strony to może być jakaś pomyłka. Nie wiadomo, co to za sprawa – mówi.

– Dorian – wypowiadam jego imię z nutą pretensji w głosie.

Rozumie, że nie jestem w stanie wziąć takiej opcji pod uwagę. Nic już nie dodaje.

– O co w tym wszystkim chodzi? – Spoglądam na niego pytająco.

Wzrusza tylko skulonymi ramionami. Na co dzień wydaje się silny, pewny siebie, ale teraz wygląda bezradnie, być może przez to, że

wyrwałam go ze snu. Wzrok ma wbity w ziemię, jest zagubiony, tak samo jak ja.

– Chcę ci zadać pytanie, które męczy mnie od samego rana – mówię – obiecaj mi, że odpowiesz uczciwie.

Przymyka oczy i zaczyna masować się po skroniach.

– Mów – rzuca takim tonem, jakby jednak nie chciał, żebym to robiła.

– Czy...

Głos grzęźnie mi w gardle, które nieoczekiwanie zaczyna mnie lekko drapać, jakby pragnęło zatrzymać moje słowa w środku, nie wypuszczać ich na zewnątrz. Walczę ze sobą. Wiem, że muszę to zrobić. Wyrzucić to z siebie, uwolnić się od dręczących wątpliwości.

– Czy ty wiesz, gdzie jest Helena?

Wypowiadam te słowa szybko. Niemal nachodzą jedno na drugie, są niewyraźne, jak nierówny szereg dźwięków. Imię przyjaciółki mówię prawie bezgłośnie, nadaję ton tylko pierwszej sylabie.

– Sonia, nie załamuj mnie!

W jego reakcji jest tyle szczerości, że momentalnie się uspokajam. Wypuszczam głośno powietrze, odruchowo kładę głowę na jego ramieniu. Wtedy dzieje się coś dziwnego. Dorian odwraca się do mnie przodem i przytulamy się, niedługo, trwa to może parę sekund. To czysty przyjacielski gest, ale czuję się trochę nieswojo, bo jest środek nocy, a on nie ma na sobie koszulki. Odsuwam się raptownie.

– Przepraszam – mówię.

– Nie, to moja wina – odpowiada i kaszle nerwowo.

– Wracam. – Wskazuje palcem swoje łóżko, po czym podnosi się z mojego materaca.

Ja też na powrót kładę się na swoim i przykrywam kołdrą. Oczy mam jednak szeroko otwarte. Patrzą na srebrną klamkę od drzwi i myślę, że chciałabym stąd uciec. Jeszcze dwa dni temu o tej porze przewracałam się z boku na bok w swoim wygodnym łóżku, a teraz spędzam noc z Dorianem

w jednym pokoju, a w moim telefonie jest wiadomość, która podpowiada, że „ta sprawa dotyczy też mnie”. To była moja najlepsza przyjaciółka. Zamykam oczy, zaciskam powieki, jakbym chciała się za nimi schować. A przecież wiem, że to nic nie da. Nie zasnę już do rana.

Rozdział 10

Śpię i nie śpię, unoszę się gdzieś pomiędzy. Wciąż widzę tamtego esemesa, jednocześnie słysząc bzyczenie muchy latającej nad moją głową. Potem dociera do mnie dźwięk suwaka – gwałtowne szarpnięcie, które wyrywa mnie na dobre z dziwnej, sennej otchłani.

Otwieram oczy. W pokoju jest już jasno, okno wypełnia zachmurzone niebo, ale szyba jest sucha. Nie pada. Dorian klęczy przy swoim plecaku, jest ubrany w jeansy i czarną bluzę, włosy ma mokre. Musiał wziąć prysznic. Chowa do bocznej kieszeni jakiś brulion z niebieską okładką. Drzwi od pokoju są uchylone, najwyraźniej skądś wrócił.

– Co robisz? – pytam zachrypniętym głosem, czując, jak coś przelewa mi się w głowie.

W oczy wbijają się setki igiełek. Wszystko przez brak snu.

Odrzuca dłonie od plecaka, jakby go poparzył, po czym spogląda na mnie ze zdziwieniem.

– Nic – próbuje brzmieć spokojnie – zaskoczyłaś mnie, Jezu.

Masuje się między brwiami.

– Muszę się napić jakiejś kawy. Nie spałem najlepiej – dodaje.

– Ja też.

Wciąż przyglądam się niebieskiej okładce brulionu wystającej z jego plecaka. Mam wrażenie, że podobnie wyglądał pamiętnik Heleny.

– Co to za zeszyt? – pytam.

– Jaki zeszyt?

– Ten, który wystaje ci z plecaka.

– A to nic, pierdoła. Wziąłem go przez przypadek. Właśnie mi wypadł.

Mam ochotę wyciągnąć do niego dłoń, zażądać, żeby mi go pokazał, ale nie chcę do końca niszczyć naszej relacji, pokazywać mu, że nie mam do niego zaufania. W nocy zapytałam go, czy wie, gdzie jest Helena. To

musiało być dla niego bolesne. Potem mnie przytulił, jakby chciał upewnić się, że ma we mnie sojuszniczkę. Chcę nią być, ale ciężko nie być podejrzliwą w obliczu tak potwornej sytuacji.

Podpieram obolałą głowę dłonią i patrzę, jak zapina do końca kieszeń plecaka, na siłę wciskając zeszyt głębiej. Ledwie się w niej mieści.

– Brałeś prysznic? – pytam, próbując tak naprawdę wybadać, gdzie był.

W mojej głowie zdążył już urodzić się pomysł, że włamał się do pokoju Heleny i zabrał stamtąd pamiętnik. To chore, wszystko przez brak snu.

– Tak, to było mi naprawdę potrzebne. Czuję się tak, jakbym pił całą noc.

– Rzadko pijesz.

– W przeciwieństwie do Heleny – mruczy pod nosem.

– Ona często piła? – pytam z niedowierzaniem.

– Prawie codziennie, nie zauważyłaś? Wiecznie była na kacu. Przez jej przełyk przelewały się hektolitry wina.

Odkłada plecak na już zaścielone łóżko, jednocześnie wstając z cichym westchnieniem.

– Nie wiedziałam. To znaczy, czasem wychodziłyśmy na wino, ale piła raczej normalnie. Nigdy nie zataczała się w drodze powrotnej, jeśli to masz na myśli.

– Czasem zataczała się w drodze do sypialni. To mam na myśli.

Czuję jego rozczarowanie, może niechęć. Rozumiem, o co mu chodzi. Piła przede wszystkim w domu. Do tego ciężko mi się odnieść.

– Może miała jakieś problemy? – Drapię się po policzku. – Czasem miałam wrażenie, że coś ją męczy. Szkoda, że więcej nie rozmawialiśmy. Bywała bardzo tajemnicza.

– Wobec mnie też tak się zachowywała. Ona po prostu nie lubiła opowiadać o sobie.

Dorian podłącza telefon do ładowarki. Odnoszę wrażenie, że miał inny smartfon, czarny, podczas gdy ten jest srebrny i chyba trochę mniejszy.

– Masz nowy telefon?

– Co? – Marszczy brwi, przyglądając się smartfonowi. – Nie, stary. Mam go od dwóch lat.

– Myślałam, że twój był czarny. Chyba nawet wczoraj w samochodzie miałeś inny.

– Mam dwa telefony, Sonia – tłumaczy cierpliwie.

– Dwa?

– Jeden służbowy, z pracy, a drugi prywatny.

– Po co nauczycielowi służbowy telefon?

– Dostałem go z klubu judo. – Rozkłada ręce. – Wiesz, że trenuję dzieciaki. Pomyśl sobie, że stu rodziców tarabani ci od czasu do czasu na prywatną komórkę. Uwierz mi, można oszaleć. Wziąłem go przez przypadek tak jak ten zeszyt, w którym zapisuję zamówienia na nowe kimona. Z tym plecakiem chodzę na treningi z dziećmi. Została tam komórka i brulion. Ot, cała tajemnica. Czujesz się spokojniejsza?

Kładzie ręce na biodrach i patrzy na mnie z urazą.

– Tak, przepraszam.

Wstaję z łóżka, walcząc z bólem głowy.

– Chyba nikt z nas nie myśli ostatnio sensownie – dodaję jeszcze bardziej pojednawczo.

– Nie zrobiłem żadnej krzywdy Helenie, przecież wiesz.

– Jasne, że wiem. – Sięgam po swój telefon i znowu czytam tę cholerną wiadomość.

Na jej widok robi mi się niedobrze, zupełnie tak jak przedwczoraj, gdy zobaczyłam pomazany krwią nóż Heleny.

– Muszę ustalić, kto wysłał mi tę wiadomość w nocy – mówię to, co należy, choć w głębi duszy boję się jej nadawcy. Mam wrażenie, że ta osoba stoi za zniknięciem Heleny.

– Tak, to ważne – odpowiada Dorian.

– Chyba wyślę ten numer komisarzowi Wawrytko.

– Nie lepiej Walewskiej? – podpowiada.

Domyślam się, dlaczego nie chce mieć do czynienia z Wawrytką. Facet ewidentnie czuje, że między Heleną a Dorianem nie układało się najlepiej. Wczoraj na komisariacie zadawał mi tendencyjne pytania w stylu: „Czy się kłócili?”, „Czy Helena doświadczała przemocy ze strony męża?”. Właściwie przez cały czas drążyliśmy ten temat. Wawrytko szukał u mnie potwierdzenia tego, co pomyślał na temat Doriana, gdy tylko go zobaczył. Byłam przez to lekko rozbita, wracając z komisariatu. Nie chciałam opowiadać Dorianowi o przebiegu przesłuchania, żeby go nie dobijać. Z drugiej strony pytania doświadczonego policjanta siłą rzeczy zasiały we mnie ziarno wątpliwości. „Dlaczego wybrała się sama na tę wyprawę?” – dopytywał. „Obsługa schroniska twierdziła, że wyglądała na przestraszoną”.

To piękna kobieta. Jestem pewna, że przykuła uwagę ludzi, których tu spotkała. Koło jej jasnych, pofalowanych włosów ciężko było przejść obojętnie. Sęk w tym, że całe życie wyglądała tak, jakby czegoś się bała. W jej pięknych oczach mieszkał strach i było mu tam bardzo wygodnie.

– Wszystko jedno komu – odpowiadam. – Ważne, żeby namierzyli tę osobę.

Kiwa głową na znak zgody. Potem idę do łazienki i też biorę prysznic, z nadzieją, że mnie trochę rozbudzi. Pomagają mi dopiero kawa wypita na dole i skromne śniadanie zamówione w barze. Podczas posiłku rozważamy, czy nie wybrać się na szlak, którym podążała Helena, poszukać jej na własną rękę. Zanim podejmujemy decyzję, Dorian odbiera telefon od TOPR-u. Znaleźli ją w niewielkim kanionie między skałami przy wąskim przejściu. Najpewniej stoczyła się ze stromej, silnie poszarpanej grani. Jest w stanie krytycznym.

Rozdział 11

Dorian

Mamy jechać do szpitala w Zakopanem. Wracamy na parking w milczeniu. Droga jest mokra. Sonia prawie się wywraca na śliskich kamieniach, udaje mi się ją złapać w ostatniej chwili.

– Nawet jeśli ktoś ją skrzywdził, to raczej nie da się tego udowodnić – mówi nieoczekiwanie. – Wszyscy będą myśleli, że sama spadła.

– Najważniejsze, żeby przeżyła – odpowiadam, choć wiadomość, że jest w stanie krytycznym, nie wróży niczego dobrego.

Nie ma z nią kontaktu, jest nieprzytomna. Nie wiadomo, kiedy i czy w ogóle się obudzi. Nie miała przy sobie plecaka ani żadnych dokumentów. Tylko czarną kurtkę, z opisu przypominającej tę, którą kojarzę z domu.

Boję się ją zobaczyć. Ponoć straciła dużo krwi. Jej twarz i ciało są pokaleczone.

Sonia jest blada jak płótno, mam wrażenie, że zaraz zemdleje. W pewnej chwili widzę, jak ociera łzy. Jestem przerażony tym, co się wydarzyło. Droga powrotna zajmuje nam parę minut krócej niż ta do schroniska. Na czole Soni perlą się kropelki potu. Ja zaś czuję, że mam mokrą koszulkę pod plecakiem.

Kiedy wsiadamy do samochodu, od razu otwieramy szyby. W aucie jest duszno albo to my tak się zgrzaliśmy pieszą wędrówką. Teraz najważniejsze jest to, żeby jak najszybciej dostać się do szpitala.

– Ktoś musiał ją zepchnąć – mówi Sonia i są to jej pierwsze słowa od momentu, gdy powiedziała, że wszyscy będą myśleli, że sama spadła, a to było już jakiś czas temu.

Widać, że ciągle ją to męczy, że analizuje, co się wydarzyło. Nic nie mówię, tylko włączam silnik. Ona kontynuuje rozedrganym głosem:

– Pomyśl, najpierw ta krew w kwiaciarni. – Unosi ręce, zdaje się ją teraz rozpierać energia. – A teraz to. Ktoś musiał ją tam zaatakować.

– Być może.

Ja tymczasem opadłem z sił. Przyszłość jawi mi się w bardzo ciemnych barwach. Przetrwać. Za wszelką cenę przetrwać. To jest teraz mój jedyny cel.

Gdy parkujemy pod szpitalem, Sonia nerwowo rozpiną pas i wyskakuje z samochodu, nie czekając na mnie. Jest pogrążona w swoim świecie, zachowuje się tak, jakby mnie tu nie było. Doganiam ją przy drzwiach wejściowych. Na SOR-ze każą nam czekać.

Siedzimy w poczekalni prawie godzinę. Potem wychodzi do nas tęga brunetka w białym kitlu i mówi, że kobietę z Orlej zabrano na OIOM. Na oddziale jest zadziwiająco spokojnie, mijamy staruszkę kroczącą środkiem korytarza. Idzie o kulach, w pośpiechu trącam go przez przypadek łokciem, na szczęście lekko. Natychmiast się zatrzymuję, patrzę w jego zbieleiałe oczy i, przestraszony, przepraszam go.

– Leć – odpowiada i rzuca mi pełne zrozumienia spojrzenie, jakby wiedział o mnie wszystko.

Pielęgniarka instruuje nas, gdzie leży kobieta z Orlej. Przed drzwiami OIOM-u trafiamy na młodego, szczupłego faceta, chyba jakiegoś rezydenta albo stażystę. Ma stetoskop przerzucony przez szyję, emanuje spokojem, którego tak teraz potrzebuję.

– Na sali leży moja żona. To kobieta z Orlej – mówię.

– Tak, chwilę temu tu przyjechała. Ma ciężkie obrażenia.

Z ławki nieopodal podnosi się policjantka z krótkimi, czarnymi włosami. Patrzy na mnie wyczekująco. Domyślam się, że jest tu w związku z Heleną.

– Dzień dobry, aspirant Lidia Gąsiewska, Komenda Powiatowa Policji w Zakopanem.

Ma aż nadto uprzejmy głos.

– Jestem tu na prośbę komisarza Wawrytki. Rozumiem, że pan Dorian Bardo?

– Tak.

Sonia się nie interesuje.

– Czy mogę prosić o pana dowód osobisty?

Wyciągam go niechętnie z portfela. Chcę już tam wejść, zobaczyć ją. Skonfrontować się z prawdą.

Policjantka sprawdza moje dane, potem oddaje mi dokument.

– Czy może pan potwierdzić tożsamość żony? Z tego, co wiem, nie znaleziono przy niej żadnych prywatnych rzeczy. Plecak mógł stoczyć się w inne miejsce.

– Na sali leżą jeszcze trzy osoby w bardzo ciężkim stanie – wtrąca lekarz.

– Wolałbym, żeby wszedł pan tam sam.

– Idź – mówi do mnie cicho Sonia, a potem podchodzi do przeszklonych ścian sali i próbuje przez nie coś dojrzeć na własną rękę.

Zdaje się, że Helena leży na łóżku przy oknie. Z przodu jest dwóch starszych mężczyzn. Ludzie w tym pomieszczeniu wydają się wiotcy i bezbronni, większość miejsca zajmuje specjalistyczna aparatura – monitory z różnej wielkości cyferkami, respiratory, przewody i pałaki z kroplówkami.

Im dłużej czekam, tym mocniej wali mi serce. Gdy wreszcie przekraczam próg sali, słyszę już tylko pikanie sprzętów i dziwny szum, którego źródła nie potrafię namierzyć. Być może to moja krew. Zbliżam się do jej łóżka, bojąc się widoku, który klaruje mi się już przed oczami. Jasne włosy, zamknięte oczy, odkryte posiniaczone ramiona i niemal czarne rany na czole, przypominające wąskie szczeliny.

Przyglądam się jej żółtawym, prostym włosom, drobnym piegom przy skroniach i szerokiej szyi. Wszystko nie tak. Dopiero po chwili nabieram pewności, że nie patrzę na Helenę. Ta kobieta jest mniej więcej w jej wieku, ma podobnej długości włosy, ale na tym podobieństwa się kończą.

– Ja pierdolę – przeklinam głośno i chowam twarz w dłoniach.

Przed oczami mam teraz obraz roześmianej Heleny w sukni ślubnej. Tańczymy na parkiecie w Słoneczku. To knajpa niedaleko Oławy, w której mieliśmy wesele.

Czuję na ramieniu lekki ciężar. Ktoś mnie dotyka.

– Rozumiem, że to trudny moment, ale muszę pana prosić, żeby wyszedł pan z sali.

Unoszę wzrok. To ten młody lekarz.

– Bardzo proszę – mówi dalej stanowczym głosem.

Pewnie takie reakcje to dla niego codzienność. Jego twarz nie wyraża zdziwienia. Być może jest w nim trochę współczucia, ale przede wszystkim bije od niego chłodny profesjonalizm.

Mam ochotę powiedzieć mu, żeby spierdalał, że zgotowali mi piekło, że się pomylili, ale wiem, że on akurat ma w tym wszystkim najmniejszy udział. W progu sali widzę Sonię. Patrzy to na mnie, to na łóżko, na którym leży kobieta z Orlej. Wchodzi w końcu na salę, przywiedziona moim głośnym przekleństwem. Ryknąłem jak zwierzę. Zrobiłem tu scenę.

– Panią też proszę o wyjście – włącza się lekarz, ale stoi wciąż przy mnie i tylko patrzy na Sonię, gdy ta zbliża się niepewnie do łóżka Heleny.

– To nie ona – mówi z niedowierzaniem w głosie. – To nie jest moja przyjaciółka.

Przykłada dłoń do ust.

W sali pojawiają się dwie pielęgniarki. Wtedy oboje już wiemy, że musimy wrócić na korytarz, skołowani, ale też uwolnieni od dręczącego nas strachu o to, co tu zastaniemy.

Policjantka patrzy to na mnie, to na Sonię, jakby chciała wyrwać z nas wyjaśnienia.

– Rozumiem, że to nie jest pana żona.

Jej głos wciąż brzmi ciepło, spokojnie, przez co mam wrażenie, że nadaje z innego świata. Dla niej to tylko kolejna sprawa, w wypełnionym

obowiązkami dniu.

– Nie, to nie jest moja żona. Przecież dałem wam zdjęcie.

– Komisarz mi je wysłał. Długie jasne włosy, drobna sylwetka. – Policjantka spogląda na wyświetlacz swojego telefonu. – Odniosła ciężkie obrażenia twarzy, być może to utrudniło identyfikację ratownikom. – Z powrotem patrzy na mnie.

– To nie jest Helena Bardo – potwierdza Sonia. – Musicie szukać jej dalej.

Policjantka odchodzi w głąb korytarza i gdzieś dzwoni. Nie wiem, jakie ustalenia padają podczas tej rozmowy, ale gdy wraca, mówi:

– Mogą państwo wracać. Czynności poszukiwawcze będą wznowione. Po opublikowaniu informacji o znalezieniu rannej kobiety do TOPR-u zgłosił się mężczyzna, który przekazał wiadomość o tym, że dziś rano jego córka wyszła na Orlą Perc, ale planowała wejść na nią od Hali Gąsienicowej, więc w schronisku przy Pięciu Stawach niczego nie wiedzieli. Rysopis pasuje do ofiary. To mogło być nieszczęśliwe zrządzenie losu. Na Orlej Perci dochodzi do wielu wypadków. Dziś nikt nie powinien nawet zbliżać się do tego szlaku. Przepraszam. – Unosi palec wskazujący i znowu od nas odchodzi.

Tym razem to do niej ktoś dzwoni.

– Chodźmy stąd – mówi Sonia. – Potrzebuję świeżego powietrza.

Zjeżdżamy windą, przylegając plecami do chłodnej metalowej ściany. Na drugim piętrze dołącza do nas młoda para z niemowlęciem w foteliku. Wydają się tacy spokojni i szczęśliwi. Zazdroszczę im tej normalności. Dziecko śpi, ona wiąże rude włosy w kitkę. On poprawia jej jeszcze parę kosmyków, które wypęły spod gumki. Wyglądają na zgranych.

Obserwuję ich, myśląc, że przespałem życie. To Helena mnie uspiła. Potem zerkam na Sonię i w myślach dziękuję Bogu, że to właśnie ona towarzyszy mi w całym tym bałaganie.

Rozdział 12

Sonia

Wracamy do punktu wyjścia, udręczeni widokami, które wryją się nam w pamięć na długo. Przynajmniej mi. Ten moment, kiedy widziałam tylko jej włosy z oddali, gdy byłam pewna, że to ona leży podłączona do ratującego życie sprzętu, całkowicie mnie obezwładnił. Szłam w jej kierunku pogrążona w amoku, a właściwie bardziej płynęłam, nie czując nóg. Potem zobaczyłam w miejscu Heleny obcą kobietę i uderzyło we mnie straszne przekonanie, że już nigdy nie odnajdę swojej przyjaciółki. Przepadła na dobre.

Dostałam nadzieję, ale zaraz mi ją odebrano.

Siedzimy teraz w pokoju na poddaszu schroniska, nasze telefony leżą obok siebie na wąskiej szafce nocnej. Jesteśmy zdani na nie. Czekamy na wiadomość od TOPR-u lub policji. Mieliśmy wyjść w góry, ale jak to zrobić, skoro znowu zaczyna padać. Po tym, co zobaczyłam w krakowskim szpitalu, wiem, że podążanie dzisiaj góorskimi szlakami jest niebezpieczne. Obawiam się, że akcja poszukiwawcza znowu zostanie przerwana. Być może Helena leży gdzieś między skałami, cała we krwi. Widok nieznanym ze szpitala uzmysłowił mi, jak wielkie rany mogła odnieść. Te pęknięcia skóry, sine ramiona, opuchlizna warg widoczna nawet pod maską tlenową... Coś potwornego.

Wracam myślami do wiadomości otrzymanej od nieznanego numeru. „Ta sprawa dotyczy też ciebie”. Do tej pory nie poinformowałam o niej policjantów, choć dochodzi już czternasta. Po tym, jak dowiedziałam się, że znaleźli Helenę, liczyło się dla mnie wyłącznie to, by jak najszybciej dostać się do szpitala. Teraz jednak, gdy znowu błędę w ciemności, myślę o tym esemesie.

– Idę rozprostować nogi – mówi tymczasem Dorian. – Chętna?

Wstaje z łóżka. Do tej pory leżał na nim z głową na splecionych dłoniach. Patrzył tępo w sufit.

– Nie, zostanę.

– Jak chcesz.

Wychodzi z pokoju, chowając do kieszeni obydwie smartfony. Przykuwa to moją uwagę, bo wcześniej przecież ten srebrny trzymał w plecaku. Powiedział, że zabrał go tu przez przypadek, a to oznacza, że nie miał w zwyczaju nosić go przy sobie. Po co zatem teraz włożył służbowy telefon do kieszeni?

Zaczynam wariować. Chwytam się wszystkiego, co może przynieść mi odpowiedź na dręczące mnie pytania. A tych jest coraz więcej.

Postanawiam zadzwonić do Walewskiej i podać jej numer, z którego dostałam wiadomość w środku nocy. Policjantka jednak nie odbiera.

Przypominam sobie o Łukaszu, moim byłym. Przecież mogę poprosić go o pomoc w namierzeniu właściciela obcej karty SIM. Dzwonię do niego, patrząc na krople deszczu rozplývające się po szybie. Gdy słyszę jego głos, czuję lekkie skrępowanie. Przebija się przez niepewność i lęk, które towarzyszą mi od rana.

– Tak? – pyta i już po tym jednym słowie czuję, że jest bardzo zaskoczony moim telefonem.

– Cześć, Łukasz.

– Hej, co tam słysząc?

Jego głos jest niewyraźny, chyba rozmawia ze mną przez zestaw głośnomówiący. W tle słyszę jakiś szum.

– Jesteś sam?

– Tak.

Przez głowę przelatują mi urywki chwil spędzonych razem, rozmowy w łóżku, wspólne gotowanie, wyjścia do kina, ale i kłótnie o to, że ma dla mnie tak mało czasu. Wciąż współpracuje z policją, ma wielu klientów, bo

jest dobrym detektywem. Żyje pracą. Choć mieszkaliśmy razem, był raczej gościem w domu. W końcu, żeby się nie męczyć, obydwójce doszliśmy do wniosku, że czas zrobić sobie przerwę – tak nazwaliśmy nasze rozstanie, żeby było nam łatwiej przez nie przejść.

– Mam do ciebie pewną prośbę. Jesteś w pracy?

– Tak, a o co chodzi?

– Dostałam wiadomość od nieznanego numeru i bardzo chciałabym dowiedzieć się, kto jest jej nadawcą.

– Jaką wiadomość? – brzmi oskarżycielsko albo popadam już w paranoję.

Mam wrażenie, że stara się mnie wybadać. Od chwili zerwania ani razu się z nim nie kontaktowałam. Teraz czuję się tak, jakby myślał, że szukam pretekstu, aby móc usłyszeć jego głos.

– Słuchaj, Helena zaginęła. Chyba od tego powinnam zacząć.

– Co?

Jego głos nagle staje się wyraźniejszy. Chyba przełączył się z zestawu głośnomówiącego na słuchawkę.

– O czym ty mówisz?

– W górach, na Orlej Perci. Nie wróciła.

– Jakiej Orlej Perci?

Łukasz nie lubi chodzić po górach, nigdy się tym nie interesował.

– To jeden z najniebezpieczniejszych szlaków górskich w Tatrach. Wyszła w góry w niedzielę rano i do dziś nie ma z nią kontaktu.

– A sygnał GPS w telefonie? Przecież to się da namierzyć.

– Gdyby tak było, ratownicy dawno by to zrobili. Ma wyłączoną komórkę, ale to jeszcze nie wszystko.

– A co jeszcze?

– Wczoraj, gdy weszłam rano do kwiaciarni, były tam ślady walki. Na podłodze zauważyłam trochę krwi, nożyce, którymi tniemy papier, były zakrwawione. Policja bada sprawę. Nie wiadomo, dlaczego wyjechała

w góry, ale jej samochód stoi na parkingu przed szlakiem do Doliny Pięciu Stawów, zakwaterowała się tu, a potem wyszła w góry i ślad po niej zaginął.

Mówię to wszystko z wypiekami na twarzy. Każde zdanie wydaje się być takie ciężkie i ważne.

– To jakiś obłąd, Chryste, poczekaj – odpowiada.

Chyba parkuje auto. Słyszę trzask drzwi, najwyraźniej z niego wyszedł.

– Dobrze, to teraz po kolei. Wczoraj w kwiaciarni zauważyłaś jej krew. Jest to już potwierdzone ambulatoryjnie?

– Tak, potwierdzili to, ale nie wiem, kiedy się zraniła. Ani ja, ani Sylwia nie byliśmy w weekend w kwiaciarni.

– A Dorian?

Jego imię wymawia z niechęcią. Nigdy za sobą nie przepadali.

– Dorian wyjechał na weekend w Bieszczady – odpowiadam.

– Też był w górach?

– Tak, ale w zupełnie innej części.

– Jak on się trzyma? – pyta po chwili milczenia.

– Średnio. Jesteśmy teraz w schronisku, w którym zameldowała się Helena, czekamy na informację od TOPR-u.

– Pojechaliście tam razem? – pyta z niedowierzaniem w głosie.

– A co w tym dziwnego? Helena była moją przyjaciółką. Nawet nie wiesz, jak bardzo się martwię.

Znowu wspominam pokiereszowaną twarz nieznajomej ze szpitala. Z przodu głowy czuję ucisk. Wszystko przez nieprzespaną noc.

– Pomożesz mi namierzyć nadawcę tej wiadomości? – wracam do sedna.

– Mogę spróbować. Co było w niej napisane?

– Że ta sprawa dotyczy też mnie.

Znowu nie odzywa się dłuższą chwilę.

– Łukasz, jesteś tam?

– Tak, tak – odpowiada zdumionym głosem.

- Podaj mi ten numer – prosi. – Najlepiej wyślij mi go esemesem.
- W porządku, zaraz to zrobię.
- OK.
- Dzięki Łukasz, kończę.
- Sonia, poczekaj.
- Tak?
- Jeśli będziesz czegoś jeszcze potrzebowała, daj znać.
- Dzięki, cześć.
- Cześć.

Wysłałam mu obcy numer telefonu, czując lekką ulgę. Przynajmniej ta sprawa nie będzie stała w miejscu. Bezruch zaczyna mnie wykańczać. Zsuwam się z łóżka i otwieram drzwi. Patrzą na pusty korytarz, nasłuchuję kroków na schodach, ale chyba nikt po nich nie idzie. Z dołu dobiegają rozmowy dwóch mężczyzn. Zdaje się, że planują kąpiel w stawie. Choć pada rześisty deszcz, na dworze jest ciepło. W oddali widać czyste niebo. Jest nadzieja na to, że za jakiś czas się rozpuści.

Teraz jednak myślę o czymś innym. Gdy wracam w głąb pokoju, po nogach biegnie mi nieprzyjemny prąd. Zamykam drzwi, chcę przekręcić klucz w zamku, ale nie mogę go nigdzie znaleźć. Na pewno był tu rano. Co się z nim stało? Czy Dorian go zabrał, schodząc na dół? To nie jest mi na rękę, biorąc pod uwagę to, co chcę zrobić.

Patrząc już na jego plecak. Boczna kieszeń jest wciąż napięta przez brulion, który rano do niej schował. Muszę się upewnić, że to nie jest pamiętnik Heleny. Widziałam go parę razy w kwaciarni i wydawało mi się, że to była właśnie ta, niebieska, okładka.

Mięśnie brzucha mi się boleśnie napinają, gdy podchodzę do szarocznego campusa z żółtymi ściągaczami. Wyteżam jednocześnie słuch, upewniając się, że Dorian jeszcze nie wraca. Gdzie właściwie poszedł? Na dworze wciąż pada, musi być w ośrodku. Może pije piwo w barze albo rozmawia z kimś o drobnostkach, żeby rozładować napięcie. Błyskawicznie

nawiązuje relacje z innymi ludźmi. Zawsze wszędzie go pełno, dziw bierze, że teraz wytrzymuje tak długo w jednym miejscu, biorąc pod uwagę fakt, że jego żona zaginęła. Jest wyraźnie spięty, ostrożny, nie chcę podejrzewać go o to, że coś ukrywa, ale wydaje mi się, że zachowuje się nienaturalnie. Jakby nie był sobą. Muszę uciszyć podszepty wyobraźni, że ma jakiś związek ze zniknięciem Heleny.

Zamek w bocznej kieszeni zacina się, walczę z nim chwilę, szarpie coraz mocniej, czując, jak twarz podmywa mi strumień ciepła. W pewnej chwili suwak się urywa. Klnę pod nosem. Czuję się teraz podle, jak złodziejka, albo włamywaczka, która została przyłapana na gorącym uczynku. Może się nie zorientuje, myślę, i odkładam fragment metalu na podłogę, a potem ciągnę za to, co po nim zostało i jakimś cudem udaje mi się wreszcie rozpiąć zamek. Jeszcze zanim wyciągam zeszyt, orientuję się już, że to raczej nie jest pamiętnik Heleny. Większość kartek jest czysta, a pamiętam, że brulion, który czasem widziałam w rękach przyjaciółki, był niemal w całości zapisany.

Otwieram go z rezygnacją i widzę kolumnę nazwisk, obok pieniądze kwoty i ptaszki przy niektórych z nich, jakby Dorian zaznaczał, kto mu już zapłacił, a kto jeszcze nie.

Wertuję chwilę kolejne strony, czując, że dotarłam do ściany. Gdy chcę go odłożyć z powrotem do kieszeni plecaka, wylatuje z niego znajoma kartka. To papeteria z Chloris i pismo Heleny.

„Pamiętaj, że wiem o tobie więcej, niż byś chciał. H.”.

Rozdział 13

Dorian

Wracając do pokoju, mam w miarę dobry nastrój. Wiem, że to zaraz minie. Przyjemna mgiełka jest spowodowana tym, że wypilem na dole duży kufel piwa. Musiałem się trochę znieczulić po tym wszystkim. Szpital, policjantka, powrót do schroniska w podłej atmosferze, całkowita utrata energii. W pokoju zastaję Sonię siedzącą na łóżku z podkulonymi nogami. Patrzy na mnie podejrzliwie, jakbym był tu intruzem.

– Co jest? – pytam.

– Zabrałeś klucz?

Klepię się po kieszeniach spodni. W prawej wyczuwam coś twardego.

– Faktycznie, chyba przez przypadek.

– Nie rób tego więcej, OK?

– Chciałaś się tu zamknąć?

– Możliwe. Po tym, co dzieje się w ostatnich dniach, mam prawo zamykać się, gdzie chcę i kiedy chcę.

– Pewnie.

Coś się zmieniło między nami. Mam wrażenie, że Sonia przestała mi ufać. Chcę to natychmiast wyjaśnić, oczyścić atmosferę.

– Wszystko w porządku, Sonia?

– Nic nie jest w porządku. – Kręci głową, wpatrzona we mnie szeroko otwartymi oczami.

Dokładnie naprzeciwko niej, przy moim łóżku, jest okno. Światło dzienne sprawia, że jej tęczęwki są dużo jaśniejsze niż zwykle, niemal złote. Często zmieniają kolor. Zauważyłem to już jakiś czas temu. Lubie w nie patrzeć. Mają w sobie coś uspokajającego.

– Wiem, mamy przejebane.

Wciąż mi się przygląda, nie odzywając się już ani słowem.

Spoglądam na swój plecak. Wydaje mi się, że zostawiłem go przy szafce, a teraz jest trochę przesunięty.

– Włożysz ten klucz do zamka? – pyta.

– Jasne.

Robię to, o co mnie prosi, a potem siadam na łóżku, czując się coraz bardziej spięty pod naporem jej wzroku.

– Powiesz mi Sonia, co się dzieje, czy nie? Dostałaś kolejną wiadomość?

– Może ty mi powiesz, Dorian? Proszę, nie oszukuj mnie. Sytuacja jest naprawdę poważna. – Spogląda na mój plecak.

Teraz jestem już niemal pewny, że w nim grzebała. Nawet jeżeli, to nie ma tam nic obciążającego.

– Ale co chcesz wiedzieć?

Przewraca oczami. Potem podrywa się z łóżka i rzuca mi w twarz jakąś kartką.

– Sorry, ale nie dam rady tak dłużej. Czułam się podle, gdy tam zajrzałam. Miałam wyrzuty sumienia, a później znalazłam to.

Już wiem, co znalazła, a więc to ją tak zagotowało.

– To prywatna rzecz – bronię się.

– Dlaczego Helena napisała ci, że wie o tobie wszystko? Co takiego ukrywasz?

– Nic – odpowiadam. – Napisała to dawno temu, po jednej z kłótni. Zostawiła mi tę wiadomość rano, a potem pojechała do pracy. Schowałem ją do zeszytu, bo akurat leżał na blacie. To nic nie znaczy.

Ostatnie zdanie wypowiadam cicho, jakbym nie chciał, żeby usłyszała, a potem wspominam płomień wdzierające się do sypialni Heleny przez uchylone drzwi. Jej przerażone oczy, płacz, gdy leżeliśmy na trawie i patrzyliśmy na dym ulatujący z jej domu, nie mogąc wejść do środka. Syreny straży pożarnej były coraz wyraźniejsze. Ich zawodzenie było jednym z najgorszych odgłosów, jakie kiedykolwiek słyszałem. Przeszliśmy

przez to razem. Dzięki mnie przeżyła, ale też zdobyła nade mną przewagę, bo wiedziała o mnie wszystko i wypominała mi to później na każdym kroku.

– Coś musi znaczyć.

– Tylko tyle, że byliśmy ze sobą wiele lat, podczas których poznaliśmy się na wylot. Nic więcej. Sonia, nie powinnaś grzebać w moich rzeczach. Nie rób tego więcej, bo przestanę ci ufać.

– To mów mi wszystko – odpowiada. – Tylko o to cię proszę.

– Czemu grzebałaś mi w plecaku?

– Bo czuję, że coś przede mną ukrywasz.

W jej oczach pojawiają się łzy.

Chowa twarz w dłoniach, potem sięga po szklanę z wodą stojącą na szafce nocnej, ale szkło wyslizguje jej się z rąk. Rozbija się z trzaskiem na podłodze.

Zbiera to, rani sobie palec. Krew zaczyna spływać po jej rękę.

Podchodzę do niej ostrożnie, sięgam do plecaka i wyciągam z niego plastry i gaziki, które noszę na treningi z dziećmi.

– Daj.

– Nie trzeba.

Przykłada palec do ust i w ten sposób próbuje zatamować krwotok. Odciągam jej delikatnie dłoń od twarzy i przykładam do zranionego palca gazik.

– Ona jest dla mnie jak siostra – mówi, ocierając wolną dłonią łzy. – Bez niej nie jestem sobą. Nie wyobrażam sobie, jak mam dalej żyć.

W milczeniu opatruję jej ranę, zaskoczony tym spontanicznym wyznaniem. Czuję się teraz jeszcze podlej niż chwilę temu, gdy mówiłem, że ta kartka to nic takiego.

Rozdział 14

Sonia

Z każdym kolejnym dniem jest mi tu gorzej. W środę nareszcie wychodzi słońce. Pogoda się poprawia, a TOPR wznawia poszukiwania. Niestety, nie przynoszą żadnych rezultatów, odnajduje się jedynie jakiś czarny szalik. Jest wykonany z cienkiego materiału, ozdobiony chwościami i drobnymi różyczkami przy brzegach. Nie kojarzę go, ale Dorian stwierdza, że z całą pewnością należał do jego żony. Kupiła go niedawno. Frędzle są lepkie i zaschnięte. Wszyscy wiedzą, że to krew, choć nikt nie mówi tego na głos. Szalik przejmuje policja.

Dorian dostaje też wiadomość od komisarza Wawrytki, że jacyś mężczyźni, którzy wędrowali tamtego felernego dnia Orlą Percią usłyszeli rozpaczliwy, kobiecy krzyk. To mogła być Helena, ale równie dobrze krzyknąć mogła ta nieboraczka, którą widzieliśmy w szpitalu. Powtarzamy to sobie w kółko, żeby uwierzyć w taką wersję wydarzeń. Inna jest zbyt bolesna.

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że Helenę będą odnajdywać fragment po fragmencie. Szalik, but, potem być może plecak, i w końcu ona, nieruchoma i zimna. Niczego więcej jednak nam nie przekazują. Żadnych wieści, ani dobrych, ani złych.

Dopiero w piątek akcja poszukiwawcza zostaje wstrzymana, sprawę całkowicie przejmuje policja i prokuratura. Póki co wracamy do Oławy, zmęczeni i rozbici.

Kiedy idziemy na parking kamiennym szlakiem, nad górskimi szczytami unoszą się szarobiałe obłoki, które wyglądają jak leniwe kłęby dymu. Woda w stawach faluje, przypominając pomarszczoną folię. Wiatr huśta gałęziami drzew porastających wielkie skały.

Otoczenie trochę mnie przytłacza. Czuję się mała i nieistotna w obliczu tego, co tu się wydarzyło. Helena przepadła. Mam wrażenie, że wraz z nią straciłam ważną część siebie. Mijamy wodospad Wielka Sikława. Woda opada z kilkudziesięciometrowego progu skalnego i rozpryskuje się na dole, tworząc wielobarwną tęczę. Aż dziw bierze, że na świecie jest miejsce dla takiego piękna i jednocześnie dla takich tragedii.

Z Dorianem jako tako się dogadujemy. Po naszym spięciu we wtorek atmosfera oczyściła się. Płakaliśmy oboje nad tym, co się stało i to było dla nas wyzwalające. Miał do mnie żal, że zajrzałam do jego prywatnych rzeczy, ale musiałam to zrobić. Prawda jest taka, że nie przyjechałam tu tylko po to, by go wspierać, ale też dlatego, że chciałam zorientować się, czy miał związek ze zniknięciem Heleny. Wciąż nie wiem tego w stu procentach, ale przez to, co się stało, niczego i nikogo nie jestem pewna. Wiem, że nie układało im się od dłuższego czasu. Cały czas męczy mnie sprawa pamiątnika Heleny. Muszę go znaleźć. Czuję, że tam mogą znajdować się odpowiedzi na dręczące mnie pytania.

Dopiero w drodze powrotnej, kiedy jesteśmy już w samochodzie, dostaję wiadomość od Łukasza. Nie odzywał się do mnie trzy dni. Widocznie ciężko mu było cokolwiek ustalić.

Napisał:

„Ten numer należy do faceta, który nie żyje od przeszło roku”.

Robi mi się niedobrze. Dorian właśnie wyprzedza ciężarówkę, choć z naprzeciwka jedzie motor. Wraca na prawy pas w ostatniej chwili, motocyklista mruga do nas długimi.

- Boże – mruczę pod nosem.
- Przepraszam, nie zauważyłem go.

Brzmi, jakby wyrwał się z zadumy.

- Nie o to chodzi.

Dzwonię do Łukasza, licząc sygnały zwiastujące nadejście połączenia. Odbiera dopiero po siódmym.

– Tak? – Znowu wydaje się zaskoczony moim telefonem.

– Cześć Łukasz, możesz mi wytłumaczyć, jak to możliwe?

Czuję na sobie wzrok Dorian, gdy wypowiadam te słowa.

– Normalnie, facet nie żyje, ale najwyraźniej miał jeszcze ważny dowód. Karta SIM została zarejestrowana niedługo po jego śmierci, w kiosku, w Warszawie.

– Jak on się nazywa?

– Nie sędzę, żeby to ci coś powiedziało.

– Możesz podać jego dane?

– Antoni Mirowski, lat siedemdziesiąt sześć.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Niestety, takie sytuacje są mi znane – tłumaczy spokojnie Łukasz.

W tle słyszę jakiś szmer, jego głos zdaje się być oddalony, chyba znowu rozmawia ze mną na głośnomówiącym.

– Jak to znane?

– Zgodnie z prawem każdy numer telefonu musi być w Polsce zarejestrowany. Ludzie kombinują, żeby to ominąć i robią to przykładowo w taki sposób. Kupują kartę SIM na słupa.

– Czyli wiadomość wysłał do mnie ktoś, kogo nie da się namierzyć.

– Obawiam się, że tak. Czy pisał coś jeszcze?

Spoglądam na Dorian, który kręci głową i uderza w kierownicę dłonią w jakimś dziwnym akcie rezygnacji. Nie wiem, czy chodzi mu o moją rozmowę telefoniczną, czy o sytuację na dość ruchliwej drodze.

– Nie, już nic.

– Sonia, podaj ten numer osobie prowadzącej śledztwo. To może być jakiś trop.

– Rozumiem. Dziękuję za pomoc.

– Nie ma sprawy.

Gdy tylko kończę rozmowę, Dorian pyta:

– Rozmawiałś z Łukaszem? Łukaszem Rolskim?

– Tak. Wysłałam mu numer, z którego dostałam tę wiadomość w nocy. Nie mogłam się skontaktować z Walewską, więc poprosiłam go o pomoc. Ten numer należy do mężczyzny, który już nie żyje. Ktoś najprawdopodobniej wykorzystał to celowo, żeby zachować anonimowość. Karta została kupiona w Warszawie.

Gdy wypowiadam te słowa na głos, coś wiruje mi w żołądku. Czuję się fatalnie z myślą, że napisał do mnie człowiek-widmo.

– Sonia, czy ty nie przesadzasz? Ktoś zadał sobie tyle trudu tylko po to, żeby napisać do ciebie esemesa?

– Przecież Łukasz by mnie nie okłamał.

– Nie twierdzę, że Łukasz kłamie, ale wydaje mi się, że to mogła być zwykła pomyłka. Pomyśl, minęło już tyle dni, nie dostałaś żadnej więcej wiadomości z tego numeru. Nie warto zaprzętać sobie tym głowy. Są ważniejsze sprawy niż jakaś wiadomość. Heleny nie ma już prawie tydzień.

Głos ma udęczony, słaby. Mam wrażenie, że oboje obracamy teraz w głowie wspomnienie tego zakrwawionego szalika, który pokazali nam ratownicy. Dorian nie pokazuje po sobie, jak bardzo się denerwuje, ale z pewnością jest tym wszystkim bardziej zdruzgotany niż ja. W końcu to jego żona zniknęła.

Rozdział 15

Dojeżdżamy do Oławy około dwudziestej pierwszej. Kiedy wysiadam z samochodu Doriana, czuję się dziwnie samotna. Od teraz będę musiała sama dźwigać wszystko to, co się wydarzyło. Wnoszę na górę plecak. Robię pranie, cały czas szukam sobie zajęcia. Ręce delikatnie mi drżą. Wiem, czego potrzebuję, ale póki co odpycham myśli o papierosie. Wytrzymałam już miesiąc. Pierwszy raz od pięciu lat udało mi się tak długo nie palić.

Choć przez ostatnie dni bardzo źle spałam, nie jestem w ogóle zmęczona. W drodze powrotnej wypiałam dwie kawy, to pewnie dlatego.

Po dwudziestej drugiej siadam przy niewielkim stole w kuchni i kładę na blacie liścik, który znalazłam w skrzynce pocztowej.

„To nie ja, to on, pamiętasz? Przepraszam cię, Sonia, za wszystko. H.”.

Mam w domu kilka czystych kartek papeterii z Chloris. Na jednej piszę to, co zobaczyłam u Doriana w zeszycie.

„Pamiętaj, że wiem o tobie więcej, niż byś chciał. H.”.

Staram się naśladować pismo Heleny. Chcę mieć pełny ogląd sytuacji. Być może uda mi się jakoś połączyć fakty.

Patrzę teraz to na jedno, to na drugie hasło, staram się znaleźć między nimi jakiś punkt styku. To jedyne ślady po przyjaciółce, jakie udało mi się znaleźć, oprócz krwi w kwaciarni.

Znowu myślę o tym, że Helena mogła działać częściowo nielegalnie, być może Dorian jej w tym pomagał. Kiedy świat za oknem spowija już ciemność, budzą się we mnie dzikie pomysły, jak przykładowo taki, że Chloris była pralnią brudnych pieniędzy. Często przecież wykorzystuje się w tym celu takie normalne z pozoru biznesy.

To Helena dbała o księgowość. Ja się w to w ogóle nie mieszałam. Koperta, którą zobaczyłam kiedyś w komodzie na zapleczu, choć najgrubsza, nie była jedyną, jaką u niej widziałam. Od czasu do czasu

nosiła przy sobie sporo gotówki. Nie mam pojęcia, co z nią robiła. Nigdy się tym za bardzo nie przejmowałam, bo byłam do tego przyzwyczajona. Zdarzało mi się zauważać zwitki banknotów od początku naszej znajomości. Były dla mnie czymś naturalnym.

Od czasu do czasu jeździła na tajemnicze spotkania. Gdy pytałam, z kim się widzi, zawsze odpowiadała to samo: „Z klientem”. Po powrocie często łykała tabletki przeciwbólowe, narzekając, że znowu ma migrenę. Wspominałam o tym jeszcze na przesłuchaniu, kiedy policjantka zapytała, czy Helena miała wrogów. Powiedziałam, że w jej życiu był ostatnio ktoś, kto ją stresował, niekoniecznie mąż. Wydaje mi się jednak, że policjantka i tak pomyślała wtedy o Dorianie. W takich sytuacjach szuka się winnego wśród najbliższych.

Z rozważań wyrывa mnie odgłos domofonu. O tej porze, gdy dochodzi już wpół do jedenastej w nocy, ten wysoki dźwięk napawa mnie trwogą. Niepewnie podchodzę do szarej słuchawki obok drzwi wejściowych i ją podnoszę.

– Halo? – pytam niepewnie.

Nie wiedzieć czemu przed oczami mam teraz tego anonimowego esemesa, którego dostałam kilka dni temu. Odpowiada mi tylko trzask metalowych drzwi, jakby ktoś dostał się już do klatki bez mojej pomocy. Przez chwilę słucham dźwięków kroków rozchodzących się po klatce schodowej. Ktoś wspina się na górę, coraz szybciej. Z każdą sekundą słyszę go wyraźniej. Odruchowo przekręcam korbę górnego zamka. Do tej pory drzwi były otwarte, nigdy nie wyrobiłam sobie nawyku, żeby je zamykać zaraz po wejściu do domu.

Słyszę pukanie do drzwi. Mocne, zdecydowane uderzenia. Spoglądam przez judasza i widzę znajomą gęstwinę blond włosów. Głowę ma spuszczoną, ale rozpoznaję go natychmiast.

Otwieram drzwi, wypuszczając z ulgą powietrze.

– Cześć – wita się ze mną, błędząc szafirowymi oczami po mojej twarzy.
– Drzwi były jednak otwarte, zadzwoniłem domofonem, zanim pociągnąłem za klamkę – tłumaczy.

– Łukasz, co ty tu robisz?

Staram się brzmieć naturalnie, ale jestem odrobinę spięta. Z jednej strony jego odwiedziny są krępujące, bo nie widzieliśmy się już dobry miesiąc, z drugiej jednak przyjmuję je też jak coś naturalnego. Często wracał o tej porze z pracy, szczególnie gdy prowadził jakieś angażujące śledztwo. Potem jadł kolację, oglądał telewizję, ćwiczył i szedł spać około drugiej nad ranem.

Nie potrzebuje dużo snu. Prowadzi nocny tryb życia. Dla niego dwudziesta trzecia to początek wieczoru.

– Wracałem z pracy i zobaczyłem, że świeciła się u nas... to znaczy u ciebie palą. Pomyślałem, że już wróciłaś.

To przejęzyczenie sprawia, że robi mi się cieplej.

– Mogę wejść? – zadając to pytanie, subtelnie się uśmiecha.

Rozumiem, skąd ten uśmiech. Jeszcze miesiąc temu wchodził tu bez pytania. Wciąż zresztą ma klucze. Nigdy nie zażądałam, żeby mi je oddał. Teraz pyta o zgodę, jakby był kimś obcym.

– Jasne, wchodź.

Patrzę na jego skórzaną kurtkę, czując delikatne mrowienie na ramionach. Jeszcze niedawno sama zanosiałam ją do pralni chemicznej, a teraz, gdy zdejmuje ją i wiesza na haku przy lustrze, jej przesiąknięty cytrusami zapach wydaje mi się obcy.

– Zmieniłeś perfumy? – pytam bezwiednie.

Krzywi się, zsuwając ze stóp czarne adidas.

– Nie.

Obserwuję jego ruchy, oparta plecami o chropowatą ścianę. Wciąż jestem zaskoczona tą spontaniczną wizytą. Co prawda, wynajął mieszkanie

niedaleko, zaledwie parę klatek ode mnie, jednak od wyprowadzki nie przyszedł tu ani razu.

Domyślam się, że jego wizyta ma związek z tym, co opowiedziałam mu przez telefon. Przechodzimy do kuchni, niemal instynktownie. Zawsze tam siadaliśmy, gdy wracał z pracy. Mam mieszane uczucia. Z jednej strony jestem mu wdzięczna za to, że mi tak pomógł w tym tygodniu, z drugiej nie wiem, jak mam rozumieć tę wizytę.

Gdy wchodzimy do kuchni, uświadamiam sobie, że zostawiłam na blacie stołu wiadomości od Heleny.

– Co to jest? – pyta.

– Nic takiego. Chyba za dużo myślę o tym wszystkim – odpowiadam rozgorączkowana i przesuwam na bok papeterię. – Chcesz herbaty?

– Masz piwo? – odpowiada pytaniem, niemal natychmiast.

Zaglądam w milczeniu do lodówki. Na drzwiach stoi lekko zamglona puszka pszenicznego Żywca. To Dorian ją tu zostawił, gdy pomagali mi niedawno z Heleną ustawiać szafki po remoncie w kuchni.

Stawiam ją przed Łukaszem. Otwiera bez słowa i upija kilka łyków.

Potem spogląda w stronę kartek, które przesunęłam na bok. Przeciętny facet pewnie nie zwróciłby na nie uwagi, ale Łukasz jest inny, ze względów zawodowych bardziej wyczulony na to, co dzieje się dookoła niego. Zawsze ciężko mi było utrzymywać przed nim coś w sekrecie. Pod tym względem nic się nie zmieniło.

– „Pamiętaj, że wiem o tobie więcej, niż byś chciał. H.”? – czyta jedną wiadomość od Heleny na głos, choć jest oddalona od niego o pół metra i na dodatek przekreślona do góry nogami.

– Tak – mówię z rezygnacją.

– Helena to napisała?

– Tak, do Doriany.

– Kiedy?

– Nie wiem, ponoć dawno, po jednej z ich kłótni. Właściwie to nie jest dokładnie ta kartka. Przepisałam to, zresztą, nieważne.

– Nigdy za nią nie nadażalem.

Macha ręką i patrzy na mnie tak, jakby chciał powiedzieć, że za mną też nie nadażał.

– Po co tu przyszedłeś? – pytam. – Ale tak naprawdę?

– Już mówiłem – odpowiada powoli. – Zobaczyłem, że światło się świeci.

– Nie wierzę ci.

– Dlaczego?

Uśmiecha się w ten niewymuszony sposób i przechyla lekko głowę na bok, tak jak to ma w zwyczaju.

– Nie odzywałeś się do mnie miesiąc i nagle postanowiłeś wpaść?

– To ty pierwsza się odezwałaś. – Wskazuje na mnie palcem.

– Poprosiłam cię o pomoc.

Nic nie odpowiada, tylko przygląda mi się tak, jakby próbował ze mnie coś wyczytać.

– Mogłaś wysłać ten numer policjantce, która prowadziła śledztwo.

– Skąd wiesz, że to kobieta prowadzi śledztwo?

– Już dużo wiem – odpowiada, a potem pochyla się w moją stronę.

Jeśli nic nie zrobię, za chwilę się pocałujemy. Powoli dociera do mnie, co się dzieje.

– Masz kogoś? – pytam, zastanawiając się, jak w ogóle doszliśmy do tego punktu.

Przed chwilą patrzyłam oszołomiona, jak zdejmuje swoją skórzaną kurtkę w przedpokoju, a teraz nasze usta dzieli kilkanaście centymetrów i z każdą sekundą ten dystans się zmniejsza.

– Nie, a ty?

Kręcę przecząco głową. Przyjechał tu po seks. Teraz jestem już tego pewna. Mogłabym się z nim kochać, choćby w kuchni, na tym małym stole. Robiliśmy to już tutaj kilkakrotnie, o podobnej porze. Czasem był trochę za

ostry, czułam, że odreagowuje w ten sposób wszystko to, co widział i słyszał w czasie pracy. Nie chciałam go jednak zawieść. Nie wiem, czy postępuje tak każda kobieta, którą w młodości porzucił ojciec, ale ja tak mam. I choć zdaję sobie z tego sprawę, nie potrafię się zmienić.

– Nie mam – odpowiadam.

Zjeżdża wzrokiem na moje usta. W głowie dudni mi pytanie:

„Po co ci to?”.

Nie potrafię na nie odpowiedzieć. Nagle wdziera się między nas dzwonek mojego telefonu.

Odchylam się od Łukasza i podchodzę do szafki obok kuchenki, na której go zostawiłam. To Dorian.

– Halo?

– Cześć Sonia, powiedz mi, czy masz pomysł, gdzie Helena mogła schować swój pamiętnik?

Wydaje się zdenerwowany, głośno oddycha, jakby rozmawiał ze mną po solidnym treningu.

– Nie – odpowiadam, spoglądając w kierunku Łukasza.

Zastanawiam się, czy dociera do niego stłumiony głos Doriana.

– Dlaczego pytasz?

– Nieważne. Jak coś ci wpadnie do głowy, daj mi znać, OK?

Wychodzę z kuchni i zamykam za sobą drzwi.

– OK. Nie sądzisz, że powinniśmy o tym powiedzieć policji? Gdy mnie przesłuchiwali parę dni temu, wszystko wydawało się być świeże i wtedy jeszcze o tym nie pomyślałam. Teraz jednak zamierzam to zrobić.

– Nie rób tego, Sonia.

– Dorian, co się dzieje?

– Po prostu nic nikomu o tym nie mów, dopóki sami nie znajdziemy tego pamiętnika i go nie przeczytamy.

Rozłącza się bez pożegnania. Wracam do kuchni rozbita. Łukasz przygląda mi się pytająco.

- Kto dzwonił?
- Dorian.
- O tej porze?
- Ty mnie odwiedziłeś o tej porze.
- Coś się stało? Wyglądasz na przerażoną.
- Nieważne. Łukasz, przepraszam cię, ale jestem zmęczona.

Telefon od Doriana wszystko zmienił. Elektryzująca energia, która pojawiła się między nami chwilę temu, rozplynęła się w powietrzu.

Łukasz wstaje z krzesła i wychodzi z kuchni. Zakłada buty, kurtkę i ciągnie za klamkę drzwi. W progu odwraca się jeszcze do mnie i mówi:

- Jestem po twojej stronie.
- Wiem.

Potem wychodzi, zostawiając mnie samą. Zastanawiam się, gdzie Helena mogła schować ten pamiętnik. Po tym, co chwilę temu usłyszałam od Doriana, wiem, że nie spocznę, dopóki go nie znajdę.

Dorian

Gdzie on się podział? Chyba nie korzystała z niego zbyt często. Kiedyś, owszem, pisała w nim codziennie, ale od lat nie widziałem go już u niej w ogóle. To Sonia powiedziała mi, że Helena czasem coś w nim notowała, będąc w kwiaciarni.

Pamiętam, że kiedyś trzymała go w sypialni, w szafce nocnej. Dopiero dzisiaj, po powrocie z gór, zajrzałem tam, ale nie ma po nim śladu.

Muszę go znaleźć, zanim zrobi to ktoś inny. Do chwili, w której nie wpadnie mi w ręce, będę się czuł tak, jakbym siedział na tykającej bombie. Wcześniej nie przywiązywałem do niego aż takiej wagi. Właściwie to o nim zapomniałem, a tu okazuje się, że to może stanowić problem.

A co, jeśli zabrała go ze sobą na tę pieprzoną Orlą Perć albo zostawiła gdzieś w kwiaciarni?

Policja przeszukała przecież Chloris dokładnie, chyba znaleźliby go, gdyby tam był. Walewska już by go przeczytała i zgłosiła się do mnie z pytaniami. Właściwie nie wiem dokładnie, co Helena tam napisała, ale jestem pewien, że pojawia się już na początku.

Jest prawie wpół do dwunastej w nocy, gdy wracam zrezygnowany do sypialni. Przekopałem cały dom i nic. Nie wiem, czy zasnę. Może niepotrzebnie dzwoniłem do Soni o tak późnej porze. Wystraszyłem ją. Rozmawiała ze mną, niemal szepcząc, miałem wrażenie, że ktoś u niej był.

Podchodzę do okien sypialnianych, które ciągną się od ziemi aż do sufitu. Helena lubiła mieć dużo światła w domu. W każdym pomieszczeniu są wielkie przeszklenia. To efekt remontu, który przeprowadziliśmy tu parę lat temu.

Rolety antywłamaniowe są spuszczone, nie lubię spać przy całkowicie zasłoniętych oknach, zawsze zostawiam sobie kawałek odkrytej przestrzeni, przynajmniej do wysokości kolan. Teraz wciskam guzik i podnoszę trochę szare żaluzje. Ramy okienne zaczyna stopniowo wypełniać czerń nocy, ale nie tylko. Na kostce brukowej niewielkiego tarasu zauważam jakiś ruch. Jakby ktoś po niej właśnie przeszedł.

Myślałem, że w ostatnich dniach przeżyłem już wszystkie możliwe rodzaje dezorientacji, ale ten jest zupełnie nowy i przez chwilę czuję się tak, jakby moje stopy wrosły w kremowe panele sypialni. Nasłuchuję i wyteżam wzrok. Próbuje zrozumieć, czy tylko mi się wydawało, czy ktoś kręci się pod moim domem. Furtka jest zatrzaśnięta, brama wjazdowa otwiera się za pomocą pilota, a może przedostało się tu jakieś zwierzę? Póki co niczego nie słyszę.

To jednak mi nie wystarczy. Muszę się przekonać, jak jest naprawdę. Moja dłoń znowu ląduje na włączniku i tym razem podnoszę całkowicie rolety. Zanim wychodzę na taras, wysuwam spod łóżka kij bejsbolowy. Schowałem go jakieś dziesięć lat temu, na wypadek gdyby.

Przez dekadę nie był mi potrzebny i o, to jest ta noc, kiedy trzeba go wyciągnąć.

Otwieram okno tarasowe i wychodzę z bronią na zewnątrz. Owczarek niemiecki sąsiadów zaczyna ujadać, co wzmagą mój niepokój. Podchodzę do ogrodzenia z siatki i widzę tylko cień zwierzęcia. Postawione uszy, energicznie machający ogon. Biegnie do przodu, szczekając coraz głośniej. Rzadko mu się to zdarza w nocy. Sąsiadów chyba nie ma w domu. To dość młodzi ludzie, którzy jeszcze korzystają z uroków nocnego życia. W każdym razie światła są wszędzie zgaszone.

Idę na przód domu, czując się tak, jakbym musiał pokonywać opór powietrza, choć noc jest bezwietrzna i ciepła. Nie rezygnuję z marszu, choć obawiam się tego, co zastanę. Pies sąsiadów zatrzymał się przed ich bramą i szczeka, patrząc w kierunku naszego podjazdu.

Ogród po bokach domu nie jest oświetlony, przemierzam teraz jego najciemniejszą część, dostrzegając tylko niewyraźne kształty roślin i krzewów zasadzonych przez Helenę. Nagle czuję, jakby wszystko zwalniało. Zatrzymuję się, wpatrzony w zaciemioną postać stojącą na naszym podjeździe. Ma na głowie kaptur i stoi tyłem, ale wydaje mi się, że to facet. Trzyma coś w ręce, jakąś puszkę, ale tego też nie wiem na pewno.

Serce wali mi w piersi, błędnik zaczyna wariować, jakby podjazd, razem z tym facetem, przechylił się lekko na bok.

– Ej, ty! – drę się na cały głos, a ten człowiek odwraca się gwałtownie w moją stronę.

Chyba dopiero teraz mnie zauważył, wyrzuca z dłoni puszkę i rzuca się do ucieczki.

Przeskakuje panelowe ogrodzenie i biegnie ciemną ulicą. Wylatuję przez furtkę, wciągając powietrze z przeraźliwą chrypą. Rozglądam się na boki, chcąc się upewnić, że jest sam. Nie mogę go stracić z oczu. Czuję przerażenie i jednocześnie wściekłość. Niestety, jest szybki. Nie jestem w stanie go dogonić. Ma na sobie ciemne jeansy i jakąś kurtkę z połyskiem,

możliwe, że skórę. Wydaje się mniejszy ode mnie, ale nie wiem, czy nie jest uzbrojony.

Dystans między nami coraz bardziej się zwiększa. Choć jest coraz dalej, wciąż za nim biegnę, co chwilę uderzając ciężkim kijem o asfalt. W końcu, gdy facet skręca w prawo kilkadziesiąt metrów ode mnie, rezygnuję z bezsensownej gonitwy.

Stoję na środku ulicy, łykając hausty powietrza. Podpieram się dłońmi w pasie i pochylam do przodu.

– Dorian?!

Odwracam się. Zbliżyła się do mnie jakiś człowiek. Odruchowo unoszę kij.

– Spokojnie – wyrzuca przed siebie dłoń – to ja.

Początkowo go nie poznaję, choć głos wydaje się znajomy. Gdy jest już na wyciągnięcie ręki, dociera do mnie, że to Jacek Korcz.

– Jacek – mówię, dysząc jak zwierzę.

Jestem wyczulony na to, co dzieje się za mną.. Może ten facet jeszcze wróci.

Sąsiad tymczasem wiąże spokojnie sznurki od jasnych spodni dresowych na kokardkę. Chyba dopiero co je założył. Jest bez koszulki.

– Co się dzieje? Za kimś biegłeś?

– Chyba jakiś łepiek wpadł mi do ogrodu.

– Małe skurwiele. – Unosi pięść. – Mieliśmy podobną sytuację w zeszłym roku. Gnojkom zachciało się czereśni z naszego ogrodu, wyobrażasz sobie? Pijane to, naćpane i wlaźło nam za ogrodzenie w środku nocy. A pisze jak byk. „Uwaga zły pies”.

– Macie psa? – pytam.

– Nie, ale te gnojki przecież tego nie wiedziały, a i tak weszły.

Kiwam głową. Chcę jak najszybciej się z nim pożegnać i sprawdzić, czy facet nie zostawił po sobie żadnych śladów.

– A co z Heleną? – pyta już mniej pewnie. – Nie było cię parę dni, zaglądaliśmy tu z Martą. W internecie piszą coś o Chloris.

Choć nie widzę wyraźnie jego twarzy, jestem pewien, że tężeje z ciekawości.

– Na razie nie ma żadnych wieści. Zniknęła.

– Jak to jest...

– Jacek, dzięki – wchodzę mu w słowo. – Wiem, że się martwicie, ale ja teraz nie mam do tego głowy.

– Rozumiem. Jakby co, to wiesz, w sąsiadach siła.

Wypowiadam z nim to hasło w myślach. Wiedziałem, że właśnie teraz padnie. To jego ulubione powiedzenie.

– Dzwoniłeś na policję? – pyta tylko.

– Jeszcze nie. Idę Jacek, dzięki.

– Dorian, zadzwoń. Ta sprawa dotyczy też nas.

Kiwam mu głową i z telefonem w ręku wracam do siebie, czując się strasznie na wspomnienie faceta, który przed paroma minutami stał na moim podjeździe. Po psie Szurowskich nie ma śladu, najwyraźniej wrócił na ganek, co utwierdza mnie w przekonaniu, że zagrożenie minęło.

Mimo to zgłaszam sprawę policji. Zaraz ma ktoś przyjechać.

Z przodu domu widać trochę więcej niż z tyłu, bo przy podjeździe palą się dwie kuliste lampki. Puszka, którą intruz wyrzucił przed ucieczką, sturlała się pod bramę wjazdową. Najpierw przy niej kucam i delikatnie obracam palcem, żeby móc dojrzeć jakieś oznaczenie. To spray. Potem podnoszę się, trzymając ją w dłoni i widzę jakiś jasny napis na bramie garażowej. Jest niedbały, nie mogę go odczytać.

Serce znowu wali mi młotem. Ten gnojek zostawił po sobie ślad. Zaciskam pięść ze wściekłości, a potem idę do domu i zapalam światło na ganku. Ono wystarczy, żeby odczytać to, co napisał.

Wracam na podjazd i patrzę na bramę, czując, jak odpływają ze mnie resztki sił.

Brutalne słowa wwiercają się we mnie jak grube, tępe śruby.

Sonia

Telefon od Doriana nie daje mi spokoju. Jestem pewna, że dzisiejszej nocy nie zmrużę oka. Dlaczego mam nie mówić policji o tym pamiętniku?

Wybieram jego numer i czekam na połączenie, siedząc na ławce pod długim lustrem w przedpokoju. Nie odbiera. Idę do kuchni, podnoszę puszkę piwa, którą zostawił Łukasz. Wziął zaledwie kilka łyków. Jest prawie cała. Chowam ją do lodówki i dosuwam krzesło do stołu.

Gdyby Dorian nie zadzwonił, w tej chwili uprawialibyśmy seks. Dziś niestety zrozumiałam, że Łukasz wciąż na mnie działa, choć to ja zakończyłam nasz związek. Kierowałam się głównie poczuciem niepewności co do jego uczuć. Wciąż wypatrywałam sygnałów, że chce ode mnie odejść – bo późno wrócił, wcześniej wyszedł, wyjechał na dwa dni służbowo. Zastanawiam się, czy nie oeniłam wszystkiego zbyt pochopnie. Te wątpliwości zapuściły we mnie korzenie i dają o sobie znać za każdym razem, gdy pomyślę o moim eks.

Teraz jednak ten temat schodzi na dalszy plan. Z każdą chwilą oddalam się od tego, co wydarzyło się w kuchni. Zastanawiam się nad tym, gdzie Helena mogła zostawić pamiętnik. Co takiego w nim napisała? Dorian nalegał, żebym nie mówiła o nim policji, dopóki go nie znajdziemy. Prawda jest taka, że najpierw sama chciałabym go przeczytać.

Kiedy byliśmy w górach, Dorian otrzymał informację od oławskiej policji, że zakończyli już czynności w kwiaciarni i lokal znowu jest do naszej dyspozycji.

Postanawiam, że rano tam pójde i przeszukam ją po swojemu. Przypominam sobie te segregatory z dokumentami leżące na regale obok komody. Ma głębokie półki, być może pamiętnik leży gdzieś za nimi? Rozważam różne możliwości, kręcąc się po mieszkaniu, szukając sobie miejsca i zajęcia. Próbuje ponownie dodzwonić się do Doriana, bezskutecznie.

W końcu, około północy, gdy sen wciąż nie nadchodzi, zakładam buty, cienką wiatrówkę, pakuję do torebki liściki od Heleny i wychodzę z mieszkania z duszą na ramieniu. Chcę pojechać do kwiaciarni. To jest ode mnie silniejsze. Muszę poszukać tego pamiętnika jeszcze dzisiaj. Przynajmniej tyle jestem winna przyjaciółce.

Gdy wychodzę z klatki, mam wrażenie, że ta noc jest czymś naelektryzowana. Zło czai się w powietrzu, osiada na krzewach piętrzących się wokół niedużego parkingu pod blokiem.

Wsiadając do samochodu, przypominam sobie o zaschniętej krwi na chwostach szalika znalezionej przez TOPR i zaczynam płakać, waląc dłonią w kierownicę.

– Gdzie jesteś?! – wołam do swojego odbicia w szybie. – Co się z tobą stało?

Wizja powrotu Heleny do domu, całej i zdrowej, stopniowo się oddala. Ponoć nadzieja umiera ostatnia. Nie w moim przypadku.

Powoli skłaniam się ku temu, że zginęła w niewyjaśnionych okolicznościach, a moim obowiązkiem jest odkrycie, co dokładnie się z nią stało. Tak wiele jej zawdzięczam. Zawsze była dla mnie wyrozumiała. Wspólni znajomi powtarzali mi, że Helena ma do mnie słabość, że to kobieta, która z nikim nie potrafi się zaprzyjaźnić, nawet z własnym mężem, ale dla mnie zrobiła wyjątek.

Była specyficzna, ale kto z nas nie jest? Każdy mieni się paletą barw, od najjaśniejszych po szare i ciemne.

Zanim odpalam silnik, słyszę stukot dobiegający z prawej strony. Orientuję się, że ktoś puka w szybę. Widzę tylko zaciśniętą pięść i czarny rękaw ze ściągaczem. Szybko przyciskam guzik, wystający z drzwi, który blokuje wszystkie zamki. Zamieniam się w jeden wielki dreszcz.

Po paru sekundach pięść znika, a w jej miejscu pojawia się brudna, szeroka twarz jakiegoś mężczyzny w kapturze. Z kącika ust cieknie mu krew. W oczach ma coś błagalnego. Ciągnie za klamkę. Pokazuję mu na

migi, żeby oszedł, żeby dał mi spokój. Policzki wciąż mam wilgotne od łez. On jednak nie odpuszcza. Wygląda, jakby bardzo cierpiał.

Jest stary, oczy okalają mu zmarszczki, skroń rozcina podłużna blizna. Chyba kojarzę go spod sklepu spożywczego. Lokalny pijaczek, proszący wszystkich o drobne. Choć oddziela nas szyba, przypominam sobie odór, jaki zwykle od niego czuję i na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

Kręcę głową i pokazuję ostatni raz, żeby się odsunął, a potem powoli wyjeżdżam z miejsca parkingowego, upewniając się w lusterku wstecznym, że wciąż stoi za moim autem, cały i zdrowy.

Starzec cały czas na mnie patrzy z lekko opuszczoną głową. Wygląda jak upiór, który czeka na swoją ofiarę. Opuszczam parking, dziękując opatrności za to, że mam auto z zamkiem centralnym. W przeciwnym razie musiałabym zmierzyć się z tym człowiekiem. Zdołałby dostać się do mojego samochodu.

W drodze do kwiaciarni czuję się tak, jakbym jechała w nieznane, choć pracuję tam od dwunastu lat. Nie wiem, w jakim stanie zostawiła lokal policja, trochę się obawiam, że wszystko jest tam poprzestawiane, że to już nie będzie nasza Chloris.

Zatrzymuję auto pod witrynami kwiaciarni, na miejscu Heleny. Zegar w kokpicie wskazuje wpół do pierwszej w nocy. Odganiem od siebie pytanie, co ja właściwie wyprawiam i wychodzę z samochodu. Kiedy przekręcam klucz w zamku przeszklonych drzwi z wypisanymi godzinami otwarcia, mam wrażenie, że ktoś mi się przygląda. Na plecach czuję ciarki, które biegną z karku na ramiona. Odwracam się, ale nikogo nie widzę. Naprzeciwko kwiaciarni stoi długi, niski blok, w którym tylko jedno okno jest rozświetlone, choć przykryte jasną żaluzją.

Przekraczam próg kwiaciarni i uderzam we włącznik światła. Wnętrze ożywa. W pomieszczeniu panuje nieprzyjemny zaduch. Drobne, białe goździki wciąż się trzymają, ale część różowych, o większych pąkach, opadła. Żółte róże zwiędły całkowicie. Gdyby wszedł tu teraz któryś

z klientów, już by więcej nie wrócił. Przy pojemnikach z trawami i liśćmi unosi się zapach zgnilizny. Woda w nich jest zielonobrazowa. Dostrzegam osad na brzegach flakonów.

Podłoga jest w miarę czysta. Nie ma już na niej śladów krwi, tylko trochę piasku, zapewne naniesionego przez ludzi, którzy przewinęli się w tygodniu przez kwiaciarnię. W drodze na zaplecze prawie przewracam kryształową misę stojącą na wąskiej półce. W ostatniej chwili ją podtrzymuję. Idę do regału z segregatorami. Wygląda na to, że nikt go nie ruszał. Mały pilnik do paznokci, który zostawiłam na najwyższej półce, wciąż tam leży.

To w końcu nie jest żadne miejsce zbrodni, myślę, tylko lokal, w którym być może doszło do jakiejś napaści. Nikt nie wie, czy Helena po prostu nie zraniła się nożem i nie wyszła. Ja uważam, że to nie jest do niej podobne, ale policja pewnie bierze różne opcje pod uwagę, tym bardziej że potem była widziana w górach – o ile to była ona.

Wyciągam segregatory, jeden za drugim, i układam je obok siebie na komodzie. Za nimi jednak nic nie ma, patrzę bezsilnie na pustą, białą ścianę. Otwieram szuflady w komodzie, przesuwam poukładane w niej taśmy, nożyczki. Nic nie przykuwa mojej uwagi. Niedawno robiłam tu porządek. Zamykam ostatnią szufladę i nagle słyszę dobiegający zza ściany łomot, chyba coś się stłukło. Może jakiś wazon? Otwieram środkową szufladę w komodzie i łapię duże ostre nożyce. Podnoszę się i na drżących nogach wychodzę z zaplecza, niepewna, co zastanę dalej. Czuję się tak, jakby jakiś wir wsysał mnie do środka, jedyne, co dla mnie teraz istnieje to błysk nożyczek i ukazująca mi się biała podłoga głównego pomieszczenia oraz leżące na niej odłamki kryształu. To misa, którą sama prawie straciłam, idąc na zaplecze.

Na jej widok odrobinę się uspokajam.

Mogłam ją wsunąć głębiej, myślę, i w tym samym momencie dobiega mnie jakiś szmer, który po chwili przechodzi w głośny tupot czyichś

kroków.

Rozchyłam usta, ale nie wydobywa się ze mnie żaden dźwięk. Pierwszy szok minął, teraz czuję już wyłącznie strach. Ktoś jeszcze jest w kwiaciarni. Przeszywa mnie nieznośny chłód, dolna szczęka zaczyna mi drżeć. Mimo wszystko idę do przodu, krok za krokiem, powoli. Zanim wchodzę do głównego pomieszczenia kwiaciarni, słyszę trzask zamykanych drzwi.

Rozglądam się nerwowo po lokalu, szukam śladów jego obecności, nie wiem, skąd ten człowiek przyszedł, kim był, czego chciał.

Z dworu dobiegają jakieś krzyki, piskliwy śmiech. Te dźwięki dodają mi otuchy. Podchodzę do drzwi, wyrzucając sobie, że ich nie zamknęłam po wejściu do kwiaciarni. Smycz z kluczami wisi mi na szyi. Byłam zaaferowana widokiem kwiaciarni, zwiędłymi kwiatami, szukałam śladów krwi, a teraz nie wiem, czy ktoś wszedł tu z ulicy, gdy byłam w drugim pomieszczeniu, czy czekał w środku, zanim przyszłam.

Roztrzęsiona wychodzę przed lokal i widzę grupkę młodych ludzi, którzy chwiejnym krokiem podążają w kierunku centrum. Są po drugiej stronie jezdni, mniej więcej na wysokości kwiaciarni. Przed nimi idzie jakaś para trzymająca się za ręce.

Drogą sunie leniwie sedan, a za nim wysokie, ciemne auto. Sedan skręca w bok, ale furgonetka jedzie dalej prosto, zaraz minie kwiaciarnię. Przyglądam się jej, mrużąc oczy, wydaje mi się, że ma źle ustawione światła. W końcu orientuję się, że patrzę na radiowóz policyjny, który zapewne rutynowo patroluje ulice.

To odkrycie dodaje mi energii. Wychodzę na początek drogi, macham w kierunku samochodu, czując się pewniej, bezpieczniej. Auto powoli zwalnia.

Szyba od strony kierowcy zjeżdża w dół, widzę łysego mężczyznę z krótką brodą.

– Ktoś włamał się do kwiaciarni – zaczynam bez żadnego wstępu, wskazując dłonią na otwarty lokal. – Możecie to sprawdzić?

Głos mam roztrzęsiony, kulę się w sobie, bo wciąż mi zimno, choć noc jest ciepła i duszna, a ja mam na sobie kurtkę.

Mężczyzna kiwa głową i wjeżdża na chodnik. Silnik gaśnie, z radiowozu wychodzi trzech policjantów. Dwóch facetów i jedna kobieta o krótkich, jasnych włosach.

To ona rozpoczyna ze mną rozmowę.

– Co się dokładnie stało?

– Pracuję w tej kwiaciarni od lat, przyjechałam tu przed chwilą i kiedy byłam na zapleczu, usłyszałam dźwięk tłuczonego szkła. Rozbiła się kryształowa misa. Potem zorientowałam się, że ktoś wybiega z lokalu, ale niestety go nie widziałam.

– Czy ma pani przy sobie dowód osobisty?

– Tak.

Otwieram torebkę i grzebię w niej, szukając portfela. Choć jest płytka, nie mogę go nigdzie znaleźć. W pewnym momencie wypadają z niej papeteria i liściki od Heleny. Rzucam się na ziemię, chcę je podnieść. Policjantka jest jednak szybsza i zgarnia je z kostki brukowej przede mną.

– Proszę – mówi uprzejmym głosem, podając mi moje rzeczy, i jednocześnie zmrużonymi oczami przygląda się liścikowi.

Czuję się jak szalona kobieta, gdy je od niej przejmuję. Mam wrażenie, że zajrzała do mojego małego popieprzonego świata, w którym wszystko się rozmywa, nic nie jest stałe i pewne.

Gdy chowam je z powrotem do torebki, obserwuje mnie z większym zainteresowaniem niż jeszcze przed chwilą, albo to moje złudzenie. W końcu dopadam portfel i podaję jej dowód. Kiedy spisuje moje dane, policjanci zagląдают przez witryny do środka kwiaciarni. Nie wydają się szczególnie przejęci sprawą.

– Dobrze, czy pani jest właścicielką lokalu? – pyta policjantka, oddając mi dokumenty.

– Nie, jestem pracownicą, właściwie menedżerką kwiaciarni.

– A gdzie jest właściciel?

– Właściciel jest w domu, a właścicielka zaginęła tydzień temu. Wszystko było zgłaszane. Sprawę prowadzi aspirant Walewska.

– Ach, to tu – odpowiada natychmiast, co uzmysławia mi, że zna temat zaginięcia Heleny.

– Może wejdziemy? – proponuję.

Wszyscy wchodzimy do kwaciarni. Pokazuję im zaplecze, drogę do głównego pomieszczenia. Wskazuję, gdzie według mnie ukrył się włamywacz – za szafkami z kwiatami doniczkowymi po prawej stronie od lady. Proszę, żebym rozejrzała się po lokalu i oceniła, czy coś zginęło. Wydaje mi się, że wszystko jest na swoim miejscu, choć okoliczności są nietypowe, bo nie było mnie kilka dni w kwaciarni. Kiedy mówię, że nie zamknęłam za sobą drzwi na klucz, podsuwają mi rozwiązanie, które też przeszło mi przez myśl. Ktoś mógł tu wejść, gdy byłam na zapleczu.

– Nawet jeżeli, to nie miał prawa tego zrobić – zauważam. – Jest środek nocy.

– Z tym że drzwi były otwarte – mówi łyśy z brodą.

– Niestety, tak – muszę przyznać mu rację. – Jakie będą teraz wasze kroki?

– Rano powiadomimy o zajściu właściciela i zobaczymy, jak on ustosunkuje się do całej sprawy.

Mogłam spodziewać się takiej odpowiedzi. Nie dyskutuję już z policjantami, wiem, że obiektywnie sprawa nie wygląda na groźną, jednak to, co czułam, słysząc tłukące się szkło i tupot czyichś kroków, sprawia, że do tej pory żołądek mam zwinięty w supeł.

Gdy funkcjonariusze wychodzą, czuję się, jakbym była wystawiona na pokaz całemu miastu. Tkwię w rozświetlonym, przeszklonym pomieszczeniu, naprzeciwko pogrążonego w ciemnościach miasta. Nie chcę być tu ani minuty dłużej. Gaszę światło, zamykam drzwi i wracam do samochodu, rozglądając się czujnie na boki.

Dorian

„WYDAM CIE SUKO”.

Policjant z tatuażem na szyi robi zdjęcia napisu, a jego koleżanka drugi raz obchodzi teren wokół domu, z latarką w dłoni.

Mają jeszcze pojeździć po okolicy i poszukać tego człowieka, nie sądzę jednak, że go znajdą. Uciekł stąd pół godziny temu.

Jacek Korcz opowiada teraz policjantowi o tym złodzieju czereśni z zeszłego roku. Po przyjeździe radiowozu wyszedł znowu z domu, tym razem w szlafroku. Nie omieszkał wspomnieć funkcjonariuszom, że podanie o oświetlenie naszej ulicy od dawna leży w urzędzie miasta. To by na pewno pomogło. Wszyscy czulibyśmy się bezpieczniej.

Policjantka wraca z obchodu, informując, że nic nie wzbudza jej podejrzeń. Odjeżdżają spod mojego domu pięć minut później. Jacek zostaje ze mną i kręci głową, wskazując na napis:

– To już naprawdę przesada – mówi.

Czuję od niego strach. Boi się o swój dom, o to, że ten człowiek wróci i tym razem wkroczy na jego teren. Co innego przegonić małego włamywacza, a co innego mierzyć się z intruzem, który niszczy ci bramę wjazdową groźbami.

– Jakby mało nieszczęść was spotkało – ciągnie. – Najpierw Helena, a teraz to.

– Idę do domu, Jacek. Dzięki za wszystko.

– Nie ma sprawy.

Wciąż jestem wkurwiony. Najbardziej boli mnie to, że nie wiem, z kim się mierzę. Jaki ten ktoś ma cel? Chce mnie przestraszyć czy naprawdę coś uzyskać?

Zamykam się w domu na klucz i wracam do sypialni. Mam dwa nieodebrane połączenia od Soni, ostatni raz próbowała skontaktować się ze

mną godzinę temu. Pewnie już zasnęła, oddzwonię do niej jutro rano. Leżę pod kołdrą, wyczulony na każdy dźwięk płynący z dworu.

To szum silnika przejeżdżającego auta, to szczeknięcie psa. Kij leży teraz obok mnie, liczę się z tym, że w każdej chwili mogę wyskoczyć z łóżka i go użyć. Dopiero po dwóch godzinach, gdy dopada mnie zmęczenie, zaczynam wierzyć, że ten facet na dziś już skończył. Zасыpiam, wciąż mając go pod powiekami. Zacieniona twarz, chude nogi w jeansach biegnące po asfalcie, błyszcząca kurtka i to podłe hasło na bramie. Czuję, że to nie koniec. On tu jeszcze wróci.

Sonia

– Cześć! – Sylwia wita się ze mną, poprawiając pasek wielkiej torebki na ramieniu.

Spotykamy się pod drzwiami Chloris. Jest piękny sobotni poranek. Dziewczyna wygląda świeżo i delikatnie, jak zawsze. Ma jasną skórę i czarne, proste włosy, które błyszczą od wcieranych w nie olejków.

Napisała do mnie godzinę temu, czy spróbujemy coś „ogarnąć” w Chloris. Zgodziłam się. Myślę, że Helena chciałaby, żeby kwiaciarnia wciąż funkcjonowała. Oczywiście dziś jeszcze jej nie otworzymy, ale przydałoby się posprzątać, przewietrzyć lokal, w którym czuć już swąd zgniłych roślin i nieświeżej wody.

– Masz jakieś wieści? – pyta, gdy wchodzimy do środka.

– Nie, nic nowego.

Nie zamierzam mówić jej, że byłam w kwiaciarni w nocy i że ktoś tu grasował, gdy przebywałam na zapleczu. Jeszcze się przestraszy i będzie chciała się zwolnić. Nie zarabia tu dużo, z łatwością znalazłaby robotę w innej kwiaciarni, a ja potrzebuję teraz dodatkowych rąk do pracy jak nigdy.

Nie jest idealną pracownicą, ale, jak powtarzała Helena, „kwiaty układa nieźle”.

Chcę ją mieć teraz przy sobie, a doskonale wiem, że wydarzenia ostatnich dni nadwyrężyły jej psychikę. Helena zaginęła, w Chloris były ślady krwi. Tego nie mogłam przed nią ukrywać. Musiałam jej wytłumaczyć, dlaczego policja sprawdzała lokal.

– O matko, spadła ulubiona misa Heleny. – Sylwia wskazuje zadbaną dłońią na odłamki kryształów, które wciąż leżą na podłodze. – Wkładała do niej suszone wisterie i róże.

– Posprzątasz? – proszę, podając jej miotłę.

– Jasne. Myślisz, że w poniedziałek otworzymy kwaciarnię?

Wzdycham ciężko, patrząc na panujący tu bałagan.

– Może się uda.

– Może do tego czasu Helena wróci.

– Myślisz, że tak będzie? – pytam, wędrując na zaplecze, gdzie chcę wstawić wodę na herbatę.

– Nie wiem, ale mam taką nadzieję.

Słyszę, jak szura po podłodze miotłą. Zazdroszczę jej tego naiwnego optymizmu. Nie była w górach, nie jechała do szpitala z myślą, że przywieźli tam Helenę w stanie krytycznym, nie patrzyła na nieprzytomną kobietę, który stoczyła się z grani. Takie doświadczenia sprawiają, że w człowieku gaśnie nadzieja, zaczyna dostrzegać na świecie więcej zła, rozumie, że może ono dopaść każdego.

Kiedy zalewam sobie herbatę, dzwoni do mnie Dorian. Na widok jego imienia na wyświetlaczu ulatuje ze mnie spokój, który z niewiadomych przyczyn czułam od rana.

– Halo?

– Dzwoniłaś w nocy. Co się stało?

Gdy słyszę jego głos, niepokój się pogłębia. Czuję się tak, jakbym znowu tkwiła z nim w małym pokoiku na poddaszu schroniska.

– Byłam w nocy w kwiaciarni – mówię cicho, wychylając się na moment z zaplecza i sprawdzając, co robi Sylwia.

Właśnie włącza małego boomboxa, który stoi w rogu lokalu, za czarnym kwietnikiem z monsterami. Wnętrze wypełnia refren piosenki *No woman, no cry*, a dziewczyna podryguje do jego rytmu i dalej szura miotłą po podłodze.

– Po co? – pyta tymczasem Dorian.

– Musiałam coś ze sobą zrobić, nie mogłam usiedzieć w domu.

– Dzwoniłaś, żeby mi to powiedzieć?

– Nie, dzwoniłam, bo ktoś tu wszedł, gdy byłam na zapleczu. Nie wiem, czy zrobił to przed moim przyjściem czy już po.

– Jak to? O czym ty mówisz? – pyta szybko, a jego głos przybiera na sile.

Niemal widzę, jak rosną mu oczy ze zdziwienia. Napatrzyłam się na nie w ostatnich dniach.

– Usłyszałam jakiś hałas, a potem ktoś wybiegł z kwiaciarni. Kiedy wyszłam przed lokal, nie było już po nim śladu. Akurat przejeżdżał patrol policyjny, zatrzymałam ich i zgłosiłam sprawę. Mają się z tobą kontaktować.

– Faktycznie, mam nieodebrane połączenie od Walewskiej, ale może jej chodzić też o coś innego.

– Możliwe, że już jej powiedzieli – odpowiadam, wyciskając torebkę z herbatą w pierwszym kubku, potem przechodzę do drugiego i dopiero teraz orientuję się, że odruchowo zaparzyłam też herbatę dla Heleny.

Sylwia zawsze pije słodkie soki, nie lubi ciepłych napojów.

Oczy zachodzą mi mgłą. Ta drobnostka uzmysławia mi, że tu w kwiaciarni najbardziej będę odczuwała brak przyjaciółki. Powstrzymuję łzy, staram się skupić na tym, co mówi do mnie Dorian:

– Ale jak to dokładnie było? Czy ten człowiek coś gdzieś napisał? Zostawił jakiś ślad?

Dziwią mnie jego pytania, mimo to odpowiadam na nie precyzyjnie:

– Nie zostawił żadnego śladu. Policja obejrzała kwiaciarnię.

– U mnie też ktoś w nocy był.

– Co? Chyba coś źle zrozumiałam – mówię, przekładając telefon do prawej dłoni i przysuwając go bliżej ucha.

– U mnie też ktoś w nocy był, Sonia.

Nic nie odpowiadam, tylko kręcę przecząco głową, choć wiem, że przecież tego nie zobaczy.

Potem osuwam się bezsilnie na krzesło.

– Jesteś tam? – pyta.

– Tak.

– Napisał mi na bramie garażowej: „Wydam cię suko”.

– Wydam cię suko? – powtarzam z rozpaczą, orientując się, że w kwiaciarni zapadła cisza.

Sylwia nie słucha już muzyki albo ściszyła radio.

Do tej pory żyłam złudzeniem, że w nocy do kwiaciarni wszedł jakiś przypadkowy człowiek, pijany przechodzień, który uznał zapalone światło w lokalu za wystarczającą zachętę, ale jak wytłumaczyć fakt, że w domu Dorigana też ktoś był? Czy te dwa zdarzenia są ze sobą jakoś powiązane?

– Zgłaszałeś to na policji?

– Tak, zadzwoniłem do nich.

– Nie sądzę, żeby to był zbieg okoliczności – mówię.

– Co takiego?

– To, że ktoś był u was w domu i tutaj w Chloris.

– Nie wiem, zostawiam to do rozstrzygnięcia policji.

– Widziałeś tę osobę?

– Wiem tylko, że to był facet, przynajmniej tak był ubrany. A tobie udało się zobaczyć człowieka, który wszedł do kwiaciarni?

– Nie, nic o nim nie wiem.

– Sonia, może przyjedziesz do mnie? Wspólnie pomyślimy, co dalej z tym wszystkim robić?

– Mogę przyjechać. Jesteś w domu?

Chcę zobaczyć ten napis. Mam wrażenie, że gdy na niego spojrzę, to coś mi się nasunie, wpadnę na pomysł, kto mógł to zrobić.

– Teraz mnie nie ma. Mam dziś trochę spraw do załatwienia. Chcę podjechać na komendę, do szkoły.

– Jest sobota – przypominam mu.

– Wiem, ale zostawiłem tam parę swoich rzeczy po twoim telefonie w poniedziałek. Tablet, ulubioną bluzę. To może banalne, ale po tym parszywym tygodniu potrzebuję odrobiny normalności.

– Rozumiem cię. – Rozglądam się po zapleczu, myśląc, że ja jestem dziś w Chloris z tego samego powodu.

Chcę utrzymać psychiczną równowagę, złapać pion. Nagle natrafiam spojrzeniem na Sylwię. Stoi w progu zaplecza, w dłoni trzyma szufelkę z kawałkami kryształów i drobnymi listkami. Pewnie chce wyrzucić to do śmieci. Nie idzie jednak w kierunku kubła, tylko przygląda mi się w osłupieniu.

– To o której mam być? – Odwracam od niej wzrok.

– Może o osiemnastej?

– Pasuje. Do zobaczenia.

– Cześć.

Gdy tylko kończę rozmowę, Sylwia pyta:

– Rozmawiałaś z Dorianem?

– Tak.

Rozchyła usta, mam wrażenie, że chce coś powiedzieć, jakoś to skomentować. Najwyraźniej usłyszała naszą rozmowę.

– Coś się stało? – pytam, masując się po karku.

– Może to ty mi powiesz, co się stało?

Czasem czuć od niej jeszcze rozbijającą bezpośredniość nastolatki. Znam ten stan. Sama też kiedyś taka byłam.

– Nic miłego, Sylwia, skupmy się dziś na pracy. Chcę się oddalić od całej tej sprawy.

Kiwa głową jak zrugane dziecko i przechodzi obok mnie bez słowa. Wyrzuca odłamki kryształów do śmieci, po czym wychodzi z zaplecza. Przez jakiś czas wydaje się jeszcze spięta, ale później wszystko wraca do normy.

Okolo jedenastej wycieram kurze na długiej bocznej półce. Terakotowe donice, które z niej zdjęłam, piętżą się na ladzie. Na jednej z nich dostrzegam brunatną plamkę. To może być zwykły brud, ale nie mogę opędzić się od myśli, że to krew. Szoruję ją energicznie gąbką, czując się, jakbym robiła coś bardzo złego. Schodzi dopiero po jakimś czasie. Nie jestem w stanie dotknąć tą gąbką już niczego innego. Wyrzucam ją do śmieci, a donicę odkładam na bok z myślą, że nie będę jej nikomu sprzedawać. Zabiorę ją do siebie. Helena na pewno też podjęłaby taką decyzję na moim miejscu.

Gdy ściągam srebrne świeczniki z kolejnej półki, słyszę pukanie do szklanych drzwi. Odwracam się w ich kierunku i widzę mężczyznę w marynarce. Sprawia wrażenie kogoś mi znanego, choć nie mam pojęcia, gdzie już go widziałam. Wpatruje się we mnie poważnie, czekając niecierpliwie, aż mu otworzę.

Idę do niego, myśląc, że to może prokurator albo inny urzędnik. Na detektywa mi nie wygląda, jest zbyt elegancki, chyba że to jakiś kolega Heleny lub Doriany. Ta twarz z każdą sekundą wydaje się bardziej znajoma. Doświadczam teraz uczucia podobnego do tego, które ogarnia człowieka, gdy nuci jakąś piosenkę, nie mogąc przypomnieć sobie jej tytułu. Ma go na końcu języka, wyczuwa wszystkimi zmysłami, ale wciąż nie potrafi odnaleźć tych właściwych słów.

Otwieram mu z zaciekawieniem.

– Dzień dobry, słucham?

– Dzień dobry, Czarkowski. Wróciłem właśnie z podróży służbowej, dotarły do mnie wieści o Helenie.

Właśnie tak. *Czarkowski*.

Czuję, jak otwierają się we mnie te niewidzialne wrota, których chwilę temu tak gorączkowo szukałam. Adam Czarkowski. Właściciel sieci luksusowych hoteli. Jeden z nich jest we Wrocławiu. Helena dostawała od jego pracowników zlecenia, odpowiadała za wystrój sal weselnych, dekorację ścianek dla pary młodej, a nawet zdobienie kościołów podczas ślubów. Ja też współpracowałam z hotelem Czarkowski, ale rzadko miałam do czynienia z jego właścicielem. Dużo wyjeżdża. Wiedziałam, że znają się dobrze z Heleną, choć przyjaciółka nigdy nie powiedziała mi skąd.

– Dzień dobry, tak, Helena zaginęła.

– Mogę wejść?

– Oczywiście.

Robię krok do tyłu i gestem dłoni zapraszam go do środka. Przy okazji omiatam wzrokiem kwaciarnię, ciesząc się w duchu, że zdążyliśmy już z Sylwią z grubsza ją ogarnąć.

– Proszę usiąść. – Przejeżdżam szmatką po taborecie i podsuwam go bliżej.

– Nie, dziękuję.

Wkłada dłonie do kieszeni jeansów. Na klamrze jego paska jest logo Diora. Pachnie drzewem cedrowym i czymś słodkim. Ma krótkie, ciemne włosy, na których gdzieniegdzie pojawiają się siwe kosmyki, dodające mu powagi. To przystojny, bardzo zadbany i luksusowo ubrany mężczyzna w okolicach pięćdziesiątki, na którego z dziwnym błyskiem w oczach spogląda teraz Sylwia.

On jednak zdaje się nie zwracać na nią uwagi.

– Proszę mi powiedzieć, co się dokładnie stało – mówi.

– Z Heleną?

– Tak, z Heleną – odpowiada spokojnie, rzucając mi pełne otuchy spojrzenie.

– Jeżeli chodzi panu o zamówienia związane z weselami w hotelu Czarkowski, to wszystkiego dopilnujemy – stwierdzam, mierząc go wzrokiem.

– Nie chodzi mi o zamówienia, tylko o Helenę. Jest moją przyjaciółką. Jestem ciekawy, co ustaliła policja, na jakim etapie jest śledztwo, jakie mają hipotezy.

Wlepia we mnie przenikliwe spojrzenie zimnych, niebieskich oczu. Ciężko utrzymać z nim kontakt wzrokowy. Jest w nim coś niepokojącego.

– Na razie zbyt wiele nie wiadomo. Wyszła w góry i nie wróciła, a pana, jak rozumiem, nie było w kraju, tak? – pytam ostrożnie, układając sobie w głowie już nowe scenariusze.

– Byłem dwa tygodnie we Francji. Wróciłem wczoraj. Helena dzwoniła do mnie jeszcze w sobotę, potwierdzając kilka szczegółów związanych z nowym kontraktem.

– Policja na pewno już to namierzyła. Z tego, co wiem, przeglądali jej bilingi.

Macham ręką tak niefortunnie, że świecznik stojący obok mnie zaczyna się chwiać.

W ostatniej chwili udaje mi się go złapać.

– Nikt się ze mną nie kontaktował – zauważa tymczasem Czarkowski.

– Być może uznali, że nie ma takiej potrzeby.

– W jakie góry ona poszła? – pyta z niedowierzaniem w głosie.

– Na Orlą Percé.

Nie chcę zdradzać mu zbyt wiele, na przykład tego, że znaleziono na trasie jej zakrwawiony szalik, czy tego, że mężczyźni wędrujący Orlą przed Heleną usłyszeli w pewnej chwili kobiecy krzyk.

– Na Orlą Perć – powtarza za mną cicho. – To niebezpieczny szlak. Zginęło na nim mnóstwo ludzi. Co ją podkusiło?

– Też zadaję sobie to pytanie. Może Dorian więcej panu powie?

Marszczy brwi i prawie niezauważalnie potrząsa głową.

– Nie znam go zbyt dobrze.

– Mnie też pan nie zna zbyt dobrze.

Na te słowa życzliwie się uśmiecha.

– Helena dużo o pani opowiadała.

– Co panu o mnie opowiadała?

– Same dobre rzeczy – mruga przyjaźnie – świetna przyjaciółka, lojalna pracownica, utalentowana florystka. Z tego powodu nie martwię się zbyt o hotelowe zamówienia. Wiem, że bez trudu sobie pani z nimi poradzi.

Brzmi teraz jak manager, chcący zmotywować pracownika do działania. Nie ufam mu.

Prawda jest taka, że bez Heleny praca w Chloris będzie dla mnie nie lada wyzwaniem. Nie przyznaję mu się do tego, ale zamówienia z minionych dni odwołałam, pisząc do klientów przeproszające wiadomości. Liczę na to, że te poważniejsze zlecenia związane ze ślubami w kolejnych tygodniach uda mi się zrealizować.

Teraz jednak ważne jest dla mnie coś innego. Czarkowski i Helena musieli być blisko, skoro mu o mnie opowiadała. Do tej pory uważałam, że Czarkowski był jej znajomym, a nie przyjacielem, jak to określił chwilę temu.

– A ja wierzę, że Helena wkrótce się odnajdzie – odpowiadam.

W jego oczach pojawia się przeblysłk zaskoczenia, który po sekundzie znika.

– Pan nie wierzy? – chwytam się jego zdumienia.

– Oczywiście, że tak. Jak najbardziej. – Spogląda na złoty zegarek okalający jego nadgarstek. – Muszę już się zbierać. Mam prośbę.

Wyciąga z kieszeni swoją wizytówkę i mi ją podaje. Przejmuję od niego gruby, mieniący się na srebrno kartonik z przypominającym różdżką logiem hotelu Czarkowski.

– Czy da mi pani znać, gdy dojdzie do jakiegoś przełomu w śledztwie?

– Tak – odpowiadam to, co trzeba.

Gdyby nie był jednym z naszych najważniejszych klientów, pewnie posłałabym go wraz z tym srebrnym kartonikiem do diabła, ale muszę zachować pozory.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Te słowa są prawdziwe. Nie zamierzam informować go o niczym, co jest związane ze śledztwem. Coś mi w nim nie pasuje, ta dociekliwość wydaje się przesadna, jakby był dla Heleny kimś bardzo bliskim, choć widzę go tu pierwszy raz w życiu. W związku z tym czuję, że domaga się ode mnie ważnych informacji, nie mając ku temu wyraźnych podstaw. Byłabym co najmniej nierozsądna, gdybym mu je przekazała.

Czarkowski wychodzi z kwaciarni. Przez witryny widzę, jak odjeżdża swoim niskim, sportowym samochodem. Chowam jego wizytówkę do kieszeni i z mieszanymi uczuciami wracam do pracy.

Rozdział 16

Na cmentarzu nie ma dziś zbyt dużo ludzi. Gdzieś tam widać starsze kobiety, które sadzą kwiaty, polerują nagrobki lub zamiatają drobne liście ze ścieżek otaczających groby. Jest słoneczne, sobotnie popołudnie.

Zapalam znicz na marmurowej płycie pod zdjęciem mojej siostry, odganiając uporczywą myśl, że niebawem będę robić to samo na grobie Heleny. Czuję się nie fair w stosunku do przyjaciółki, ale brak wiadomości dobija mnie z każdym dniem coraz bardziej.

Przymykam powieki i modłę się przy grobie Eli, słuchając jednocześnie kojącego szumu wiatru i świergotu ptaków. W nocy złapałam może trzy godziny snu, rano w kwiaciarni czułam się dość rześko, ale teraz prawie śnię na jawie.

Otwieram oczy, bo czuję, że zaraz stracę równowagę i wtedy widzę naprzeciwko siebie kobietę o długich, jasnych włosach, z dużymi okularami przeciwsłonecznymi na twarzy. Ich lustrzane szkła mają kanciasty kształt. Odbijający się w nich blask słonecznego światła razi mnie w oczy. Osłaniam się dłonią, ale wciąż patrzę na tę kobietę. Stoi na ścieżce kilkanaście metrów ode mnie. Oddzielają nas dwa rzędy grobów. Ma podobną sylwetkę do Heleny, jest drobna, niska, ubrana w cienki, beżowy trencz, przewiązany ciasno w talii.

Robię krok w bok i patrzę na nią oniemiała. Ścieżka, na której stoi, prowadzi do grobu rodziców Heleny. Pod wpływem impulsu ruszam w jej kierunku, z każdą chwilą utwierdzając się w przekonaniu, że to naprawdę moja przyjaciółka. W pewnej chwili zauważam krew spływającą z jej dolnej wargi.

– O Boże – mamroczę, wyciągając w jej kierunku dłoń.

Torebka zsuwa mi się na łokieć, nie poprawiam jej, tylko prę do przodu, pogrążona w dziwnym transie.

– Helena – szepczę, a ona rusza z miejsca szybkim krokiem.

Między nagrobkami migają mi jej jasne buty na wysokim, lakierowanym obcasie. Znam je. Znam je aż za dobrze. Pożyczyłam je od niej na początku tego roku.

Przyspieszam, czując, jak łyży perlą się w kącikach moich oczu. Wychodzę już na ścieżkę i wpatrzona w trapezowy ścieg z tyłu jej trencza, próbuję ją dogonić.

– Helena, błagam, zatrzymaj się! – wołam, ale ona nie słucha, tylko pędzi przed siebie.

Jej pofalowane włosy poruszają się na ramionach przy każdym kroku. Wychodzi na główną ścieżkę prowadzącą do wyjścia. Wtedy pojmuję, że przede mną ucieka i zaczynam biec. Nie wybaczę sobie, jeśli jej nie dogonię. Czuję ulgę i niepokój jednocześnie. Dlaczego się nie zatrzymuje? Czy zrobiłam coś złego?

W końcu dobiegam do niej i łapię ją za ramię, zmuszając do tego, żeby odwróciła się w moją stronę.

– Puszczaj! – woła obcym głosem.

Okulary zsuwają jej się z twarzy. Widzę jej okrągłe, przestraszone oczy. Mienia się kilkoma odcieniami zieleni, otacza je firanka sklejonych tuszem rzęs.

– Co się dzieje, Ola? – Podchodzi do nas jakaś wysoka kobieta w ciasno upiętym kucyku.

– Nie wiem, ta baba jest nienormalna.

Patrzę na nie chwilę, czując się, jakbym dostała obuchem w głowę albo spadła na ziemię po krótkim locie.

To nie jest Helena. Ma inne oczy, głos i odcień włosów. Z jej ust nie cieknie krew, ma jedynie lekko rozmazaną szminkę w ich prawym kąciku.

Momentalnie ściągam łopatki i unoszę dłonie w obronnym geście.

– Przepraszam, pomyliłam panią z kimś. Bardzo przepraszam.

Wiem, że takie tłumaczenie po tym, co zrobiłam, jest niewystarczające.

Kobiety wciąż patrzą na mnie z niesmakiem, jakby wąpiły w moją poczytalność. Przeglądam się w ich oczach. Tłuste włosy złapane nisko w smutnego kucyka, podkrążone oczy, suche usta. Chcę jeszcze coś powiedzieć, wyjaśnić im, że straciłam niedawno kogoś bliskiego.

– Ja...

Wyższa prycha z pogardą i obejmuje ręką blondynkę, jakby była jej strażniczką, a do mnie dociera, że muszę jak najszybciej je wyminąć i oddalić się w kierunku wyjścia.

Rozdział 17

Ponoć gdy człowiek nie śpi przez dwie doby, zaczyna mieć objawy zaburzeń psychicznych. Ja śpię każdej nocy, ale za mało – ten dziwny stan trwa już od tygodnia.

Jadę samochodem do domu matki, wciąż przytłoczona zajściem na cmentarzu. Jest mi wstyd, że tak zareagowałam na widok obcej kobiety. Jak mogłam pomyśleć, że to Helena? Przecież gdyby to była ona, nie stałaby na cmentarnej ścieżce, wpatrując się we mnie w milczeniu.

Parkuję przed zardzewiałą bramą wjazdową. Zanim wysiadam z auta, przypominam sobie o tym, że nie poinformowałam jeszcze aspirant Walewskiej o tej wiadomości, którą dostałam parę dni temu. Dzwonię do niej i o wszystkim opowiadam. Nie, nie mam pomysłu, dlaczego ktoś napisał, że ta sprawa dotyczy też mnie. Nie, od tamtej pory nie dostałam już żadnej anonimowej wiadomości.

Potem idę do rodzinnego domu, niosąc flowerboxa dla mamy. Zrobiłam go w Chloris, używając kremowych i białych goździków, które jeszcze jakoś się trzymały. Czasem przywożę mamie kwiaty, wierząc, że wprowadza to do mojego dawnego domu odrobinę życia, ale dzisiejsza kompozycja niestety oddaje mój aktualny nastrój. Kwiaty straciły na świeżości. Brzegi ich płatków gdzieś pociemniały i odrobinę się wywinęły. Widziałam to jeszcze w kwiaciarni. Powinnam wsunąć pomiędzy pąki więcej ozdobnej trawy, ale tego nie zrobiłam, jakbym chciała skanalizować swoją obojętność i smutek, przenieść je do tego ciemnego kwadratowego pudełka, podzielić się nimi ze światem. Otwieram drzwi i zerkam na reprodukcję autoportretu van Gogha, która jak zawsze straszy w sieni. Ma poźólkłą, zakurzoną ramę, w której kącikach zbierają się pajęczyny. Od dobrych paru lat już ich nie zdejmuję. Stanowią dla mnie część obrazu, który zawiesił jeszcze ojciec, gdy byłam mała.

Wchodzę do środka, witając się z Tadeuszem, który jak zawsze siedzi ze smartfonem w rękę, wlepiając oczy w jego ekran. Oparcie wózka inwalidzkiego jest lekko odchylone do tyłu, przez co nie może się na nim wygodnie oprzeć. Był używany, gdy go kupili, nie stać ich było na nowy. Obok Tadeusza stoi kufel z piwem, dalej widzę dwie puste butelki po Piastach. Odruchowo zgarniam je ze stołu wolną ręką i wyrzucam do śmieci.

– A tej znowu wszystko przeszkadza – mruczy pod nosem.

Nie jest w humorze. Z reguły mnie ignoruje, ale dziś najwyraźniej chce jeszcze ponarzekać.

– Gdzie mama? – pytam, kładąc torebkę na taborecie, a kwiaty stawiając na stole.

Tadeusz kiwa głową w kierunku ogrodu, nie odrywając wzroku od telefonu.

Wychodzę na drewniany, trzeszczący taras i idę do matki, która pali papierosa na leżaku pod wysokimi krzakami pomidorów oplatającymi cienkie patyczki. Obok niej, przy drewnianym stoliku, siedzą Daniel i jego dziewczyna Milena.

Milena piłuje paznokcie cienkim pilnikiem, rzucając mi przyjazne uśmiechy. Nie jest zbyt gadatliwa. Ma jasne, kręcone włosy, pomalowane na ciemno oczy i spory, lekko garbaty nos.

Daniel ma rzadką grzywkę, która opada na czoło, głęboko osadzone, ciemne oczy. Dym z papierosa matki rozplywa się między pożółkłymi liśćmi warzyw.

– Cześć, przyniosłam ci kwiaty. Zostawiłam na stole.

Gdy widzę jej twarz, momentalnie pojmuję, że jest wstawiona. Uszy ma czerwone, szare oczy błyszczą jak dwa srebrne guziki.

– Dzięki. I co, znalazła się ta twoja koleżanka? – pyta chrapliwie.

– Nie.

Kiwa głową, pogrążona w swoim świecie. Czasem, gdy widzę jej pomarszczoną skórę i łyse placki między złapanymi gumką włosami, robi mi się jej szkoda. Mąż ją zostawił z dwiema córkami, z których jedna była niepełnosprawna i później zmarła. Związała się z alkoholikiem, który stracił sprawność i porusza się na wózku. Choruje na depresję, której nie leczy, zamiast tego wspierając się winem i wódką.

Gdy nachodzą mnie takie myśli, mam ochotę w popłochu wybiec z rodzinnego domu. Uciec przed niebezpieczną prawdą, którą przecież noszę w sobie. Wszystkie te odziedziczone po matce części, na które na co dzień nie zwracam uwagi, tutaj zaczynają mnie nagle uwierać. Z dala od domu czuję się kimś innym, lepszym, czystszy. A potem tu wracam i zmieniam o sobie zdanie. Dziś jednak jestem na to bardziej znieczulona.

Przysiadam na krześle obok Daniela i Mileny. Obydwoje mają mocno rozszerzone źrenice, w które ciężko patrzeć ze spokojem. Domyślałam się, że wciągnęli po dwie kreski amfetaminy. Nie znoszę, kiedy są naćpani, rozpoznaję to po nich natychmiast, bo jeszcze w liceum, po tym, jak ojciec nas porzucił, kilka razy sama to wzięłam. Czułam się samotna, miałam na głowie Elę. Mama zaczęła spotykać się z Tadeuszem i świata poza nim nie widziała. To z Danielem to robiliśmy. Schodziliśmy do piwnicy, siadaliśmy pod regałami pełnymi starych materiałów krawieckich, przeżartych przez mole, i tam dzieliliśmy się białym proszkiem. Wierzyłam, że daje mi siłę. Jakimś cudem nigdy się nie uzależniłam, mimo wszystko wstydę się tamtego okresu. Teraz ciężko mi zrozumieć, że Daniel po tylu latach wciąż to robi, jakby zatrzymał się w czasie.

– Szukacie mieszkania? – zwracam się do Mileny.

– Może ciotka załatwi nam socjalne – odpowiada dziewczyna.

Ta sama śpiewka od roku. Choć jestem od nich młodsza, czasem rozmawiając z nimi, czuję się jak przepytująca uczniów nauczycielka. Zwracam się do nich bezpośrednio, nie owijając w bawełnę. Oczekuję rzetelnych odpowiedzi i takie z reguły otrzymuję.

Chciałabym, żeby się stąd wyprowadzili. Mam wrażenie, że ich obecność obciąża tylko moją mamę. Milena cały czas jej dogryza i panoszy się na parterze, choć śpią na górze w moim dawnym pokoju.

– Chcesz herbaty? – mówi Milena. – Idę sobie zrobić.

– Nie, muszę lecieć.

– Nie wyglądasz za dobrze – mówi, wytrzeszczając oczy.

– Ty też – odpowiadam jej cicho, ale ona nie słyszy, tylko wchodzi już po trzech schodkach na niewielki taras.

– Mogę ci pomóc – oferuje Daniel i puszcza do mnie oko.

Dokładnie to samo powiedział, gdy miałam szesnaście lat, a on znalazł mnie zapłakaną w pokoju. Byłam zmęczona nadmiarem obowiązków, parę dni wcześniej rzucił mnie chłopak z liceum. Wtedy pierwszy raz zaproponował mi amfę. Wiem, że gdybym teraz wzięła, początkowo poczułabym ulgę, oddaliłabym się od problemów. Zażycie narkotyku to taki skok w bok, do korytarza, który ostatecznie okazuje się pułapką. Na jego końcu jest śliska, zimna ściana, od której boleśnie się odbijasz. Przez chwilę jednak do niej idziesz i wtedy jest przyjemnie.

– Nie, dziękuję – odpowiadam szorstko i wstaję.

Muszę stąd wyjść. Oderwać się od nich, bo z każdą chwilą czuję się tu coraz gorzej.

Kiedy wchodzę po schodach na taras, w torebce zaczyna dzwonić mi telefon. Wyciągam go tak niefortunnie, że wypada mi z głównej komory kosmetyczka, a jej zawartość rozsypuje się na ziemi.

Podnoszę rzeczy, jednocześnie rozpoczynając rozmowę z Sylwią.

– Halo?

– Sonia?

Brzmi, jakby coś ją trapiło. Od razu myślę o tym, że wróciła do kwaciarni i zobaczyła tam coś niepokojącego.

– Słucham cię, Sylwia.

– Męczy mnie to od rana, cały czas zastanawiam się nad tym, czy powinnam...

– Co cię męczy? – pytam, podnosząc z ziemi szminkę i paczkę Tic Taców.

– Ja coś słyszałam w kwiaciarni, zanim Helena zniknęła.

– Co słyszałaś w kwiaciarni?

Chyba pociąga nosem, a potem cicho jęczy.

– Ona się z nim kłóciła, on... on wysyczał do niej to, co ty dzisiaj powiedziałaś.

– Kto i co takiego wysyczał?

Wchodzę już na taras.

– No groził jej, że ją wyda. Nie wiem, o co dokładnie chodziło.

– Jezu, Sylwia. – Przełykam nerwowo ślinę.

Ręce zaczynają mi drzeć, powietrze jakby gęstnieje. Przypominam sobie, że rano, po mojej rozmowie z Dorianem, była wyraźnie spięta. Mogłam z nią wtedy porozmawiać, nie wyczułam jej. Teraz powtarzam sobie w duchu: „Tylko spokojnie, nie spłosz jej”, choć ciężko mi w tej chwili trzymać nerwy na wodzy.

– Kto to był? – pytam, próbując zapanować nad krótkimi oddechami.

– Nie mogę. Tak się boję... Przepraszam, to był błąd, ja nie powinnam. Ja nic nie powiedziałam policji, jak mnie pytali.

– Spokojnie, poczekaj.

Przyspieszam kroku i wychodzę z domu.

– Powiedz, gdzie jesteś. Przyjadę, porozmawiamy.

– Nie ma mnie, wyjechałam z Jarkiem nad jezioro. Myślałam, że to mi pomoże, ale wciąż o tym myślę, trawię to wszystko od rana.

Jarek to jej chłopak. Dwumetrowy dryblas, który od czasu do czasu wpada do kwiaciarni.

– To powiedz mi przez telefon – dochodzę już do auta – kto to był?

– Przepraszam, że nie powiedziałam wcześniej, ale bałam się.

- Nie szkodzi, miałaś prawo się bać, Sylwia.
- Miałam prawo? – upewnia się.
- Tak, jesteś jeszcze bardzo młoda. Powiedz mi wszystko od początku.
- Może jutro? Jak wrócę. Teraz chyba nie dam rady.

Mówi tak cicho, że ledwie ją słyszę. Domyślam się, że w pobliżu pojawił się Jarek. Słyszę jakiś stukot, potem stłumiony męski głos, który pyta: „Możesz mi podać nóż?”.

Mam ochotę powiedzieć jej, żeby pojechała na policję z Jarkiem i złożyła zeznania, a raczej skorygowała te, które już spisali, ale boję się, że ją wystraszę i zasznurowę jej usta raz na zawsze.

- Dobrze, to jutro, jak wrócisz.

Wsiadam już do samochodu i zamykam za sobą drzwi.

- W porządku, przepraszam, muszę kończyć.
- Cześć.
- Cześć.

Opieram brodę na kierownicy i patrzę tępo na wielki kasztanowiec rosnący nieopodal mojego domu. Drzewo zrzuca już liście. Część z nich pałęta się po wypłóviałym trawniku mojej matki. Lekki wiatr rozwiewa je też po drodze.

– Nie wierzę – mówię do siebie, czując, że znowu znajduję się gdzieś między jawą a snem.

To, co usłyszałam od niej chwilę temu, jest tak znamienne i przerażające, że przez moment zastanawiam się, czy na pewno się wydarzyło. Po tym, co zrobiłam wcześniej na cmentarzu, mam prawo wątpić w realność tego dnia. W dłoni wciąż jednak ściskam telefon. Nie mogę się łudzić, że to nie miało miejsca. Helena z kimś się pokłóciła w kwiaciarni.

Z Czarkowskim? Widziałam, że Sylwia przyglądała mu się dziś z zaciekawieniem, choć po tym, co usłyszałam, nie mam pojęcia, co mogło być jego źródłem. Poszłam po linii najmniejszego oporu. Uznałam, że jej się spodobał. To atrakcyjny mężczyzna. Robił wrażenie spokojnego, ale jestem

w stanie wyobrazić go sobie w mniej przyjaznej roli, szczególnie gdy ktoś nie zachowuje się tak, jak on oczekuje. Wydawał się bardzo pewny siebie.

Piszę do Doriana, że będę u niego później, około dwudziestej, muszę się wcześniej zdrzemnąć, chwilę odpocząć od tego dnia. W głowie wciąż mam złęczony głos Sylwii. „Ona się z nim kłóciła, on... on wysyczał do niej to, co ty dzisiaj powiedziałaś”.

Pamiętam, jak rano stała na zapleczu i patrzyła na mnie niespokojnie, w dłoni ściskając szuflę. Musiała mieć to wtedy na końcu języka. Otwierając drzwi od klatki, wyrzucam sobie, że to zignorowałam, że potraktowałam ją oficjalnie, jak podwładną, która nie musi niczego wiedzieć. To był błąd. Jeszcze nigdy tak bardzo nie chciałam cofnąć czasu.

Wchodząc do mieszkania, słyszę, jak ktoś wspina się po schodach. To energiczne, szybkie kroki, które wydają się znajome. W pewnej chwili czuję na ramieniu ucisk, odwracam się i widzę go. W oczach ma ten jedyny w swoim rodzaju błysk, który dobrze pamiętam.

– Dzwoniłem, ale było zajęte – mówi.

– Dlaczego dzwoniłeś?

– Chciałem pogadać. Planowałem to zrobić wczoraj, ale on nam przerwał.

– To nie jest dobry moment, Łukasz.

– Sonia, daj spokój, przecież wiesz, że jej nie znajdziesz.

– Skąd mam to wiedzieć?

– Ona umiała pływać? – pyta nagle, zupełnie zbijając mnie tym z tropu.

Sąsiadka schodzi z góry z jakimś biało-czarnym pudłem. Patrzy na nas z zaciekawieniem, ale i podejrzliwością.

– Wejdz – mówię, otwierając na oścież drzwi.

Zamykam za nim i zsuwam skórzane baleriny ze stóp, czując na palcach ulgę.

– Dlaczego pytasz, czy umiała pływać? – Siadam na ławce w przedpokoju.

Zdaję sobie sprawę, że nie prezentuję się teraz najlepiej. Jestem zła na siebie, że trochę mnie to w tym momencie uwiera.

– Wyszła z Doliny Pięciu Stawów, kto wie, czy nie spoczywa teraz na dnie któregoś z nich – mówi. – Jej ciało mogło o coś zahaczyć i nie wypłynąć.

– Jezu, Łukasz, ty chyba za długo pracowałeś w policji. – Przykładam dłoń do czoła, a potem, choć nie chcę, wyobrażam sobie bezwładne ciało Heleny zanurzone w wodzie. Jej białą, nabrzmiałą skórę, szeroko otwarte oczy.

Otrząsam się, nie mogę ulegać destrukcyjnym myślom.

– Właściwie skąd wiesz, że wyszła z Doliny Pięciu Stawów? Przecież nie mówiłam ci tego.

– Powiedzmy, że aspirant Walewska ma u mnie mały dług z czasów, gdy pracowałem jeszcze na komendzie w Oławie. Zadzwoiłem do niej po tym, gdy powiedziałaś mi, że Helena zniknęła. Podpytałem o sprawę.

– Nie wiedziałam, że się znacie.

– Aż za dobrze.

Przeszywam go wzrokiem. W tym momencie wolę nie dowieść, jaka jest geneza ich znajomości. Znając temperament Łukasza i pamiętając, jak atrakcyjną kobietą jest Walewska, nasuwa mi się tylko jedna możliwość.

– Nie umiała pływać – odpowiadam wreszcie na jego pytanie. – Walewska ci powiedziała, że rozważają utonięcie?

– Nie, nie. Ja tylko zastanawiałem się nad tym ostatnio.

– O tym chciałeś pogadać?

– Nie.

– A o czym?

Dłonie wciska w kieszenie jeansów. Mimochodem zerkam na jego czarną, spraną koszulkę z napisem „Rage against the machine”, która delikatnie opina szczupły tors.

Czuje, jak powoli narasta we mnie napięcie. Sama nie wiem czemu. O co mu chodzi? Chce do mnie wrócić?

– Łukasz, ja nie mam teraz do tego głowy – ucinam. – Przed chwilą dowiedziałam się, że jakiś facet groził niedawno Helenie. Cała miniona noc była ciężka. – Oddech więźnie mi w gardle na jej wspomnienie.

– Kto ci to powiedział? – podchwytuje.

– Sylwia.

Spuszcza wzrok.

– To ważna informacja. Ona musi o tym powiedzieć policji. Dlaczego nie zrobiła tego wcześniej?

– Twierdzi, że się bała. Jest młoda, ma dwadzieścia lat.

– Pamiętam, że jest młoda – odpowiada w zamyśleniu.

– Jutro mam z nią pogadać. Postaram się ją namówić do złożenia zeznań, na razie nic nikomu nie mów.

Wiem, że nie muszę go o to prosić. Dyskrecja zawsze była jego mocną stroną. To on powiedział mi kiedyś, że gdyby ludzie nie klepali jęzorami na prawo i lewo, współczynnik przestępczości byłby niższy.

W jego oczach odnajduję rezygnację. Chyba dociera do niego, że teraz nie jestem w stanie rozmawiać z nim o naszych sprawach.

Moje myśli wypełniają pytania związane z Heleną. Wciąż szukam na nie odpowiedzi. Wczoraj pozwoliłam mu się do siebie odrobinę zbliżyć. Widocznie uznał to za zachętę.

Teraz jednak widzi, w jakim jestem stanie i mówi, że będzie się zbierał. Gdy znika za drzwiami, zmęczona idę na balkon, wyciągam z torebki paczkę mentoli, którą kupiłam w drodze do domu. Po rozmowie z Sylwią dopadła mnie przemożna potrzeba zapalenia papierosa. Tłumaczę sobie, że to tylko jeden raz, chwila słabości. Trzymałam się miesiąc bez ani jednego dymka, ale po tym, co usłyszałam od Sylwii, muszę jakoś odreagować. Chciałam to zrobić natychmiast po wejściu do mieszkania, jednak Łukasz mi to uniemożliwił.

Wyciągam już jednego Pall Malla z paczki, potem spoglądam na dziewczynki grające w kabla na betonowej ścieżce podwórka. Jedna zarzuca drugiej oszustwo. Uśmiecham się, zazdroszcząc im zmartwień. Wciągam w siebie dym tytoniowy, czując wyrzuty sumienia i jednocześnie spokój. Jakbym wzniosła się na moment ponad rzeczywistość, oddalając się od problemów. Coś podpowiada mi, że słono płacę za ten stan. Łamię daną sobie obietnicę, jednak nie mam już energii na to, by się jej trzymać. Całą siłę woli zużywam na to, by przetrwać każdy dzień wbrew niebezpieczeństwom, które grożą mi z różnych stron.

Wtem zauważam nieopodal jakąś kobietę w długiej czarnej bluzie i czapeczce bejsbolowej na głowie. Jasna, bujna kitka spoczywa na jej plecach, wydaje mi się, że patrzy na mnie. Czuję się jak we śnie, w którym chcę uciekać, ale nie mogę zrobić ani jednego kroku. Boję się jej. Nie wiem, kim jest ani dlaczego mi się przygląda. Gaszę papierosa, odwracam się w stronę drzwi balkonowych, chcę się schować w domu. Wtedy ona podchodzi do dziewczynek. Wyciąga z torby napój i podaje niższej, poprawiając jej kucyka. Wygląda na to, że jest matką dogłądającą swojej córki. Czuję ulgę i jednocześnie lękam się o to, co dzieje się z moim umysłem. Balkon wydaje się być teraz nieprzyjaznym miejscem. Zmęczenie znowu daje się we znaki. Wracam do mieszkania, pełna obaw o to, że zacznę popadać w paranoję.

Rozdział 18

Dorian

– Co to, kurwa, ma być?

Jest ich pięć. Leżą rozłożone na szerokim parapecie w łazience. Białe, wąskie płytki. Dłuższe, krótsze, z logo różnych firm, ale na każdej w niewielkim oknie widnieją dwa czerwone paski.

Wyrzuciłem je z kosmetyczki Heleny, którą znalazłem w głębi najniższej szuflady. Oprócz testów ciążowych były w niej tabletki uspokajające i zwinięta w rulon kartka z terminem wizyty w przychodni ginekologicznej.

Data sprzed dwóch miesięcy.

Helena była w ciąży i nic mi nie powiedziała. Chodzę teraz po łazience w tę i z powrotem, próbując zapanować nad gniewem. Moja sylwetka odbija się niewyraźnie w szklanej ścianie kabiny prysznicowej. Ramiona wyglądają, jakbym trzymał pod nimi dwie piłki, klatka piersiowa unosi się i opada, mam ochotę coś rozwalić.

Jest mi gorąco, dłonie zaczynają się pocić, wszystko bulgocze pod skórą. Gdyby tu była. Gdyby tu teraz była. Przycisnąłbym ją do ściany, wydusił z niej odpowiedzi.

Jak mogła mi nie powiedzieć?!

Miała mnie za nic. Dopiero teraz widzę to wyraźnie. Ukrywała przede mną coś tak ważnego. Nawet z tego musiała zrobić tajemnicę.

Siadam na skraju wanny, dłonie zaciskając na zimnej krawędzi. Po chwili wstaję. Nie mogę znaleźć sobie miejsca.

Myślę o tej nocy. O tej jednej nocy sprzed trzech miesięcy. Od lat ze sobą nie spaliśmy, ale wtedy, po kłótni w salonie, podszedłem do łóżka, w którym leżała, i ściągnąłem z niej kołdrę. Położyłem dłoń na jej chłodnym, gładkim ciele, zsunąłem jej koronkowe majtki. Nie oponowała.

Po prostu na mnie patrzyła, białka jej oczu pobłyskiwały w ciemności. Chciałem ją posiąść, poczuć, że wciąż mam kontrolę, pokazać jej, że mimo wszystko jestem od niej silniejszy. Sądząc po jej westchnieniach i po tym, jak wpijała długie paznokcie w poduszkę, podobało jej się. Po wszystkim położyłem się obok niej, czując się tak, jakbym właśnie skończył uprawiać seks z nowo poznaną kobietą. Zapytałem, czy jest pewna tego, co powiedziała mi dwie godziny wcześniej.

– Jak niczego na świecie, Dorian.

Potem wstała i poszła pod prysznic. Nienawidziłem tego jej nawyku mycia się tuż po seksie, jakby chciała zmyć z siebie jakiś brud. Zawsze musiała być nieskazitelna. Na każdym kroku zaznaczała swoją odrębność, nawet w takich momentach. Najpierw mi uległa, a potem szybko odbiła piłeczkę, żebym czasem nie pomyślał, że mam nad nią przewagę.

Siadam na łóżku i wspominam ostatnie miesiące, kiedy jeszcze tu była. Próbuję przypomnieć sobie, czy zanim zniknęła, piła alkohol, ale nie jestem w stanie. Wszystko się rozmywa, jakby moje wspomnienia znajdowały się pod powierzchnią wzburzonej wody.

Na pewno robiliśmy niedawno mojego urodzinowego grilla. Pamiętam, jak poprosiła mnie, żebym otworzył butelkę prosecco. Widzę ten moment wyraźnie, bo alkohol był wstrząśnięty, biała fontanna wystrzeliła do góry, ku uciesze jej koleżanek. Helena śmiała się z nimi, podając mi kolejne lampki.

– Mi tylko kropelkę – powiedziała.

Tak. „Mi tylko kropelkę”. Pomyślałem, że próbuje trzymać fason przy znajomych, nie chce, żeby zobaczyli jej prawdziwe oblicze. Na imprezie była Sylwia z kwiaciarni z tym swoim podejrzanym chłopakiem. Może nie chciała upijać się przy pracownicy.

Teraz jednak mam na ten temat inną teorię. Podrywam się z łóżka i pędzę do kuchni, otwieram lodówkę na oścież. W dolnej szufladzie leżą nietknięty worek szpinaku, trzy pomarańcze, jabłka. Nie kupiłem ich, choć

dotychczas tylko ja przynosiłem do domu owoce i warzywa. Helena ich nie ruszała. Żywiła się wyłącznie makaronami, kluskami, naleśnikami, z piekarni wychodziła z siatkami pełnymi ciastek. Od zawsze tak jadła. Jedynymi owocami, jakie ewentualnie brała pod uwagę, były banany.

Skąd zatem ta zmiana? Wszystko zaczyna się ze sobą łączyć w wyjątkowo paskudny sposób. Zaglądam do szafki na lekarstwa, widzę jakieś nowe pudełka z witaminami, a w głębi, ukryty za bandażami, kwas foliowy. Zdążyła wycisnąć ze srebrnego blistra połowę tabletek.

– Kurwa!!! – krzyczę na cały głos, a potem uderzam pięścią w ścianę obok szafki.

Wiedziała, że chcę mieć dziecko, ale sama utrzymywała, że nie nadajemy się na rodziców. Zbyt wiele nosimy w sobie bólu. Krzywdzilibyśmy tego małego człowieka. Uwierzyłem jej, choć tylko częściowo się z nią zgadzałem.

Każdy ma przeszłość. My też ją mieliśmy, ale Helena zdawała się pogrążyć w swojej bardziej.

Tymczasem była w ciąży i wcale nie zamierzała jej usunąć. Gdyby tak było, nie jadłaby kwasu foliowego, nie piłaby tylko kropelki prosecco na imprezie, nie wypchałaby szuflady w lodówce szpinakiem.

Ta zmiana nie rzuciła mi się w oczy, bo już od dawna nie zwracaliśmy na siebie uwagi. Żyła obok mnie, ze swoimi przyzwyczajeniami, spotkaniami i kwiatami, ale prawda jest taka, że już raz to przerabialiśmy.

Zaszła w ciążę niedługo po pożarze. Obydwoje żyliśmy wtedy w ogromnym stresie. Życie wydawało się być wynaturzonym dziwnym snem. Codziennie jeździliśmy do pogorzelniska otoczonego przez betonowy płot, wynosiliśmy zalane przez strażaków ubrania, książki, naczynia. Rozmawialiśmy z policją, z ubezpieczycielami, pełni niepewności i strachu. Byliśmy za młodzi na takie doświadczenia, ale to właśnie one nas kształtowały.

Nocą kładliśmy się u mnie w domu. Wtedy jeszcze sypialnię zajmował mój ojciec, mieszkaliśmy w pokoju obok kuchni, który teraz służy nam za garderobę. Przez długi czas nocami leżeliśmy daleko od siebie. Szanowałem to, że potrzebuje czasu. Straciła obydwój rodziców, bolało ją oparzone ramię. Zresztą, mi też było ciężko. Pożar śnił mi się każdej nocy, ale nie płomienie, tylko dym, przeraźliwie gęsty i ciężki, owijający się wokół mnie niczym wąż. Dusił i parzył. Do dziś, gdy o tym myślę, zaczyna mnie piec gardło.

Zaczynam kaszleć. To nerwicowe. Powraca, gdy zbyt długo myślę o wypadku.

Po paru tygodniach od pożaru Helena znowu się do mnie zbliżyła. Pamiętam tę noc lepiej niż nasz pierwszy raz. Czuję się tak, jakbym zaczynał wszystko od nowa, z czystą kartą. Zapisywaliśmy ją naszymi przyspieszonymi oddechami i westchnieniami. Było idealnie. Miesiąc później, w tym samym łóżku, Helena oznajmiła mi, że jest w ciąży.

To był zły czas. Przez te wszystkie lata wmawiałem sobie, że podjęliśmy wtedy słuszną decyzję. Powiedziała, że znajomy jej rodziców jest zaufanym ginekologiem, już z nim rozmawiała, jeśli powiem „tak”, umówi się na zabieg.

Powiedziałem: „Nie”.

– Nie dam rady, Dorian, nie urodzę dziecka! – płakała głośno.

Próbowałem ją uciszyć. Nie chciałem, żeby nasz dramat wydostał się z pokoju, dotarł do śpiącego w sypialni ojca.

Krzyczała, że nie zdoła wychować dziecka. Była zbyt zniszczona tym, co stało się z jej rodzicami, twierdziła, że powinienem to zrozumieć, że nie mogę być takim egoistą.

Próbowałem bronić swoich racji, tłumaczyłem, że to znak od losu, powinniśmy go zaakceptować, ale ona była nieugięta. Oddzieliła się ode mnie wielkim murem, zaczęła traktować mnie jak powietrze.

– Skrzywdziłeś mnie podwójnie – wyszeptowała pewnej nocy przez sen.

Pomyślałem, że jeśli dziecko będzie dla niej krzywdą, to i ona będzie krzywdą dla dziecka.

Na drugi dzień z trudem się zgodziłem, a tydzień później sam zawiozłem ją do lekarza. Pamiętam, że gdy wsiadaliśmy do auta, było duszno. Koszulka lepiała mi się do ciała, nie miałem w aucie klimatyzacji. Gdy dojechaliśmy na miejsce, Helena poprosiła, żebym poczekał w samochodzie. Czekałem trzy godziny, czując ogromne poczucie winy. Co chwilę wychodziłem z auta, próbując oddychać w ten duszny dzień.

Wróciła z nieobecnym wyrazem twarzy, jakby w klinice wstąpiła w nią inna kobieta. Nie poznawałem jej, wzbudzała we mnie niepokój. Zaciśnęła dłoń na szlufce od paska spodni, jakby coś ją tam uwierało. Przez pięć minut szukałem słów, zastanawiałem się, co jej powiedzieć, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Pozostała nam tylko cisza. Pamiętam, że gdy wracaliśmy, rozpętała się burza. Nie odzywaliśmy się do siebie ani słowem, wsłuchując się w świst wiatru i skrzypienie wycieraczek. Co jakiś czas niebo rozdzierały błyskawice, które rozgałęziały się na dole, potem dosięgnął nas mocarny huk. Nie miałem odwagi włączyć radia. Choć nasze emocje były potworne, czułem, że nie wolno nam było ich niczym zagłuszać, przykrywać. Niektórzy ludzie zjeżdżali z drogi, nie chcąc jechać w takiej ulewie, ale ja wołałem się nie zatrzymywać. Chciałem mieć podróż za sobą. Dziś tę godzinną drogę z kliniki do domu postrzegam jak żałobny kondukt po śmierci naszego dziecka.

W tej chwili, gdy siedzę przy stole i patrzę na uchyloną szafkę z lekami, czuję się podobnie.

Drugi raz w swoim życiu straciłem dziecko. Chyba że ono nie było moje.

Rozdział 19

Sonia

W drodze do Doriana cierpnie mi prawa ręka, z trudem zaciskam dłoń na kierownicy. Mam wrażenie, że złapał mnie jakiś skurcz albo lekki paraliż. Jakbym otworzyła oczy w środku nocy, prawie nie czując palców, bo przygniotłam je ciężarem ciała, odpłynęła z nich krew. Każdy ich ruch rozchodzi się po ręce nieprzyjemnym prądem, poddają mi się niechętnie, reagują z opóźnieniem, nie wiem dlaczego. Nachodzi mnie myśl, że moje ciało faluje, razem z tą nieobliczalną rzeczywistością, nawet ono zaczyna stawiać mi opór.

Pamiętam, że Helena miała problemy z kręgosłupem. Czasem w kwaciarni, kiedy podniosła coś zbyt gwałtownie, stękała z bólu. Niekiedy musiała się położyć płasko na podłodze i pozostać w tej pozycji przez kilkanaście minut. Dopiero później powoli wracała do żywych. Kiedy zapytałam ją, skąd ta przypadłość, powiedziała tylko, że wiele lat temu dźwignęła coś bardzo ciężkiego i nadwyrężyła sobie plecy, które od czasu do czasu jej o sobie przypominają. Poradziłam, żeby poszła z tym do lekarza, ale chyba tego nie zrobiła.

Mniej więcej dwa miesiące temu byliśmy z Łukaszem u Heleny na grillu. Wtedy też zaatakował ją ból. Wynosiła właśnie tacę z szaszłykami na taras, kiedy ugięły się pod nią kolana. Jęknęła tak przeraźliwie, że rozmowy wszystkich gości ustały, a ona prawie upadła na ziemię. W ostatniej chwili złapał ją Łukasz, który był wtedy najbliżej. Dorianą nigdzie nie widziałam, chyba pojechał po coś do sklepu.

Podeszłam do nich, ale Łukasz powiedział, że panuje nad sytuacją, Helena tymczasem poprosiła, żebym w jej imieniu zajęła się gośćmi. Łukasz

zaprowadził ją do sypialni. Przez uchylone drzwi widziałam, jak przyjaciółka z pomocą mojego narzeczonego układa się na podłodze.

– Oho, nie jesteś zazdrosna? Łukasz z Heleną w sypialni – skomentowała Marta, puszczając do mnie oko.

Trzymała w dłoni lampkę z prosecco i uśmiechała się zaczepnie. To sąsiadka Heleny, zadbana brunetka lubująca się w złocie i dresach z lampasami.

– Bola ją plecy – odpowiedziałam.

– To niech jej mąż robi za doktora House’a, a nie Łukasz.

Wskazała kieliszkiem na sypialnię. Nic już nie odpowiedziałam. Marta Korcz na każdej imprezie stawiała się tropicielką intryg i skandali. To taka kobieta, która żyje czynami i słowami innych ludzi. Człowiek ma ochotę powiedzieć do niej: „Patrz na siebie”, ale wiadomo, że ona nigdy tego nie zrobi, bo za bardzo boi się tego, co zobaczy.

Wjeżdżam już na ulicę Dorianą i zauważam ją na chodniku. Wyciąga coś z bagażnika swojego samochodu, dostrzega mnie w ostatniej chwili. Macha mi z niepokojem w oczach.

Kiedy parkuję pod domem Dorianą, widzę w lusterku wstecznym, jak zmierza w moim kierunku, przerzucając długie ciemne włosy na jedną stronę i wygładzając je dłonią.

– Cześć – wita się ze mną, gdy tylko wysiadam z auta.

– Hej.

Od razu patrzę w kierunku garażu. Brama wjazdowa jest uniesiona. Widzę ławeczkę i sztangi Dorianą, ciemne regały wypchane białymi donicami, skrzynki z narzędziami i duży niebieski pojemnik na śmieci z etykietką PAPIER.

– W nocy była tu policja – mówi ściszym głosem, jakby ktoś nas podsłuchiwał, choć na ulicy nikogo więcej nie ma.

– Dziwisz się? – pytam, zamykając drzwi od samochodu.

– Nie, tylko boję się, że on tu jeszcze wróci i tym razem wejdzie do ogrodu kogoś innego. To musi być jakiś psychopata.

Spogląda na garaż Dorigana, a potem instyktownie robi w moim kierunku krok, jakby ten widok ją przestraszył.

Chyba pierwszy raz widzę ją bez makijażu. Wydaje się taka bezbarwna.

– Miejmy nadzieję, że policja go znajdzie – odpowiadam.

– Daj spokój – przewraca oczami – wierzysz w to? Jacek mówił, że nie byli w nocy zbyt zainteresowani tematem.

Jacek to jej mąż. Człowiek, który jeszcze bardziej żyje sprawami innych niż Marta.

– Dopiero dziś pewnie powiedzieli o tym policjantce, która zajmuje się zaginięciem Heleny. Może jakoś to połączą – odpowiadam.

– No właśnie – masuje się po ramionach – a co z nią? Są jakieś postępy? Jezu, Sonia, nie wiem, jak ty możesz być taka spokojna. Ja od tygodnia jestem kłębkiem nerwów.

Zazdroszczę jej tej wylewności. Daje upust wszystkim dręczącym ją emocjom, w przeciwieństwie do mnie. Na zewnątrz jestem oazą spokoju, a w środku cała się telepię. Ciało odmawia mi posłuszeństwa, zaczynam ulegać halucynacjom.

– Robię, co mogę – odpowiadam wymijająco i spoglądam znowu na garaż Dorigana.

Wjeżdżając na tę ulicę, szykowałam się mentalnie do konfrontacji z napisem, o którym mówił mi przez telefon. Nie spodziewałam się, że podniesie bramę, ale z drugiej strony ja na jego miejscu zrobiłabym to samo. Też bym nie chciała, żeby inni patrzyli na wulgaryzmy, które ktoś zostawił na moim domu. Odnoszę niepokojące i absurdalne wrażenie, że w szczelinie między bramą a górną ścianą wneki kryje się jakieś agresywne zwierzę, które w każdej chwili może wyskoczyć i mnie zaatakować.

– Szorował to dzisiaj pół dnia, ale nie schodziło – znowu ścisza głos – nie wiem, czy to jakiś specjalny spray. Doradzaliśmy, żeby spróbował

rozpuszczalnikiem, ale powiedział, że mu wtedy farba z bramy zjeździe. To lepiej mieć jakąś „Sukę” na domu czy plamę?

– Marta, spokojnie, jakoś to zmyjemy.

– Mi nie o to chodzi, Sonia. Ja po prostu mam przeczucie, że on...

Urywa i rozszerza oczy, patrząc gdzieś ponad moim ramieniem, a potem słyszę za sobą:

– Cześć.

Odwracam się i widzę Doriana, a raczej zmęczonego faceta z podkrążonymi oczami i kilkudniowym zarostem na policzkach. Czoło rozcinają mu trzy płytkie zmarszczki, których nigdy wcześniej nie dostrzegłam. Wygląda fatalnie. Być może był taki już wczoraj i przedwczoraj, ale rozłaka sprawiła, że patrzę teraz na niego z dystansu.

– Cześć – odpowiadam, a Marta wędruje niespokojnym wzrokiem ode mnie do niego i z powrotem, jakby nas ze sobą porównywała.

Mam wrażenie, że w jej głowie zrodziła się jakaś myśl, domagająca się potwierdzenia.

– Ciągle nie schodzi? – pyta Doriana, a ten kręci w odpowiedzi głową.

Potem przesuwam bramę wjazdową, wchodzi do garażu, a następnie ciągnie za cienki sznurek zwisający z sufitu, uruchamiając mechanizm zamykania. Brama zjeżdża w dół z monotonnym szumem. Moim oczom ukazują się wielkie, białe słowa. Wyglądają jak wytwór chorego umysłu, pozbawionego uczuć i ludzkich odruchów.

„Wydam cię suko”.

Myślałam, że jestem na to przygotowana, przecież rano Dorian wszystko mi powiedział. Teraz jednak, patrząc na ten napis, czuję się tak, jakby do moich oczu zbliżało się ostrze noża i niemal jeździło mi po spojówkach.

Kieruję wzrok na różowe hortensje rosnące wzdłuż ścieżki brukowej prowadzącej do domu, kątem oka widząc jednocześnie, jak brama znowu się unosi.

– Zamaluj to – mówię stanowczo. – Ten napis musi zniknąć.

– Wiem. Kupię farbę. Idziemy? Chcę ci coś pokazać.

Żegnamy się z Martą, która niechętnie wraca do siebie. Sprawia wrażenie rozczarowanej, że jej ciekawość nie została zaspokojona. Nie mogę odeprzeć myśli, że gdy znikniemy w domu, wróci tu, zakradnie się pod drzwi i będzie nas podsłuchiwała.

Rozdział 20

Jestem w ich domu pierwszy raz, odkąd Helena zniknęła i odbieram to wewnątrz inaczej niż zwykle. Wszystko wydaje się naładowane negatywną energią. Przystaję w sieni, patrzę na wielkie okna wychodzące na ogród, nad którymi faluje perłowy lambrekin. Za nimi ciągną się połacie długiej trawy, otaczającej wysepki z kwiatami. Na końcu trawnika stoi woliera z papugami, na którą pada pomarańczowe światło zachodzącego słońca.

Próbuję dojrzeć w niej życie, ale wydaje się pusta. Z reguły widać stąd trzepot skrzydeł, ruch małej huśtawki z przodu.

– Ktoś karmił papugi, gdy ciebie nie było? – pytam.

– Co? – wydaje się zdezorientowany.

– Pytam o woliere. – Wskazuję dłonią na okna.

– Ach, tak. Poprosiłem Jacka, wpadł dwa razy. – Macha ręką i idzie do sypialni.

Wychodzę na ogród, a potem patrzę w głąb klatki, mrużąc oczy. Pada na nią światło z lampy solarnej umieszczonej w oddali. Helena zawsze opowiadała mi o swoich papugach, o tym, jak podglądała ich życie. Latem trzymała je w ogrodzie, zimą wynosiła do klatek stojących na poddaszu, przy dużym oknie. Papugi obserwowały przez nie całą okolicę, czekając na nadejście wiosny.

Zauważam Aleksa, rozellę królewską o czerwono-niebieskim umaszczeniu. Siedzi na gałęzi obok niewielkiego, kamiennego wodospadu i pije wodę. Pod nią na kostce brukowej podrygują dwie nimfy, a zielona księżniczka Walii z długim ogonem kłuje dziobem jabłko. Wszystko w porządku. Są, żyją. Zawsze lubiłam je obserwować, gdy odwiedzałam Helenę i Doriana. Woliera była dla mnie atrakcją, a teraz wydaje się jedynym elementem tego domu, nieskazanym zniknięciem mojej przyjaciółki.

Kiedy wracam do środka, Dorian właśnie wychodzi z sypialni, ściskając w dłoni jakieś białe rzeczy.

– Wiedziałaś? – pyta, rzucając je na kanapę, tuż obok swoich dresów.

– Co to jest?

Podchodzę bliżej i już wiem, ale nie potrafię wydobyć z siebie żadnego słowa. Po prostu przyklękam na dywanie i podnoszę jeden z testów ciążowych. Dwie kreski. Odrzucam go i biorę następny. To samo.

– Skąd to masz?

– Sonia, powiedz prawdę. – Dorian siada na oparciu sofy, tuż obok mnie.

– Mówiła ci?

– To Heleny?

– A kogo? Chyba nie moje. – Rozkłada ręce w geście bezradności. – Były w jej kosmetyczce.

– Niemożliwe, przecież ona... ona nie chciała, mówiła, że nigdy...

– A jednak.

Zaczyna zbierać testy, ostatni wyciąga mi ostrożnie z dłoni, a potem układa starannie jeden na drugim i chowa do szafki w kuchni, chyba tam, gdzie trzymają lekarstwa.

Wraca do mnie z opakowaniem jakichś tabletek. Już z oddali udaje mi się odczytać nazwę:

FOLIC ACID. Kwas foliowy.

– Chowala go za bandażami i zażywała po kryjomu – cedzi ze złością, patrząc pogardliwie na biały kartonik, jakby w środku znajdowała się amfetamina.

– To musiał być sam początek, bo nie było niczego widać.

– Drugi albo trzeci miesiąc.

– Może nie chciała nic nikomu mówić, bo było jeszcze wcześniej? – pytam i widzę, że po tych słowach wyraz twarzy Dorianą odrobinę łagodnieje.

Chyba nie brał takiej możliwości pod uwagę. Zaraz potem jednak znowu wzbiera w nim złość.

– Mnie powinna była powiedzieć. Nawet jeśli to był dopiero początek.

Ja też czuję się w tej chwili pominięta. Dorian chodzi teraz w tę i z powrotem po salonie. Widać, że próbuje zapanować nad gniewem. Pięści ma zaciśnięte, oddech nierówny. Mimowolnie zerkam w kierunku drzwi i zastanawiam się, czy przyjazd tutaj był dobrym pomysłem.

Mam jednak cel i nie chcę tak łatwo z niego zrezygnować. Pragnę znaleźć pamiętnik Heleny. Wciąż liczę na to, że nie wzięła go ze sobą. Nie pisała w nim zbyt często, to był zawsze ten sam zeszyt, który miała od lat.

Dorian zatrzymuje się przy kominku z opuszczoną głową, a potem patrzy na mnie tak, jakby dostał nagle oświecenia.

– Może ten facet, który tu był w nocy, wiedział, że Helena jest w ciąży i groził, że ją wyda? – pyta.

– Nie mam pojęcia, choć to byłoby dziwne.

Chciałabym powiedzieć Dorianowi o telefonie od Sylwii, ale coś mnie powstrzymuje – jakaś mała część mnie wierzy, że to on mógł zjawić się w kwiaciarni i złorzeczyć swojej żonie.

Wciąż nie ufam mu w stu procentach. Wygląda jak lew wrzucony do klatki, który próbuje się z niej za wszelką cenę wydostać. Nie mogę jednak powiedzieć, że czuję się przez niego zagrożona. Gdyby chciał mnie skrzywdzić, zrobiłby to już dawno, w tym tygodniu miał ku temu wiele okazji.

– Byłoby dziwne wyłącznie wtedy, gdyby to nie było moje dziecko – mówi, werbalizując w ten sposób obawy, które duszę w sobie od chwili, gdy zobaczyłam testy.

Posyłam mu współczujące spojrzenie. Zdaje się, że odbiera je jak cios, bo raptem podrywa się z kanapy i idzie wprost do barku stojącego obok wejścia do kuchni.

Otwiera go i nalewa sobie whisky. Patrę, jak wypełnia szklanę trunkiem po krawędź, a potem wlewa w siebie jej połowę jednym haustem. Odwracam wzrok, bo treść żołądkowa podchodzi mi do gardła.

– Chcesz?

– Nie, dziękuję. Zrobię sobie kawę.

Muszę być czujna, tym samym opcja, że on się upije, jest mi na rękę. Będę mogła swobodnie zająć się poszukiwaniem pamiętnika.

Po pięciu minutach szklanka Doriany jest już pusta, a ja dmucham w parującą kawę.

Nalewa sobie drugą porcję whisky, siada z nią w fotelu naprzeciwko mnie i zaczyna opowiadać o Helenie. O tym, jaka była piękna za młodu, jak wodziła go za nos, zanim zgodziła się umówić na pierwszą randkę, i że kiedy wreszcie do niej doszło, czuł się jak młody Bóg.

– Zawsze była nieuchwytna. Chyba dlatego tak bardzo ją kochałem – mówi.

Oczy zaczynają mu błyszczeć.

– Odbierałam ją podobnie – wyznaję.

– Ale nie wiesz o niej wszystkiego. Nie wiesz o niej praktycznie nic.

– Ty też – mówię, unosząc filiżankę z kawą, jakbym chciała wznieść toast za podobieństwo naszych doświadczeń.

– Wtedy, kiedy miała wypadek i ją odratowałam, ona naprawdę chciała się zabić.

– O czym ty mówisz?

Odkładam filiżankę na blat stolika, czując, jak coś ściska mi klatkę piersiową.

– Wcześniej chorowała na depresję. Chyba nigdy nie pogodziła się ze śmiercią rodziców.

– Mówiła, że zasnęła za kierownicą, że to był wypadek – wyrzucam z siebie pospiesznie słowa, jakbym chciała uciec od tego, co usłyszałam.

– A co miała powiedzieć?

- Gdyby chciała ze sobą skończyć, później też by próbowała, prawda?
- Coś się zmieniło, gdy poznała ciebie. Chyba dodałaś jej energii.

Oczy raptem wypełniają mi się łzami. Przypominam sobie nasze wspólne chwile w kwiaciarni, szykowanie do późna weselnych dekoracji, to, jak cierpliwie tłumaczyła mi, w jaki sposób łączyć kolory i kształty kwiatów, żeby tworzyć nietuzinkowe bukiety.

„Zawsze stawiaj na swoją wizję, nie patrz na oczekiwania innych. Jeśli jesteś smutna, twórz bardziej stonowane kompozycje, gdy jesteś radosna, daj i temu wyraz. Każda praca się obroni, jeśli będzie autentyczna” – mawiała.

Traktowała dekoracje kwiatowe jak małe dzieła sztuki. Wszystko tworzyła w wielkim skupieniu. Udaje mi się zapanować nad wzruszeniem. Nie chcę teraz płakać. To nic nie da. Wciąż jestem gotowa, żeby rozpocząć poszukiwania.

Rozmawiam z Dorianem do dwudziestej trzeciej, obserwując jego powolny upadek. Opróżnia półlitrową butelkę whisky, a potem nalewa sobie jeszcze kieliszek wina, choć mówię mu, że to nie jest najlepszy pomysł. Nie słucha.

W końcu układa się na kanapie w salonie i dalej mówi o Helenie. O tym, jak dobrze im było razem, choć zawsze miał poczucie, że musi za nią gonić, że mu się wymyka.

– Aż się wymknęła – kończy, powoli zamykając oczy. – Dobrze, że ty zostałaś – dodaje nostalgicznie.

Nie wiem, czy to efekt wypitego alkoholu czy smutku, który ogarnął go na widok pozytywnych testów ciążowych. Pewnie jedno i drugie.

Powoli wstaje.

– Jak chcesz, możesz tu przenocować – mówi, po czym kieruje się w stronę sypialni.

Po chwili słyszę, jak zamyka za sobą drzwi.

Choć planowałam rozpocząć poszukiwania, gdy tylko straci czujność, teraz nagle nie jestem w stanie podnieść się z kanapy. Dopada mnie zmęczenie. Marzę o ucieczce. Chciałabym wyjechać, odpocząć. Ręka znowu mi cierpnie, palce odmawiają posłuszeństwa, nadgarstek boleśnie sztywnieje. Czekam, aż ten stan minie, ruszając cały czas obolałą ręką.

Z dworu dobiega dźwięk lejącej się wody, która spływa po niewielkim kamiennym wodospadzie znajdującym się tuż obok woliery.

Noc jest ciepła, przez otwarte drzwi tarasowe napływa świeże powietrze. W pewnym momencie słyszę jakieś miarowe stukanie dochodzące z zewnątrz.

Ten odgłos wywołuje u mnie falę dreszczy. Patrząc w kierunku ogrodu, który tonie w ciemności, chcę i nie chcę sprawdzić, co się dzieje. W głowie mam teraz obraz przestraszonej Marty Korcz, przypominam sobie jej słowa: „Boję się, że on tu wróci”.

Idę do sypialni. Pukam do drzwi, a potem, nie czekając na odpowiedź, wchodzę. Widzę Dorianą leżącą na wznak na łóżku. Ściskam jego rękę, próbuję go obudzić, ale ani drgnie.

Wydaje się znajdować teraz pod powierzchnią rzeczywistości, jakby zniknął w jej głębinach. Nie wynurzy się tak szybko. Wracam do salonu, a z każdym krokiem podłoga zdaje się trząść pod moimi stopami. Dźwięk przybiera na sile, podchodzę do otwartych drzwi tarasowych i z przerażeniem patrzę w spowijającą wszystko ciemność. Świeci się tylko jedna lampa solarna. Odnoszę wrażenie, że stukanie dochodzi z woliery. Jest wykonana z metalowej siatki. Nie potrafię jednak dokładnie zlokalizować źródła dźwięku. Na szczęście nikt nie kręci się po ogrodzie – a właśnie tego obawiałam się najbardziej. Nie mam odwagi wyjść z domu, nie po tym, co stało się minionej nocy. Mogę tylko stać w progu drzwi tarasowych i patrzeć.

W pewnej chwili zauważam jakiś czarny obiekt, który przesuwa się szybko od woliery do wodospadu. Obserwuję go, czując, jak stopy wrastają

mi w ziemię. Nie mogę wykonać najmniejszego ruchu. Serce wali mi w klatce piersiowej jak oszalałe. Po chwili słyszę cichy jęk, potem drugi i dopiero wtedy orientuję się, co tak mnie przestraszyło. To kot. Wypuszczam powietrze i łapię się ramy drzwi, bo mam wrażenie, że zaraz się przewrócę. Helena narzekała, że często w nocy pojawiają się tu ci niegroźni intruzi. Małe drapieżniki zainteresowane pierzastymi łupami, śpiącymi na wygiętych gałęziach w wolierze.

Wracam do środka, potem idę jeszcze raz do sypialni i patrzę na Doriana. Wciąż śpi, choć teraz jego usta są lekko uchylone. Podchodzę do szafki nocnej, na której stoją kosmetyki Heleny i ostrożnie wysuwam szufladę. Widzę dwa długopisy, chusteczki i książkę, którą jej pożyczyłam przed rokiem – *Dom głosów Carrissiego*. Zakładka jest prawie na samym początku, a mówiła niedawno, że już kończy i że to świetna historia. Szuflada nieprzyjemnie skrzypi, gdy zasuwam ją z powrotem, a wtedy Dorian odwraca się na prawy bok, twarzą do mnie i otwiera oczy. Patrzę na niego z lekko uniesionymi dłońmi, gotowa dać wiarygodne wyjaśnienie, ale on chyba mnie nie widzi. Jego oczy, choć otwarte, wydają się nieobecne, a po chwili znowu je przymyka. Parę sekund zajmuje mi dojście do siebie. Potem klękam przy szafce i wysuwam drugą szufladę. Tu widzę inną książkę, której okładkę wypełnia sylwetka mężczyzny w samych jeansach, ciasno spiętych paskiem. W głębi jest też gruby pęk kluczy, a dalej... O matko, a dalej widzę coś, czego nigdy bym się tu nie spodziewała. Zasuwam szufladę i próbuję wymazać z pamięci obraz stożkowatego erotycznego gadżetu.

Przechodzę do łazienki na miękkich nogach, starając się nie myśleć o tym, co właśnie zobaczyłam, a co natychmiast kreuje w moim umyśle inny obraz przyjaciółki. To oczywiście całkowicie naturalne, z tym że jakoś mi do niej nie pasuje. Sprawiała wrażenie osoby zupełnie niezainteresowanej ciałem, seksem, zmysłowością.

Otwieram szafkę w łazience, moją uwagę przykuwa buteleczka stojąca na najniższej półce. Na etykiecie jest napisane: Xanax. Nie wiedziałam, że to łykała, nic nie mówiła. Chyba że lekarstwo należy do Dorian, ale jakoś ciężko mi wyobrazić sobie, żeby akurat on zażywał tabletki przeciwlękowe. Biorę opakowanie do ręki i wtedy odkrywam, że jest puste.

Przeszukując dom przyjaciółki, mam wrażenie, że poznaję jej zupełnie nowe oblicze. Potwierdza się to, co powiedział mi chwilę temu Dorian. Nie wiem o niej nic.

W pewnym momencie przez przypadek strącam perfumy Heleny. Szkło z hałasem spada na wyłożoną złoto-czarnymi płytkami podłogę, ale na szczęście nie tłucze się. Popycham drzwi od łazienki i patrzę na Dorian. Wciąż ma zamknięte oczy. Podnoszę buteleczkę z perfumami, odkładam ją na miejsce, a potem wychodzę z pomieszczenia.

Czuję się podle, szperając w jej domu, mam wrażenie, że nie jestem sobą. Przekroczyłam jakąś niewidzialną granicę, obudziły się we mnie uśpione wcześniej instynkty, jakbym po zaginięciu przyjaciółki rozpoczęła nowe życie.

Wychodzę z sypialni na palcach, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. W tym domu dużo rzeczy jest przezroczyстых. W kuchni świecą kryształ, szafka pod telewizorem ma przeszklone drzwiczki. Widać przez nie równy stos płyt DVD, dwa stare wazony i opakowanie baterii.

Idę do garderoby, bo to kolejne miejsce, w którym mogą być jeszcze jakieś ich prywatne rzeczy. Przesuwam sukienki Heleny, sprawdzam, czy za ścianą nie ma ukrytego schowka. Potem odsuwam szuflady i widzę jej figi, staniki, stroje kąpielowe. Czuję zapach lawendy i goździków. Na wieszaku zauważam fioletowy odświeżacz powietrza. Gdy odsuwam najniższą szufladę, po raz kolejny jestem szczerze zaskoczona. Moim oczom ukazuje się dużo kompletów erotycznej bielizny. Wycięcia na sutki w stanikach, otwarte stringi, koronki i wstążki, jest też halka z możliwie najcieńszego, prześwitującego materiału.

Zasuвам szufladę nerwowym ruchem dłoni. Czy to na pewno należało do niej? Czy naprawdę zakładała taką bieliznę? Stroiła się przed lustrem, sprawdzała, jak wygląda? Kolejne pytania pojawiają się w mojej głowie. Omiotam wzrokiem to pomieszczenie. Na wieszakach widzę wszystkie jej ulubione sukienki, rząd spodni w kant w różnych odcieniach szarości. Zakładała je na pokazy. Na najwyższych półkach leżą walizki, które zabierała na wyjazdy. Nie wzięła ze sobą niczego. Planowała tu wrócić. Na pewno. To, że pamiętnik jest w domu, wydaje się teraz jeszcze bardziej prawdopodobne.

Zerkam na drugą stronę garderoby, która należy do Doriana. Chyba podzielili się po równo, z tym że u niego jest więcej półek, a mniej rurek na wieszaki. Trzyma na nich plecaki, małe hantelki, przezroczyste tuby z piłkami tenisowymi. Kiedyś chodził regularnie na korty, ale z tego, co wiem, nie robi tego już od lat.

Zaczynam przesuwać jego rzeczy, naiwnie licząc na to, że może gdzieś tu, dla niepoznaki, trzymała swój niebieski brulion. Z czasem przestaję w to wierzyć. Pełno tu kurzu, farfocli, wydaje mi się, że Helena nie interesowała się tą stroną garderoby, nawet nie patrzyła w jej kierunku.

Na jednej z niższych półek są pudełka po butach. Wysuwam je, chcąc sprawdzić, czy coś się za nimi nie kryje, w każdym jest chyba jakaś para, ale jedno – żółte i cienkie, z napisem „TOP BUT” – wydaje się cięższe. Na pokrywie znajduje się szkic wysokich szpilek i już wiem, że to pudełko należy do Heleny. Podnoszę pokrywę i widzę stary aparat fotograficzny. Jest dość mały, z długą, wąską szczeliną na dole. Zdaje się, że to jeden z tych polaroidów natychmiast wywołujących zdjęcia. Pod nim zauważam kilka małych fotografii w charakterystycznych, białych ramkach, co potwierdza moje przypuszczenie.

Kładę pudełko na ziemi i wyciągam wszystkie zdjęcia. Na pierwszym rozpoznaję Helenę w czerwonej bluzce. Jest młodsza, włosy ma ścięte na wysokości ramion. Wiem, że dawno temu, jeszcze zanim się poznałyśmy,

nosiła taką fryzurę, ale ja ją pamiętam już wyłącznie z kaskadą włosów, kończącą się co najmniej na wysokości łopatek.

Kolejne zdjęcie jest zupełnie inne, dużo odważniejsze. Na jego widok serce zaczyna mi mocniej bić. Fotografia przedstawia nagą Helenę. Uśmiecha się nieśmiało do obiektywu, spojrzenie jej wielkich oczu jest tak ufne i żywe. Ma maksymalnie dwadzieścia lat. Na widok jej okrągłych, jędrnych piersi z różowymi, sterczącymi sutkami czuję dziwne ukłucie w podbrzuszu. Mam wrażenie, że ja też jestem teraz rozebrana. Ogarnia mnie fala wstydu wymieszana z niedowierzaniem.

Nie widać dokładnie jej rąk, przez co nie jestem pewna, czy zrobiła sobie to zdjęcie sama, czy też ktoś inny je zrobił. Aż boję się spojrzeć na następne fotografie. Przełamuję jednak skrępowanie i patrzę na kolejne ujęcie mojej rozebranej przyjaciółki. Tym razem rozchyła lekko usta, wydaje się kogoś uwodzić spojrzeniem, jedną dłonią ściska pierś, drugiej nie widzę i znowu nie wiem, czy przypadkiem nie sfotografowała się sama. Sięgam po ostatnie dwa zdjęcia i na ich widok zaczynam drżeć, bo przedstawiają mnie z lat młodości, a dokładnie z czasów drugiej klasy liceum, z wakacji. Wiem to na pewno, bo na głowie mam kilkadziesiąt cienkich warkoczyków. Zaplotła mi je wtedy koleżanka, zaraz po rozdaniu świadectw.

W ramiona wbijają mi się paski stroju kąpielowego. Dół zakrywają kuse szorty. Stoję przed domem rodzinnym z Ełą. Obydwie mamy plecaki. Chyba wybieramy się na miejski basen. Wszystkie wakacje w liceum tam spędzałyśmy. Nigdy nigdzie nie wyjeżdżałyśmy, bo po odejściu ojca matka musiała cały czas pracować. Poza tym Tadeusz to domator. Nawet gdy był sprawny, całymi dniami wylegiwał się przed telewizorem.

Na jednym uśmiecham się do siostry i coś jej pokazuję, a na drugim szukam czegoś w plecaku, marszcząc czoło. Jestem w centrum obydwu zdjęć. Ich autor z pewnością chciał mnie uwiecznić, nie znalazłam się na nich przez przypadek. Wygląda to tak, jakby ktoś mnie obserwował z ukrycia. Aż mnie ciarki przechodzą na tę myśl. Podnoszę się ze zdjęciami

w dłoni, kręci mi się w głowie, w ustach robi się gorzko, jakbym miała zaraz zwymiotować.

Słyszę skrzypienie podłogi, to chyba Dorian. Patrzą na drzwi od garderoby, w pierwszym odruchu chcę je zamknąć, ale w zamku nie ma klucza. On zmierza tutaj, szybko wpycham zdjęcia do kieszeni jeansów, a pudełko z aparatem wsuwam na półkę i robię krok w tył.

Wtedy Dorian staje w drzwiach garderoby. Patrzy na mnie przerażająco trzeźwym spojrzeniem.

– Co ty tu robisz? – pyta.

– Nic – odpowiadam szeptem.

– Jak to nic? Po co tu weszłaś?

Opiera się o szynę, z której zwisają jego koszulki.

– Szukałam pamiętnika Heleny – próbuję brzmieć spokojnie.

Nie mam odwagi zapytać go o te fotografie. Co prawda, znamy się od lat, a w tym tygodniu spędziliśmy kilka nocy w jednym pokoju, ale co z tego? Ludzie są jak góry lodowe wystające z połaci oceanicznych wód. To, czego w nich nie widzimy, jest najbardziej niebezpieczne.

Jego sylwetka wypełnia teraz wejście do garderoby. Ja stoję pod ścianą po drugiej stronie i patrzę na niego, czując, że może zrobić teraz wszystko, łącznie z uduszeniem mnie swoimi wielkimi dłońmi. Zaciska usta, wpatrując się we mnie gniewnie, potem robi krok w moim kierunku, a ja odruchowo wysuwam przed siebie dłonie.

Chcę się stąd wydostać. Wybiec z tego tonącego w sekretach domu na czyste, świeże powietrze. Bałam się pogrążonego w ciemnościach ogrodu, ale to tu, w rozjaśnionej lodowatym światłem garderobie, drzemią prawdziwe demony. Kieszeń, do której schowałam zdjęcia, pali mnie w pośladek, mam wrażenie, że Dorian zaraz wyciągnie je ode mnie siłą i wybuchnie piekielnym ogniem.

– Dorian, pójdę już do domu.

– Nigdzie nie pójdziesz – odpowiada szybko, jakby strzelał słowami z karabinu maszynowego.

Na jego umięśnionym przedramieniu widzę grubą, szarą żyłę, która zdaje się delikatnie pulsować.

To zadziwiające, jak szybko wytrzeźwiał. Spał może pół godziny, nie dłużej.

– Jak to nigdzie nie pójde? Chcę iść do domu.

Do mojego głosu wdziera się panika.

– Najpierw powiedz, dlaczego mi nie ufasz. Czy w ostatnim tygodniu dałem ci ku temu jakikolwiek powód?

– Tak.

– Kiedy?

– Na przykład teraz.

Chyba nie zdaje sobie sprawy, jak przerażająco wygląda, tarasując mi przejście.

– Przesadzasz – odpowiada, ściągając dłoń z rury.

Biorę to za dobrą monetę i natychmiast ruszam przed siebie, czując, jak serce podchodzi mi do gardła.

Myślę o tym liściku, który znalazłam w jego plecaku. „Wiem o tobie wszystko. H.”. Zastanawiam się, czy to „wszystko” w jakiś sposób dotyczyło mnie. Dochodzę już do Doriany, ale nie rusza się na krok. Jego oczy nabierają błagalnego wyrazu, który dodaje mi otuchy.

– Przepuść mnie – mówię.

Robi krok w tył, wychodząc z garderoby. Na widok wolnej przestrzeni przed sobą czuję potężną ulgę, jakbym wydostała się z ciasnej komory, w której zaczynało brakować tlenu.

Idę w kierunku drzwi, nie oglądając się za siebie. Chcę już znaleźć się w swoim mieszkaniu. Zdjęcia, które odkryłam w garderobie, wydają się być teraz cenniejsze od pamiątnika Heleny. Czuję, że zakodowana jest w nich straszna prawda o jej przeszłości, rozumiem, że ja też jestem w to

uwikłana. Czy to dlatego tak na mnie popatrzyła, gdy pierwszy raz nasze oczy się spotkały? Była przerażona, być może dlatego, że już mnie kiedyś widziała. „To nie ja, to on” – powiedziała i to też w jakiś sposób pasuje do malującego się w mojej głowie obrazu.

– Sonia, zaczekaj. – Dorian łapie mnie za dłoń, gdy już kładę ją na klamce.

Wzdrygam się, jakby usiadł na niej szerszeń i wyrywam ją, nie patrząc w jego stronę. Wtedy on mówi szybko, z determinacją w głosie:

– Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć. Proszę, wysłuchaj mnie.

Dopiero wtedy odwracam się do niego i pytam:

– Co takiego?

Dłoń kładę na klamce i sprawdzam, czy drzwi są otwarte. Robi mi się gorąco, gdy orientuję się, że je zamknął, a w drzwiach nie ma klucza.

– Gdzie jest klucz? – wyduszam z siebie, zanim zaczyna mówić.

– Co ci się stało? – pyta, ślizgając się wzrokiem po mojej twarzy.

Jego oczy są pełne niekłamanego zdziwienia. Wyobrażam sobie, jak on to odbiera. Godzinę temu rozmawialiśmy o Helenie w salonie. Popijałam spokojnie drugą kawę, przysłuchując się jego słowom, a teraz traktuję go jak wroga. Nie potrafię jednak aż tak dobrze grać. Nie po tym, co zobaczyłam.

Opuszcza się, po chwili słyszę metaliczny brzdęk dobiegający z kuchni. Wraca z pękiem kluczy i otwiera drzwi.

– Co chciałeś mi powiedzieć? – pytam nieco spokojniej.

Opiera się o szafkę na buty, jakby walczył o równowagę. Oczy wbija teraz w mały okrągły dywanik.

– Parę miesięcy przed jej ucieczką odbyliśmy trudną rozmowę. Poprosiła mnie wtedy o coś, ale nie chciałem się zgodzić. Bardzo się pokłóciliśmy. Na drugi dzień napisała mi tę kartkę, którą znalazłaś w zeszycie.

– „Wiem o tobie wszystko”?

Potwierdza skinieniem głowy.

- O co cię poprosiła?
- Poprosiła, żebym jej nie szukał, jeśli pewnego dnia zniknie.

Rozdział 21

Zsuwam się po drzwiach na ziemię. Siadam na zimnych kafkach sieni, czując się tak, jakby to był sen. Przez chwilę naprawdę myślę, że zaraz się obudzę. Nie wiem, jaką zastanę rzeczywistość, ale na pewno będzie daleka od tej, w której zostałam uwięziona.

Zegar wiszący nad kominkiem w salonie wskazuje północ. Dorian milczy. Po tym, co powiedział o Helenie, zmarkotniał. Wodzi palcem po ustach z szeroko otwartymi oczami, jakby odtwarzał jakieś wspomnienie.

– Jak to było? Wytlumacz od początku – proszę.

– Zasugerowała, że ucieknie – odpowiada niechętnie. – To znaczy dopiero teraz tak myślę, po tym, jak zniknęła. Wtedy wydawało mi się, że chodzi o coś gorszego.

– O samobójstwo?

– Tak.

– Myślisz, że chciała się zabić?

– Myślę, że wpadła w jakieś tarapaty i nie wiedziała, jak sobie z nimi poradzić.

– W jakie tarapaty?

– Nie wiem, naprawdę. – Szuka teraz zrozumienia w moich oczach.

Staram się mu je okazać, żeby powiedział więcej.

– Może chodziło o jakieś interesy – mówi dalej. – Niby byłem współwłaścicielem Chloris, ale tak naprawdę to ona wszystko załatwiała. Czasem tylko prosiła mnie o jakiś podpis.

– W jakie tarapaty mogła wpaść?

Ożywa we mnie wspomnienie tych kopert z pieniędzmi, które czasem u niej widywałam.

– Na myśl przychodzi mi tylko sprawa przejęcia lokalu Chloris przez miasto. To spędzało jej ostatnio sen z powiek. Myślę, że nie rozegrała tego

do końca legalnie – odpowiada.

– „Wydam cię suko” – szepczę. – Ktoś mógł ja szantażować. Tylko kto?

– Nie mam pojęcia. My od lat nie żyliśmy już razem. Nie chcę o tym mówić na policji, bo wtedy ściągam na siebie jakieś... – robi przerwę, jakby słowo „podejrzenia” nie chciało mu przejść przez gardło – ...pytania. Rozwazałem rozwód.

Kiwam głową. Domyślałam się, że w końcu któreś z nich wyjdzie z taką inicjatywą, choć – szczerze mówiąc – stawiałam na Helenę.

– Powiedziałem jej, że chcę rozwodu – doprecyzowuje.

– Kiedy?

– Zanim ona stwierdziła, że pewnego dnia może zniknąć.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

– A co miałem mówić? – Podnosi głos i rozkłada ręce w geście bezradności. – Po tym, jak powiedziałem jej, że chcę rozwodu, osuszyła butelkę wina. A później podeszła do mnie i wymamrotała, że zniknie. Nie wiedziałem, czy mówiła poważnie.

Policzki mi drżą ze zdenerwowania.

– Ona naprawdę szykowała się do... – urywam, bo nie wiem, jak dokończyć.

Do ucieczki? Do samobójstwa?

– Żałuję, że powiedziałem jej o tym rozwodzie.

Przykłada zaciśniętą pięść do ust. Po chwili milczenia odsuwa ją i mówi dalej:

– Jednak w nocy po tej rozmowie... – waha się – ...w każdym razie wiem, że to może być moje dziecko.

Podnoszę się z podłogi, czując, jak napływa do mnie nowa energia. Powraca nadzieja, że jeszcze kiedyś ją zobaczę.

– Ja pragnę przede wszystkim zrozumieć, co takiego się stało, że rozważała zniknięcie. Nie chcę w to na razie wtajemniczać policji, bo nie wiem, jakie kłopoty mogę na nas ściągnąć – mówi.

- Na nas? – podchwytyję.
- Ta sprawa może dotyczyć nas wszystkich, a mnie dotyczy na pewno.
- Przecież mówiłaś, że nie wiesz, w jakie kłopoty wpadła.
- Ale wciąż jestem jej mężem. To wystarczy, żeby zostać obarczonym odpowiedzialnością za jej błędne decyzje.

Spuszcza głowę i masuje się po karku.

– Ona wiedziała o mnie coś, czego nie wie nikt – mówi cicho.

– Co takiego?

– Gdybym ci powiedział, musiałbym cię zabić.

Ten wyświechtany zwrot, powiedziany teraz żartem, wydaje mi się realną groźbą. Zbyt wiele tu zobaczyłam i usłyszałam. Udaję opanowaną i nie odzywam się już ani słowem, tylko naciskam na klamkę i bez pożegnania opuszczam dom, czując, jak serce tłucze mi w piersi.

Rozdział 22

Spaliła mi się żarówka w lewej, przedniej lampie samochodu. Orientuję się dopiero, gdy wyjeżdżam z ulicy Miodowej, przy której stoi dom Heleny i Doriany.

Jadę teraz szerszą drogą, okalającą osiedle. Po dwóch stronach jezdni ciągnie się skąpane w ciemności pole, nie ma tu latarni, ulicę widzę dość słabo. Ciężko mi skoncentrować się na kierowaniu autem. Chcę być już w mieszkaniu. Buzują we mnie emocje. Niepokój, smutek i żal. Tak bardzo chciałabym porozmawiać z Heleną. Poprosić ją, żeby wytłumaczyła mi, co się działo z jej życiem. Dlaczego moje fotografie z młodości leżą w ich garderobie?

W pewnym momencie dostrzegam w lusterku wstecznym światła. Ktoś za mną jedzie, choć nie mam pojęcia, jak znalazł się na drodze. Nie mijalam przecież żadnego skrzyżowania. Zaciskam mocniej dłonie na kierownicy i przyspieszam. Auto za mną robi to samo, jakby było ze mną połączone niewidzialną linią. Nie, to niemożliwe, żeby celowo przyspieszył, myślę, to tak samo jak z tą kobietą na placu zabaw, która rzekomo mi się przyglądała. Popadam w paranoję. Włączam kierunkowskaz w lewo i czekam przed wjazdem na główną drogę. Auto za mną też sygnalizuje chęć skrętu w lewo.

Wjeżdżam na szeroką dwupasmówkę i celowo jadę teraz bardzo wolno, chcę, żeby podążający za mną pojazd mnie wyminął, ale on tego nie robi. Nie mam odwagi się zatrzymać. Nie ma tu żadnych zabudowań, są tylko szeregi świerków górujących nad pustymi chodnikami. Z nerwów sztywnieje mi kark, lekko przyspieszam, bo nie mogę znieść tego wrażenia, że auto zaraz uderzy w mój zderzak, zrobi to celowo, żeby mnie zatrzymać.

Samochód podąża za mną jak cień, czuję się dziwnie obciążona świadomością, że mam go za plecami. Kto siedzi za jego kierownicą?

W pewnej chwili z bocznego lusterka błyska oślepiająca biel, której poświata roznosi mi się przed oczami, zaburza widoczność. Odnoszę złudzenie, że na przedniej szybie migoczą jasne plamki, które zasłaniają drogę. Musiał włączyć długie światła.

Udaje mi się dojrzeć szyld kwiaciarni Małgorzata, który stoi tuż przed zjazdem na moje osiedle, skręcam szybko, uderzając kołem w krawężnik. Jeśli pojedzie za mną, nie skręcę na parking pod swoim blokiem, tylko będę kontynuowała jazdę prosto. Przed oczami wciąż mam te nieznośne błyski i w pierwszej chwili myślę, że auto wciąż za mną jedzie, ale zaraz orientuję się, że jestem już sama na drodze. Musiał pozostać na głównej.

Zatrzymuję się przed zjazdem na parking, oddychając przez usta, jakby brakowało mi powietrza. Upewniam się, że nikogo nie ma za mną, że nikt na mnie nie patrzy z boku. Widok trzech kobiet wędrujących chodnikiem obok parkingu dodaje mi odwagi. Dopiero teraz zjeżdżam z drogi i parkuję na jedynym wolnym miejscu, jakie dostrzegam.

Szybko gaszę silnik i wychodzę z samochodu, póki kobiety są w zasięgu mojego wzroku, być może usłyszą mój krzyk, jeśli wydarzy się coś złego. Przemierzam betonową ścieżkę prowadzącą do klatki, czując, jak wiatr owiewa mi ramiona. Sama nie wiem, czy jest mi zimno od chłodnego powietrza, czy ze strachu.

Wsluchuję się w dźwięki dobiegające z otulonego nocą osiedla. Poszczekiwanie psa w oddali, stłumiona muzyka hip-hopowa płynąca z jakiegoś samochodu. Próbuję wyłapać ewentualne zagrożenia. Nie myślę teraz o zdjęciach, o Helenie. Jedyne, co wypełnia mój umysł, to wspomnienie tych samochodowych świateł uparcie podążających za mną. Gdy wpadam na klatkę schodową, robi mi się duszno. Trzask metalowych drzwi roznosi się po korytarzu nieprzyjemnym echem. Biegnę po schodach, jakby ktoś mnie gonił. Dopiero w mieszkaniu odrobinę się uspokajam. Pierwszy raz w życiu zamykam drzwi również na dolny zamek. Dotąd zawsze korzystałam tylko z górnego.

Wciąż myślę o kierowcy tego samochodu. Kim był? Czy czekał na mnie nieopodal domu Dorigana? Jeśli auto miało ciemny lakier, nie byłabym w stanie go dostrzec, nawet gdybym przejechała obok niego. Na ulicy Miodowej nie ma latarni, a mi na dodatek spaliła się żarówka w przedniej lampie samochodu. Krew szumi mi w uszach ze zmęczenia, jak również od kofeiny. Jeszcze nigdy nie wypiałam dwóch kaw w nocy. Jej nadmiar potęguje doznania, rwie rzeczywistość na strzępy.

Przechodzę do salonu i osuwam się na kanapę, patrząc na meble ze sklejki ustawione na ścianie naprzeciwko. Przecież to mogły być jakieś dzieciaki, chcące się zabawić. Wjechali autem rodziców w pole, tam zapalili marihuanę albo coś wypili. Potem ruszyli za mną w drogę. Łukasz opowiadał mi o takich sytuacjach, o osiemnastoletnich sprawcach śmiertelnych wypadków. Innego scenariusza nie chcę brać pod uwagę. Dlaczego ktoś miałby za mną jechać? Kim jestem w całej tej układance?

Gaszę światło i podchodzę do okna. Patrzę na pogrążony w ciemności plac zabaw. Nie wiem, czego lub kogo szukam. Chyba pragnę upewnić się, że nikt nie patrzy w moje okna.

Choć wcześniej byłam zmęczona, teraz jestem czujna. Chcę dowiedzieć się czegoś więcej po tym, co odkryłam u Dorigana. Może powinnam pójść z tymi zdjęciami na policję? Wtedy jednak musiałabym powiedzieć już wszystko, nie mogłabym gospodarować prawdą jak chcę. Nigdy nie umiałam kłamać. Gdybym znalazła się na komisariacie, wyznałabym, że Helena planowała ucieczkę. Nie mam jednak pewności, jak było naprawdę, bo mi osobiście tego nie powiedziała. Wiem tylko tyle, ile powiedział mi Dorian. Na pewno wezwaliby go wtedy ponownie na przesłuchanie, oskarżyli o zatajenie faktów. Może nie powinnam tego robić, bo w ten sposób zaszkodzię Helenie? Jeśli moja przyjaciółka wciąż żyje i się ze mną nie kontaktuje, to najwyraźniej ma ku temu powód.

Pytanie: jaki?

Idę do kuchni, siadam przy stole, patrzę na wiadomości, które zostawiła po sobie. Teraz to, że mnie przeprosiła, nabiera innego sensu. Biorę pod uwagę możliwość, że w ten sposób chciała się ze mną pożegnać.

Wyciągam z kieszeni zdjęcia i kładę je obok liścików. Naga Helena na blacie mojego stołu wygląda jak postać z innego świata. Gdy ponownie zerkam na swoje fotografie z siostrą, czuję, jak wszystko przewraca mi się w żołądku. Nie mam pojęcia, skąd mieli te zdjęcia. Jakim cudem znalazły się w ich garderobie? Czy któreś z nich zrobiło je polaroidem?

Po odkryciu tych fotografii mam wrażenie, że oszukała mnie najbliższa rodzina. Właśnie tak traktowałam Helenę. Moja przyjaciółka była mi bliższa niż siostra czy matka. Ciężko jest donosić policji na takie osoby, nawet gdy podejrzewamy, że zrobiły coś złego. Pragniemy samodzielnie dotrzeć do prawdy i zrozumieć postępowanie najważniejszych dla nas osób.

Wstaję z krzesła i idę do przedpokoju, czuję się odrętwiała, jakby to wszystko nie działo się naprawdę. Nawet nie zauważam, kiedy zaczynam płakać, ocierając z policzków łzy, wyrzucam zawartość torby, do której włożyłam jakiś czas temu stare książki Heleny z Chloris. Powiedziała mi, że mogę je zabrać, a ja chcę to wszystko zniszczyć. Jestem na nią zła, bo czuję, że ukrywała przede mną coś bardzo ważnego.

Mam wrażenie, że wszystkie upiorne doświadczenia minionych dni krążą wokół mnie. Moją uwagę przyciąga biała książka pod tytułem *Serce florystyki*. Była nowa i chyba nie wkładałam jej do torby, przynajmniej nie przypominam sobie, żebym to robiła. Być może z roztargnienia ją zabrałam, ale wiem, że Helena czasem z niej korzystała i chciała, żeby była w Chloris.

Otwieram ją bezwiednie i zamieram. To wcale nie jest książka, jedynie jej błyszcząca, biała okładka z rysunkiem płatków róż. W środku jest zeszyt w kratkę, zapisany maczkiem. Słowa, słowa, słowa. Wykrzykniki i pytania. Wyciągam go z jasnej oprawy i teraz mam przed oczami niebieską,

popękaną okładkę brulionu, którą dobrze znam. Ogarnia mnie euforia. Podnoszę się z ziemi, szepcząc, że to niemożliwe. Czuję się, jakbym dostała lek na nieuleczalną chorobę. To prezent od losu, który po tygodniu cierpienia nareszcie posyła mi trochę światła. To pierwsza tak piękna chwila od dawna. Chwila, w której odzyskuję nadzieję.

Znalazłam go. Trzymam w rękach pamiętnik Heleny. Zostawiła go w kwiaciarni. Ukryła w okładce książki. Idę z pamiętnikiem do sypialni, czując, jak rodzi się we mnie niepokój, że coś może się z nim stać, ktoś może mi go zabrać. Muszę jak najszybciej go przeczytać. Potem zdecyduję, co z nim zrobić.

Wsuwam się pod koc, zapalam nocną lampkę. Otwieram zeszyt i ogarniam wzrokiem pierwszą stronę zapisaną drobnym, niewyraźnym pismem Heleny. Okna sypialni wypełnia czerń nocy, sierp księżycy wisi wysoko na gwiazdzistym niebie. Widzę niewyraźne odbicie swojej zmęczonej twarzy w szybie. Nawiedza mnie myśl, że to, co robię, jest bardzo złe. Gorsze od szperania w ich rzeczach. Jednak dzięki moim poszukiwaniom zdobyłam zdjęcia, które leżą teraz na blacie w kuchni. Wiem, że muszę postępować w ten sposób, aby zbliżyć się do prawdy. Innej drogi nie ma.

Przełamuję wewnętrzną barierę, czując się tak, jakbym decydowała się na coś, od czego nie ma odwrotu. Przełykam ślinę, wyteżam wzrok i, chcąc mieć to już za sobą, zaczynam czytać:

Nie wiem, czy to zadziała, ale obiecałam Kornelii, że spróbuję. To moja terapeutka i jedna z nielicznych osób, o których mogę powiedzieć, że w jakimś stopniu im ufam. Zaczęłam do niej chodzić po wypadku. Wszyscy myślą, że celowo wjechałam w to drzewo i mają niestety rację. Czasem życie spycha mnie do głębokiej nory, z której nie mogę się wygrzebać. Nie ma tam światła, nie słychać głosów innych ludzi, choć przecież mówią, mówią, mówią, gdzieś na powierzchni. Wpadają do mnie tylko słowa, pojedyncze, pozbawione sensu. Nie

rozumiem ich jednak, a więc są mi obojętne, jakbym nie była człowiekiem, tylko kukłą.

No proszę. Chyba nie jest tak najgorzej. Właściwie zawsze chciałam pisać, choć nie przyznawałam się do tego nikomu. Wstydziłam się. Zrobiłam nawet po kryjomu taki kurs przez internet, na którym uczyłam się podstaw pisania. Nauczyciel po lekturze jednego z opowiadań napisał mi, że mam talent. Talent. To takie słowo, które zawsze wydawało mi się podejrzane. Uważam, że talent rodzi się z bólu.

Gdyby Dorian dowiedział się o moich aspiracjach literackich, pewnie by mnie wyśmiał. Nie rozumiałby. W ogóle mam wrażenie, że on mi się całe życie dziwi. A ja chciałam sobie jakoś pomóc. Znaleźć rzeczywistość, w której będę wolna. Marzyłam o tym, że wydam kiedyś książkę, oczywiście pod pseudonimem. To byłaby moja tajna przestrzeń. Jedna z wielu zresztą. Zabrakło mi zapału, silnej woli. Po kilku, kilkunastu stronach zawsze się poddawałam. Obym wytrzymała przynajmniej z tym pamiętnikiem.

Tamtej nocy, kierując samochodem, czułam się martwa. Wracałam do domu pusta, pozbawiona emocji i pomyślałam, że to będzie bez znaczenia, czy zjadę z drogi, czy nie. W tamtej chwili czułam, że stoję ponad swoim życiem, jakbym naprawdę trzymała stery. Potem naszło mnie to osobliwe uczucie, które, jak twierdzi Kornelia, od czasu do czasu nawiedza każdego.

L'appel du vide, zew pustki. To taki stan, w którym uderza we mnie świadomość, że moje życie jest wyłącznie w moich rękach i w każdej chwili mogę zrobić coś, co w rażący sposób złamie wszelkie zasady. Czasem tak mam, gdy odwiedzam klientkę w biurze na ósmym piętrze. Patrzę na uchylone okno i myślę, że naprawdę mogłabym teraz wyskoczyć, albo wjechać pod pociąg, gdy czekam na przejeździe. To takie momenty, w których wiem, że gdybym zdecydowała się coś zrobić, nic na świecie by mnie nie powstrzymało. Zdążyłabym, zanim ktoś by się zorientował. Oczywiście ludzie odczuwający zew pustki nigdy nie podążają w jego kierunku, ale sama świadomość, że w każdym momencie naszego życia można je zakończyć, jest przerażająca. Ponoć zew

pustki jest nieszkodliwy. Umysł podsuwa takie rozwiązanie, ale żaden zdrowy psychicznie człowiek nie bierze go pod uwagę.

I tu pojawia się moja pierwsza wątpliwość, bo ja jednak wzięłam. Zjechałam z drogi rozpędzonym autem. Potem uderzyłam w drzewo, a zew pustki uleciał ze mnie w mgnieniu oka. Nie było po nim śladu, a zaraz potem pojawiła się Sonia, czego do dzisiaj nie rozumiem.

Kornelia twierdzi, że w tym zapisie wspomnień chodzi o to, żeby wyłapać sabotażystów, którzy zamieszkali w mojej głowie. Tak o nich mówi. Sabotażyści. To są ludzie, lub wydarzenia, którzy sprawili, że czuję się tak, jak się czuję. Szepczą mi codziennie straszne rzeczy, podsuwają negatywne myśli. Mówi, żebym spisała wspomnienia tak, jak je pamiętam. Mogę odwzorowywać rozmowy, tworzyć dialogi podobne do tych książkowych, choć z pewnością nie będą to wierne kopie tego, co wydarzyło się w rzeczywistości. To ponoć nieważne. Istotne jest, jak wyglądają one w moim umyśle. Na tym powinnam się skupić.

Dla mnie pisanie tego pamiętnika ma jeszcze jeden cel. Chcę się wytłumaczyć, tak przed sobą, jak i przed nią. Powinna poznać prawdę, ale wciąż nie odnajduję w sobie odwagi, żeby zrobić to, patrząc jej w oczy. Opowiedzieć od początku do końca, jak było. Nie wiem nawet, czy będę w stanie to wszystko napisać, nie omijając istotnych informacji. Tak bardzo się boję... Chciałabym, żeby spojrzała na mnie jak na obcą kobietę, która zrobiła to, co zrobiła, i żeby zrozumiała, dlaczego to się stało. Żeby mi wybaczyła. Dlatego to piszę. Chcę uporządkować wspomnienia, być może kiedyś to wszystko mi się przyda.

Kornelia czasem działa mi na nerwy. Dla niej wszystko wydaje się skomplikowane. Kiedy przedstawiam jej proste rozwiązania, unosi wskazujący palec i wiercąc się w fotelu, mówi:

– Zastanówmy się.

Ma wtedy taką minę, że zawsze chce mi się z niej śmiać. Układa usta jak do pocałunku, gapi się z reguły na moje buty. (Często na nie zerka podczas naszych sesji. Zawsze wtedy wydaje mi się, że tylko udaje terapeutkę, a tak

naprawdę to zastanawia się, gdzie je kupiłam i myśli, że też chciałaby takie mieć).

W każdym razie ona utrzymuje, że ja nie do końca wiem, kto mi namieszał w życiu. Bo ona nie wie praktycznie nic. To ciekawe doświadczenie chodzić do terapeuty i nawet przy nim się powstrzymywać. Nie mówić całej prawdy. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym zagrać w otwarte karty.

Od lat noszę na swoich plecach balast, którego nikt nie widzi. Skąd się wziął? Spróbuję zacząć od początku.

Pochodzę ze średniozamożnej rodziny, która zawsze chciała uchodzić za zamożną. Byłam jedynaczką, rodzice trzymali mnie krótko. Czułam, że ich denerwuję, że nie lubią ze mną przebywać. To byli ludzie młodzi duchem, skoncentrowani na sobie, którym dziecko zdarzyło się przez przypadek.

Tato wychował się w domu dziecka prowadzonym przez siostry zakonne. Kiedyś jego kuzynka powiedziała, że działy się tam złe rzeczy. Od razu pomyślałam o znęcaniu się nad dziećmi, choć nigdy nie miałam odwagi, żeby zapytać o to kogokolwiek wprost.

Ojciec do wszystkiego w życiu doszedł sam. Otworzył skup złomu i dość szybko zaczął zarabiać konkretne pieniądze. One szybko stały się dla niego bardzo ważne. Chyba czuł, że im więcej ich ma, tym bardziej oddala się od swojej przeszłości, jest bezpieczniejszy. Mama podążała za nim, choć pochodziła z przeciętnej, niczym nie wyróżniającej się rodziny. Podobało się jej jednak to, że nie musi pracować. Może zgrywać panią w ładnej garsonce, która przyjeżdża do skupu złomu volkswagenem new beetle (kupionym na raty). Ależ wszyscy na nią patrzyli! Pod koniec lat dziewięćdziesiątych czerwony garbus nowej generacji to był samochód nie z tej ziemi.

Nienawidziłam tej ich gry pozorów. Próbowałam szukać bliskości poza domem. Szukałam koleżanek, ale szybko dochodziło między nami do spięć, bo wydawało mi się, że każda z nich chce mi coś odebrać, każda ze mną rywalizuje. Ponoć jeżeli chcesz coś zobaczyć w drugim człowieku, to to zobaczysz.

Kornelia sugeruje, że takie mechanizmy ukształtowała we mnie toksyczna relacja z matką, bardziej oparta na konkurencji, aniżeli na akceptacji i przyjaźni.

Z chłopakami było lepiej, ale nie za długo mogłam cieszyć się ich towarzystwem. Pamiętam, jak w pierwszej klasie gimnazjum bardzo urósł mi biust. Nosiłam miseczkę C i nie mogłam nic z tym zrobić. Koleżanki szeptały za moimi plecami, a spojrzenia chłopców, nawet podczas przelotnych rozmów, wędrowały zawsze na moją klatkę piersiową.

Co gorsza, zorientowałam się, że jestem w klasie tą „niełubianą”. Dziewczyny naprawdę zaczęły widzieć we mnie rywalkę. Myślę, że stworzyłam sobie w szkole taką samą rzeczywistość, jakiej doświadczałam w domu.

Rodzice na wakacje po mojej drugiej klasie gimnazjum chcieli wyjechać na wyspy Karaibskie ze znajomymi, którzy nie mieli dzieci. Postanowili, że wyślą mnie w tym czasie na jakiś obóz. Nie oponowałam. Doskwierała mi samotność i pomyślałam, że spróbuję coś wokół siebie zmienić.

W ten sposób wylądowałam na obozie we Włoszech. Wyjazd był z Oławy. Pech chciał, że pojechały na niego też dwie dziewczyny z mojej klasy. Marlena i Luiza. Trzęsły całą szkołą i oczywiście lubiły się ze mnie podśmiewywać. Ugasiły we mnie nadzieję na to, że uda mi się tam zawrzeć znajomości na neutralnym gruncie. Szybko skupiły wokół siebie grupkę osób, z którymi stworzyły nową paczkę. Nie miałam do niej absolutnie wstępu. Kiedy pierwszy raz wyszliśmy na plażę, a ja ściągnęłam sukienkę, pozostając jedynie w stroju kąpielowym, natychmiast okrzyknięto mnie „Pamelą” i tak już zostało. Czułam się jak wydmuszka.

Spaliśmy w namiotach czteroosobowych. Ja zamieszkałam z trzema dziewczynami, koleżankami, które przyjechały tam razem. Dziewczyny miały ze sobą dwie gitary, chodziły w mocnym makijażu. Zaakceptowały mnie, choć widać było, że wolą bawić się w swoim hermetycznym towarzystwie. Aż żałowałam, że wzięłam na ten wyjazd wyłącznie kwieciste sukienki i kuse, lniane szorty. Może gdybym miała ze sobą więcej czerni, łatwiej by mi było się

z nimi zakolegować. Niemniej zabierały mnie ze sobą na plażę. Wolno mi było rozłożyć ręcznik obok nich, czasem nawet wypiliśmy razem wieczorem wino. Miałam piętnaście lat. To były moje pierwsze przygody z alkoholem.

Obóz miał trwać dwa tygodnie. Po paru dniach miałam serdecznie dość. Chciałam wracać do domu, do swojego pokoju. Postanowiłam też, że za rok namówię rodziców na to, aby pozwolili mi zostać samej w domu, może się zgodzą. Samotność bardziej boli w tłumie. Na obozie we Włoszech bolało jak diabli.

Piątego dnia pobytu jedna z naszych opiekunek, rudowłosa Dagmara, raptownie straciła przytomność. Ja tego nie widziałam, ale inni opowiadali, że stało się to pod prysznicem. Ponoć dostała jakiegoś wylewu. Przetransportowano ją do szpitala, z którego później udało jej się wyjść o własnych siłach, niemniej natychmiast wróciła do Polski.

Dwa dni później w naszym ośrodku pojawił się nowy opiekun – wysoki brunet, przystany na zastępstwo z Polski. Czuć było od niego spokój i dystans.

Kiedy zaczynał mówić, wszyscy słuchali. Wzbudzał respekt samą swoją obecnością. Na przedramieniu miał tatuaż przedstawiający pozbawione liści rozłożyste drzewo. Za jego cienkimi gałązkami widać było księżyc w pełni. Gdy pierwszy raz go zobaczyłam, miał na nosie lustrzane pilotki. Mówił elegancko, nie przeklinał. Na plaży, gdy upewnił się, że ratownicy nad nami czuwają, zawsze otwierał jakąś książkę.

Marlena i Luiza miały namiot obok mnie. Podstuchiłam, jak się nim zachwycaly. Nie wiem, skąd wiedziały, że jego ksywka to Kapitan. Miał trzydzieści lat, pochodził z Opola, czyli całkiem niedaleko Oławy. Chwaliły jego niski głos, jasne oczy z opadającymi kącikami, a nawet sposób, w jaki trzymał w ustach papierosa.

Przyglądałam się mu. Intrygował mnie od samego początku. Wydawał się żyć trochę z boku. Nie integrował się tak bardzo z innymi opiekunami, tylko że w przeciwieństwie do mojej sytuacji, robił to z własnej woli. Zawsze, gdy

podchodził do nich, po chwili dało się słyszeć serdeczny śmiech którejs z kobiet. Był jak oklaski.

Skrycie go podziwiałam. Zastanawiałam się, jak można jednocześnie organizować zajęcia, rozmawiać z nastolatkami, żartować tak, że wszyscy pękają ze śmiechu, a chwilę później odchodzić od nich i zamykać się wyłącznie w swoim świecie.

Za każdym razem, gdy był nieopodal, miałam wrażenie, że powietrze jest naelektryzowane jego obecnością. Jednocześnie nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że on też to czuje, i że jest to związane ze mną. Wydawało mi się, że prowadzimy ze sobą fascynującą grę. Czasem udawało mi się go przyłapać na przelotnym spojrzeniu. Niby patrzył na wszystkich, ale wydawało mi się, że na mnie trochę dłużej i z większym naciskiem. To był przyjemny ciężar. Chciałam, żeby dawał mi go jak najczęściej. To wypełniało mnie od środka, przez moment czułam się tak, jakbym unosiła się nad ziemią.

To nie był obóz, podczas którego opieka nad dziećmi była idealna. Wiem to dopiero teraz, z perspektywy czasu. W dużej mierze nawet trzynastolatki mogły czuć się tam bardzo swobodnie. Chodzi mi o picie alkoholu i palenie papierosów. Tego było pod dostatkiem. Bez trudu zaopatrywaliśmy się we wszystko w miasteczku nieopodal naszego pola namiotowego. Kupowali nam dorośli albo ludzie ze starszych grup.

Pewnego wieczoru, gdy wracałam spod prysznic, Marlina i Luiza siedziały na krzesłach przed swoim namiotem. W pewnej chwili jedna powiedziała coś drugiej, nie spuszczając ze mnie wzroku, i obie wybuchły śmiechem. Obok ich stóp, nieco schowane za nogami krzesel, błyszczały puszki z piwem. Musiały sobie już wypić.

Niebawem miała odbyć się dyskoteka na stołówce. Dziewczyny, z którymi byłam w namiocie, obiecały, że na mnie poczekają, ale najwyraźniej tego nie zrobiły. Chyba miały mnie powoli dość. Z dnia na dzień czułam, że irytowałam je coraz bardziej tymi ciągłymi próbami złapania z nimi większego kontaktu.

Gdy weszłam do namiotu, zobaczyłam, że wszystkie moje ubrania są wysypane z torby, leżą na brudnej podłodze namiotu, przed moim materacem. Stroje kąpielowe były umazane czymś w rodzaju kisielu, podobnie jak bielizna. Jedna koszulka miała wycięty nożyczkami większy dekolt. Wszystko walało się po ziemi, wyglądało jak wyrzucone ze śmietnika.

Usłyszałam głosy Luizy i Marleny dobiegające z zewnątrz. Wciąż się śmiały. Byłam przekonana, że to one za tym stały. W pewnej chwili wybiegłam z namiotu i rzuciłam się na Luizę, która zawsze wydawała mi się prowodyrką wszystkich żartów na mój temat.

Dziewczyna spadła z krzesła. Docisnęłam ją do ziemi swoim ciężarem. Próbowalam dusić, choć to nie było takie łatwe, bo była ode mnie większa i broniła się zaciekle. Milena pobiegła w tym czasie po opiekuna. Dopiero po chwili rozdzielił nas Kapitan.

Oczywiście zrobiła się afera. Kolega ze starszej grupy powiedział, że widział, jak Luiza weszła do mojego namiotu pół godziny wcześniej, ona początkowo wypierała się, że tego nie zrobiła, jednak nie mogła liczyć na lojalność koleżanki i pod presją opiekunów wydała ją Marlena. Właściwie to Kapitan był najbardziej zaangażowany w ten temat. To on dociekał, co się stało, być może wtedy to była moja wyobraźnia, ale odniosłam wrażenie, że mam go po swojej stronie.

Po wszystkim przyszedł do mnie do namiotu i zapytał, jak się czuję. Nie odpowiadałam. Wtedy ostrożnie usiadł na moim materacu i położył dłoń na mojej. Poczulałam prąd muskający moją skórę. Odpowiedziałam, że teraz już dobrze. Uśmiechnął się.

– Nie przejmuj się nimi – powiedział, patrząc mi z powagą w oczy. – Zazdroszczą ci.

– Nie mają czego mi zazdrościć.

– Uwierz mi, że mają. Jesteś piękna.

Potem jakby się otrząsnął. Wstał z materaca i wyszedł z namiotu, zostawiając mnie samą. Przez całą noc nie mogłam spać, byłam w dziwnym

stanie euforii. Wciąż słyszałam w głowie jego głos. A w ciągu dnia czułam, jakbym miała wokół siebie warstwę ochronną, która osłania mnie przed wszystkimi zawirowaniami. Luiza i Marlena nawet nie patrzyły w moją stronę, w oczach Luizy zagościł strach. Nie spodziewała się, że byłam zdolna do ataku.

Przez cały dzień Kapitan pojawiał się na horyzoncie. Wymienialiśmy spojrzenia w bardziej otwarty sposób, czułam, że to nie dzieje się już wyłącznie w mojej wyobraźni. Jego uwaga mnie wzmacniała.

Około dwudziestej trzeciej wymknęłam się z namiotu. Wiedziałam, że tej nocy to on spośród naszych opiekunów „pełnił wartę”. Chciałam, żeby mnie zobaczył. Szłam szeroką ścieżką prowadzącą na plażę, gdy w pewnym momencie usłyszałam za sobą kroki. To był Kapitan.

– Co ty robisz, Helena? – zapytał.

– Chcę się przejść. Idziesz ze mną?

Wypiłam wcześniej trochę wina i czułam się odważniejsza. Zgodził się. Pamiętam ten moment, gdy doszliśmy do piasku, wzburzone morze i to, jak złapał moją dłoń od tyłu, bardzo delikatnie. Moje palce zniknęły w niej, jak w otchłani, a potem poczułam, że cała znikam. Rozpierało mnie tyle emocji. Czułam się ważna, wyjątkowa, bo Kapitan zwrócił uwagę właśnie na mnie. Chciałam to podtrzymać, rozwinąć. Karmiłam się jego atencją. Nigdy wcześniej tyle jej nie dostałam od żadnego dorosłego.

Spacerowaliśmy po plaży jakiś czas, potem usiedliśmy przy samym morzu. Zapytał, jak się czuję na obozie, czy coś mi przeszkadza. Szybko zdałam sobie sprawę, że widział moją wewnętrzną walkę, cierpienie, z którym budziłam się wcześniej każdego dnia.

W pewnym momencie się pocałowaliśmy. I to było trochę tak, jak z zewem pustki. Czułam, że przekraczam jakąś niewidzialną granicę, że marzenie o tej chwili było jednak bezpieczniejsze, a teraz nie ma już odwrotu. Dotykał mnie i pieścił, poddawałam mu się. Gdy podciągnął mi bluzkę, a wiatr wiał w moje nagie piersi, czułam, że oddaję mu coś bardzo ważnego i nie wiem, czy to nie za dużo. Jedyne rozwiązanie, jakie wtedy widziałam, było takie, żeby zniknąć.

Podpiąć się pod Kapitana. Ulec jego determinacji, pewnym ruchom dłoni, pocałunkom. Bezgranicznie zaufać.

Od tamtej pory spotykaliśmy się co noc na plaży. Czasem musieliśmy odejść dalej, w bardziej ustronne miejsce, bo ktoś się jeszcze po niej kręcił. Jakaś zakochana para albo kobiety chcące wykapać się w morzu.

Ostatniej nocy przed powrotem do domu straciłam nad Adriatykiem dziewictwo. Chciałabym powiedzieć, że Kapitan obszedł się ze mną delikatnie, ale nie. Był zachłanny, zaciskałam oczy z bólu, wierząc, że na początku tak musi być. Akceptowałam w nim wszystko. Nie miał wad. Wyznaczał wszystkie ścieżki, którymi ślepo podążałam.

Przed wyjazdem do Polski dałam mu swój numer. Powiedział, że zadzwoni.

Po powrocie do domu usychałam z tęsknoty, czekając na jego telefon. Skontaktował się ze mną dopiero pod koniec września. Spijałam jego głos ze słuchawki, czując, jak wypełnia mnie całą. Fantazjowałam o jego zapachu, włosach, smutnych, szarych oczach. Spotkaliśmy się w Oławie. Przyjechał do hotelu, specjalnie dla mnie. Potem powtarzaliśmy nasze spotkania. Przekroczyłam z nim wiele granic. Myślę, że w wieku szesnastu lat byłam bardziej doświadczona seksualnie niż niejedna trzydziestolatka. Wierzyłam, że jego obecność w moim życiu to najpiękniejsze, co mogło mi się przytrafić. Niestety, cena, jaką poniosłam za naszą relację, była ogromna. To przez nią pozbawiłam kogoś życia.

Sonia

Muszę to odłożyć, bo nie wytrzymam. Czytanie jej pamiętnika przypomina podróż do obcego miejsca, w którym wszystko działa w sposób inny niż ten, do którego jestem przyzwyczajona. Za dużo. Za dużo nowych informacji o mojej przyjaciółce. Mam wrażenie, że to stek bzdur. Chcę, żeby to wszystko okazało się nieprawdą. Żeby ten zeszyt nie należał do Heleny. A przecież widziałam nie raz, jak w nim pisała. Kartkuję go

szybko, właściwie nie wiem, czego teraz szukam. Jakiegoś wyjaśnienia? Dla niej czy dla siebie? Napisała, że chce się przed kimś wytłumaczyć. Kogo miała na myśli? Na kolejnych stronach opisuje ich spotkania, niekiedy szokująco drobiazgowo. Nie wiem, czy jestem w stanie przez to przebrnąć. Cała dygoczę, gdy czytam, do czego zmuszał ją Kapitan.

Nie wiedziałam, że rodzice ją odtrącili, że nie miała koleżanek jako nastolatka. Jej dorosłe życie wypełniali znajomi. Niektórzy byli, co prawda, dziwni, jak Marta Korcz, która krążyła po jej domu, szukając tematów do plotkowania. Helena nie sprawiała jednak wrażenia kogoś cierpiącego z powodu samotności, choć oczywiście mogę się mylić.

Mówiła, że zaczęła spotykać się z Dorianem w wieku osiemnastu lat. Czy wtedy utrzymywała jeszcze kontakty z Kapitanem? Kim właściwie był ten facet? Dlaczego napisała, że pozbawiła kogoś życia? To musi być jakieś wyolbrzymienie. Nie wierzę, że naprawdę kogoś zabiła. Z drugiej strony napis „wydam cię suko” miałby wówczas uzasadnienie.

Oczy mnie pieką, a powieki same mi opadają. Rozszyfrowywanie jej niewyraźnego pisma jest wyczerpujące. Wszystko czytam powoli, mozolnie, czasem tylko poprzez kontekst domyślam się znaczenia pojedynczych wyrazów. Dochodzi trzecia nad ranem, kiedy zasypiam.

W nocy śnię o Helenie. Leży z wysokim brunetem na brzegu morza, jej nagie ciało smagają pieniające się fale. Mężczyzna przyciska ją do mokrego piasku, nawet wtedy, gdy ona próbuje mu się wyrwać. Nie widzę jego twarzy, ma dłuższe, falujące włosy, jest postury Dorigana, choć niczego takiego nie przeczytałam w pamiętniku.

Kiedy się budzę, jest prawie ósma trzydzieści. Niedziela wita mnie posępnym niebem, na którym wzbierają długie wąskie chmury. Są białawe, kojarzą mi się z piętrzącymi się morskimi falami.

Pamiętnik leży na szafce nocnej. Idę z nim do kuchni, kładę obok zdjęć, które znalazłam wczoraj w nocy w domu Heleny. Na ekranie telefonu wyświetla się wiadomość od Dorigana:

„Przepraszam, trochę mnie poniosło. Sonia, nie mów nikomu o tym, co ci powiedziałem”.

Nic mu nie odpisuję, zamiast tego wysyłam wiadomość do Sylwii:

„Podjadę dzisiaj o dziesiątej, pasuje Ci?”.

Liczę na to, że czegoś się od niej dowiem. Wciąż zastanawiam się, kto mógł grozić Helenie. Czy to był Kapitan? Wczoraj nigdzie nie znalazłam informacji o tym, jak się nazywał.

Robię sobie kawę, a potem siadam z gorącym kubkiem przy stole, patrzę na to wszystko, pełna pytań. Łapię się na tym, że całkowicie zmieniłam swoje podejście do przyjaciółki. Po przeczytaniu fragmentu jej pamiętnika stała się dla mnie skrzywdzoną dziewczyną, która żyła przeszłością. Dziewczyną, która nie miała żadnej prawdziwej przyjaciółki poza mną.

A może się mylę?

Sylwia odpisuje:

„W domu będę dopiero około piętnastej”.

Chciałabym do niej pojechać już teraz, czuję, że przez tych parę godzin ciekawość nie da mi spokoju. Nie pozostaje mi jednak nic innego jak tylko poczekać. Dzisiaj to Sylwia rozdaje karty.

Spoglądam na pamiętnik Heleny, który w zasadzie jest niemal jak książka, tak wiele szczegółów zawiera, tak dokładnie opisuje, co się działo w jej życiu. Nie wiedziałam, że marzyła o pisaniu, że zrobiła kurs przez internet. Dużo spraw przede mną ukrywała. Otwieram pamiętnik, czując nieprzyjemne mrowienie w karku, a potem ponownie zagłębiam się w lekturze:

W dniu moich siedemnastych urodzin rodzice wyprawili mi przyjęcie w ogrodzie. Przyszła rodzina od strony mamy, kilka kuzynek z dziećmi i jedna, najbliższa, sąsiadka. Mama powiedziała też, że mogę zaprosić swoje przyjaciółki. Byłam wtedy w liceum i moje relacje towarzyskie trochę się zmieniły. Trzymałam się z dwiema dziewczynami z klasy, Justyną i Kamila. Choć dochodziło między nami do spięć, to potem jednak zawsze jakoś się

dogadywałyśmy. Moje życie tak naprawdę wypełniał związek z Kapitanem, który był burzliwy, pełen cierpienia, ale i chwil szczęścia graniczących z euforią. Nie miałam już czasu na analizowanie, czy ktoś z klasy mnie lubi, czy nie. Żyłam w innym wymiarze. Praktycznie cały czas wspominałam to, co działo się w kawalerce, którą wynajął przy ulicy Chrobrego, specjalnie po to, żebyśmy mogli się w niej spotykać. Przyjeżdżał raz, dwa razy w miesiącu.

Pamiętam, że moje przyjęcie odbyło się w sobotę. Mama starała się, żeby wszystko wyszło tak, jak trzeba. Był tort robiony na zamówienie, ozdobiony marcepanowymi różami, były balony, serpentyny i wielki napis: STO LAT HELENKO. To były miłe gesty, z pewnością trochę na pokaz, ale jednocześnie czułam, że matka zaczyna zależeć na naszej relacji. Próbowwała mnie dogonić, bo całkowicie się od niej oddaliłam. Praktycznie w ogóle nie rozmawiałyśmy. Matka wtedy zaczęła pracować w firmie ojca, w administracji, i napatrzyła się na jego sekretarkę, która miała wspaniały kontakt ze swoimi córkami. Zapragnęła chyba tego też dla siebie. Tym bardziej nie chciałam zwracać się w jej kierunku. Czułam, że jej chęci są płytkie, podyktowane bardziej kaprysem niż wewnętrzną potrzebą.

Tamtej soboty Kapitan też chciał się ze mną spotkać. Przyjęcie się przedłużyło. Liczyłam, że skończy się do dwudziestej, a potem pod pretekstem wyjścia z koleżankami na spacer (mam urodziny szesnastego czerwca) uda mi się wpaść do Kapitana. Niestety, goście wyszli około dwudziestej drugiej i rodzice nie wypuściliby mnie już z domu. Co więcej, musiałam pomóc mamie sprzątać. Tak mi zeszło do północy. W międzyczasie napisałam wiadomość Kapitanowi, że nie dam rady zjawić się w jego mieszkaniu. Nic nie odpisał.

Na drugi dzień ponownie do niego napisałam. Chciałam nadrobić sobotni wieczór w niedzielę. Powiedzieć rodzicom, że idę do kościoła, potem na lody z koleżankami, a w rzeczywistości pójść do Kapitana. Niestety, znowu nie dostałam odpowiedzi. Mimo to poszłam do niego. Klatka była otwarta, weszłam na parter, niepewna, czy go zastanę, bo nie widziałam na parkingu samochodu. Zapukałam do drzwi. Otworzył mi po chwili. Od razu wyczułam, że coś jest nie

tak, nie odpowiedział na moje „cześć”. Dał się pocałować w szorstki policzek, ale nie odwzajemnił pocałunku.

Powiedział, że czekał na mnie poprzedniego wieczoru, że specjalnie dla mnie przyjechał z Opolą. Wytłumaczyłam mu, co się stało, ale widziałam, że to do niego nie trafiło. Stwierdził, że jestem za młoda na to, żeby tak sobie z nim pogrywać. Stałam przy ścianie. Pamiętam, że zbliżył się do mnie, wciąż nabuzowany, pachnący sfermentowanym alkoholem. Objął dłonią moją brodę, a potem wysyczał, żebym się rozebrała. Nie posłuchałam, patrzyłam na niego zmrożona strachem. Chciałam, żeby zmienił ton. Czasem bywał dla mnie oschły, miał zmienne nastroje, ale nigdy jeszcze nie czułam od niego takiej agresji. Powiedziałam, że chcę iść do domu, ale wtedy pokręcił tylko głową, nie zmieniając wyrazu twarzy. Potem odwrócił mnie przodem do ściany, podwinął spódnicę, a figi rozerwał. Gdy we mnie wszedł, czułam palący ból. Zbliżenie było mocne, ale nie oponowałam. Trwałam w bezruchu, bo czułam całą sobą, że jeśli drgnę, to będzie jeszcze gorzej. Chciałam przetrwać, udawać martwą. Martwej dziewczyny przecież nie można zabić.

Po wszystkim odsunął się ode mnie. Słyszałam brzdęk szlufki jego paska, gdy zapinał spodnie, ciche chrząknięcie, szuranie butów. Wyszedł z mieszkania. Zostawił mnie przy ścianie, całkowicie odartą z godności.

Spędziłam tam jeszcze godzinę, z zamkniętymi oczami. Najpierw siedziałam oparta o szafkę na buty, potem położyłam się na szorstkiej wykładzinie. Czułam się tak jak przed laty, gdy zbierałam swoje rozsypane rzeczy w namiocie podczas obozu. Znowu byłam samotna. Kapitan zabrał swoją miłość i mnie zostawił. Myślę, że już wtedy byłam od niego całkowicie uzależniona. Związek z nim był dla mnie kładką położoną nad rwącą rzeką życia. Dzięki niemu trwałam. Byłam odporna na trudne relacje z rodzicami, z rówieśnikami. Liczył się tylko on.

Wyszłam z jego mieszkania, ledwie stawiając kroki. Wracając do domu, pierwszy raz pomyślałam o tym, że chciałabym umrzeć, straciłam nadzieję na to, że kiedyś będzie jeszcze dobrze.

Kolejne dni były straszne. Parę razy zwymiotowałam, w poniedziałek miałam gorączkę. Matka zabrała mnie do lekarza, który stwierdził, że to wirus albo zatrucie. Dostałam zwolnienie do końca tygodnia. W czwartek rano, gdy rodzice pojechali do pracy, dostałam od niego wiadomość.

„Jak się czujesz?”

Trzy słowa, które sprawiły, że cały mój świat wywrócił się do góry nogami. Zaczęło kręcić mi się w głowie. Gdybym nie leżała w łóżku, pewnie straciłabym równowagę. Ta wiadomość zdawała się rozchodzić po całym moim ciele. To był dziwny stan. Nie wiedziałam, czy patrząc na nią, czuję się dobrze, czy źle. Z pewnością dodała mi energii. Oddychałam głęboko, czułam, że odzyskuję kontrolę nad swoim życiem. To, czy mu odpiszę, było wyłącznie moją decyzją. Wszystkie wymienione przez nas esemesy przepisałam na kartkę. Czułam, że jest ważna, że wiele mówi o nim i o mnie.

Wklejam tu tę kartkę.

„Jak się czujesz?”

„Jestem chora”

„Na co?”

„NA CIEBIE. NIE WIEM, JAK MOGŁEŚ MI TO ZROBIĆ”

„Zrobiłem to, bo Cię kocham. Gdyby mi na Tobie nie zależało, nasze ostatnie spotkanie wyglądałoby inaczej”

„To nazywasz kochaniem?”

„Miłość nie zawsze jest dobra, Heleno. Czasem jest paskudna, ale wciąż jest miłością. Wolalabyś nic dla mnie nie znaczyć?”

„Nie, ale chcę dobrej miłości”

„To na nią zasłuż”

„Jak mam niby zasłużyć?”

„Jesteś sama w domu?”

„Tak”

„Kiedy wrócą twoi rodzice?”

„Za parę godzin”

„Przyjadę i porozmawiamy na żywo”.

Zjawił się u mnie pół godziny później. Zostawił samochód daleko od mojego domu. Gdy stał przy furtce, czekając, aż go wpuszczę, wyglądał jak znajomy moich rodziców. Przy skroniach srebrzyły mu się włosy, miał na sobie jasną koszulę z długim rękawem i czarne jeansy. Nacisnęłam przycisk odbezpieczający zamek, czując, jak po plecach przebiegają mi dreszcze. Nie bałam się jego, ale tego, o czym będziemy rozmawiać.

Wszedł, rozglądając się z uznaniem po dość ekstrawaganckim wnętrzu mojego domu. Dłuższą chwilę patrzył na designerski wieszak przykręcony do ściany w holu, który składał się z kilkunastu nachodzących na siebie okręgów. Dalej był skąpany w bieli salon, dwie kanapy na cienkich łukowatych nogach i owalny stolik kawowy z dębowym blatem. Staralam się patrzeć na mój salon jego oczami, faktycznie mógł robić na nim wrażenie.

Kochaliśmy się na jednej z kanap, jeszcze zanim zaczęliśmy rozmawiać. Czułam się tak jak na plaży, gdy pierwszy raz mnie pieścił. Podążyłam za nim. Wierzyłam, że to będzie droga do lepszej rzeczywistości. Jeśli tym razem mu ulegnę, to zasłużę na lepszą miłość. Nie mogłam bardziej się mylić, jednak dotarło to do mnie parę lat później.

Zrozumiałam to w środku zimnej, wilgotnej nocy, czując, jak woda przedostaje się do moich adidasów, i patrząc na nieruchome ciało człowieka, którego zabiłam. Jednak nawet wtedy nie potrafiłam zerwać kontaktu z Kapitanem.

Czasem przynosił mi kwiaty, najczęściej białe kalie. Jego siostra miała sklep ogrodniczy w Opolu. Dużo wiedział o roślinach. Mówił, że kalia symbolizuje podziw, a biel kojarzy się z czystością. Nie zabierałam tych kwiatów z jego mieszkania. Zawsze w nim zostawały, w jedynym flakonie, jaki tam przyniosłam. Czułam, że bardzo kochał swoją siostrę. Mówił, że my dwie jesteśmy kobietami jego życia.

Spotykaliśmy się przez parę lat, najczęściej w jego mieszkaniu, ale zdarzało się, że wpadał do mnie. Czasem, gdy rodzice wyjeżdżali na wakacje, zostawał

na noc. Były okresy, że nie widzieliśmy się nawet miesiąc. Rozkręcał firmę i wyjeżdżał służbowo. Dorobił mi jednak klucze do mieszkania i mówił, że mogę tam wpadać, kiedy chcę. Przyznałam się koleżankom, że mam starszego faceta i korzystałyśmy z jego kawalerki. Czasem organizowałyśmy tam imprezy dla znajomych. Moi rodzice o niczym nie wiedzieli. Żyli w błogiej nieświadomości. Justyna i Kamila nigdy nie poznały osobiście Kapitana. Nie mówiłam mu, że one o nim wiedzą. W jego mniemaniu myślały, że mieszkanie przy Chrobrego należy do moich rodziców.

Czasem zdarzały się nam takie sytuacje jak ta z dnia po moich siedemnastych urodzinach. Był wtedy agresywny, robił rzeczy, które sprawiały, że znowu czułam się martwa w środku. Potem jednak przeproszał albo tłumaczył mi, że to wszystko przez miłość. Przez tę paskudną miłość do mnie. Za każdym razem mu wybaczałam. Chyba czułam, że na inną miłość nie zasługuję, a lepiej mieć taką niż żadną.

Gdy miałam osiemnaście lat, pierwszy raz uderzył mnie w twarz. Zorientował się, że moje koleżanki o nim wiedzą. Zobaczył przez przypadek w moim telefonie wiadomość od Kamili, która napisała coś w stylu:

„Jesteś ze swoim Kapitanem?”

Powiedział, że jestem zakłamaną suką i żebym wynosiła się z jego mieszkania. Tydzień później znowu kajał się i pytał w wiadomościach, jak się czuję. Choć dużo o nim myślałam, postanowiłam, że mu nie odpiszę. Dziewczyny wyciągnęły mnie na dyskotekę. Poznałam na niej Dorianą.

Był taki młody i pociągający. Jako jedyny z otaczających go chłopaków pił wodę, a nie piwo. Miał ładną sylwetkę, gładką skórę i ufne spojrzenie. Do momentu naszego spotkania młodość u facetów mnie odpychała. Wszyscy wydawali się niedojrzali, mieli głupie pomysły, zdawali się nie panować nad buzującymi w nich hormonami, jednak Dorian był inny. Po pierwsze był ode mnie cztery lata starszy. Studiował na Akademii Wychowania Fizycznego. Tańczyłam z nim na parkiecie przypominającym szachownicę, czując się lekka jak nigdy. Nie odrywał ode mnie wzroku, ale – inaczej niż to było w przypadku

Kapitana – nie czułam się obciążona jego towarzystwem. Wzbudzał we mnie pozytywne emocje. Początkowo połączyła nas przyjaźń.

Okazało się, że mieszkał niedaleko mnie. Nigdy go nie widywałam, bo cały tydzień siedział na uczelni we Wrocławiu. Wracał do domu ojca tylko na weekendy. Po spotkaniu na dyskotecce zaproponował mi spacer. Zgodziłam się, a gdy spotkaliśmy się przy fontannie w parku, czułam się bardzo spięta. Miałam wrażenie, że patrzy na mnie Kapitan, że siedzi w którymś z samochodów zaparkowanych wzdłuż szutrowej drogi. Zaproponowałam Dorianowi, żebyśmy odeszli w bardziej ustronne miejsce. Spojrzał wtedy na mnie tak, że do dziś to pamiętam. Jego lazurowe oczy zmętniały podejrzliwie, ale przystał na moją propozycję. Zeszliśmy po wale nad Oławę. Tam spędziliśmy cały wieczór. Nie dobierał się do mnie, nie dotykał, nawet za często nie patrzył w moją stronę, jakby był zawstydzony.

W nocy jednak napisał mi esemesa, że jest mną zauroczony. Po godzinie odezwał się Kapitan i zapytał:

„Co dziś robiłaś?”.

W ten sposób podsycił moje obawy. Pomyślałam, że naprawdę śledził mnie w parku. Odpisałam tylko Dorianowi, że świetnie się z nim dziś bawiłam, ale przez przypadek wysłałam tę wiadomość do Kapitana.

Kornelia mówi, że nie wierzy w takie przypadki. Ponoć Zygmunt Freud napisał potężną rozprawę o tak zwanych czynnościach omyłkowych. Powiedziała mi:

„W moim odczuciu chciałaś, żeby Kapitan się dowiedział, ale bałaś się mu to powiedzieć wprost”.

Gdy zorientowałam się, co zrobiłam, czułam się strasznie, jakbym wskoczyła w przepaść, która nie ma końca. Przeszukałam cały telefon w poszukiwaniu opcji wycofania wiadomości, ale nic takiego nie znalazłam. Co gorsza, dostałam raport, że wiadomość dotarła do Kapitana.

Nie wiedziałam, jak zareaguje. Zrozumiałam też wtedy, że wciąż mi na nim zależy – w tamtej chwili najbardziej bałam się tego, że ze mną skończy. Gdy na

terapii opowiadałam o moich odczuciach Kornelii, bacznie przyglądałam się jej twarzy. Chciałam sprawdzić, czy mnie potępia, ale odnalazłam tylko chęć zrozumienia mojego postępowania.

Ja siebie jednak potępiałam i wciąż potępiam. Można zdawać sobie sprawę, że źle się robi, a jednak robić to dalej. Ludzie potrafią ciągnąć tak całe życie. To nic innego jak nałóg, który wyniszcza.

Kapitan odpisał po paru minutach:

„Spotkajmy się jutro. Jeśli nie chcesz w mieszkaniu, nie musimy. Może być, gdzie tylko zapragniesz”.

Napisałam, żebyśmy spotkali się w pizzerii na oławskim rynku. Nazajutrz czekałam na niego, czujna jak nigdy. Cały czas rozglądałam się po lokalu, chcąc upewnić się, że nie widzę żadnego znajomego, ale w poniedziałkowe popołudnie na szczęście nie było tam zbyt wielu osób.

Siedziałam pod ścianą, pijąc colę. Gdy wszedł do środka, w pierwszym momencie poczułam niesmak, choć wyglądał dobrze, jak zawsze. Ogolone policzki, nienagannie ułożone włosy, z boku podgolone, na górze nieco dłużej. Przystojny, trzydziestoparoletni mężczyzna i ja, osiemnastolatka. Nie łamaliśmy już prawa, mimo to wciąż czułam, że nasza relacja jest ryzykowna.

Miałam wrażenie, że namierzył mnie jeszcze przed wejściem do lokalu, bo po przekroczeniu jego progu natychmiast ruszył w moją stronę. Potem usiadł naprzeciwko mnie z nietęgą miną.

– Masz chłopaka?

Brzmiał aż nadto spokojnie. Właściwie, kiedy mnie o to zapytał, poczułam się tak, jakbym rozmawiała z kolegą taty albo jakimś wujkiem. Miał protekcyjny ton, podszyty drwiną.

Patrzyłam w jego oczy, czułam bijącą od niego energię dorosłego faceta całkowicie skupionego na mnie. To był gęsty splot pożądania i pewności siebie, od którego mrowiło mnie całe ciało. Przy Dorianie tak się nie czułam. On, pomimo swoich gabarytów, był lekki jak piórko.

– Może będę miała.

– Powinnaś mieć – odpowiedział.

Zbił mnie tym z tropu. Wyglądał na zadowolonego, że kogoś poznałam.

– Kiedy go poznałaś?

– Niedawno.

– Ile ma lat?

– Dwadzieścia dwa, chyba. – Skrzywiłam się.

Przymknął oczy, jakby wiadomość o wieku Doriana go przybiła, potem jednak szybko się uśmiechnął, jakby chciał coś nadrobić.

Akceptował nowy stan rzeczy, a ja nie wiedziałam, co mam o tym myśleć. Rósł we mnie lęk, choć wtedy nie zdawałam sobie jeszcze z tego sprawy. Czułam się tak, jakbym stała na łodzi, która wypłynęła na wzburzone morze. Oddalałam się od plaży, na której został Kapitan. Miałam wrażenie, że bez niego sobie nie poradzę.

– Jesteś głodna? – Spojrzał wymownie na bar. – Ja nie jadłem dziś nic od rana.

W odpowiedzi uniosłam tylko brwi. Wstał od stołu i podszedł do świecących tablic z nazwami pizz, czytał je w zadumie, masując się po brodzie.

Poczułam się nieważna. Wiadomość o tym, że zaczęłam się z kimś spotykać, spłynęła po nim jak po szybie. Nie przejął się nią zbytnio. Czekałam na jego powrót do stołu, czując, jak wszystko się we mnie rozdzwania. Co z jego paskudną miłością? Chciałam, żeby bił się w pierś za to, że mnie ostatnio uderzył, żeby przeproszał, kipiał zazdrością. Dostałam jednak coś zupełnie innego. Zimny, przesywający spokój.

– Zamówiłem nam Diavolo. – Puścił do mnie oko.

– Nie jestem głodna – odpowiedziałam.

Potem zjadłam jednak kawałek, chyba tylko po to, żeby zrobić coś z rękami. Kapitan miał duży apetyt.

– Nie chcę się już z tobą spotykać – powiedziałam, gdy zbieraliśmy się do wyjścia.

To była prowokacja. W ten sposób chciałam wrócić do sedna. Sprawdzić, co zrobi, postawiony przed ostatecznością.

Nie zareagował na moje słowa. Jedyne podszedł do mnie i odsunął mi szarmancko krzesło.

Wychodząc z pizzerii, miałam wrażenie, że zanurzam się w mrocznej otchłani. Nic w niej nie widać, nie wiem, jak się po niej poruszać. Byłam przerażona. Zaparkował po drugiej stronie ulicy. Powiedział:

- Chodź, podwiozę cię do domu.*
- Nie możesz podwieźć mnie do domu – odparłam.*
- To chociaż kawalek, wysiądziesz na początku ulicy.*

Dobrze wiedział, gdzie mieszkam. Zawsze parkował w polu i szedł do mnie pieszo.

Zgodziłam się tak naprawdę dlatego, że chciałam z nim jeszcze trochę pobyc, zrozumieć jego i siebie. Kiedy ruszyliśmy w drogę samochodem, powiedział:

- Przepraszam za to, co zrobiłem ostatnio.*

Nic nie odpowiedziałam. Poczułam jednak, że sztywnieje mi policzek.

– Czasem tracę nad sobą panowanie, łamię zasady, ale robię to tylko przy tobie. Musisz o tym wiedzieć. Na co dzień taki nie jestem.

- Dlaczego łamiesz przy mnie zasady? – zapytałam.*
- Dobrze wiesz, dlaczego.*

Głos mu się zmienił. Był niższy i zarazem nie tak donośny.

Kiedy wjechaliśmy na nasze osiedle, zobaczyłam Dorianą. Szedł chodnikiem z kolegą, kozłując piłkę koszykarską. Zastygłam na jego widok. Auto Kapitana miało przyciemniane szyby, wiedziałam, że mnie nie zobaczy. Mimo to czułam, że go oszukuję, że robię coś złego, ale jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że to „złe” jest częścią mnie i że nie jestem w stanie nic z tym zrobić. Było mi też szkoda Doriany, przypominałam sobie o tym, co do mnie napisał minionego wieczoru. Już wtedy patrzyłam na niego z góry. Choć był ode mnie cztery lata starszy, to ja czułam się dojrzała i bardziej świadoma życia, jako takiego. Jakbym przejęła na siebie część energii Kapitana.

Dorian wyglądał jak chłopiec w koszulce koszykarskiej i krótkich spodenkach. Moje miejsce powinno być przy nim, mimo to siedziałam w samochodzie Kapitana i, co gorsza, nie chciałam tak prędko go opuszczać, a dojeżdżaliśmy już do początku mojej ulicy.

Kapitan zatrzymał samochód i zapytał:

– Masz jeszcze czas czy musisz wracać do domu?

– Mam czas – odpowiedziałam, próbując brzmieć niechętnie, z dystansem.

Nie byłam jednak pewna, czy udało mi się zachować pozory.

Kapitan czytał ze mnie jak z otwartej książki.

– Chciałbym pokazać ci pewne miejsce, ale to jest w Opolu. Byłabyś w domu za jakieś trzy godziny.

– Jakie miejsce chcesz mi pokazać?

– Niech to będzie niespodzianka. To co, jedziemy?

Czułam, że za jego propozycją kryje się coś ważnego. Wahałam się tylko chwilę, a potem ruszyliśmy w drogę.

Zabrał mnie do sklepu ogrodniczego swojej siostry. Na mój gust była to bardziej mała szkółka roślin i drzew. Tylko część asortymentu mieściła się w niskim, białym pawilonie. Można było tam kupić sekatory, nawozy, ziemię, donice. Kwiaty, krzewy i drzewa wystawione były w szeregach pod gołym niebem. Kiedy tam przyjechaliśmy, robiło się już ciemno, a szyld na bramie informował, że to miejsce otwarte jest do szesnastej. Nie było już tam nikogo. Kapitan miał swój pilot i klucze. Kiedy zaparkowaliśmy pod pawilonem, powiedział:

– To stąd przywożę ci zawsze kwiaty, chodź.

Odpiął pasy i wyszedł z samochodu, nie czekając na mnie, jakby przywoływała go magiczna siła ukryta w tym miejscu, nad którym gąsto pomarańczowe słońce. Dołączyłam do niego i spacerowaliśmy betonowymi alejkami między drzewkami iglastymi, różnymi odmianami traw w plastikowych skrzynkach, młodych drzewek owocowych, melisy i przerośniętej bazylii, która miejscami zaczęła kwitnąć. Potem doszliśmy do strefy ozdobnych kwiatów.

Oglądaliśmy różane krzewy, jaskrawe bratki, kalie rosnące tuzinami w niskich, szerokich donicach. Kapitan przywoził mi z reguły trzy lub pięć. Gdy zobaczyłam obszerne bukiety kalii, pomyślałam, że ich lejki przypominają kapturnice, mięsożerne rośliny, które wabią swoje ofiary zapachem. Potem czekają, aż zdobycz ześlizgnie się po ich wewnętrznych ścianach, a następnie ją pochłaniają.

Już wtedy interesowałam się roślinami. Może dlatego, że Kapitan czasem porównywał mnie do swojej siostry? W końcu, jak powiedział wcześniej, my dwie byłyśmy kobietami jego życia.

Kochaliśmy się na trawie, za kaliami. Najpierw pieścił mnie językiem, a potem wszedł we mnie gwałtownie i choć z reguły wytrzymywał długo, wtedy wystarczyło mu kilka pchnięć, po których eksplodował. Od trzech lat brałam tabletki antykoncepcyjne. To on mi je przywoził. Mówił, że miał kolegę ginekologa.

Było już prawie ciemno, kiedy skończyliśmy. Raptem rozbłysło światło nad parkingiem. Zorientowaliśmy się, że ktoś wjeżdża na teren szkółki. Duży, biały mercedes.

– To moja siostra – powiedział rozgorączkowany.

Jeszcze nigdy nie widziałam go tak zestresowanego. Jego lęk udzielił mi się. Szybko się podniosłam i zapięłam jeansy, podczas gdy on szedł już w jej kierunku. Kiedy do niej dotarliśmy, wyciągała z bagażnika worki z torfem. Kapitan rzucił się jej na pomoc. Ja w tym czasie wygładzałam dłonią włosy, potem tarłam dłońmi o spodnie, czując się tak, jakbym była jednym wielkim biciem serca.

Miała na imię Dorota i była do niego podobna, wysoka, ciemna, szczupła. Podała mi przelotem dłoń, a potem posłała mu wymowne spojrzenie. Parę razy zdarzały się nam już takie sytuacje, w których ktoś ze świata zewnętrznego wkraczał do naszej tajnej rzeczywistości, jak przykładowo dostawca pizzy, pukający do mieszkania przy Chrobrego, który omiatał nas zaciekawionym wzrokiem. Dobrze wiedziałam, co widział. Młodą blondynkę w długim, białym

podkoszulku odstaniającym nogi i dojrzałego faceta w samych jeansach. Najgorzej było, gdy kiedyś całowaliśmy się w samochodzie Kapitana na tyłach strzelnicy nad Odrą i raptem do zaparowanego okna samochodu zapukał policjant. Płonęłam z nerwów, gdy brodaty funkcjonariusz pytał, co tu robimy o tak późnej porze. Nigdy nie zapomnę, co odpowiedział Kapitan. „Pokazałem córce strzelnicę. Często z niej korzystam. Była ciekawa”. Policjant uwierzył albo był zbyt leniwy na to, by dociekać, czy Kapitan go nie oszukuje.

Wracając do domu, mało rozmawialiśmy. To, co się stało na trawniku za kalinami w Opolu, przemawiało przez nas. Mogłam mówić, że nie będę się już spotykać z Kapitanem, a on mógł udawać, że to akceptuje, ale obydwójce wiedzieliśmy, że rozstanie nie będzie łatwe. Wiedziałam, że to nie robi mi dobrze, że Kapitan ma mnóstwo wad, a mimo to chciałam pozostać z nim w kontakcie. Był główną osią mojego życia.

Mniej więcej w połowie drogi powrotnej powiedział:

– Całe życie przed tobą. Poznasz jeszcze wielu wspaniałych facetów.

Pomyślałam, że teraz to on mnie prowokuje.

– Wiem.

– Powinnaś spotykać się z chłopakami. Nie ma w tym nic złego.

– Będę się spotykać.

– Ale chcę, żebyś znalazła też w swoim życiu miejsce dla mnie. Myślisz, że to jest możliwe?

– Dlaczego tego chcesz? – zapytałam, patrząc w okno, na linie wysokiego napięcia rysujące się niewyraźnie pod granatowym niebem.

Nie potrafiłam na niego spojrzeć. Czułam, że obydwójce wisimy nad powierzchnią ziemi. W niepewnym miejscu, które ogranicza nam możliwość ruchu.

– Przecież wiesz – odrzekł cicho – możesz zrobić ze mną, co tylko zechcesz.

Jego wyznanie dodało mi mocy, przyniosło ulgę. Poczulałam, że odzyskuję kontrolę nad naszą paskudną miłością. To, że mnie uderzył, nie było już takie straszne. Uznałam, że zrobił to w przypiływie bezsilności. Godzinę wcześniej

w Opolu było przecież tak dobrze. Skoro potrafił dawać mi tyle rozkoszy, musiał mnie kochać. Tak to sobie wtedy tłumaczyłam.

Gdy dojechaliśmy na początek mojej ulicy, sięgnął po coś na tylne siedzenie.

– Mam dla ciebie prezent – powiedział, a potem wręczył mi nieduże pudełko.

– Co to jest?

– Otwórz.

Nie było zabezpieczone folią, okazało się, że w środku był aparat fotograficzny – polaroid. Taki, który od razu wywołuje zdjęcia. Wspominałam mu parę miesięcy wcześniej, że o takim marzę, ale rodzice nie chcieli mi go kupić, twierdząc, że w domu jest świetna lustrzanka Canona i mogę z niej korzystać.

– Możesz robić sobie nim różne zdjęcia – powiedział. – Na przykład takie tylko dla mnie.

Od razu zrozumiałam, co ma na myśli. Parę tygodni wcześniej w szkole wybuchła afera, bo jeden z chłopaków z trzeciej klasy pokazał wszystkim nagie fotografie swojej byłej dziewczyny, która przez to podcięła sobie żyły. Na szczęście udało się ją odratować.

– Takich sobie nie zrobię – odpowiedziałam.

– To rób, jakie chcesz. Byle nie z chłopakiem.

Pożegnaliśmy się pocałunkiem, a potem wysiadłam z jego samochodu, oddychając pełną piersią. Czułam się nasycona Kapitanem, jakbym doładowała baterie. To, co wydarzyło się tydzień wcześniej, powoli znikło pod powierzchnią. Znowu widziałam w nim to, co dobre, a raczej chciałam widzieć, bo tak było mi łatwiej. Takie życie znałam, a innego się bałam, bo byłam przekonana, że znowu będę się w nim męczyć.

Idąc w kierunku domu, ujrzałam przed furtką sylwetkę mojej matki, była nieruchoma jak pomnik. Zdawało się, że na mnie czeka. Niedaleko stał jej samochód, jeszcze nie zaparkowała nim w garażu. Pomyślałam, że musiała dopiero co przyjechać. Na ramieniu wisiła jej torebka. Obok furtki leżała materiałowa siatka z zakupami.

– Gdzie byłaś? – zapytała tonem żądającym natychmiastowej odpowiedzi.

– Z kolegą – odpowiedziałam, szybko wizualizując sobie w głowie postać Doriana.

On był bezpieczny, o nim mogłam powiedzieć matce.

– Ciotka Lucyna widziała cię w Avanti – zagrzmiała, idąc za mną do domu.

Jej głos ociekał jakimś rozczarowaniem, jakby wiedziała już wszystko i tylko chciała mi to zakomunikować. Udawało mi się ukrywać mój związek z Kapitanem przez parę lat. Być może matka nie zdawała sobie sprawy z tego, co dokładnie się działo, ale w pewnym momencie zaczęła coś mgliście podejrzewać. Może nie wiedziała, co robię poza domem, ale czuła, że mam jeszcze jakieś inne życie, które pozwala mi łąpać dystans do rodziców, szkoły i znajomych. Wydaje mi się, że wszystkie matki, nawet te najgorsze, potrafią wyczuć, co dzieje się w głowach ich dzieci, jeśli tylko trochę się postarają. Moja, akurat wtedy, starała się jak diabli.

– Ale o co ci chodzi? – zapytałam. – Spotkałam się z kolegą.

– Co to za kolega? Skąd on jest?

Nagle wyczułam jej rozpacz. Chyba dopiero wtedy zdała sobie sprawę z tego, że nic o mnie nie wie. Widziałam kątem oka, jak ojciec podnosi się z kanapy i drepcze do sypialni, nie chcąc słuchać naszej rozmowy.

– Tu z osiedla.

– Z osiedla? Ile on ma lat?

– Dwadzieścia dwa.

Wypuściła cicho powietrze. W jej oczach pojawiło się wahanie.

– Mamo, idę do siebie.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyłam schodami na górę. Słyszałam potem, jak matka rozmawia z kimś przez telefon, podejrzewałam, że z ciotką Lucyną, czyli jej siostrą.

– Na pewno? – mówiła – jesteś przekonana?!

To nie brzmiało dobrze. Po rozmowie telefonicznej wpadła do mojego pokoju i powiedziała, że mam zakaz wychodzenia z domu. Nie wolno mi się z niego

ruszać aż do końca wakacji. Kłóciłyśmy się dość długo. Nienawidziłam jej wtedy ze wszystkich sił. Nie interesowała się mną nigdy i nagle coś się w niej zmieniło. Krzyczałam, że jestem już dorosła. Odpowiedziała, że może i dorosła, ale niedojrzała, a na pewno zbyt smarkata, żeby prowadzić się ze starymi facetami.

– On ponoć był w naszym wieku! – Kłuta się palcem w pierś. – Potem wsiadłaś do jego samochodu i gdzieś pojechaliście.

Miałam świadomość, że ciotka Lucyna mogła wejść do pizzerii. W pewnym momencie, gdy siedziałam tam z Kapitanem, było mi już wszystko jedno. Nie zwracałam uwagi na to, co dzieje się dookoła nas, jakbym znowu umarła w środku. Przy nim często zdarzały mi się takie małe śmierci. Wysysał ze mnie całą energię, a potem mi ją oddawał, ale odmienioną.

Matka w końcu wyszła z mojego pokoju, trzaskając drzwiami. Wtedy usłyszałam sygnał esemesa. To była wiadomość od Doriana. Pytał, czy mam jutro ochotę na kolejny spacer. Cisnęłam telefonem w kierunku łóżka, ale spadł na ziemię. Ekranik pękł. Podniosłam go zrozpaczona, a potem zobaczyłam na najniższej półce regału zapalniczkę i naszła mnie ochota, żeby spalić ten dom. Nanieść gazet z garażu, ułożyć je pod zasłonami w salonie i na drewnianych meblach pod ścianami pokoi, a potem przyłożyć do nich płomień. To było jak zew pustki. Dreszcz ekscytacji, który zawirował w moim podbrzuszu i zniknął.

Potem wyciągnęłam z szuflady paczkę papierosów. W tamtym okresie zdarzało mi się od czasu do czasu zapalić – z reguły robiłam to z Kapitanem, żeby poczuć się bardziej dorosła.

Otworzyłam szeroko okno i zapaliłam papierosa, zaciągając się dymem tak głęboko, że aż zakręciło mi się w głowie. Spaliłam całego camela, a potem wyrzuciłam żarzącą się końcówkę na suchą trawę. Pomarańczowa plamka wpadła w ciemność, a ja odeszłam od okna, myśląc: „Niech się dzieje, co chce”.

Sonia

Słyszę dwa piknięcia telefonu. Niechętnie odrywam wzrok od zapisków Heleny. Trę oczy i siedzę jeszcze chwilę przy stole z twarzą w dłoniach, ciężko oddychając. Próbuję poukładać sobie w głowie to, co przeczytałam. Mdli mnie zarówno od treści jej pamiętnika, jak i od jej niewyraźnego pisma.

Choć zrobiłam kilka przerw w trakcie lektury, podczas których wpatrywałam się bezmyślnie w okno lub wmuszałam w siebie kromkę chleba, czuję się wyczerpana. To, co napisała na końcu, o tym płomieniu, mnie przeraża. Zanim sięgam po telefon, patrzę na kolejne strony. Chcę zobaczyć, czy napisała coś o pożarze, ogniu, ale zdaje się, że nie. Jest coś o Dorianie, o ich spotkaniach, niestety pojawia się też Kapitan. Spotykała się z nimi obydwoma. W gąszczu nieczytelnych zdań odnajduję jedno znamienne. Jest napisane większymi literami:

„Nie mogłabym oszukiwać Kapitana, ale Dorian to Dorian”.

Kapitan wiedział o Dorianie, ale Dorian był najwyraźniej nieświadomy, że uczestniczy w trójkącie.

To są zwierzenia kobiety, której nie znam. Aż się boję, co będzie, gdy dotrę do fragmentów o mnie. Niekiedy jej napisane granatowym długopisem słowa są rozmazane, jakby spadły na nie krople wody albo łez. Ciarki mnie przechodzą, gdy o tym myślę. Wracam do tych miejsc i dochodzę do wniosku, że musiała płakać, gdy pisała:

„Martwej dziewczyny przecież nie można zabić”.

Według mnie umarła na plaży we Włoszech, tracąc dziewictwo z Kapitanem. Wcześniej był jeszcze dla niej ratunek, jeszcze mogła mieć normalne życie, ale po tym, jak mu uległa, nastąpiła ciemność. Wpadła do paszczy kaptownicy, zsunęła się po ścianie i zniknęła.

Już wiem, dlaczego wydawała się taka nieobecna. Jej wnętrze zostało jej odebrane przez tego człowieka.

Sięgam wreszcie po telefon, bo myślenie o tym mnie przerasta. Rozpierają mnie złość i żal, że przez tyle lat nic mi nie powiedziała.

Przecież mogła mi się zwierzyć. Podzielić się tym, przez co przeszła. Mogła powiedzieć mi wszystko, zachowałabym to dla siebie. Nigdy nie nawaliłam, nie zdradziłam żadnego z jej drobnych sekretów, nawet, gdy nie prosiła o dyskrecję.

Odczytuję wiadomość i przełykam ślinę. To Sylwia. Napisała:

„Jednak nie przyjeżdżaj. Zapomnij o tym, co ci powiedziałam przez telefon”.

Czego ona się tak strasznie boi?

Dochodzi czternasta, za godzinę miałyśmy się spotkać. Mam nadzieję, że jest już w domu. Ubieram się i wychodzę z mieszkania, czując, jak roznosi mnie energia. Muszę ją przekonać do zmiany zdania, dotrzeć do prawdy, zanim ktoś mnie ubiegnie.

Jadąc do niej, prowadzę jakiś szaleńczy wyścig z czasem, sama nie wiem czemu. Trąbię z całej siły, gdy wpycha mi się przed maskę van wyjeżdżający z podporządkowanej. Po ulicy Strzelnej, upstrzonej pastelowymi budynkami, których partery wypełniają butiki, ciągnie się korek, choć to niedziela i z reguły jest tu pusto. Wszystko się we mnie gotuje, wszystko mi przeszkadza, nawet pas bezpieczeństwa zdaje się za bardzo wbijać w dekolt. Duszno mi. Mam wrażenie, że Sylwia mi ucieka, a ja ją gonię, co gorsza dziewczyna mieszka przy Chrobrego, na parterze. Wmawiam sobie, że to tylko zbieg okoliczności, że to nie ma związku z tym, co przeczytałam w pamiętniku, mimo to mam w głowie pełno podejrzeń, gdy dojeżdżam pod jej klatkę. Na wąskim parkingu jak zawsze wolne są tylko miejsca dla niepełnosprawnych, więc muszę zostawić auto na końcu ulicy. Idąc chodnikiem do jej bloku, czuję się tak, jakbym cofnęła się w czasie i stała się Heleną zmierzającą do kawalerki Kapitana. Czytanie jej pamiętnika, choć mozolne, jest jak wciągająca, lecz niekomfortowa w odbiorze książka, która potem zagnieżdża się w głowie, rzucając cień na rzeczywistość.

Gdy dochodzę do klatki Sylwii, właśnie wychodzi z niej krótko ścięta blondynka, ma może piętnaście lat, z ramienia zwisa jej brązowa gitara. Ma pomalowane czarną kredką oczy, bluzka odsłania chudy, blady brzuch. Spogląda w moją stronę i zatrzymuje dla mnie drzwi z uprzejmym i zarazem wyzywającym uśmiechem.

– Dziękuję – rzucam.

Nie odpowiada, tylko odchodzi szybkim krokiem. Gdyby nie pamiętnik Heleny, nie zwróciłabym na nią uwagi, nie wpatrywałabym się w jej piękne nogi w kusych jeansach, nie zastanawiałabym się, dokąd idzie, z kim się umówiła. Uciekam od tych myśli, bo to dla mnie za wiele. Muszę się skupić na Sylwii, odnaleźć Helenę, bez względu na to, co zrobiła.

Wpadam na klatkę, wbiegam po schodach i walę w jej drzwi pięścią. Nie, spokojnie, muszę trzymać nerwy na wodzy. Mam wrażenie, że moje gesty, myśli, reakcje to dzikie konie, nad którymi staram się zapanować. Jestem zła na Sylwię za to, że zmieniła zdanie, że nie chce się podzielić prawdą, z drugiej strony wiem, że muszę zachować spokój, bo gniew nic nie da.

Słyszę już jej kroki po drugiej stronie drzwi. W pewnej chwili ustają, a ja czuję, że jestem na celowniku. Niechybnie przewierca mnie spojrzeniem, patrząc przez judasza.

W końcu uchyla drzwi na długość srebrnego łańcucha.

– Sylwia, wpuść mnie do środka, musimy porozmawiać.

– Nie, Sonia, nie mamy o czym.

– Proszę cię. Musisz mi powiedzieć, kto jej groził. Sylwia, jeśli tego nie zrobisz, pójdę na policję. Powiem, że coś wiesz i nie chcesz powiedzieć.

Kręci przecząco głową.

– Wpuść mnie. Porozmawiajmy – przekonuję.

Zamyka drzwi, a potem otwiera je już szerzej. Natychmiast wchodzę do środka, rozglądając się po skromnym wnętrzu jej kawalerki. Na białych

ścianach widać drobne ryski, pożółkłe ślady palców, na które pada światło z okien naprzeciwko. Przy listwach podłogowych zbiera się kurz.

– Nie powinnaś tu przychodzić – mówi.

– Niby dlaczego?

Na niezaścielonym łóżku leży torba sportowa, z której wystają nogawki spodni i rękaw neonowej bluzy. Chyba dopiero co wróciła. Na szczęście jest sama. Gdyby był tu jej chłopak, miałabym utrudnione zadanie.

– Ja ci nic nie powiem. Możesz – waha się – możesz mnie nawet zwolnić.

– Sylwia, to nie są żarty. – Próbuję złapać z nią kontakt wzrokowy, ale ucieka ode mnie spojrzeniem. – Helena zniknęła, a ty mówisz, że ktoś jej groził. Dlaczego nie chcesz powiedzieć, kto to zrobił? To może pomóc ją odnaleźć!

– Nie rozumiesz, że ona mogła uciec?! – podnosi głos i wreszcie na mnie spogląda.

– Skąd ci to przyszło do głowy? Kto to był? – Podchodzę do niej, łapię ją za chude, jasne ramiona. – Powiedz! To był Dorian?

– Nic ci nie powiem!

– Nawet jeżeli uciekła, bo się kogoś bała, trzeba ustalić, kim była ta osoba – tłumaczę.

– Nie rozumiesz. Nic nie rozumiesz. – Kręci głową. – On tu był.

– Co?

Kiwa głową, a potem zaciąga się szlochem.

– Był tu dzisiaj.

– Sylwia, o czym ty mówisz? – wyrzucam z siebie słowa, czując, że powoli opadam z sił.

Potem podchodzę do drzwi i sprawdzam, czy je zamknęła. Tak, zrobiła to. Dopada mnie strach. Rozglądam się czujnie po jej kawalerce, jakby ten człowiek gdzieś tu się schował i obserwował nas, czekając na odpowiedni moment, żeby zaatakować.

W mieszkaniu panuje przez chwilę idealna cisza, którą przerywają dopiero jej przerażające słowa.

– Groził, że mnie zabije – jęczy, siadając na podłodze, jakby ona też traciła wszystkie siły.

– Jak to zrobił? Wszedł tu?

– Zadzwoił domofonem. Kiedy odebrałam, powiedział, że mnie wykończy, jeśli na niego doniosę.

Siadam przy niej, w pierwszym odruchu chcę ją objąć, ale kiedy tylko dotykam dłonią jej ramienia, unosi je nerwowo, dając mi tym samym znać, że nie chce mojej bliskości. Oplata długimi rękami nogi, wygląda, jakby chciała zwinąć się do środka, zniknąć.

– Co dokładnie powiedział? – pytam.

– Powiedział: „Wykończę cię, jeśli piśniesz choć słowo policji. Słyszysz? Zabiję cię”.

Naśladuje go z obrzydzeniem w głosie.

– Nie mówił nic o Helenie?

– Nie musiał, to oczywiste, że chodziło mu o nią. Pamiętam jego głos. Był taki... – wzdycha, szukając odpowiedniego określenia – ...był nieludzki. Boże... – przykłada kościste palce do czoła – ...po co mi to było? Po co ja u tej Heleny pracowałam? Słabo płaciła, była taką zmiją, a na koniec jeszcze to.

– Powiedz mi przynajmniej, czy go znasz.

– Co ty sugerujesz? – Obejmuje się rękami. – Że niby co?

– Gdzie był twój...

Szukam w głowie imienia jej chłopaka. Żałuję, że nie mogę go teraz przywołać. Wolałabym to zrobić, żeby wzbudzić w niej większe zaufanie.

– Jarek?

– Tak, Jarek.

– Odwiózł mnie i wrócił do siebie. Miał przyjechać wieczorem, a ten facet niemal od razu po tym, jak weszłam do domu, zadzwonił domofonem.

Co by było, gdyby drzwi były otwarte? Wszedłby tu?

Znowu zanosi się płaczem. Rozpada się przede mną na kawałki. Wiem już, co muszę zrobić. Nie mogę dłużej czekać.

– Sylwia, musimy zadzwonić na policję.

– A co będzie, jeśli on tu wróci?

– Nie wróci. Obiecuję.

– Powiedział, że jeśli powiadomię policję, to mnie zabije.

– Nie możesz dać się zastraszyć.

– Łatwo ci mówić, to nie tobie grożono śmiercią. Nic ci więcej nie powiem. Proszę, wyjdź z mojego mieszkania.

Wstaje i idzie w stronę drzwi. Potem spogląda przez judasza i otwiera je ostrożnie, najpierw na łańcuchu, a potem szerzej. Czeka, aż wyjdę.

– Sylwia, błagam, zastanów się. Jeśli tego nie zgłosisz, to tak jakbyś pogodziła się z tym, co się stało. A przecież to nieprawda. Ten człowiek jest niebezpieczny. Wcześniej groził Helenie. Która kobieta będzie następna? Chcesz wziąć za to odpowiedzialność?

– Nie, to nie tak. – Mierzwi dłonią włosy. – Chcę się po prostu od tego odciąć.

– Chcesz zrobić to, co ci kazał? Naprawdę?

– Nie chcę – odpowiada cicho.

– Proszę, pojedźmy na komisariat. Złożysz zeznania. Musimy dopaść tego człowieka. Czy to był ktoś znajomy?

Kręci przecząco głową.

– Nie kojarzę go kompletnie.

Przyglądam się jej uważnie, próbując dociec, czy mówi prawdę. Odchodzi ode mnie, mruczając pod nosem, żebym poczekała. Wyciąga z torby podróżnej adidas i wkłada je na stopy. Ten widok napawa mnie ulgą. Przekonałam ją. Złoży zeznania.

Jedziemy na komisariat moim samochodem. Jest niedziela i nie ma dziś Walewskiej, ale policjant dyżurny do niej dzwoni i informuje o sprawie.

Czekamy w recepcji jakiś kwadrans, a potem przyjmuje nas wysoki, szczupły funkcjonariusz w okularach. Zaprasza Sylwię do pokoju przesłuchań i przyjmuje jej zeznania. Dziewczyna wychodzi po dwudziestu minutach, zapłakana.

Dopiero w drodze powrotnej do mieszkania opowiada mi, jak wyglądał facet, z którym rozmawiała Helena w kwaciarni.

– Był średniego wzrostu, szczupły. Widziałam go z profilu, ale niedokładnie, bo miał kaptur. Mówił do Heleny półszepem, ona tylko słuchała, kiwała głową.

Każde zdanie wypowiada ostrożnie, jakby wciąż bała się dzielić tym, co zobaczyła.

– Co mówił? – dopytuję ostrożnie.

– Powiedział, że on ma dużo mniej do stracenia niż ona. Chyba miała mu dać jakieś pieniądze. Nie znałam tego faceta. Nigdy wcześniej go nie widziałam.

– Z piątku na sobotę w nocy ktoś napisał na bramie garażowej domu Heleny i Doriana „Wydam cię suko” – mówię.

– O Boże, to musiał być on.

– Też mi się tak wydaje.

Gdy zatrzymuję auto pod blokiem Sylwii, zauważam na parkingu jej chłopaka. Czeka na nią z torbą podrózną w dłoni.

– Napisałam Jarkowi wiadomość, żeby do mnie przyjechał. Nie chcę być sama.

– Mówiłaś mu o tym, co się stało?

– Jeszcze nie. Nie wiem, jak mam to zrobić.

– Jak to nie wiesz? To twój facet.

– Wstyd mi, że tak długo dusiłam to wszystko w sobie.

– To ten psychol powinien się wstydzić, a nie ty.

Kiwa głową, ale nie wiem, czy przyjmuje moje słowa.

– Proszę, przez najbliższe dni nie wychodź nigdzie sama – mówię dalej.

– Policjant, który przyjmował moje zeznania, mówił to samo. Nie będę wychodziła z domu. Jarek pracuje zdalnie, poproszę go, żeby był ze mną cały czas.

Wydaje się spokojniejsza. To, że podzieliła się z kimś tym, co zobaczyła, przyniosło jej wyraźną ulgę. Prawda ją męczyła.

– Dobrze zrobiłaś – mówię, gdy wychodzi z samochodu.

Posyła mi blady uśmiech, a potem zamyka drzwi i idzie do Jarka.

Odjeżdżam spod jej bloku, myśląc, że jeśli coś się jej stanie, to sobie tego nie wybaczę.

Potem dzwonię do Doriana i mówię mu o tym, czego dowiedziałam się od Sylwii. Chce do niej pojechać i dowiedzieć się wszystkiego dokładnie, ale mówię mu, że to nie jest najlepszy pomysł. Przekonuję go, żeby pozostał w domu, a potem wracam do siebie przerażona, niemal tak jak Sylwia.

Dorian

– Mówi pan, że był szczupłej budowy, raczej niski, bez żadnych znaków szczególnych?

Walewska patrzy na mnie w zamyśleniu. Siedzimy w jej biurze, składam zeznania w związku z włamaniem z piątkowej nocy. Za oknami widać fragment zachmurzonego nieba. To wyjątkowo paskudny poniedziałkowy poranek.

– Nie wiem, czy nie miał znaków szczególnych. Był ubrany w ciemną bluzę i jeansy. Na głowie miał kaptur. Nie przyglądałem mu się. Kiedy kogoś gonię, nie skupiam się na jego wyglądzie, tylko próbuję go dopaść.

– To dość ryzykowne, na drugi raz proszę od razu dzwonić na policję. Lepiej nie konfrontować się z włamywaczem. Facet mógł być uzbrojony.

– Ja nawet nie wiem, czy to był chłopak czy dorosły mężczyzna. Tyle widziałem. – Rozkładam ręce. – Myślę, że to może mieć związek

z zaginięciem Heleny.

– To bardzo prawdopodobne. Teraz właśnie staram się zrozumieć, jaki. Czy pana żona mogła być szantażowana?

Przechyliła lekko głowę i przykłada srebrnego zenita do pełnych warg.

Zjeżdżam na nie wzrokiem, a ona natychmiast zabiera długopis, ściąga łopatkę i odchrząkuje. Wydaje się zmęczona. Przed nią leży stos notatek. Chyba wszystkie dotyczą sprawy zaginięcia Heleny. Słyszałem już wcześniej o tej policjantce. Ponoć udało jej się rozstrzygnąć kilka trudnych spraw, najgłośniejsza dotyczyła morderstwa tego prawnika – Borewskiego. Znałem Mikołaja osobiście. Uczyłem go gry w tenisa.

Patrząc na zmęczoną twarz Walewskiej, przychodzi mi na myśl, że płaci za swoją skuteczność wysoką cenę.

– Nie wiem, czy mogła być szantażowana – odpowiadam po chwili namysłu.

– Pani Sylwia Wajcher wczoraj złożyła zeznania, w których stwierdziła, że była świadkiem takiego szantażu na terenie kwaciarni.

– Wiem. Sonia przekazała mi informację.

Wciąż to do mnie nie dociera. Od wczoraj zastanawiam się, z kim mogła mieć na pieńku.

– Ktoś jej powiedział, że ją wyda, jeśli nie dostanie od niej pieniędzy. Mężczyzna w średnim wieku, szczupły, w jeansach i w bluzie. Możemy założyć, że pasuje do opisu człowieka, który włamał się do pana w piątek, choć pani Wajcher nie widziała niczego dokładnie.

– Moja żona była w ciąży.

Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, pełnymi pytań.

– I dopiero teraz pan o tym mówi?

– Nie wiedziałem. Znalazłem w domu to.

Wyciągam z kieszeni przezroczysty worek z testami ciążowymi. Kładę go na stole, a potem wpatruję się w niego, czując się tak, jakby na blacie leżało moje dziecko.

– Czy te testy na pewno należą do pana żony? Skąd pan wie, kiedy je zrobiła?

– W szufladzie znalazłem też kartkę z terminem do ginekologa, sprzed dwóch miesięcy. Testy leżały obok tej kartki.

– To jeszcze o niczym nie świadczy.

– Dla mnie w tej chwili to oczywiste, że była w ciąży. Nie piła ostatnio alkoholu, zdrowiej się odżywiała.

– Ale sama nie powiedziała panu o tym, że spodziewa się dziecka?

– Nie, nie powiedziała.

Odpowiadając twierdząco na to pytanie, czuję, że przyznaję się do jakiejś strasznej porażki.

– Kiedy znalazł pan te testy?

– W sobotę.

– W którą sobotę?

– Dwa dni temu.

Odnoszę wrażenie, że mi nie wierzy.

– Przyjmijmy, że w istocie pani Helena była w ciąży. Czy to było pana dziecko?

– A kogo?

– Nie wiem, pytam tylko, czy pana.

– Wydaje mi się, że moje.

Uczucie porażki się pogłębia...

– Mówił pan podczas pierwszego przesłuchania, że żona chorowała na depresję.

– Tak, od lat, właściwie odkąd ją poznałem.

– Przepraszam, muszę o to zapytać. Czy mimo wszystko państwa pożycie małżeńskie było udane?

– Tak.

Nie.

Walewska stuka długopisem w stół, patrzy na worek z testami, a potem pyta:

– Czy dopuszcza pan rozwiązanie, że za napis na pana bramie garażowej może być odpowiedzialny... eee... ojciec dziecka?

Jakby sypnęła mi piachem w oczy. Widzę znowu tego człowieka, jak przede mną ucieka pod osłoną nocy. Szybkie ruchy wyprostowanych dłoni, szelest jeansów, kaptur zsuwający się z głowy, oddalająca się czarna plama na drodze.

– Nie wiem – mówię prawie bezgłośnie. – Ojciec dziecka napisałby na bramie garażowej: „Wydam cię suko”?

– Znam ojców i partnerów zdolnych do wielu gorszych zachowań.

– To niemożliwe.

– Póki co jednak nie mamy innego pomysłu, kto mógłby szantażować panią Helenę, prawda?

– Nie mamy – odpowiadam zgodnie z prawdą i opieram łokcie na stole.

Potem spuszczam głowę, czując się przybity tym, co mi powiedziała.

Cisza. Słyszę tylko swój oddech, i czuję, jak wracają wspomnienia związane z Heleną. Plaża nad Bałtykiem, ona z rozłożoną książką na brzuchu, osłaniająca się przed słońcem, wspólne wycieczki rowerowe i jej wesoło podrygujący kucyk. Helena mieszająca barszcz w Wigilię, Helena odwracająca się do mnie plecami w łóżku.

– Ja... naprawdę... bardzo... panu współczuję – odzywa się Walewska, jakby patrzyła na to wszystko razem ze mną.

Głos ma łagodniejszy. Kiedy nie brzmi tak ostro, wydaje się miłą kobietą. Podnoszę wzrok i spoglądam na nią, odrobinę uspokojony. Faktycznie, dostrzegam w jej wielkich oczach przebłysk zrozumienia, może nawet sympatii.

– Czy to wszystko? – pytam.

– Tak, pozostajemy w kontakcie. Jeśli coś jeszcze się panu nasunie, bardzo proszę o telefon.

Wychodzę z komendy z głową wielką jak balon. Mam wrażenie, że coś mi się tam przelewa przy każdym ruchu. To nie mógł być ojciec dziecka Heleny. Niewygodnie mi z myślą, że zadawała się z kimś takim. Jakby nie miała żadnych zasad. Prawda jest jednak taka, że nie mam pojęcia, kto mógł ją szantażować. Wiem za to bardzo dobrze, kogo ona szantażowała.

Sonia

Choć jest poniedziałek, nie zamierzam otwierać dziś kwiaciarni. Od wczorajszego popołudnia odtwarzam w głowie szczegóły spotkania z Sylwią – jej przerażony głos, to, jak siedziała pod brudną ścianą swojego mieszkania, zwinięta w kłębek.

Przed chwilą do niej dzwoniłam. Zdawała się spokojna. W nocy wzięła silne środki nasenne, żeby zasnąć. Jarek jest cały czas przy niej. Słyszałam jego stłumiony głos. Najpierw zapytał, kto dzwoni, a gdy mu powiedziała, że to ja, stwierdził: „Nie rozmawiaj z nią”. Chyba obwinia mnie o problemy, w jakie wpadła. Ja sama czuję się w jakimś sensie winna. Niczego nie zauważyłam. W ostatnim czasie musiała żyć w ogromnym stresie. Martwię się o nią. Mam nadzieję, że ten człowiek jej nie będzie nękał.

Chciałabym, żeby ten niepokój minął. Chcę zasnąć i obudzić się za parę miesięcy, kiedy wszystko będzie wyglądało inaczej, coś się wyjaśni, prawda wyjdzie na jaw. Nie wyobrażam sobie, że niepewność, w której ostatnio żyję, może ciągnąć się jeszcze długi czas. Nie wytrzymam tego psychicznie, pęknę.

Zeszyt z niebieską okładką zaczyna mnie przerażać. Trzymając go w domu, czuję się jak przestępczyni, a za każdym razem, gdy zaczynam czytać, mam wrażenie, że jestem świadkiem czegoś niegodziwego. Brudzę sobie dłonie od samego przerzucania kartek. Wszystko, co napisała Helena, jest toksyczne, jej myśli, doświadczenia, całe jej życie. Czy to oznacza, że

ona też taka była? Co ja bym pisała w swoim pamiętniku? Czy znalazłyby się tam zdania, w których przyznaję, że czasem opieka nad Elą bardzo mnie męczyła? Celowo nie wracałam czasem długo do domu, żeby nie dźwigać tego ciężaru. A może napisałabym, że zazdrozczę Helenie jej idealnego życia? Długo wierzyłam, że takie właśnie jest. Dopiero później zaczęłam dostrzegać pęknięcia, rysy i ubytki. Potem widziałam już tylko niedoskonałości, choć zdawały się małe. Nie umiałam dostrzegać niczego innego.

Muszę się dowiedzieć, co takiego zrobiła Helena. Inaczej nie będę mogła ruszyć dalej. Parzę sobie mocną kawę, a potem powracam do przeszłości mojej przyjaciółki. Już przy pierwszych zdaniach czuję się tak, jakby oblaży mnie robaki:

Jestem zła, okrutna, zepsuta. Czasem mówię tak do siebie, gdy stoję pod prysznicem albo gdy pracuję samotnie w kwiaciarni. Gdy nikt nie słyszy. Nie chciałam tego wszystkiego, mam wrażenie, że to, co się stało nie jest wyłącznie moją winą, że to nie ja, tylko on...

Dwa dni po kłótni z matką do drzwi mojego domu zapukał Dorian. Gdy matka go zobaczyła, chyba poczuła ulgę. Przystojny, wysportowany i przede wszystkim młody. Po jego wizycie trochę złagodniała. Nie wracałyśmy już do rozmowy o Kapitanie. Dorian skutecznie wymazał go z jej pamięci, tym bardziej że zaczął składać mi wizyty regularnie.

Ja jednak nie zapomniałam o Kapitanie. Tak jak się umówiliśmy, znalazłam dla niego miejsce w swoim życiu, choć czułam, że jest to mroczny zakątek. Oficjalnie spotykałam się z Dorianem, ale od czasu do czasu kontaktowałam się z Kapitanem. Dziewczyny mówiły mi, że to nierozsądne, że Dorian to idealny chłopak i do tego wpatrzony we mnie jak w obrazek. Ja jednak wiedziałam swoje. On kochał wyobrażenie na mój temat, a nie mnie jako taką.

Kapitan był ciekawy Dorigana. Opowiadałam mu przez telefon o naszych spotkaniach, również o ich intymnej odstonie. Z jednej strony wyczuwałam zazdrość, a z drugiej fascynację. Pewnego razu zapytał: „Czy Dorian wie, że od

kilku lat spotykasz się z dorosłym facetem?”. Nie wiedział, to oczywiste. Przez swoją przeszłość czułam się w środku nieczysta, jakbym udawała przed Dorianem kogoś innego. W pewnym momencie zapragnęłam rozstać się z Kapitanem, ale gdy ponownie zadzwonił, odebrałam telefon. Kierowało mną poczucie winy. Nie zasługiwałam na „czyste” życie. Kapitan sugerował, że bez niego sobie nie poradzę. Potrzebuję jego obecności. Mówił: „Pamiętasz, jak twoje życie wyglądało, zanim ja się w nim pojawiłem?”.

Było pasmem nieszczęść. Kornelia powiedziała mi, że jako nastolatka nie widziałam jeszcze wyraźnie granic między dobrem a złem. Kapitan to wykorzystał, a potem, kiedy zrozumiałam już, że to, co się stało, było złe, wywoływał we mnie wyrzuty sumienia, mówiąc: „Ty to zrobiłaś w przeszłości. Tylko ja cię znam tak naprawdę”. To, że poznałam go w czasie, gdy kształtowała się moja seksualność, sprawiło, że nasza relacja wypaliła mi dziurę w umyśle, którą od czasu do czasu musiałam wypełniać jego obecnością. Nie umiałam już bez niej funkcjonować.

Może gdyby do mojego pierwszego spotkania z Kapitanem doszło parę lat później, to byłabym na niego bardziej odporna. Tymczasem ja nie potrafiłam się od niego całkowicie odwrócić. Zawsze gdy dłużej nie rozmawialiśmy, czułam, że w środku znikam.

Dlaczego nie przyszłaś wcześniej? – zapytała mnie Kornelia.

Odpowiedziałam jej, że czułam się jak w pułapce. Od początku mojej relacji z Kapitanem musiałam się ukrywać. Najpierw przed rodzicami, a później przed Dorianem. To uwikłanie stało się dla mnie częścią codzienności. Nie brałam pod uwagę tego, że można inaczej funkcjonować. Tylko czasami, gdy budziłam się w środku nocy, czułam się bardzo zmęczona swoim życiem, jakbym dźwigała na ramionach potężny ciężar. Każda droga ewakuacji jednak była dla mnie wielką niewiadomą. Bałam się, co zastanę na jej końcu. Zawsze myślałam, że będzie gorzej, niż jest.

Uprawiałam seks z Dorianem, często uciekając myślami do Kapitana. Przy Kapitanie jednak nigdy nie myślałam o Dorianie. Było mi wstyd, że taka jestem

w środku, że w ten sposób się podniecam. Trzymałam te reakcje w sobie, nie pozwalałam im wypętać na zewnątrz.

Kapitan zrezygnował z wynajmu mieszkania w Oławie i to było jak przypieczerowanie naszego losu. Spotykaliśmy się dużo rzadziej, ale wciąż ze sobą sypialiśmy. Czasem robiliśmy to w jego samochodzie, czasem wynajmował pokój, zdarzało się, że był przejazdem i wtedy odwiedzał mnie w domu. Oczywiście robił to, gdy rodzice byli w pracy. Pamiętam, że był koniec sierpnia, wyjątkowo upalny dzień, gdy Kapitan do mnie przyjechał.

Otwierając mu, jak zawsze poczułam dreszcz ekscytacji i równocześnie nieprzyjemny ścisk w klatce piersiowej, który promieniował aż do podbrzusza. Kochaliśmy się w moim pokoju, w tej samej pościeli, w której dzień wcześniej byłam z Dorianem. Kapitanowi wyraźnie podobało się to, że mój pokój był pomalowany na niebiesko-żółto, pośrodku biegł ozdobny ścieg z wymalowanymi tulipanami. Nad łóżkiem wisiał plan lekcji. Typowy pokój nastolatki. Podniecało go to.

W pewnej chwili drzwi od pokoju się otworzyły i stanęła w nich moja matka. Patrząc na nas, trzymała się dłońmi za policzki, przypominała postać z Krzyku Edwarda Muncha. Nie wiem, jakim cudem udało jej się bezszelestnie wejść do domu, być może coś wzbudziło jej podejrzenia. Kapitan zaparkował, jak zawsze, na początku drogi, żeby zachować ostrożność.

Widząc ją, poczułam się tak, jakby wszystkie moje wstydlive pragnienia wypęły na zewnątrz. Patrzyła na nie zszokowana, miała szeroko otwarte usta, jej oczy płonęły strachem i gniewem.

– Wynoś się stąd! – wydusiła z siebie, patrząc na Kapitana. – Ty pieprzony zboczeńcu.

Gdy wypowiedziała to słowo, poczułam się, jakby mnie spoliczkowała.

Choć Kapitan ubierał się błyskawicznie, dla mnie ciągnęło się to w nieskończoność i było najbardziej upokarzającym momentem w dotychczasowym życiu. Policzki miał czerwone, oczy błyszczały mu

z podniecenia i wstydu. Wyszedł szybkim krokiem, zostawiając mnie sam na sam z przerażoną matką.

Nie chciałam się z nią konfrontować. Nie potrafiłam rozmawiać z nią na ten temat. Była dla mnie jak nielubiana nauczycielka, na którą jestem skazana. Oczywiście znowu się pokłóciliśmy. Zarzuciła mi kłamstwa i „puszczanie się”. Pytała, czy robię to za pieniądze.

Przez większość czasu milczałam, marzyłam o tym, żeby wyszła z mojego pokoju. Gdy to zrobiła, przykryłam się kołdrą i leżałam na łóżku, wciągając w siebie obecny tam jeszcze zapach Kapitana. Chciałam zniknąć. Obudzić się w innym życiu. Wymknęłam się z pokoju, zeszałam na dół i wyciągnęłam z barku whisky ojca. W spiżarni otworzyłam zgrzewkę z colą, którą rodzice kupili na imprezę i zabrałam jedną butelkę. Potem wróciłam z tym wszystkim do pokoju i cały dzień piłam, chcąc oddalić się od problemów.

Nie odpisałam na wiadomość od Kapitana. Wydawał mi się taki słaby. Zamiast tego skontaktowałam się z Dorianem. Chciałam, żeby mnie odwiedził. Namówiłam go, żeby wślizgnął się do mnie przez okno, bo nie wolno mi przyjmować gości. Zrobił to. Miałam pokój na piętrze, przylegały do niego gałęzie jabłoni. Wszedł po niej do mnie z błyskiem w oczach. Chyba go to podniecało. Była już późna noc. Rodzice spali.

Gdy mnie zobaczył, był zaskoczony. Pierwszy raz ujrzał mnie wtedy pijaną. Powiedziałam mu, że chciałabym uciec z tego miasta, z kraju, gdzieś daleko, gdzie można zacząć wszystko z czystą kartą. Chyba nie brał moich słów na poważnie, ale zdenerwował się, gdy wyciągnęłam z szuflady papierosa i zapaliłam go przy otwartym oknie.

– Nie wiedziałem, że palisz – powiedział rozczarowanym tonem, a ja pomyślałam, że wszystko się potwierdza.

On mnie nie zna. Kocha tylko swoje przekonania na mój temat. Piękną powłokę, a nie to, co jest w środku.

– Nie do twarzy ci z tym papierosem – mówił dalej, a potem do mnie podszedł i wyciągnął mi go z dłoni.

Następnie wyrzucił go przez okno, a ja znowu patrzyłam, jak pomarańczowa plamka szybuje w ciemności, by po chwili w niej zniknąć.

– Jesteś pijana, jutro mi za to podziękujesz – dodał.

– Zostaniesz na noc? – zapytałam.

– A twoi rodzice?

– Nie zająrz tu do rana. Możesz być pewien. Matka jest na mnie wściekła.

Zgodził się przenocować u mnie. Spaliśmy w objęciach na moim łóżku, ale nie dotrwaliśmy tak do rana. W środku nocy obudził nas syk ognia.

Ja obudziłam się pierwsza, Dorian tuż po mnie, jakby mój zryw go ocucił. Pamiętam ten długi wąski płomień, po prawej stronie drzwi, który przechodził właśnie na drewniany regał tuż obok łóżka. Wyglądał jak mała eksplozja bomby jądrowej, długa świetlna linia i gęsty lej na górze. Patrzyłam na niego przerażona, z trudem wciągając gorące powietrze w płuca. Parzyło mnie od środka. Każdy wdech był katorgą.

Pomyślałam, że obudziliśmy się za późno, że przyjdzie nam umrzeć w męczarniach. Widząc żywioł szalejący w moim pokoju i kłęby dymu rozprzestrzeniające się po podłodze, poczułam, że koniec jest blisko i że nie mamy szans na przeżycie.

– Musimy wyskoczyć przez okno – powiedział Dorian. Za szybami widzieliśmy rosnącą ścianę ognia.

Jabłoń płonęła, z oddali dobiegały odgłosy syren. Były coraz wyraźniejsze, zbliżały się do mojego domu. Podłoga miała kilkadziesiąt stopni, parzyła mnie w stopy, gdy biegłam przed Dorianem w kierunku uchylonego okna. Kiedy je otworzyliśmy na oścież, poczułam na ramieniu przeszywające uderzenie gorąca. Jakby ktoś wylał na nie wrzątek. To ogień, który przybrał na sile, dzięki przyływowi tlenu. Potem Dorian objął mnie nieporadnie, straciłam pod nogami grunt i wpadłam w ciemny tunel między płomieniami. Uderzając o ziemię, rozdzieliliśmy się. Poczułam silny ból w kostce, ale nie zwracając na niego uwagi, wstałam i skoczyłam przed siebie, do miejsca, gdzie nie było już ognia.

Czułam ulgę, opierając się o chłodną trawę. Zanurzałam w niej dłonie z niedowierzaniem, że może być zimna, a nie gorąca, jak wszystko, co otaczało mnie przed paroma sekundami. W tamtej chwili liczyło się tylko to, że żyję, jestem cała. Najgorsze było pieczenie w przetyku. Każdy inny ból zniknął. Dorian podpełzł do mnie po chwili, pytał przerażonym tonem o moje ramię.

Nie mogłam mu odpowiedzieć, jakbym straciła głos. Szok zdusił mi gardło, nie reagowałam już na żadne dźwięki płynące z zewnątrz. Całą moją energię pochłaniał widok płonącego domu, który przypominał bardziej szablon, z kwadratowymi otworami po oknach, wypełniony jaskrawym światłem. Nad nim wił się wielki szary obłok, niczym cień na kobaltowym niebie.

Przyjechało pięć zastępów straży pożarnej, pamiętam wodę, jej cienkie linie krzyżujące się w powietrzu, białe kaski strażaków i szarą pianę. Migoczące na niebiesko światła. Wyparłam z pamięci tylko strach o rodziców. Z pewnością go odczuwałam, ale dziś nie potrafię sobie już tego przypomnieć. Wiem, że ich ciała schowano do długich, czarnych worków, ale tego obrazu nie mam przed oczami. Być może nie patrzyłam albo zepchnęłam ten widok w głąb siebie i nie potrafię go już odnaleźć. Strażacy powiedzieli mi, że udusili się, zanim dotarli do nich płomienie. Okna w ich sypialni były pozamykane.

Oboje wiedzieliśmy, że pożar mógł wywołać ten papieros wyrzucony przez Dorianą, ale żadne z nas nie powiedziało tego policji. Nie prosił mnie o milczenie, ale ja wiedziałam, że nie ma sensu o tym mówić. To nie przywróciłoby życia moim rodzicom, a pogrążyłoby Dorianą. Mógłby zostać oskarżony o nieumyślne spowodowanie śmierci dwóch osób. Dom spłonął doszczętnie. Zamieszkałam u Doriany. U niego uczyłam się do matury. To on i jego ojciec czekali na mnie, gdy wróciłam po pierwszym egzaminie do domu. To im, zamiast rodzicom, opowiadałam, jak było, bo stali się dla mnie nową rodziną.

Czułam się tak, jakby ktoś mnie do nich dokleił. Tęskniłam za rodzicami, wiele razy płakałam nad ich grobem. Miałam wyrzuty sumienia, że moja

ostatnia rozmowa z matką była tak beznadziejną kłótnią. Czułam się też winna śmierci rodziców, choć nigdy nie powiedziałam tego Dorianowi.

Policja nie ustaliła jednej obiektywnej przyczyny pożaru. Instalacja gazowo-elektryczna była sprawna, nikt nie znalazł tego niedopałka w pogorzeliisku, ale przecież pamiętaliśmy ten pomarańczowy żar, który wpadł w ciemną otchłań.

Dorian źle spał. Wybudzał się niemal każdej nocy. Brał tabletki nasenne. Widziałam, że wziął odpowiedzialność za to, co się stało. Nosił ją przez całe życie. Coś się w nim zmieniło po pożarze, jakaś jego część zgasła. Nie był już tak lekki i radosny jak wcześniej. Napisałam Kapitanowi w wiadomości, co się stało, odpisał, że bardzo mu przykro i że powinniśmy się spotkać. Umówiliśmy się w pokoju hotelowym. Długo rozmawialiśmy. Powiedział mi, że jestem „silną kobietką” i że to przetrwam. W przyływie emocji zapytałam, czy możemy razem zamieszkać. Wtedy się skrzywił i odpowiedział, że spotyka się z kimś, „tak na poważnie”, z kobietą w swoim wieku, ale oczywiście, jeśli chcę, wciąż możemy ze sobą utrzymywać kontakt. Pamiętam dokładnie, jakich użył słów:

„Nasz związek powinien być zakazany, dzięki temu jest wyjątkowy. Proza życia go zniszczy”.

Potem uprawialiśmy seks. Całkowicie mnie zdominował. Po wszystkim stwierdził, że tego właśnie potrzebuję. Czułam się źle, podle, mdlito mnie, jakbym zatruta się jedzeniem.

Parę tygodni później okazało się, że jestem w ciąży. Nie byłam pewna, czyje to dziecko. Kapitana czy Dorigana. Nie byłam gotowa zostać matką. Dziecko nie może wychowywać dziecka. Musiałam usunąć. Nie wyobrażałam sobie innej możliwości. To był trudny dzień, wszystko zdawało się sprzeciwiać mojej decyzji. Dorian zawiózł mnie do lekarza i czekał w samochodzie, załamany, ale i pełen wsparcia. Gdy wróciłam po zabiegu do auta, czułam się strasznie, jakby wycięto mi fragment mnie.

Długo odzyskiwałam siły. Dorian był bardzo troskliwy. Dzięki niemu było mi łatwiej przez to przejść. Kapitan się nie odzywał. Nie miał dla mnie czasu. Uznałam, że nowa partnerka go zauroczyła. Sama nie wiem, czy czułam się

w tamtym czasie gorzej przez utratę dziecka, czy przez słaby kontakt z Kapitanem. W końcu zrozumiałam, że on, wbrew zapewnieniom, nie chce się już ze mną spotykać i zrobiło się jeszcze boleśniej. Jakbym umarła, wciąż oddychając. Jedyne, co mi zostało, to kwiaty. Tego się trzymałam. Wspomnienia tego wyjątkowego ogrodu w sklepie jego siostry.

Parę miesięcy po zakończeniu liceum poszłam na kilka kursów związanych z florystyką, a potem za część pieniędzy z odszkodowania otworzyłam kwiaciarnię. Nazwałam ją Chloris – po greckiej bogini roślinności, która w swoim ogrodzie przemieniała cierpienie w kwiaty.

Każdego dnia budziłam się z poczuciem braku, nauczyłam się czerpać radość z drobnych rzeczy. Pokochałam góry. Wyruszałam na wyprawy po Bieszczadach i Tatrach, czasem z Dorianem, czasem samotnie. Chciałam być bliżej natury. Tylko ona wydawała mi się uczciwa. Z dala od cywilizacji życie nabierało sensu.

Wszystko wydawało się zmierzać ku dobremu, aż do dnia, gdy w moim życiu znowu pojawił się Kapitan. Tym razem w zupełnie innej roli. Dowiedział się jakimś cudem, że mam kwiaciarnię, a potem zaproponował mi współpracę. Przez lata jego mały biznes zamienił się w potężną sieć, był już poważnym przedsiębiorcą. Powiedział, że chce mi wynagrodzić to, co się stało w przeszłości. Zgodziłam się, choć miałam złe przeczucia. Jak się okazało, słusznie.

To przez tę decyzję zabiłam człowieka.

Sonia

Co ona takiego zrobiła?!

Zamykam pamiętnik, bo przed oczami mam już mroczki. Nie mogę dalej tego czytać. Kipi we mnie tyle emocji. Okłamała mnie, nie przyznała się do tego, jak było naprawdę z pozarem. Powiedziała, że Dorian uratował jej życie.

Teraz list, który mu zostawiła:

„Wiem o tobie wszystko” nabiera innego znaczenia.

Łączyła ich paskudna tajemnica. Czy to dlatego nigdy się nie rozstali? A może dlatego ich związek był taki nieudany? Nie da się zbudować szczęścia na mrocznych sekretach.

To, co napisała na końcu, przeraża mnie jednak najbardziej. Wynika z tego, że to jeszcze nie wszystko. Ona kogoś naprawdę zabiła.

Sięgam po laptopa i wchodzę do folderu z dokumentami Chloris. Sprawdzam listę klientów, którzy składają u nas regularne zamówienia. Sale weselne, lokalne gminy, władze miast i miasteczek. Szukam dat rozpoczęcia współpracy. Tak naprawdę chcę się tylko upewnić, wzmocnić przecucia, które mam od chwili, gdy przeczytałam o tym „przedsiębiorcy”.

Jest. Adam Czarkowski. Data rozpoczęcia współpracy sprzed kilkunastu lat. Pierwszy większy klient.

Wpisuję jego imię i nazwisko w wyszukiwarce internetowej. Pojawia się kilka zdjęć. Na jednym ubrany jest w koszulkę polo z krótkim rękawkiem. To chyba jakaś akcja charytatywna w domu dziecka. Uśmiecha się do obiektywu, trzymając w dłoni bukiet filcowych tulipanów, najpewniej to prezent od dzieci. Na przedramieniu dostrzegam fragment tatuażu. Kilka czarnych gałęzi, za nimi białe koło. Nie widać go wyraźnie, ale zobaczyłam wystarczająco wiele, żeby domyśleć się, co to jest – drzewo i księżyc, o którym pisała Helena.

– Ty draniu – szepczę pod nosem.

Trzaskam pokrywą laptopa, a potem szukam jego wizytówki w torebce. Odnajduję ją dopiero po tym, jak wysypuję całą jej zawartość na dywan.

Dzwonię do niego z galopującym sercem. Odbiera już po drugim sygnale.

– Tak?

Poważny, wzbudzający zaufanie głos.

– Dzień dobry, tu Sonia Kolasa, z Chloris.

- O, dzień dobry, słucham.
- Chciałabym się z panem spotkać.
- W sprawie Heleny? – pyta szybko.
- Tak.
- Czy są jakieś postępy w śledztwie?
- Tak, są ogromne postępy.
- To ciekawe, a co takiego ustaliła policja?

W jego głosie pojawia się niepokój.

- Wolałabym porozmawiać o tym z panem osobiście.
- Dzisiaj? – pyta.
- Tak, jak najszybciej.
- Dobrze, dobrze – wzdycha do słuchawki – proszę poczekać. Marzena, co ja tam jeszcze dzisiaj mam? – pyta ściszym głosem.

Kobieta mu coś odpowiada, ale nie rozumiem.

- Możemy się spotkać za godzinę – mówi w końcu. – Jest pani w stanie przyjechać do mnie do hotelu, przy Świdnickiej?

Gdy słyszę słowo „hotel”, mam przed oczami zapiski Heleny o ich spotkaniach.

Powstrzymuję się, żeby nie powiedzieć za dużo.

- Halo, jest tam pani? – dopytuje łagodnie.
- Jestem, pasuje mi. Przyjadę do hotelu.
- Proszę zgłosić na recepcji, że jest pani ze mną umówiona. Ktoś po panią wyjdzie.

– OK.

Rozłączam się, nie czekając na jego odpowiedź, potem chowam pamiętnik za szeregiem książek na regale i przebieram się. Wsuwam na siebie czarny kombinezon z krótkim rękawem. Włosy przeczesuję szczotką, usta pociągam szminką. Wiem, że wygląd to nie wszystko, ale zdążyłam się już nauczyć, że w niektórych sytuacjach warto dostosować się do

okoliczności. To sporo ułatwia. Ludzie są przede wszystkim wzrokowcami, nawet jeśli się do tego nie przyznają.

Wychodzę z domu pełna obaw o to, co wydarzy się za dwie godziny. Choć znam adres hotelu na pamięć, czuję się, jakbym wyruszała w nieznaną. Z tego, co mówiła Helena, Czarkowski ma żonę i trójkę dzieci. Zastanawiam się teraz, czy moja przyjaciółka była jego jedyną ofiarą, czy spotykał się jeszcze z innymi dziewczynami? Może wie, gdzie ona przebywa.

Dojeżdżam na Świdnicką dwadzieścia minut przed czasem, mimo to wchodzę do eleganckiego hotelu w błękitnej kamienicy z białymi florystycznymi płaskorzeźbami i informuję recepcjonistkę, że mam spotkanie z Czarkowskim. Drobną kobietą z łabędzią szyją wydaje się zaskoczona, patrzy na mnie tak, jakby mi nie wierzyła.

Mimo to sięga po słuchawkę i gdzieś dzwoni, a potem posyła mi ciepły uśmiech i prosi, żebym poczekała na niebieskiej pikowanej sofie.

Po dziesięciu minutach podchodzi do mnie zgrabna blondynka bez makijażu, za to w eleganckiej, granatowej garsonce i mówi, że Czarkowski zaprasza do siebie.

Jedziemy windą, otulone ciepłym światłem, z głośników płynie muzyka klasyczna, jakiś koncert wygrywany na fortepianie. Wydaje mi się, że to Chopin. Przypominam sobie, że w Chloris Helena też puszczała taką muzykę i myślę, że to nie mógł być przypadek. Popielate włosy mojej towarzyszki są upięte w ciasnego koka, z którego wystają srebrne szpilki. Ma nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Wtapia się w ekskluzywne wnętrza tego hotelu, jakby stanowiła jego integralną część. Przyznaję w duchu, że Helena też by tu pasowała ze swoim wyczuciem stylu i finezją.

Drzwi windy się rozsuwają, odsłaniając nieduży hol, jasne ściany przeplecione złotą wstęgą ze szkicami róż pośrodku. Kojarzy mi się to z dawnym pokojem Heleny i pasem tulipanów, którym zachwycał się Kapitan.

Wchodzimy do biura Czarkowskiego. Mężczyzna stoi do nas tyłem i patrzy w okno, trzymając przy uchu telefon.

– Tak, tak, wszystko załatwię. O nic się nie martw. Ja też tęsknię.

Z kim on rozmawia? Blondynka wychodzi, a ja wpatruję się w lekko przygarbione plecy mężczyzny, w cienką, białą kratkę na grafitowej marynarce.

Jego biuro ma klasyczny wystrój. Duże, dębowe biurko, reprodukcja Witkacego na ścianie. A może to oryginał? Na szerokim parapecie stoi biała donica – antyczna głowa kobiety z oliwnym wiankiem na głowie. Wypływają z niej długie karbowane liście paproci, przypominające kręcone włosy.

Mam wrażenie, że elementy tej skomplikowanej układanki powoli zaczynają się łączyć. Helena uwielbiała takie donice, choć ten konkretny model nie jest już dostępny. Swego czasu jednak sprzedawałyśmy takie w Chloris.

Czarkowski kończy rozmowę i odwraca się do mnie przodem, rozpina guzik w szarej koszuli, która podkreśla jasną barwę jego oczu. Zastanawiam się, czy można o nich powiedzieć, że są smutne, ja ich tak nie odbieram. Wydają się dojrzałe, tak jakby widziały już w życiu wiele, okalają je głębokie zmarszczki. Obok jego prawego oka, bliżej skroni, zauważam podłużną bliznę. Gdy rozmawialiśmy w kwiaciarni, nie zauważyłam jej, być może dlatego, że światło nie padało bezpośrednio na jego twarz. Helena nie pisała nic o bliznie w pamiętniku. Powoli rosną we mnie wątpliwości. Czy czasem się nie pomyliłam? Przyjechałam tu wiedziona przecuciem, znalazłam kilka informacji potwierdzających moje domysły. Nie mam jednak pewności, czy są słuszne.

– Cieszę się, że pani jest. Proszę usiąść. – Wskazuje dłonią krzesło.

Zauważam szeroką obrączkę na jego serdecznym palcu.

Ściąga marynarkę, choć w biurze jest dość chłodno. Zimne powietrze z klimatyzacji opada bezpośrednio na moją szyję. Patrzą na jego prawe

przedramię, chciałabym, żeby podwinął rękaw koszuli. Zobaczyłabym wtedy dokładnie ten tatuaż. Wyeliminowałabym wątpliwości.

– Może się pani czegoś napije?

– Nie, dziękuję.

– To zamieniam się w słuch. – Posyła mi lekki uśmiech.

Zastanawiam się, jak najlepiej to rozegrać, od jakich słów zacząć. W ostatnich dniach wydarzyło się tak wiele, że ciężko jest mi nadążyć za rzeczywistością.

– Pan miał kiedyś przydomek Kapitan, prawda?

Głos mi drży, gdy wypowiadam te słowa. Wchodzę na cienki lód, sprawdzam, czy mnie udźwignie.

Unosi kącki ust, ale oczy ma nieruchome.

– Stare dzieje – odpowiada, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Jaki to ma związek ze sprawą?

– Myślę, że pan wie.

– Co mam wiedzieć?

– Helena mi o was opowiadała.

Słowo za słowem, bez jednego zająknięcia.

– Helena lubiła bujać w obłokach – kwituje, a potem przechodzi za biurko, najwyraźniej chcąc się ode mnie odgradzić.

– Takich rzeczy nie da się wymyśleć – mówię.

– Czego pani chce? – Twarz mu tężeje, głos lekko się unosi.

– Chcę odnaleźć moją przyjaciółkę. Gdzie ona jest? – pytam.

– Skąd mam wiedzieć?

– Nie mówiła panu, dokąd się wybiera i dlaczego?

– Nie mam pojęcia. – Kładzie dłonie na biurku i podnosi się z krzesła. –

Całe życie była nierozgarnięta.

– Nierozgarnięta!? – powtarzam z drwiną w głosie.

– Tak.

Milczę, patrząc mu prosto w oczy. Wzbiera we mnie złość. Jest jak potężna fala, której nie da się powstrzymać. Po tym, co jej zrobił, ma jeszcze czelność ją oceniać, jakby sam był czysty.

– Była taka przez pana – szepczę.

– Co?

– Pan ją zniszczył – cedzę przez zęby, ostatecznie wchodząc na wojenną ścieżkę.

Stoimy po dwóch stronach barykady. Rozdziela nas jedynie lakierowany blat biurka, pod którym drżą mi kolana, ale on nie może tego zobaczyć.

– Sama siebie zniszczyła.

Wspominam słowa przeczytane w pamiętniku Heleny, tusz rozmyty jej łzami: „Martwej dziewczyny nie da się zabić”.

– Była taka młoda – wyrzucam z siebie, próbując zapanować nad żalem i gniewem, które tak mocno czuję.

– Utrzymywaliśmy kontakt przez wiele lat – odpowiada szybko, jakby chciał przykryć moje słowa.

Chyba sądzi, że to, co powiedział jest wystarczającym usprawiedliwieniem.

– Co, tego pani nie powiedziała? Cała ona, zawsze mówi tylko to, co jest dla niej wygodne.

– To nie jest dla pana żadnym wytłumaczeniem – odpowiadam.

– Ja nie muszę się przed nikim tłumaczyć.

Ciągnę za pasek mojej torebki, zsuwa mi się z ramienia, prawie upada na podłogę. Chwytam ją w ostatniej chwili i nerwowym ruchem ręki rozsuwam zamek. Wyciągam z niej małe zdjęcia w jasnych obwódkach, które znalazłam w garderobie Heleny i Doriany, a potem kładę je na biurku, jedno obok drugiego, w równym rzędzie. Ich kwadratowe cienie drżą na dębowym blacie, zanim opadną na niego, przypominając fragmenty kartoteki sprzed lat. Wszystkie mają pożółkłe ramki, są lekko

rozmyte. Przedstawiają nagie ciało Heleny, mnie szperającą w plecaku i Elę.

– Co to jest? – pytam stanowczo. – Jeśli nie powie mi pan prawdy, pójdę do pana żony i wszystko jej opowiem.

– Niech mi pani nie grozi, bo ja zacznę grozić pani.

Ostre, śliskie słowa, po których muszę chwilę odczekać. Wdech, wydech, a potem pytanie:

– Tak jak groził pan Sylwii?

– Nie znam żadnej Sylwii – odpowiada, patrząc na fotografie.

Widzę wyraźnie poziome zmarszczki rozcinające jego czoło, gdy przygląda się zdjęciom. Odwraca w swoją stronę tylko te, na których jest Helena.

– Skąd pani to ma?

– Znalazłam je u Heleny w domu. Zrobiła je polaroidem. To pan chciał, żeby... – głos więźnie mi w gardle – ...żeby je sobie robiła.

– Nigdy mi żadnego nie dała.

– To skąd to się u niej wzięło?

– Nie wiem.

– A te?

Dotykam palcami zdjęć przedstawiających mnie i Elę, ale on unosi już głowę i odchodzi od biurka. Nie wytrzymuje:

– Za kogo ty się kurwa uważasz, co? Przychodzisz tu i rzucasz na mnie bezpodstawne oskarżenia?!

Gdy zwraca się do mnie bezpośrednio, w dodatku krzycząc, czuję się bardziej zagrożona. Forma „pani” tworzyła między nami bezpieczny dystans, z którego w przypływie złości zrezygnował. Wygląda teraz jak człowiek zdolny do wszystkiego. Całe biuro jest rozmyte, jak niewyraźna kolorowa smuga, widzę wyraźnie tylko jego wściekłe, płytkie oczy, nie patrzące na mnie, ale przeze mnie, jakbym już nie istniała. W jego umyśle kształtuje się jakiś upiorny plan, który przyprawia mnie o dreszcze.

Słyszę ciche pukanie do drzwi, po chwili lekko się uchylają i widzę blondynkę, która mnie tu przyprowadziła.

– Przyszedł pan Wilczak – mówi.

– Niech poczeka – grzmi Czarkowski.

Kobieta patrzy zaintrygowana to na mnie, to na niego, a on podchodzi do niej i powtarza:

– Niech poczeka, Marzeno.

Ton mu się raptownie zmienia. Pojawiają się w nim przyjemne dla ucha ciepłe nuty. Kobieta uśmiecha się do niego niepewnie, a potem na powrót chowa za drzwiami.

– Co to za zdjęcia? Czuję, że pan wie – pytam szybko, jakbym chciała załapać się na jego łagodniejszy ton, który chwilę temu zaprezentował przed asystentką.

– Ty chyba zapomniałaś, z kim masz do czynienia.

Obrzuca mnie pogardliwym spojrzeniem. Właśnie przypomniał mi swoje położenie. To, że jest ode mnie starszy i bogatszy. Od chwili, gdy powiedziałam mu, że Helena wyznała mi prawdę o nich, wyglądał, jakby o tym zapomniał. Chciał wszystko zneutralizować, jakoś wytłumaczyć, wychodząc mi naprzeciw. Zobaczył, że to nie zadziałało, więc wrócił do swojego bezpiecznego gniazdka na górze.

Z tym że ja nie czuję już, żeby istniała między nami jakakolwiek różnica. Byłam świadkiem jego wybuchu złości, pokazał mi swoją słabość. Postrzegam go inaczej niż w chwili, gdy tu weszłam. To się już nie zmieni.

– Wynoś się stąd i nigdy nie wracaj – mówi dalej, opadając na krzesło.

Wydaje się zmęczony. Patrzy na drzwi.

Muszę się do niego zbliżyć i zabrać fotografie. Siedzi przy biurku, a zdjęcia wciąż błyszczą na dębowym blacie. Żałuję, że od razu ich nie schowałam, ale liczyłam na to, że jeszcze mi coś powie, że ich widok go jakoś zmobilizuje. Mięśnie nóg boleśnie mi się napinają, gdy ruszam w jego

stronę. Rozchylam kieszeń torebki, a potem sięgam ręką do biurka, tuż obok jego ramienia.

Chwyta mnie za nadgarstek. Ściska, wwiercając we mnie to paskudne spojrzenie.

– Puszczaj – szepczę.

Skóra mi się wykręca, co koszmarnie mnie piecze.

– Bo pójdę na policję – dodaję.

– Wyświadczysz wtedy przyjaciółce niedźwiedzią przysługę.

Wypowiada te słowa lekko, prawie wyśpiewuje.

– Dlaczego?

– Jeśli nie wiesz, to chyba jednak tak bardzo się nie przyjaźniłyście.

– To nieprawda. Zrobię wszystko, żeby ją odnaleźć.

– Może nie warto?

– Co?

– Zostaw tę sprawę w spokoju.

Obwód jego gorącej dłoni zaciska mi się jeszcze mocniej na nadgarstku. Z moich ust wydobywa się zdławiony jęk i przez moment myślę, że on widzi we mnie moją przyjaciółkę. Że czuje nade mną przewagę, tak jak czuł ją nad Heleną w mieszkaniu na Chrobrego.

Mobilizuję wszystkie siły, biorę wdech, a później krzyczę na całe gardło:

– Puszczaj!

Natychmiast zabiera rękę, szeroko otwiera oczy, w kompletnym zaskoczeniu. Nie spodziewał się tego. Helena by nie krzyknęła.

Zbieram zdjęcia w milczeniu, rozdarta skrajnymi emocjami, a potem oddalam się w kierunku drzwi.

Wychodzę z jego biura roztrzęsiona i pełna pytań. Przed drzwiami stoi młody facet w skórzanej kurtce i w jeansach. Dalej siedzi blondynka z kokiem. Obydwoje nie spuszczają ze mnie wzroku, co uświadamia mi, że mój krzyk musiał sięgnąć ich uszu. Zachodzą w głowę, co wydarzyło się za

drzwiami tego gabinetu. Facet niepewnie je popycha i wchodzi do środka, a ja poprawiam pasek torebki na ramieniu, a potem idę w kierunku windy.

Gdy do niej dochodzę, słyszę za sobą kobiecy głos:

– Proszę poczekać!

Blondynka zbliża się do mnie pospiesznie z kartą magnetyczną w dłoni. Dopiero teraz zauważam, że lekko kuleje na prawą nogę. Wcześniej nie zwróciłam na to uwagi.

– Trzeba przyłożyć, inaczej nie przyjedzie – mówi i dotyka kartą czytnika nad przyciskiem oznaczonym strzałką.

– Dziękuję.

– Mam do pani pytanie – mówię jeszcze.

– Tak?

– Czy żona pana Czarkowskiego pracuje w tym hotelu?

Właściwie nie wiem, dlaczego o to pytam. W tym momencie nie mam ochoty na kolejną konfrontację, ale chcę wykorzystać szansę. Być może ta kobieta coś wie i mi powie. Nic nie stracę, jeśli odmówi mi udzielenia informacji.

Kręci przecząco głową.

– Ona wyjechała na urlop. Tydzień temu, z dziećmi.

– Nie ma jej we Wrocławiu?

– Nie.

Cichy gong sygnalizuje, że winda już przyjechała. Na twarzy blondynki pojawia się wyraz ulgi, chyba cieszy się, że nie musi dłużej ze mną rozmawiać. Wchodzę do środka, podczas gdy asystentka Czarkowskiego zostaje w holu. Zjeżdżam na dół, zastanawiając się, czy fakt, że jego żony nie ma we Wrocławiu, może coś oznaczać. Czy istnieje cień szansy na to, że Helena przebywa w jego domu?

Na razie nie chcę kontaktować się z żoną Czarkowskiego, chciałam go tylko nastraszyć, zmusić do tego, żeby coś mi powiedział. Czuję, że wie więcej, niż mi wyjawiał. Nie daje mi spokoju to, jak na mnie patrzył, gdy

rozmawialiśmy w jego biurze. Byłam intruzem, którego chciał się pozbyć i nie jestem pewna, czy chodziło mu jedynie o najbliższą przestrzeń.

Teraz pragnę jak najszybciej wrócić do Oławy, oddalić się od tego hotelu. Potwierdziły się moje przypuszczenia. To on jest Kapitanem. Wykorzystał Helenę. W głowie mi się nie mieści, że ukrywała to przede mną przez tyle lat. Był naszym klientem, osobiście wystawiałam jego firmie faktury. Wracając samochodem do domu, zastanawiam się, czy mimo wszystko nie pójść na policję, nie przekazać im pamiętnika Heleny. Powstrzymuje mnie przed tym tylko chęć bycia lojalną wobec przyjaciółki. Czarkowski stwierdził, że jeśli poinformuję o wszystkim policję, wyświadczę Helenie niedźwiedzią przysługę. Powoli skłaniam się ku opcji, że ona naprawdę uciekła, choć za każdym razem, gdy wspominam jej zakrwawiony szalik znaleziony przez TOPR, coś mnie kłuje w żołądku. Jestem rozdarta jak nigdy i nic nie jest już pewne.

Hamuję z piskiem opon przed pasami, po których starsza kobieta prowadzi swój rower. Przechodząc przez jezdnię, poprawia uszy pasiastej torby wystającej z koszyka na bagażniku. Nie jest świadoma tego, że prawie w nią wjechałam.

Opieram łokcie na kierownicy i zanurzam dłonie we włosach, próbuję się uspokoić, choć serce tłucze mi się w piersi. Jeszcze tego by brakowało, żebym spowodowała wypadek.

Gdy wchodzi bezpiecznie na chodnik po drugiej stronie ulicy, ruszam, próbując skupić się na dalszej jeździe, choć to nie jest łatwe. Dochodzi siedemnasta, korek przy wyjeździe z Wrocławia jest całkiem spory. Co jakiś czas spoglądam w lusterko, upewniając się, że wciąż podąża za mną ten sam czerwony ford. Za jego kierownicą siedzi młoda kobieta, z tyłu jest dwójka dzieci i jakiś spaniel. Opieram się myślom, że Czarkowski mnie śledzi, chce zobaczyć, gdzie mieszkam, żeby w nocy się ze mną rozprawić. Z pewnością od dzisiaj jesteśmy wrogami. Fakt, że nie będzie chciał już u

nas zamawiać żadnych kwiatów, wydaje się teraz najmniejszym problemem.

Czuję, że niebezpiecznie zawęży mi się pole manewru. Już wiem, za co przeprosiła mnie Helena. Za piekło, w którym tkwię po uszy. Zna mnie bardzo dobrze. Wiedziała, że nie odpuszczę. Jeśli planowała ucieczkę, to domyślała się, że będę jej szukała.

„To nie ja, to on”.

Początkowo myślałam, że „nim” jest Dorian, ale teraz wiem, że równie dobrze mógł to być Czarkowski. Myśl, że to rozszyfrowałam, dodaje mi otuchy. Przede mną jednak jeszcze pełno niewiadomych.

W mieszkaniu dzwonię do Łukasza.

– Tak? – wita się ze mną.

– Cześć, mam prośbę.

Kiedy wypowiadam te słowa, dociera do mnie, że ostatnio cały czas dzwonię do niego z jakąś sprawą.

– Wszystko OK? – pyta. – Brzmisz jakoś...

– Jestem trochę zmęczona – wchodzę mu w słowo – miałam ciężki dzień.

– Jak chcesz, mogę wpaść do ciebie za parę godzin.

Jego głos rozplywa się wokół mnie jak przyjemna muzyka. Potrzebuję kogoś, komu będę mogła powiedzieć o tym, co się stało, a on jest jedynym człowiekiem, któremu mogę zaufać.

Po tym, co przeczytałam w pamiętniku Heleny, myślę, że moja relacja z Łukaszem była do bólu zwyczajna, choć przez długi czas postrzegałam ją inaczej. Przeszkadzały mi jego przyzwyczajenia. To, że wracał późno do domu, albo że czasem wyłączał się, gdy opowiadałam mu o tym, jakie bukiety przygotowałam danego dnia. Nie mieliśmy jednak przed sobą tajemnic, przynajmniej ja nie miałam przed nim. Mogłam przy nim swobodnie oddychać. Nigdy mnie nie zawiódł, a ja mimo to postanowiłam się z nim rozstać. Miałam koło siebie porządnego mężczyznę, na którego zawsze mogłam liczyć. Mimo to zakończyłam nasz związek. Być może

chciałam ubiec Łukasza, bo obawiałam się, że jeżeli ja tego nie zrobię, to on odejdzie ode mnie, tak jak przed laty ojciec.

– W porządku, przyjeźdź.

Domofon dzwoni równo o dwudziestej pierwszej. Podnoszę słuchawkę, jednocześnie dotykając opuszką palca przycisk z kluczem.

– Łukasz? – pytam dla pewności, chcąc już go wpuścić.

– Załatwię cię łomem – słyszę upiorny, niski głos.

Wydaje się sztuczny, jakby został zmieniony modulatorem.

Zsuwam palec z przycisku, słuchawka wyślizguje mi się z dłoni. Cała drzę, jakbym wpadła w trans.

Opadam na wykładzinę, wyczuwam pod gołymi kolanami jej szorstkość, a potem moje ciało robi się ciężkie, ledwie mogę oderwać dłonie od ziemi.

Słuchawka wisi na cienkiej, czarnej sprężynie tuż obok mojej twarzy. Słyszę kolejne słowa, które wysysają powietrze z mojego mieszkania:

– Słyszysz? Załatwię cię, jak nie przestaniecie węszyć. Ty i ta pizda Sylwia.

Chcę, żeby to się skończyło, niech odejdzie, kimkolwiek jest. W tej chwili jego tożsamość nie jest istotna. Mam wrażenie, że ze słuchawki wylewa się zło w czystej postaci. Nie znam tej energii, ale śmiertelnie się jej boję. Nie potrafię się z nią konfrontować, jest nieludzka.

Potem jest już tylko szumiąca cisza, w której słychać silniki przejeżdżających aut, dzwonek iPhone'a płynący z oddali i jakiś stłumiony śmiech. W tle dalej toczy się życie, ten potworny epizod go nie przerwał. Tylko ja rozpadam się pod ścianą na kawałki.

Wyteżam słuch. Próbuję ustalić, czy ktoś wspina się po schodach na górę. Drzwi mam zamknięte, mimo to przeraża mnie myśl, że ten człowiek może podejść do mojego mieszkania.

Nie wiem, jak długo drzę na podłodze, powoli przewijając w głowie obrazy, w których dominują płytkie oczy Czarkowskiego, zmarszczki na jego czole, gdy patrzył na zdjęcia Heleny.

Potem słyszę kroki na klatce schodowej. Jeden po drugim. Ktoś wchodzi na górę, a potem puka do moich drzwi.

– Sonia, jesteś tam?

– Łukasz?

– Tak.

Powoli podnoszę się z ziemi. Jestem tak zdenerwowana, że uniesienie klapki judasza jest dla mnie wyzwaniem. Potem spoglądam przez otwór w drzwiach na korytarz i widzę jego lekko uniesione włosy, zaczesane na bok. Patrzę na nie zdecydowanie za długo, chcąc mieć stuprocentową pewność, że to on.

Przekręcam rygiel w zamku i wpuszczam go do środka. Ciało mam niemal bezwładne. Żeby nie stracić równowagi, opieram się dłonią o ścianę i tak trwam, patrząc, jak wchodzi do środka.

– Ej, co się dzieje?

Kręcę tylko przecząco głową.

– Sonia? Jesteś blada jak papier.

W głowie wciąż gra mi ten upiorny głos. To, co mówi Łukasz, nie dociera do mnie w pełni, wydaje się mniej ważne. Liczy się tylko to, że ktoś załatwi mnie łomem. Załatwi, jeśli nie przestanę węszyć.

Przykładam dłoń do ust, bo robi mi się niedobrze. Potem idę w kierunku łazienki, nie odrywając dłoni od ściany.

– Ja pierdołę, co się stało? – dąży Łukasz.

Czuję na plecach jego dłoń, próbuję ją z siebie strząsnąć, bo za bardzo mnie obciąża. Nie chcę, żeby ktokolwiek mnie dotykał. Otwieram łazienkę i wymiotuję do toalety. Wyrzucam z siebie ten straszny głos, widok słuchawki wiszącej na skręconym kablu. Potem opieram się plecami o chłodne kafle i patrzę na kołyszące się naprzeciwko lustro w cienkiej, srebrnej ramie. Obserwuję drobne ryski w jego dolnej części. Moje odbicie wydaje się zamglone.

– Muszę zadzwonić na policję – wydobywam wreszcie z siebie głos, bo Łukasz nie przestaje pytać.

Pierwszy raz widzę go tak wzburzonego, co uzmysławia mi, w jak fatalnym stanie muszę się znajdować. Nigdy nie panikuje bez powodu.

– Ja zadzwonię, tylko powiedz, co się stało.

– On tu był, groził, że załatwi mnie łomem. Przed chwilą.

– Kto???

– Ten facet, myślę, że ten sam, który był u Sylwii.

– U Sylwii z kwiaciarni?

– Zadzwonź na policję – szepczę. – Zaraz ci wszystko opowiem.

Rozdział 23

Wychodzę z łazienki i idę do salonu. Łukasz podąża za mną jak cień, obserwuje każdy mój ruch, wchłania każde wypowiedziane przeze mnie słowo, chcąc zrozumieć, co się stało.

– Zadzwoił domofonem, postąpił tak samo jak z Sylwią – mamrocze niewyraźnie, walcząc o równowagę.

Torsje mnie osłabiły, ledwie stawiam każdy krok.

– Kto? Dorian? – pyta.

Na dźwięk tego imienia przystaję. Spoglądam na Łukasza, nie wiedząc, co odpowiedzieć. To nie mógł być Dorian. Przecież mówiła, że to nie jego widziała w kwiaciarni. To był ktoś obcy. Chyba że skłamała ze strachu.

– Nie – odpowiadam w końcu, a potem ściągam z regału pamiątnik Heleny i chowam go do dolnej szuflady.

– Nalać ci wody? – proponuje Łukasz.

– Tak.

Idziemy razem do kuchni. Zbieram ze stołu liściki. Chowam je do szuflady ze sztućcami. Boję się, że policjanci tu wejdą, choć to irracjonalne. Pewnie tego nie zrobią.

– Proszę. – Łukasz wręcza mi szklankę z wodą.

– Dzięki.

– Co robisz? – pyta, gdy domykam szufladę.

– Nic, nieważne, potem ci powiem.

Na dźwięk domofonu zaczynam się trząść.

– Spokojnie, Sonia, to pewnie policja – mówi Łukasz, a potem idzie do przedpokoju i podnosi słuchawkę, jak gdyby nigdy nic.

Wpuszcza ich na górę, później otwiera im drzwi od mieszkania. Widzę Walewską i tego wysokiego policjanta w okularach, który wczoraj przyjął Sylwię na komisariacie.

Obydwoje są ubrani po cywilnemu. Łukasz nie zadzwonił na numer alarmowy, ale bezpośrednio do Walewskiej. Słyszałam, jak mówił: „Edyta, chwilę temu ktoś groził przez domofon Soni Kolasie. Tak, tak, najwyraźniej podobnie jak z Ziętara”.

Sonia Kolasa. Wypowiedział moje imię i nazwisko tak oficjalnie. Nie wiem, co mówił później, za dużo było w mojej głowie myśli. Wpłynęły do niej wszystkie w jednej chwili, jakbym dopiero wtedy oprzytomniała. Patrzyłam w okno, zastanawiając się, co będzie, jak wszyscy stąd odjadą. Czy ten człowiek tu wróci?

Przechodzimy do salonu. Zajmuję miejsce na kanapie, obok mnie siada Walewska z notatnikiem w dłoni.

Wysoki policjant, chyba Maciejewski, siada na fotelu, a Łukasz stoi przy oknie i patrzy na mnie, próbując coś zrozumieć. Wolałabym mieć go teraz obok siebie.

Walewska współczującym głosem prosi, żebym powiedziała dokładnie, co usłyszałam przez domofon. Powtarzam słowa tego człowieka, mówię, że miał sztucznie zmieniony głos. Potem widzę, jak Walewska patrzy zmartwionym wzrokiem na wysokiego funkcjonariusza, jakby ta wiadomość miała jeszcze jakieś dodatkowe znaczenie, o którym wiedzą tylko oni.

– Czy coś było słyhać w tle? – pyta. – Przykładowo dźwięk odjeżdżającego motoru? Mówi pani, że potem słuchawka wisiała na kablu, nie odłożyła jej pani na miejsce.

– Tak, ale nic już nie słyszałam, tylko zwyczajne odgłosy ulicy.

– Czy ma pani jakichś wrogów? – włącza się policjant.

Patrę odruchowo na Łukasza, jakbym prosiła go o pomoc w wytypowaniu właściwych osób, a on wędruje wzrokiem do szuflady, w której ukryłam pamiętnik Heleny. Włożyłam go tam przy nim. O nic nie pytał, gdy to robiłam, ale teraz widzę, że go to męczy. Mam wrażenie, że zaraz tam podejdzie i po prostu wyciągnie dziennik.

Lata przyjaźni, wspólnej pracy, weekendowych wyjazdów i telefonicznych rozmów do późnej nocy. Miała problemy, o których mi nie powiedziała. Gdzie przebiega granica między troską o drugiego człowieka a troską o siebie? Czy powinnam wyrzucić naszą znajomość do śmieci i oddać wszystko w ręce policji? Czy tak wygląda prawdziwa przyjaźń?

– Pani Soniu, wiem, że jest pani ciężko, ale to ważne pytania. Musimy ustalić, jakie powinny być następne kroki. Proszę się zastanowić. Czy ktoś mógł chcieć pani zaszkodzić? – dopytuje Walewska.

Z ulgą zauważam, że Łukasz nie patrzy już na szufladę. Szuka czegoś w telefonie.

Mówię coś, co wydaje mi się w tej podłej sytuacji kompromisem między moim i Heleny dobrem.

– Byłam dzisiaj u jednego z naszych klientów, Adama Czarkowskiego.

– Tego od sieci hoteli? – podłapuje Walewska.

– Tak. Znali się z Heleną bardzo dobrze, od lat. Pojechałam tam, żeby zapytać go, czy wie coś o jej zniknięciu. Był ewidentnie niezadowolony z mojej wizyty, pod koniec złapał mnie za rękę i powiedział, żebym zostawiła tę sprawę w spokoju.

– Skontaktujemy się z tym człowiekiem. – Zapisuje jego nazwisko w notatniku, obok stawia wykrzyknik. – Czy ktoś jeszcze przychodzi pani na myśl?

– Nie, to jedyna osoba.

– Dobrze, chcę pani obiecać, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby złapać tego człowieka i wyjaśnić sprawę.

Mówi to tak pewnie. Zastanawiam się, czy to wyuczona intonacja płynąca z doświadczenia, czy naprawdę ma wystarczająco dużo energii i zapału do tego, żeby ująć człowieka, który groził mi śmiercią. Nie wiem, czy ma nad tym wszystkim kontrolę, ale nie pozostaje mi nic innego jak przyjąć chęć jej pomocy.

Czuję się też spokojniejsza, że powiedziałam jej o Czarkowskim. Właściwie to jedyna podejrzana osoba, o której mowa w pamiętniku Heleny.

Policjanci informują, że przez całą noc w okolicach mojej klatki będzie stał radiowóz policyjny, jutro też postarają się obserwować mój blok. Sugerują jednak, że nie mogę liczyć na ochronę przez dłuższy czas, chyba że sytuacja się powtórzy. Wtedy trzeba będzie wystosować odpowiedni wniosek i może uda się kogoś przydzielić.

W końcu funkcjonariusze wychodzą i zostajemy z Łukaszem sami. Gdy tylko zamyka za nimi drzwi, idzie do szuflady w salonie. Próbuję go powstrzymać, ale jest nieugięty.

– Co to jest? – pyta, ściskając w dłoni niebieski zeszyt.

– Zamierzałam ci powiedzieć, dlatego do ciebie zadzwoniłam. To pamiętnik Heleny.

– Chryste, Sonia. Przecież to trzeba przekazać policji. – Kartkuje go z niedowierzaniem w oczach.

– Nie mogę tego zrobić.

– Niby dlaczego?

– Ona tam pisze, że kogoś zabiła. Nie mogę znaleźć tego fragmentu, dlatego czytam wszystko.

– Te bazgroły? Policyjny grafolog łyknie to w jeden dzień.

– Nic nie rozumiesz. – Wreszcie udaje mi się wyrwać mu zeszyt.

Siadam z nim z powrotem na kanapie, wyglądam rogi, przejeżdżam dłonią po okładce.

– To nie jest byle kto, tylko moja najlepsza przyjaciółka. Moja jedyna przyjaciółka. Oprócz niej nie mam w życiu nikogo.

Łukasz wydyma usta, mierzwi włosy, wygląda, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale w końcu milknie.

Podchodzi bliżej. Najpierw stoi przede mną, a ja patrzę na jego granatowe jeansy, sama też pozostając w bezruchu. Potem on siada na

kanapie, tuż obok mnie. Wyczuwam zapach jego perfum wymieszany z wonią papierosów. Niepewnie mnie obejmuje, potem całuje w skroń, a ja czuję, jak wszystko się we mnie rozplątuje. Rozpuszczam się w jego ramionach. Dopiero teraz rozumiem, że skontaktowałam się z nim dzisiaj, bo tak naprawdę potrzebowałam bliskości. Czasem taki czuły gest znaczy więcej niż godziny merytorycznych dyskusji. Uciekam od myśli, że jeśli znowu się z nim zżyję, to mnie zostawi. Liczy się teraz tylko szum krwi w moich uszach, subtelne kołysanie. Przymykam oczy. Wchłaniam w siebie jego głos.

– Czy masz jakieś miejsce, do którego mogłabyś się przenieść na jakiś czas?

Nic nie odpowiadam, a on mówi dalej:

– Najlepiej gdzieś poza Oławą. Zaproponowałbym moje mieszkanie, ale to jest parter, kilka klatek stąd. Nie wiem, czy tam będziesz czuła się wystarczająco bezpiecznie.

Myślę o domu po babci w Wilkowie, który, póki co, stoi pusty. Matka ma klucze. Mogłabym się tam przenieść. To prawie półtorej godziny drogi od Oławy, myślę, że to wystarczający dystans, aby odgrodzić się od tego człowieka. Zaszyję się tam na jakiś czas. Przeczytam pamiętnik do końca. Zdecyduję, co dalej.

– Pojadę do Wilkowa.

– Do domu twojej babki?

– Tak.

– Nadaje się jeszcze do zamieszkania?

– Myślę, że tak.

– W porządku – odpowiada ostrożnie – to może być jakieś rozwiązanie. Zawiozę cię. Lepiej będzie, jeśli twój samochód zostanie na parkingu pod blokiem.

– OK.

Powoli zsuwa dłoń z mojego ramienia. Nieoczekiwanie robi mi się zimno.

– A teraz opowiedz, co przeczytałaś w pamiętniku Heleny. Mnie możesz zaufać.

Patrzę w jego oczy. Myślę, że muszę mu zaufać, bo sama dłużej tego nie zniosę.

– Obiecuj, że nikomu nie powiesz.

– Obiecuję.

Zaczynam mówić, z przerwami, powoli. Czuję się tak, jakbym z trudem zrzucała z pleców potężny ciężar.

Dorian

Mogłem się związać z kimś pokroju Klary, myślę, gdy kuzynka stawia przede mną talerz z grzankami. Dochodzi dwudziesta druga. Siedzimy u mnie w jadalni. Klara zapaliła kilka świeczek, które wyciągnęła z komody. Powiedziała, że powinienem się odstresować, zadbać o siebie, bo zamartwianie się nic mi nie da.

Normalnie o tej porze leżałbym już w łóżku, ale w ostatnim czasie wszystko stanęło na głowie.

– Schudłeś – mówi, siadając ze swoją porcją przy stole.

– Dziwisz się?

– Nie wierzę, że była w ciąży. – Kręci głową, wpychając łąpczywie do ust kolejne kęsy jedzenia.

Potem pije czerwone wino z dużego kieliszka.

– Policja podejrzewa, że facet, który groził Sylwii i jej to ojciec dziecka – mówię.

– Nie czujesz, że to wszystko się ze sobą łączy? – Spogląda na mnie tymi błyszczącymi oczami.

– Co takiego?

– Może nawiązała toksyczną relację z jakimś mężczyzną i to z nim zaszła w ciążę? Powiedziała mu, ale on się wściekł, zaczął jej grozić w kwiaciarni. Wszystko widziała Sylwia, pamiętał o tym, więc poszedł do niej do domu.

– Skąd wiedział, gdzie mieszka?

– Może to był ktoś, kto znał Sylwię?

– Ponoć nie. Ponoć ktoś zupełnie obcy.

– Może dla niej był obcy, ale ona dla niego nie.

– Oglądasz za dużo seriali kryminalnych.

Wzrusza ramionami.

– Wiesz, co jest najgorsze w Helenie? – Nachyla się do mnie.

Jej równo obcięte, ciemne włosy kołyszą się lekko przy brodzie.

– Co?

– Ona była przekonana o swojej wyższości nad innymi. Jakby odgrodziła się murem od świata. Nigdy nie chciała sobie pomóc. Chodziła na terapię na siłę. Znałam dobrze Kornelię i choć nigdy nie zdradziła mi żadnych szczegółów sesji z Heleną, czułam, że jako terapeutka nie była zadowolona z rezultatów. Kiedyś zapytała mnie, czy Helena gdzieś wyjechała, bo raptownie przestała do niej przychodzić. Gdy odpowiedziałam, że nie, pokręciła tylko głową z niezadowoleniem.

Klara wraca ciałem na swoje miejsce i upija kolejny łyk wina.

– Chętnie zapytałabym ją teraz, z jakim problemem borykała się Helena. Może biorąc pod uwagę okoliczności, powiedziałyby mi, co to było.

– Co ci stoi na przeszkodzie? – mówię, choć nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć.

– Helena chodziła do niej osiem lat temu.

– I co z tego?

– Kornelia umarła, Dorian, rok temu, na zawał serca, zresztą u mnie na dyżurze.

– To ile ona miała lat?

– Nawet nie pięćdziesiąt, ale była obciążona genetycznie.

Czuję ulgę. Dobrze wiem, dlaczego. Sprawa pożaru nie ujrzy światła dziennego. Nawet Klarze nie powiedziałem o tym niedopałku, który wyrzuciłem wtedy przez okno. Dla niej też jestem bohaterem, który pomógł Helenie wydostać się z płonącego domu. Okłamaliśmy w tej kwestii tylu ludzi, że sam uwierzyłem w tę wersję wydarzeń. Nie dopuszczam już do siebie innej odsłony przeszłości. Tylko Helena wiedziała, jak jest naprawdę.

Klara pyta, czy może u mnie przenocować. Zgadzam się bez wahania. Ostatnio nie czuję się dobrze, przebywając samotnie w tym domu. Gdyby Helena tu wciąż mieszkała, nie byłoby mowy o tym, żeby Klara przekimiała się na kanapie, ale teraz wszystko się zmienia. Całe moje życie ulega transformacji.

Choć dochodzi dwudziesta trzecia, wychodzę do ogrodu, napełniam konewkę i podlewam kwiaty rosnące wokół woliery z papugami. Nie robiłem tego od trzech dni, więc prawie zupełnie zwiędły. Helena też czasem dopiero w nocy przypominała sobie o tym, żeby podlać rośliny. Krążyła z wężem ogrodowym albo z konewką między nasadzeniami, odchyłała ich łodygi i wlewała wodę w ziemię. Najwięcej czasu spędzała właśnie przy woliery. Rosną tu gęsto posadzone hortensje, jedna obok drugiej, podobne do tych, jakie widywałem w ogrodzie jej rodziców. Czasem myślę, że są tu po to, żebym pamiętał o tym, co zrobiłem.

Żebym pamiętał, że tylko ona wie o mnie wszystko i dlatego muszę robić to, czego zażąda.

Sonia

Łukasz został u mnie na noc. Leżeliśmy obok siebie w łóżku, rozmawialiśmy pod osłoną nocy. Strach nie odpuścił. Wciąż boję się człowieka, który zadzwonił do mnie domofonem, ale jest mi lżej z myślą, że mam sojusznika, któremu mogłam opowiedzieć, co się stało. Obiecał, że to wszystko zostanie między nami, dopóki nie postanowię, co dalej.

Jest prawie ósma rano, przed chwilą się obudziłam, zlana potem. Wydawało mi się, że słyszę czyjeś kroki dobiegające z przedpokoju, ale to musiało mi się jeszcze śnić.

Kiedyś chodziłam na angielski do Weroniki Krzyckiej. Ma rzadką chorobę, narkolepsję. Potrzebuje większej ilości snu niż przeciętny człowiek, każdego dnia musi wspierać się drzemkami, żeby móc normalnie funkcjonować. Niedawno dowiedziałam się, że przeszła przez piekło, bo stała się obiektem czyichś chorych fantazji. Kiedy zasypiała, ktoś włamywał się do jej domu, kładł się obok niej na łóżku, a raz próbował ją zabić. Ledwie uszła z życiem. Przez chorobę czasem ciężko jej było ustalić, czy rzeczywiście coś jej zagraża, czy to tylko koszmar.

Pewnego dnia przyszła do kwaciarni ze swoim partnerem. Facet wyglądał jak jakiś artysta. Burza czarnych włosów na głowie, designerski T-shirt, przeszywające na wylot spojrzenie. Zamówili bukiet róż. Gdy składałam dla nich kwiaty, delikatnie zapytałam ją o to, co wydarzyło się w jej domu. Zawsze była bardzo szczera i otwarta, a mnie rozpaliała ciekawość. Chciałam się dowiedzieć, jak sobie radzi po tym wszystkim. Powiedziała, że właśnie sprzedała dom, wyprowadzają się z partnerem do Wrocławia.

To, co przydarzyło się mi, jest niczym w porównaniu z tym, co ona przeżyła, a mimo to też chciałabym wynieść się z tego mieszkania. Mam wrażenie, że głos i groźba tego człowieka wsiąkły w każde jego pomieszczenie, we wszystko, co się tu znajduje.

Łukasz jeszcze śpi, z policzkiem dociśniętym do poduszki, jak zawsze odkryty. Choć minął już miesiąc od naszego rozstania, po tej nocy znowu wydaje mi się bliski. Nie doszło między nami do niczego intymnego – choć trochę intymna była cała nasza rozmowa na temat Heleny – jednak wróciło wzajemne zaufanie, które zawsze wzmacniało zarówno mnie, jak i jego.

To, że nie miał dla mnie czasu, to, że mu to zarzucałam, wydaje się być teraz wydumane, na wyrost. W obliczu zagrożenia widzę, co jest ważne,

a co nie.

Teraz liczy się tylko to, żeby zapanować nad niespokojną rzeczywistością.

Materac skrzypi, gdy zsuwam się z łóżka. Łukasz otwiera oczy, przeciera je palcami. Z reguły chwilę zajmuje mu przebudzenie, ale dziś jest inaczej. Momentalnie się podnosi, mamrocze:

- Która godzina?
- Ósma – odpowiadam.
- Musimy się zbierać – mówi.

Wciąga na siebie białą koszulkę, w której do mnie przyszedł, zapina jeansy. Taki był plan. Mieliśmy się przespać, a potem pojechać do Wilkowa.

Walewska już wie, że na jakiś czas się wyprowadzę. W nocy Łukasz wysłał jej wiadomość.

Wysuwam spod łóżka wysłużoną walizkę w paski. Dotąd kojarzyła mi się z samymi dobrymi chwilami, wyjazdami na Kaszuby czy nad morze. Dziś pakuję do niej rzeczy, żeby uciec przed zagrożeniem. Lekko mnie mdli.

Wychodząc z klatki, dzwonię do mamy, pytam, czy jest w domu. Mówi, że tak. Jesteśmy tam wpół do dziewiątej.

– Ale po co ci te klucze? – pyta, otwierając kolejne szuflady w kuchni. – Nie pamiętam, gdzie je wsadziłam.

Włosy ma nawinięte na cienkie, niebieskie wałki. Z popielniczki dymi niedogaszony papieros. Wszyscy chyba jeszcze śpią. W domu słychać tylko szuranie jej kapci i trzeszczenie starych szuflad.

- Na strychu chyba zostały jeszcze jakieś moje rzeczy.

Nie chcę jej mówić prawdy. Jeśli jej powiem, że czuję się zagrożona, będzie to kolejna rzecz, która ją obciąży. I tak mi nie pomoże, a tylko zacznie się niepotrzebnie martwić.

– O, są – mówi zdziwiona, a potem wygrzebuje z szuflady pod oknem dwa srebrne klucze ze skórzanym, startym breloczkiem.

– Dzięki. – Wyciągam je z dłoni matki.

Widzę, że zbiera się jej na zadawanie kolejnych pytań. Na szczęście udaje nam się wyjść, zanim jakiegokolwiek padnie.

Łukasz jest spokojnym kierowcą, nie łamie przepisów. Zatrzymuje się na żółtym świetle, rzadko wyprzedza. Kiedyś powiedział mi, że zaczynał karierę policyjną w drogówce, gdzie napatrzył się na wystarczająco dużo ofiar wypadków śmiertelnych. Różni się tym od Doriana, który wyprzedza na trzeciego i często wymusza pierwszeństwo. Tak przynajmniej wyglądała nasza podróż w góry. Być może jechał tak, bo był zestresowany. Sama nie wiem.

W drodze do Wilkowa co chwilę oglądam się lub zerkam w lusterko wsteczne. Przez moment wydaje mi się, że śledzi nas grafitowy jeep. Łukasz mówi coś o Helenie, ale nie słucham, tylko wpatruję się w brodatego kierowcę wysokiego auta, którego oczy schowane są za kwadratowymi okularami z lustrzanymi szklami. Wydaje mi się, że on też mi się przygląda.

– Słyszysz? – dopytuje Łukasz, ale nie odpowiadam.

Zastanawiam się, czy ten dryblas w koszulce polo mógł syczeć do domofonu, że załatwi mnie łomem.

Potem facet nas wyprzedza i robi mi się głupio.

– Co mówiłeś?

– Dobrze się czujesz?

– Będę dobrze się czuła, jak dojedziemy na miejsce.

– Mówiłem, że Helena może przebywać w domu Czarkowskiego.

– Nawet nie chcę o tym myśleć.

W dalszym ciągu obserwuję drogę za nami. Teraz pojawił się na niej czarny skuter, ale prowadzi go chyba jakaś nastolatka. Spod białego kasku wystają dwa krótkie warkocze.

Zsuwam wzrok z lusterka. Mam teraz przed oczami jasną poświatę, bo odbijało się w nim słoneczne światło.

– Dowiem się później, co i jak – mówi.

– Najbardziej boję się, że on mógł ją uprowadzić – wyznaję, próbując wrócić myślami do wydarzeń wczorajszego dnia. – Może nie chciała z nim utrzymywać już relacji. Powiedział mi wprawdzie, że nie wie, gdzie jest Helena, ale mógł przecież kłamać. To jest totalnie podejrzany facet.

Łukasz spogląda na mnie ponuro. Wydaje się jeszcze bardziej zmęczony niż ja. Zrzuciłam na niego wszystko w ciągu paru godzin rozmowy. Widać, że ciągle układa to sobie w głowie.

– Coś cię męczy – zgaduję, odwracając się w jego stronę.

– Tak naprawdę istnieje jeszcze jedna opcja.

– Jaka?

– Że Helena nie żyje, a Czarkowski ukrył gdzieś jej ciało.

Zapomniałam już, jaki Łukasz potrafi być szczery. Zawsze postrzegałam to jako zaletę, ale teraz jego słowa rozdzierają mnie od środka. Wciąż je roztrząsam, gdy dojeżdżamy pod niski, nieotynkowany dom, pokryty strzechą. Wszystko tu jest stare i zniszczone, oprócz białych, plastikowych okien, które babcia jakimś cudem wymieniła parę lat przed śmiercią.

Ogród porastają maki i wysoka trawa, do kolan. Przed ogrodzeniem z siatki rośnie wielki świerk, który zasłania widok na połowę zaniedbanego ogrodu. Zawsze mnie to irytowało, ale teraz czuję się dzięki temu bezpieczniej.

Wychodzę z samochodu i otwieram kłódkę, która zabezpiecza chybotającą się bramę. Łukasz wjeżdża do środka. Nie liczy się teraz dla mnie to, że dojechaliśmy na miejsce. Umysł wciąż wypełniają mi jego słowa. To, że Helena może nie żyć. Od wczorajszego wieczoru boję się tej opcji jeszcze bardziej. Jeśli ktoś ją zabił, to może równie dobrze zabić mnie lub Sylwię.

W ogrodzie sąsiedniego domu zauważam starszą kobietę w niebieskim fartuchu odsłaniającym blade ramiona. To pani Kalewska. Pamiętam ją. Była najlepszą koleżanką babci. Jej włosy do ramion jak zawsze są

jasnofioletowe. Kiedyś w farbowaniu pomagała jej właśnie ona. Mam takie wspomnienie z dzieciństwa. Stoimy z tatą w kuchni, czekamy na babcię, która przykłada Kalewskiej do włosów granatową kalkę. Tato szepcze mi do ucha: „Żeby tylko do mózgu nie doszło. Jedna Kalewska nam w zupełności wystarczy”.

Kalewska ponoć niedawno zachorowała na Alzheimera. Ledwie porusza się po swoim ogrodzie, ścina czerwone mieczyki, które rosną przy płocie. Nie zwraca na nas uwagi. Pamiętam, że codziennie odwiedza ją córka. Wolałabym, żeby mnie tu nie zobaczyła.

Do Łukasza dzwoni telefon. Odbiera:

– Tak, Edyta.

Potem dodaje:

– OK.

Spogląda na mnie porozumiewawczo i już wiem, że po drugiej stronie jest Walewska.

– Macie adres? Dobra, znajdę go. Zajmę się tym.

– Czego chciała? – pytam, gdy kończy rozmowę.

Właśnie siłuję się z zamkiem od drzwi. Klucz jak zawsze z trudem w niego wchodzi. Mama zrobiła zapasową kopię u niezbyt dobrego klucznika.

– Pytała, czy mogę przyjrzeć się Czarkowskiemu. Oni są w trakcie ustalania, czy numer telefonu, z którego dostałaś anonimową wiadomość, może być jakoś z nim powiązany.

– W jaki sposób masz się jemu przyjrzeć?

– Najlepiej podjechać pod jego dom i sprawdzić, czy nie mieszka tam ktoś jeszcze, pod nieobecność jego żony.

Gdy mówi „ktoś”, od razu myślę o Helenie. Wchodzimy do środka. Powietrze jest stęchłe, wszystkie okna są pozamykane. Podchodzę do każdego po kolei i je uchylam. Bez babci wewnątrz domu wydaje się bardzo małe. Pod ścianą obok kuchni tłoczą się drewniane krzesła zniesione przeze

mnie ze strychu. Mają welurowe siedziska i oparcia. Zawsze mi się podobały, chciałam je stąd zabrać. Babcia za życia powtarzała: „Krzesa, Sonia, są twoje, pamiętaj”.

Umówiłam się niedawno z Heleną, że będę trzymała je w schowku nad jej garażem, ale dotąd nie udało mi się ich tam przenieść. Czuję, że już nigdy tego nie zrobię.

Drzwi niepodłączonej lodówki w kuchni są szeroko otwarte. Cieszę się w duchu, że jakiś miesiąc temu wymyłam ją od środka. Już wtedy cuchnęła, teraz odór byłby pewnie nie do wytrzymania.

– Może podjadę do sklepu i kupię ci coś do jedzenia? – proponuje Łukasz.

– Dobry pomysł.

– To niedługo wracam.

Gdy tylko wychodzi, przeszywa mnie dreszcz. Nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele dawała mi jego obecność. Czułam się pewniej, a teraz znowu jestem sama, jak w chwili, gdy podniosłam słuchawkę domofonu. Nie mogę się poddać tym wszystkim destrukcyjnym myślom. Nikt nie wie o tym, że tu jestem, nikt za nami nie jechał. To rozwiązanie tymczasowe, na parę dni – trzymam się tego, żeby nie oszaleć.

Szukam w szafkach metalowej kawiarki, którą kupiłam kiedyś babci. Znajduję ją dopiero za stertą niedomytych blaszek, obok pieca kaflowego. Potem ściągam z półki puszkę ze zmielonymi ziarnami i szykuję sobie kawę, licząc na to, że trochę mnie ocuci.

Gdy Łukasz wraca ze sklepu, kawiarka już szumi na kuchence gazowej, a w domu unosi się przyjemny zapach.

– Odwołałem wszystkie zlecenia na dzisiaj i jutro – mówi. – Muszę sprawdzić tylko dom Czarkowskiego. Mam już adres.

– Szybko działacie.

– Kaśka zna kogoś z hotelu, jakiegoś kierowcę. Podał adres Czarkowskiego od ręki. Mieszka na Krzykach.

Kaśka to jego asystentka z biura detektywistycznego.

– Pojadę z tobą – proponuję.

– Nie wiem, czy to jest dobry pomysł, Sonia.

– Proszę cię, sama będę tu odchodzić od zmysłów. Może na coś się wam przydam – nie odpuszczam.

W jego oczach pojawia się współczucie. Chyba nie sądzi, że mogę mu w czymkolwiek pomóc, ale zna mnie i wie, że bezczynność to ostatnie, czego teraz potrzebuję.

– Na razie i tak pojechała tam Kaśka, więc teraz nie musimy – odpowiada w końcu. – Trzeba będzie ją zmienić około trzeciej.

– W porządku.

Kawa jest już gotowa. Płuczę dwie filiżanki ze srebrną obwódką, które kupiłam kiedyś babci i nalewam do nich kawę. Potem siadamy razem w dużym pokoju, na krzasiastej kanapie, a ja wyciągam z torby pamiętnik Heleny. Wypadają z niego zdjęcia znalezione w jej garderobie.

– To jest kolejna rzecz, która mnie martwi. – Łukasz podnosi je z ziemi. – Twoje fotografie.

Jego ton jest tak cierpki, że aż zaczyna mrowić mnie całe ciało.

Zagięłam róg w miejscu, w którym skończyłam ostatnio czytać. Teraz otwieram pamiętnik na zaznaczonej stronie, Łukasz drapie się po ocienionej zarostem brodzie, a potem wlepia wzrok w zapiski Heleny. Czuję się tak, jakbyśmy przyłapali ją podczas wykonywania najintymniejszej, najskrytszej czynności. Twarz rozpalają mi rumieńce, co jeszcze mocniej mnie krępuje.

– Ona czasem dość dokładnie opisuje... seks – mamroczę.

– Tego nie da się czytać – zauważa chłodno. – Ma straszny charakter pisma.

– Jestem do niego w miarę przyzwyczajona, po tylu latach. Poza tym wyłapuję sens kolejnych zdań.

– Możesz czytać na głos? – Spogląda na mnie w ten osobliwy sposób, który pamiętam z naszej sypialni.

Sama zaskakuję się tym skojarzeniem. W odpowiedzi kiwam tylko głową, kieruję wzrok na pamiętnik, a później znowu zanurzam się w życiu Heleny:

Próbowałam wejść w rolę partnerki biznesowej Kapitana, ale to nie było łatwe. Za każdym razem, gdy spotykaliśmy się w tematach służbowych, rozpadałam się na kawałki. Widział to i ten widok najwyraźniej sprawiał mu przyjemność. Często doszukiwałam się w jego zachowaniach sygnałów, że wciąż coś dla niego znaczę, choć nigdy nie byłam pewna, czy w istocie coś jeszcze czuł. Na Boga, byłam już wtedy mężatką, a moje myśli i tak nieustannie zajmował Kapitan. Ktoś mógłby zapytać: „Po co wyszłaś za mąż za Dorianą?”. Odpowiedziałabym: „Bo był dobrym człowiekiem. Bo mieliśmy wspólną tajemnicę związaną z pożarem, w którym zginęli moi rodzice. To nas połączyło na wieczność. Nie wyobrażałam sobie, że moglibyśmy się rozdzielić”.

Tkwiłam w pułapce cierpienia. Zresztą wciąż w niej tkwię.

Pewnego dnia Kapitan zorganizował pokaz florystyczny w swoim hotelu. Zanim doszło do odstępstwa moich prac, wziął do ręki mikrofon i powiedział:

– Teraz ujrzą państwo kompozycje wybitnie utalentowanej osoby, która, nie ukrywam, jest dla mnie bardzo ważna. Przed państwem Helena Bardo.

Nie liczyły się dla mnie oklaski i pełne podziwu spojrzenia ludzi z branży. Przez kolejną godzinę powtarzałam w głowie to, co powiedział Kapitan: „Jest dla mnie bardzo ważna. Jest dla mnie bardzo ważna”.

Nienawidziłam go i jednocześnie wciąż kochałam. Nie bez powodu mówi się, że od miłości do nienawiści jeden krok. Kornelia powiedziała mi, że w obydwu tych stanach pracują podobne obszary mózgu, z tym że obszar miłości jest większy.

Potem zapytała mnie, jak pokierowałabym swoim życiem, gdybym mogła cofnąć czas.

Czy weszłabym w relację z Kapitanem?

Bez wahania odpowiedziałam: „Nie”.

Potem się rozplakałam. To był uwalniający moment, poczułam się tak, jakby w moim ciele doszło do jakiegoś wyładowania, po którym zapanowała cisza.

Widziałam, że Kornelia była ze mnie dumna. Otworzyłam się wtedy przed nią jak nigdy. Jeszcze przez parę dni czułam się wolna, bezpieczna, inaczej patrzyłam na Dorianą. Był mi znowu bliższy. Później odezwał się Kapitan, jakby wyczuł moje oddalenie. Starłam się być dla niego chłodna i profesjonalna. Pytał, czy przygotuję kosz z kwiatami. Mógł go przecież zamówić we Wrocławiu, ale on chciał ode mnie. „Bo nikt nie zrobi tego tak dobrze, jak ty”.

To miał być kosz dla jego klientki, która obchodziła pięćdziesiąte urodziny. Chciał, żeby było oryginalnie, ale też z klasą. Starłam się dwa razy bardziej niż zwykle i byłam za to na siebie wściekła. Pół godziny wybierałam sam kosz – w końcu zdecydowałam się na podłużny, wiklinowy z wysokim półokrągłym uchwytem. Ułożyłam w nim róże o wielkich rdzawych pąkach. Ozdobiłam nimi również uchwyt w taki sposób, że kompozycja przypominała kształtem sierp księżycy. Pąki róż były skierowane w stronę wolnej części wiklinowego uchwyty, kwiaty przypominały zachłanne pnącze, wyglądały tak, jakby chciały zakryć cały kosz, tak by nie było go pod nimi widać. Mam zdjęcie tego kosza, właśnie na nie patrzę i myślę teraz, że chyba chciałam podświadomie pokazać Kapitanowi, jaki miał na mnie wpływ. Oplatał całe moje życie, nawet gdy miałam trochę wolnej przestrzeni, wciąż wyczuwałam jego obecność. Dałam w tej pracy upust swojej złości, ale i bezsilności. Gdy skończyłam, napisałam do niego, że może odebrać kosz po południu, że da mu go Anka, studentka, która pracowała wtedy u mnie na pół etatu. Skłamałam, że mam pilną sprawę do załatwienia w mieście i muszę szybciej wyjść. (Tak naprawdę nie chciałam się z nim spotkać).

Nie przyjechał o umówionej porze, odwiedził mnie na drugi dzień, rano, kiedy byłam sama w Chloris. Wiedział, że wtedy zawsze jestem w kwaciarni, bo szykuję wszystkie zamówienia. Był taki niepewny, obserwował każdy mój gest,

grymas twarzy. Widziałam, że chce być przy mnie, ze mną. Ciężko mi było go ignorować, próbowałam wytrwać. Dałam mu kosz, przyjął pieniądze. W pewnej chwili złapał mnie za rękę.

– Poczekaj, poczekaj, co się stało? – zapytał.

– Nic. Wszystko w porządku.

Pragnęłam, żeby było wszystko w porządku. Udawałam, że tak jest, choć nie było.

Otoczenie drżało, grunt osunął mi się pod nogami. Nie byliśmy już w Chloris, nie otaczały nas te wszystkie zapachy ciętych kwiatów, które uwielbiałam. Przenieśliśmy się na plażę we Włoszech, słyszeliśmy szum fal, czuliśmy piasek pod naszymi ciałami. Miałam tylko Kapitana, nikogo więcej. Znowu czułam się wyjątkowa, z każdą chwilą utwierdzałam się w przekonaniu, że jestem mu to winna. To on mnie uratował. Wprowadził światło do jakiejś części mojego życia. To nic, że w innej je zgasił. Ciemność była dla mnie czymś naturalnym i byłam do niej przyzwyczajona. Światło było nowe i nie potrafiłam o nim zapomnieć.

Pocałował mnie w czoło, potem przytulił:

– Nie odsuwaj się ode mnie – szepnął – nie chcę cię stracić.

Te słowa spłynęły prosto z jego serca. Przynajmniej tak to brzmiało.

– Jesteś dla mnie tą jedyną. Nie zapominaj o tym – mówił dalej, a mi kręciło się w głowie coraz mocniej.

– Poznałaś kogoś? – dopytywał.

Nigdy nie był zazdrosny o Doriana. Czuł się od niego silniejszy.

Próbował dojść do tego, czy pojawił się w moim życiu człowiek jego pokroju.

– Nie – odpowiedziałam – ale staram się uporządkować swoje życie.

Zaśmiał się. Nie podobało mi się to. Mimo to trwałam w jego objęciach.

– Masz piękne życie, nie musisz w nim niczego porządkować.

Potem wypuścił mnie ze swoich objęć, zabrał kosz i wyszedł.

Dwa dni później napisał do mnie esemesa, czy mam ochotę go odwiedzić. Była sobota. Dorian wyjechał wtedy z kolegami w góry. Miał wrócić w niedzielę

wieczorem. Odpisałam krótko:

„Ok”.

Ta odpowiedź była podobna do postępowania alkoholika, który pośpiesznie otwiera butelkę z winem i wypija kilka dużych łyków. Obiecuje sobie, że tego nie zrobi, a potem jednak wlewa w siebie trunek. Cały umysł wypełnia mu pragnienie, jakby się w nie w całości przeobrazić.

Tłumaczyłam sobie, że robię to wyłącznie dla siebie. Potrzebuję Kapitana w swoim życiu, gdy jest blisko, czuję się przytomna jak nigdy. Dlaczego mam sobie tego odmawiać? Całą drogę na Krzyki wypełniały mi takie myśli. Byłam w dziwnym stanie uniesienia.

Dojechałam na miejsce około dwudziestej. Na dworze było już ciemno. Dom podświetlały lampy ułożone pod płaskim dachem. Willa z lat dziewięćdziesiątych z okrągłymi oknami nad garażem i narożną wieżyczką z boku. Trochę tandetny budynek, ale z pewnością luksusowy, przynajmniej z zewnątrz. Kapitan wyszedł do mnie w jeansach i koszuli. Na widok mojego pick-upa wyraźnie się zdziwił. Swoje auto oddałam parę dni temu do serwisu i przyjechałam samochodem Dorianą.

Kapitan poprosił, żebym wjechała samochodem na posesję. Potem weszłam do jego domu, w którym najpewniej trwał remont. Niektóre pomieszczenia były zasłonięte folią malarską. Dostępny były salon i sypialnia. Pamiętam kominek o dziwnym zygzakowatym kształcie i wielki kryształowy żyrandol, z którego płynęło ciepłe światło.

Zapytał, czy mam ochotę na drinka. Zgodziłam się. Później wypiliśmy następnego i następnego... Potem było jak zawsze, jakby przerwa w naszych intymnych spotkaniach nie trwała parę lat, a tylko kilka dni. Odurzona alkoholem kochałam się z nim w sypialni. Miałam na sobie bieliznę z cienkiej, czarnej siateczki, strasznie wyuzdany krój z otworami w intymnych miejscach, kupiłam ją specjalnie na ten wieczór. Nie zdjął jej ze mnie, zostałam w niej do końca. Czulałam się jak dziwka, chciałam się tak czuć. Na nic więcej nie zasługiwałam.

Kiedy skończyliśmy, poszłam do łazienki. I tam zobaczyłam ślady innej kobiety. Oczywiście, wiedziałam, że kogoś ma, nie zdawałam sobie jednak sprawy, że ta osoba z nim mieszka. Dwie szczoteczki do zębów, damskie kosmetyki, szminka, jakby w pośpiechu odłożona na brzeg umywalki. Na złotym haczyku obok niej wisiał jedwabny, liliowy szlafrok.

– Mieszkasz z kimś? – zapytałam.

– Tak, to moja narzeczona – odpowiedział, jak gdyby nigdy nic.

Usiadłam na łóżku.

– Ty masz męża – powiedział.

– Wiem.

– To nic nie zmienia. Wciąż jesteś dla mnie tą jedyną.

Szafka nocna obok łóżka miała półkę pod szufladą. Zerknęłam na nią dopiero wtedy, chyba wyostrzyły mi się zmysły. Ujrzałam długi wydruk z USG. Podniosłam go. Patrzyłam na zdjęcia płodu.

– Będę tatą – powiedział. – Sabina jest w szpitalu, niedługo będzie rodzić.

Pobiegłam do toalety i zwymiotowałam. Czułam obrzydzenie do siebie i do niego. Byliśmy źli do szpiku kości, okrutni, podli, zdegenerowani. Nie wiem, czy bardziej dręczyło mnie to, że ja kiedyś usunęłam ciążę, czy to, że on pieprzył się ze mną, gdy jego narzeczona szykowała się do porodu.

Ubrałam się, nie zważając na jego „poczekaj”, „zamówię ci taksówkę”. Dopiero, gdy wyszłam na chłodne powietrze, poczułam się lepiej. Potem otworzyłam bramę wjazdową i wyjechałam gwałtownie, chcąc jak najszybciej wrócić do domu. Zapomnieć o tym, co się stało.

Świat tonął w ciemności, dochodziła północ. Widoczność była słaba, bo padał śnieg z deszczem. Grube wodniste płatki rozpryskiwały się na przedniej szybie, wycieraczki ledwie za nimi nadążały. Co chwilę ocierałam łzy. W pewnym momencie mój telefon zawibrował na siedzeniu pasażera. Zerknęłam na wyświetlacz. Wiadomość od Dorian. Nie patrzyłam na jezdnię może pięć sekund, nie dłużej.

To jednak wystarczyło.

Najpierw był głuchy huk, ujrzałam jakiś cień nad maską, a potem coś gruchnęło na nią z wielką siłą. Wcisnęłam hamulec, ale auto zatrzymało się dopiero kilka metrów dalej. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że było tak ślisko. Wyszłam z auta, z trudem stawiając każdy krok. Brakowało mi powietrza, krople wody wpadały do moich rozchylnych ust. Na poboczu drogi leżał człowiek. Nie ruszał się.

Ten widok mnie sparaliżował. Nogi odmówiły posłuszeństwa. Runęłam na ziemię, by zaraz potem się z niej podnieść. Dłonie miałam mokre, ciało parzyło mnie obezwładniającym lękiem. „Coś ty zrobiła?” – usłyszałam głos w swojej głowie. – „Potrąciłaś nieznajomego, jesteś pijana”. To było jak wtoczenie się pod powierzchnię, gdzie nie ma nic prócz ciemności. Wpadłam w przepaść, która do tej pory zionęła tylko tuż obok moich stóp. Świat się zatrzymał. Zbliżałam się do niego z porażającą świadomością tego, że to nie jest sen. Takich rzeczy nie da się śnić, wszystko było autentyczne, intensywniejsze niż kiedykolwiek wcześniej.

Tylko jedna jego stopa podrygiwała nerwowo. Pod jego głową, na trawie, rosta ciemna plama. Emocje rozpruwały mnie na wylot, przesiąkałam nimi, chciałam uciec, uwolnić się od tego, co się stało. Chciałam też, żeby przeżył. Kierownica jego roweru była przekrzywiona, szprychy w przednim kole powyginane. Nad kołem nie było żadnej lampki, nawet odblasku. Pomyślałam, że gdyby miał światło, to bym go zobaczyła, przecież na pewno bym w niego nie wjechała.

Miał szeroko otwarte, przerażone oczy. Nie było w nich życia, z każdą chwilą przybywało krwi. Nawet jego noga przestała się poruszać. Czułam całą sobą, że to koniec. Tak jego, jak i mój.

Nie chciałam iść do więzienia. Z każdą chwilą coraz więcej było we mnie lęku przed przyszłością. Droga była pusta, nikt nią nie jechał, ale wiedziałam, że w każdej chwili to się może zmienić. Nieopodal stał przecież dom, zaczynała się wieś.

W moim umyśle rysowały się tylko dwie opcje. Zadzwoić na policję – albo uciec. Jeśli mnie znajdą, to powiem, że byłam w szoku, właściwie nie

minęłabym się bardzo z prawdą. Przynajmniej zdążę wytrzeźwieć. Jemu i tak nic już nie pomoże. Brutalne analizy i kalkulacje, które mnie przerażały.

Wtem usłyszałam czyjeś kroki. Te dźwięki przeszły mnie na wylot. Gdy uniosłam wzrok, ujrzałam mężczyznę idącego w moją stronę. Chwiał się na nogach, miał na sobie cienką, jasną kurtkę z plamą z przodu, w dłoni coś trzymał, chyba wódkę.

Zatrzymał się przed moim samochodem. Obrzucił go zamglonym spojrzeniem. Potem podszedł do człowieka leżącego na poboczu. Był pijany, ale nie na tyle, by nie zrozumieć, co się stało.

– I co zrobiłaś? – zapytał, wskazując butelką na ciało.

Nic nie odpowiedziałam. Patrzyłam na stopy nieboszczyka, naiwnie wyczekując, aż znowu któraś się poruszy.

Całe moje życie nagle stało się odległe, jakby było wyspą, od której odpływam. Tratwa niesie mnie po spokojnym morzu. Już nigdy nie wrócę. Utonę.

– Nie żyje – mówił dalej, po czym pochylił się nad jego ciałem. – On, kurwa, nie żyje – powtórzył.

W jego głosie nie było emocji, stwierdzał fakt, jakby był przyzwyczajony do takich sytuacji.

– Zadzwoń na numer alarmowy – powiedziałam, wyciągając z kieszeni telefon.

Nagle okazało się, że tylko taka możliwość mi pozostaje. Poddać się. Wpaść do zimnej, brudnej rzeki, która poniesie mnie do więzienia. W ustach czułam fermentujący błyskawicznie alkohol.

– Jeszcze nie dzwoniłaś? – Rzucił mi pytające spojrzenie.

Pokręciłam głową, odblokowując już skostniałymi palcami telefon, a on podszedł do przedniej szyby samochodu. Leżała tam częściowo opróżniona butelka wina, którą zabrałam od Kapitana. Otworzyliśmy ją w łóżku, a potem zgarnęłam ją, płacząc, z szafki nocnej, żeby odurzyć się do reszty w domu.

– Ty piłaś, co? Dlatego jeszcze nie zadzwoniłaś? – rzucił drwiącym tonem.

Pomyślałam, że trafił swój na swego. Ja w eleganckim płaszczu i w drogim samochodzie. On w brudnej kurtce, z butelką taniej wódki w dłoni. Niby różni, a jednak tacy sami.

– Chcesz sobie zniszczyć życie? – zapytał szybko, gdy już chciałam wbić 112.

– Proszę?

– Chyba masz dobre życie, nie? – Wskazał dłonią na moje auto. – Taka fura, pewnie jeszcze lepszy dom i co? Wszystko do śmieci?

– A co mi pozostaje?! – ryknęłam. – Nic nie zrobię, nie cofnę czasu.

– Jak to nic nie zrobisz? Jakoś się dogadamy. – Klepnął się znacząco po kieszeni spodni.

– O co ci chodzi?

– Pomogę – zaoferował się, odkładając butelkę z wódką na pobocze porośnięte trawą.

Była taka wysoka, że butelka w niej zniknęła.

– W jakim sensie mi pomożesz?

– Trzeba się tylko pozbyć ciała. – Wzruszył ramionami, jakby to było oczywiste. – Masz gdzie go zakopać? Jak pojedziemy do lasu, to zwierzęta go wykopią, zaraz napatoczy się jakieś psisko albo dzik.

Nie wierzyłam, że to się dzieje naprawdę. Ukryć ciało, pozbyć się problemu.

– No co tak stoisz? Pomóż mi.

– Nie mogę.

– To kawał skurwiela, ja go znałem – powiedział – dobrze, że umarł. – Machnął ręką.

Jego słowa odebrałam tak samo jak myśl, że nad kołem roweru nie było lampki. Podświadomie szukałam dla siebie ratunku. To był moment, w którym musiałam podjąć decyzję. Rzuciłam kośćmi, modląc się, żeby wypadła dobra liczba. Podjęłam ryzyko, tak jak przed laty, gdy nie wspomniałam na komisariacie ani słowem o tym, dlaczego tak naprawdę spłonął mój dom.

– Jak to się otwiera? – Facet podszedł do pick-upa i zaczął poruszać wajchami, które opuszczają tylną klapę.

Zrobiłam krok w jego kierunku, potem następny. Z trudem odrywałam stopy od ziemi. Coś mnie powstrzymywało przed podjęciem tej mroźnej krew w żyłach decyzji. Ciało się sprzeciwiało, ostrzegało, ale ja brnęłam do przodu, jak człowiek walczący z silnym wiatrem. Z oczu zaczęły płynąć mi łzy. W tamtej chwili czułam, że nie mam innego wyjścia. Że to konieczność, że innej drogi nie ma. W głowie miałam wspomnienia z pożaru mojego domu, czarne worki z ciałami rodziców. To, jak kłamałam na komendzie, mówiąc, że nie wiem, jak doszło do pożaru. Przecież wiedziałam. Nie miałam jednak odwagi, żeby się przyznać.

Podjmując decyzję wtedy, na drodze, wierzyłam, że taki jest mój los. Raz już to zrobiłam. Przyczyniłam się do śmierci rodziców, nie poniosłam żadnych konsekwencji. Być może chciałam je ponieść, pragnęłam być ukarana za to, co zrobiłam przed laty, za to, że zabiłam własne dziecko, za to, że byłam zakochana w potworze.

Gdy wreszcie podeszłam do tego człowieka i pomogłam mu z bagażnikiem, czułam, że prowadzę ze światem jakąś upiorną grę. Sprawdzam, jak daleko można zabrnąć w czynieniu zła i nie zostać ukaranym. Stapałam po linie nad przepaścią – zalewając się łzami.

Zawiasy puściły, mokre, stalowe podłoże paki było gotowe na przyjęcie ciała.

Potem przestałam myśleć, wszystko robiłam machinalnie. Dłonie miałam wymazane krwią. Po tym, jak wciągnęliśmy go na pakę drugi raz tej nocy wymiotowałam – na drogę. W tym czasie facet, który mi pomagał, wyciągnął z trawy wódkę i upił kilka łyków.

Później ściągnął swoją kurtkę i przykrył nią górną część ciała nieboszczyka, zawijając materiał pod spód, żeby nie zsunął się podczas jazdy. Ja ściągnęłam swój płaszcz i przykryliśmy nim resztę. Obok położyliśmy rower.

Potem facet rozmazał butem ślady krwi, jakie zostały na drodze.

– Wszystko powinno się za chwilę zmyć – powiedział i spojrzał w niebo – a jak nawet coś zostanie, to pomyślą, że ktoś tu sarnę potracił.

Wsiadliśmy do samochodu i pojechaliśmy do Oławy. Jechałam ostrożnie, powoli, odpierając panikę. Starłam się nie myśleć o tym, co znajduje się na pace, kto siedzi obok mnie. Czułam się tak, jakbym wpadła do ciasnej pułapki, z której muszę się jak najszybciej wyślizgnąć.

– Masz duży ogród? – zapytał facet. – W miarę na uboczu?

– Nie na uboczu, ale sąsiedzi wyjechali do Stanów.

– Do Stanów – powtórzył z uznaniem – a męża nie ma?

– Nie ma – odpowiedziałam.

– Taka ładna kobieta i nie ma męża?

Przestałam mu odpowiadać. Niedobrze mi się robiło od tych aluzji. Gdy wjechaliśmy na ulicę, przy której stał dom Dorian, zwolniłam, jakbym chciała dać sobie jeszcze czas na podjęcie ostatecznej decyzji.

Auto wciąż przemieszczało się do przodu, powoli mijaliśmy ogrodzenie za ogrodzeniem, dom za domem. Nigdzie nie paliło się światło. Jakby coś wysało życie z okolicy. Byliśmy tam tylko my, a z nami śmierć, z którą trzeba było sobie jakoś poradzić.

– Będzie potrzebna łopata, jakieś widły. Kiloł by się przydał, ale pewnie nie masz.

Trafiłam na jakiegoś psychopatę, przemknęło mi w myślach.

Tak najwyraźniej miało być – tłumaczyłam sobie. – Miałam go spotkać tej nocy. Inni na jego miejscu sami wezwaliby policję, ale człowiek, który siedział obok mnie, zaproponował, że pomoże mi ukryć zwłoki.

– Mam kiloł – wydusiłam z siebie z trudem.

Przynajmniej widziałam jeden w schowku, w ogrodzie. Nie byłam pewna, czy należał do teścia, czy do Dorian.

– To dobrze – odrzekł facet, nieco zbity z tropu.

Dojechaliśmy już pod dom. Otworzyłam pilotem bramę. Wjechałam na tył budynku, przecinając trawę, którą niedawno sama zasiałam. Ucierpiały też hortensje. Gdy na nie wjechałam, pomyślałam, że rozjeżdżam całe swoje życie.

Wyłączyłam silnik, wyszliśmy z auta. Poszłam do schowka po narzędzia. Łopata, widły, kilof i jeszcze saperka, jak się okazało, bardzo przydatna.

Potem trzeba było już tylko znaleźć odpowiednie miejsce. Wybrałam je sama, pod ogrodzeniem. Nie było tam wówczas trawy, tylko ciemna plama w miarę miękkiej gleby. Po śmierci teścia ogród przechodził transformację. Co chwilę zmieniałam nasadzenia, plądrowałam trawnik, sadziłam ozdobne gatunki bylin. Wybrałam fragment ogrodu, który wydawał mi się bezpieczny. Od razu wymyśliłam też, w jaki sposób będę go mogła później dobrze zakryć.

Chciałam jak najszybciej zacząć. Wejść w tryb pracy, nie czekać, działać. Przebrnąć przez to, zanim strach w pełni mnie sparaliżuje, zanim wyrzuty sumienia odciągną mnie od tej decyzji. Zrobić to, przekonać się, co będzie później.

Po godzinie kopania w ziemi byłam tak zmęczona, że nie myślałam już o tym, co się stało. Marzyłam o końcu tej męczarni, odkryciu ciała, o tym, żeby ciemna plama gleby wróciła i wyglądała mniej więcej tak jak wcześniej, co w pewnym momencie wydawało mi się nierealne.

Skończyliśmy chwilę przed świtem. Pamiętam ten moment, gdy obserwowałam nierówny kopiec ziemi pod żywoplotem, nie taki płaski jak zwykle.

Kilkanaście godzin wcześniej patrzyłam na swój ogród z filiżanką herbaty w dłoni, myśląc o Kapitanie. To było moje największe zmartwienie. A teraz pojawiło się nowe, przytłaczająco większe. Martwy człowiek, zabity przeze mnie i pochowany pod moim płotem.

Nie doceniałam swojego życia, jego kojącej normalności. Wiedziałam, że już nic nigdy nie będzie takie samo. Czułam się tak, jakby jakaś czarna góra wyrosła w moim wnętrzu, masa, której nie dało się w żaden sposób usunąć.

Rower wstawiliśmy do domku gospodarczego. Postanowiłam, że później się go pozbędę. Dorian rzadko tam zaglądał. To było moje królestwo pełne narzędzi ogrodowych, starych donic, worków z ziemią i nawozów w butelkach. Stały tam też dwa składaki i jeden BMX, na którym kilkanaście lat temu jeździł Dorian.

Uznałam, że póki co to dobre miejsce. I tak planowałam się przecież przyznać do wszystkiego policji. Nie kłamałabym im w twarz, gdyby zastukali do moich drzwi.

Tak się jednak nie stało. Żaden funkcjonariusz nigdy do mnie nie dotarł. Odcięłam się od telewizji, radia, nie czytałam gazet. Odwróciłam się na jakiś czas od świata, skupiłam się na pracy. Nie odbierałam telefonów od Kapitana, nie odpisywałam. W sprawach związanych ze zleceniami przez jakiś czas kontaktowała się z nim Anka. Odnowiliśmy kontakt dużo później, choć już nigdy nie pozwoliłam mu zbliżyć się do siebie w sposób, na jakim najbardziej mu zależało. Chciałam wyjść na prostą, choć obrazy z tamtej nocy nie dawały mi spać i jeść. Wręczyłam pięć tysięcy złotych w gotówce facetowi, który pomógł mi tamtej nocy. Przyjął je z paskudnym uśmiechem na ustach. Brzydziłam się tak nim, jak i sobą.

Na tym się jednak nie skończyło. Trzy miesiące później przyszedł do mojego domu i znowu zażądał kasy, tym razem za milczenie. Stwierdził, że on ma dużo mniej do stracenia niż ja. Dałam mu ponownie pieniądze. Później domagał się ich bez końca. Gdy nie chciałam płacić, opowiadał mi o mężczyźnie, którego zabiłam, mówił, gdzie mieszkał, że jednak był dobrym człowiekiem, a ja jestem podłą suką i mnie wyda. Wszyscy mnie napiętnują, odrzucają. Wróciły wizje tego, jak rówieśnicy znęcali się nade mną w podstawówce i na obozie we Włoszech. Wpadłam w paranoję. Moje życie było zatrute, nie dało się już w nim oddychać. Bałam się ludzi i mojego szantażysty, tych jego piwnych oczu, z których zionęło złem.

Pewnej nocy, na tej samej drodze, gdy jechałam rozpędzona samochodem, pomyślałam, że dłużej nie dam rady. Odezwał się zew pustki, zwabił mnie jak światło na końcu tunelu. Zjechałam z drogi tylko lekko przekręcając kierownicę, a jednak wystarczająco, by uderzyć w pień wiekowego dębu. Odkleiłam się od rzeczywistości, czując potężny ból z przodu głowy. Gdy ponownie otworzyłam oczy, zobaczyłam ją. Pochylała się nade mną z kojącym spokojem w oczach. Reanimowała mnie. Zależało jej na tym, żebym przeżyła. Nie wierzyłam, że to

się dzieje naprawdę. Myślałam, że jest sennym majakiem. Potem w szpitalu długo o niej myślałam. Z jednej strony wzbudzała we mnie strach, a z drugiej miłość. W pierwszej chwili wpadło mi do głowy określenie sympatia, ale było niewystarczające. Gdy mnie odwiedziła, zrozumiałam, że ja też ją jakoś przyciągnęłam i że tak miało być.

Znajomość z Sonią dodała mi sił. Nie zdawałam sobie sprawy, że w tak parszywych okolicznościach będzie mi dane odnaleźć przyjaciółkę. Jediną osobę, z którą rozumiałam się bez słów. Pierwszy raz w życiu kobieta w żaden sposób mnie nie krzywdziła, nie przeszkadzała mi. Czułam się przy niej dobrze.

Wypadek był momentem, w którym odbiłam się od dna. Pomyślałam, że spróbuję zawalczyć o siebie. Może miałam przeżyć, żeby dać coś z siebie Soni? Kto wie? Człowiek zawsze szuka we wszystkim większego sensu. Próbuje oddalić się od myśli, że światem rządzi przypadek.

Odzyskałam nadzieję na to, że mogę względnie ułożyć sobie życie. Zaproponowałam mojemu szantażyście dużą kwotę, która miała mu zasznurować usta raz na zawsze. Przyjął ją i obiecał, że już się nie odezwie. Czarna góra w moim wnętrzu zaczęła topnieć. To był czas rekonwalescencji, jakbym wychodziła z ciężkiej choroby. Dobre lata, w których rozwinęłam Chloris. Choć walczyłam z demonami, szłam powoli do przodu.

On jednak niedawno powrócił. Znowu zaczął mnie nachodzić. Pewnie wydał wszystkie pieniądze i znowu chce coś ode mnie wyciągnąć. W najlepszym momencie mojego życia, gdy czuję, że jednak jest ono coś warte.

Nie wiem, jak długo to jeszcze zniosę. Co zrobię? Może powinnam wtajemniczyć w to wszystko Kapitana? Przerzucić na niego odpowiedzialność. To przecież po części jego wina.

Sonia

To koniec pamiętnika. Odkładam go na bok, czując, jak w głowie mi pulsuje. Bolą mnie oczy od mozolnego rozczytywania jej zapisków. Część

musiałam sobie dopowiedzieć, bo nie byłam w stanie rozszyfrować, co oznaczały niektóre zdania. To, że rozjechała człowieka i zakopała go u siebie w ogrodzie jest jednak pewne. Zanim była regularnie szantażowana, coś się jeszcze działo. Pojawia się imię Dorian, gdzieś jechała, ale opisała to tak niewyraźnie, że jest to nie do odczytania. Wylało jej się też coś na kilku stronach i tam tekst jest zupełnie rozmazany.

– Ona naprawdę zabiła człowieka – mówię.

– Tak – odpowiada cicho Łukasz.

Parę razy podczas czytania załamał mi się głos. Szczególnie wtedy, gdy opisywała, jak wrzucali ciało na pakę samochodu, przykrywali ubraniami.

Jaką miała pewność, że ten człowiek był już martwy? Może dało się jeszcze coś dla niego zrobić?

– A może to nieprawda? – pytam, patrząc Łukaszowi w oczy.

Szukam w nich wahania, które zaczyna wzbierać w moim wnętrzu. Niestety, widzę tylko rezygnację.

– Dlaczego miałyby kłamać? Po co? – pyta.

– Nie wiem, może ktoś kazał jej to wszystko napisać?

– Nie tłumacz jej, proszę. – Wstaje z kanapy.

– Chyba nie słuchałeś uważnie – bronię się. – To wszystko ma swoje uzasadnienie.

– Zawsze jest jakiś powód, żeby czynić zło. Uwierz mi, najgorsi mordercy opowiedzą ci dokładnie, dlaczego zabili, co czuli, gdy chowali ciała w lasach, pod gałęziami. To nie znaczy jednak, że są usprawiedliwieni.

Najgorsi mordercy, myślę. Helena nie jest morderczynią. To niemożliwe.

Znowu biorę pamiętnik do ręki. Kartkuję go, próbuję odczytać strony, na których coś się rozlało, ale nie da się tego zrobić. Papier jest sztywny i pofalowany, atrament zlewa się w wyblakłe niebieskie ciągi.

Ciskam nim w kąt, a potem zaczynam płakać. Nie wierzę, że moja przyjaciółka zrobiła coś takiego. Że gdzieś w ich ogrodzie leżą ludzkie szczątki, a ona się ukrywa, bo boi się faceta, który ją szantażuje.

Czy to on przyszedł wczoraj do mojego mieszkania i zagroził mi śmiercią? Załatwi mnie łomem. Zaczynam mocno kaszleć, do ust podchodzi mi żółć, bo nic od bardzo dawna nie jadłam.

– Dobrze się czujesz? – pyta Łukasz.

Kręcę przecząco głową. Nie, nie czuję się dobrze. Jest mi strasznie z myślą, że przez tyle lat niczego nie zauważyłam, nie domyśliłam się. Wszystko, co napisała w pamiętniku wcześniej traci na znaczeniu. Liczy się tylko ten nierówny kopiec ziemi za ich domem. Teraz pewnie coś na nim rośnie, jakoś go zakryła. W tym momencie jeszcze bardziej chcę odnaleźć Helenę. Zapytać o to, zrozumieć dokładnie, dlaczego tak postąpiła. Część wyjaśniła, ale jej opowieść zrodziła wiele nowych pytań.

Telefon Łukasza zaczyna dzwonić. Widzę imię „Kaśka” na wyświetlaczu i próbuję się uspokoić. Odbiera, trzymając w dłoni ukruszonego, ceramicznego słowika, który stoi na kredensie. To ja stłukłam tę figurkę, gdy grałam tu kiedyś z Elą w piłkę.

Pierwszy raz jest w domu mojej babci. Choć skupiamy się przede wszystkim na tym, co się stało, przyłapuję go co chwilę na tym, że przygląda się dyskretnie wnętrzu, jakby czegoś w nim szukał.

– Tak? – Drapie się po karku, jak zawsze, gdy ma do rozwiązania jakiś problem. – OK, jesteś pewna? Dobrze, w porządku. Obserwuj dalej, ja się zbieram i niedługo cię zmienię.

– Coś zobaczyła? – pytam, gdy tylko się rozłącza.

– Tak, Kapitan – akcentuje to słowo z nutą posępnej ironii – właśnie przyjechał do domu, zaparkował bezpośrednio w garażu i nie było widać, jak wychodzi z samochodu.

Telefon wibruje mu w dłoni. Chyba dostał wiadomość. Sygnał jest najwyraźniej wyciszony.

– Na miejscu pasażera siedział ktoś w czarnym kapturze – mówi dalej. – Kaśka właśnie wysłała mi zdjęcia.

– Ktoś w czarnym kapturze?

Zrywam się z miejsca i podchodzę do niego.

– Tej osobie wyraźnie zależało na tym, aby nie zostać rozpoznaną – mówi dalej.

Widzę już wyświetlacz jego telefonu, zbliżenie na boczną szybę czarnego samochodu. Zdjęcie jest zrobione od strony kierowcy, czyli Czarkowskiego w okularach pilotkach i w szarej marynarce. Obok, na skórzanym, porowatym fotelu z białą obwódką faktycznie siedzi jakiś człowiek, który przytrzymuje palcami czarny kaptur, tak by z zewnątrz nie było widać jego twarzy. Nie jestem nawet pewna, czy to mężczyzna, czy kobieta.

– Trzeba tam pojechać i wy badać, kogo Czarkowski przywiózł do domu. Nie ma jego żony w mieście – Łukasz spogląda na mnie znacząco, bo to ja mu o tym powiedziałam – a pasażer próbuje się ukryć.

Niemal czuję, jak adrenalina rozszerza wszystkie naczynia krwionośne. Serce zaczyna szybciej pompować krew, w uszach słyszę jednostajny szum i dudnienie narastającego tętna. W głowie rodzą się możliwe opcje, z kim Kapitan może teraz przebywać w domu. Wśród nich najwyraźniejsza jest Helena, ale po tym, jak zobaczyłam to zdjęcie, boję się wypowiedzieć jej imię na głos. Odnoszę wrażenie, że wówczas coś zaburzę. Ta opcja jest jak sen, o którym nie chcę mówić, bo wtedy się nie spełni.

Czuję, że Łukasz też o tym myśli, wydaje się skupiony i jednocześnie podekscytowany.

– Dochodzi trzynasta, przed nami kawałek drogi. Trzeba się zbierać – mówi, a ja cieszę się, że powiedział „przed nami”. Nie muszę go dłużej przekonywać, że powinnam z nim jechać. Chcę zobaczyć na własne oczy, z kim Czarkowski jest teraz w domu. Poza tym boję się tu zostać sama, niemal tak jak w swoim mieszkaniu. To nic, że przejechaliśmy ponad sto kilometrów i nikt za nami nie jechał. Po tym, co stało się wczoraj, nigdzie nie będę czuła się bezpiecznie.

Biorę do samochodu batonika, który kupił mi Łukasz, i wodę mineralną. Zabieram też ze sobą pamiętnik Heleny. Ruszamy w drogę.

Rozdział 24

To ten dom, myślę, gdy parkujemy naprzeciwko willi z małymi okrągłymi oknami nad garażem. Jest pięć po trzeciej. Kaśka niedawno odjechała. Nie mogła na nas zaczekać, bo musiała odebrać dziecko od opiekunki. Do chwili, gdy tu była, Czarkowski nie ruszył się z domu.

Czytając o tym budynku w pamiętniku Heleny, wyobrażałam go sobie inaczej. Jest większy, niż zakładałam, nie widzę narożnej wieżyczki, tylko wykusz po prawej stronie, ale mógł przecież ulec przebudowie. Na tyłach domu widać fragment drewnianej zjeżdżalni i dogorywającą palmę w donicy. Dach jest płaski, w istocie czuć, że to dom postawiony we wczesnych latach dziewięćdziesiątych. Elewacja ma morelowy kolor, obwódki okien są szare.

To tu rozegrał się dramat Heleny. Co prawda, nie została w tym domu zgwałcona ani zamordowana, ale zaznała krzywdy, przez którą potem nieumyślnie zabiła człowieka. Czy teraz może tu być? Zadaję sobie to pytanie, wbijając wzrok w duże okno na ganku. A może Czarkowski przywiózł tu jej szantażystę? Z jej zapisków wynika, że to człowiek zdolny do wszystkiego.

W oknie kuchni zauważam jakiś ruch. Poznaję rodzaj pomieszczenia po szafkach i lodówce, które majaczą w tle. Pod oknem, pewnie przy zlewie, ktoś stoi, chyba odkręca wodę. Firana jest cienka, półprzezroczysta. Ciężko przez nią zobaczyć coś konkretnego. Może gdyby był wieczór, a okno rozjaśniałoby światło, widziałabym więcej.

– Mamy dobry punkt obserwacyjny – mówi Łukasz. – Tak łatwo nas nie namierzą.

– To prawda – odpowiadam.

Zaparkowaliśmy pod zakładem galwanizacyjnym. Między dwoma innymi samochodami. Mamy szczęście, bo dziś jest nieczynne. Kaśka powiedziała

nam, że tu jest najkorzystniejsze miejsce i miała rację.

– Ktoś stoi przy oknie – mówię.

– Tak, ale nie widać zbyt wiele – odpowiada Łukasz.

– Co robimy? – pytam.

– Trzeba uzbroić się w cierpliwość. Może któreś wyjdzie. Zamówię jedzenie na wynos, będą musieli otworzyć drzwi albo wyjdą do ogrodu. Pogoda jest niezła – unosi wzrok ku niebu.

Roznoszą mnie emocje. W samochodzie robi mi się duszno i spuszczam szybę. Potem wciągam w siebie ciepłe powietrze. Wyobrażam sobie, jak Helena wyjeżdżała stąd zapłakana samochodem, tą bramą, tą szeroką drogą.

Mijają kolejne minuty, potem godziny i nic się nie zmienia. Jakbyśmy patrzyli na wielkie zdjęcie. Nikt nie przyjeżdża i nikt nie otwiera drzwi. Mam ochotę wybiec z samochodu, pognać tam i walić w drzwi, krzycząc, żeby mnie wpuścił. Zmusić go, żeby się do wszystkiego przyznał. Czuję, że maczał palce w jej zniknięciu, być może również w zastraszeniu Sylwii i mnie.

Wieczorem uchodzi ze mnie cała energia, jak powietrze z przekutego balonika. Straciłam zapał, jestem coraz bardziej zirytowana. Łukasz jest spokojny, najwyraźniej przyzwyczajony do tego typu sytuacji. Przegląda coś w telefonie, popija red bulla, co jakiś czas zachowawczo zerkając na budynek.

W pewnym momencie nie wytrzymuję i wychodzę z samochodu, zanim Łukasz zdąży zadać mi jakiegokolwiek pytanie lub mnie powstrzymać. Ruszam w stronę domu Czarkowskiego pogrążona w transie. Mam dość pytań rozsadzających mnie od środka. Kto mi wczoraj groził? Gdzie jest Helena?

Przeżyłam już spotkanie sam na sam z Czarkowskim. Teraz, gdy jest jeszcze jasno, nic złego mi nie zrobi, poza tym mam towarzysza. Słyszę za sobą jego energiczne kroki.

- Sonia, co ty wyprawiasz? – upomina mnie, mocno chwytając za ramię.
- Muszę tam wejść.
- Nie ma mowy.

Brzmi stanowczo, ale nie zamierzam go słuchać. Chyba żałuje, że mnie tu przywiózł. Psuję jego plan. Mamrocze coś teraz o procedurach, ale nie zważam na jego słowa, tylko podchodzę do furtki. Po bokach domu ciągnie się żywopłot z tuj. Zarówno ja, jak i Łukasz mamy na głowach czapeczki z daszkami. Nie sądzę, żeby Czarkowski rozpoznał mnie od razu. Choć mam ściśnięty żołądek ze strachu, a kolana nieznośnie mi drżą, chwytam za gałkę furtki. Ani drgnie.

– Sonia – powtarza Łukasz z rezygnacją w głosie. – Wszystko spierdolisz, daj mi działać.

Dom wydaje się pusty, bez życia. To może być oczywiście jedynie złudzenie, ktoś zaraz wychyli się zza drzwi, zapyta, czego chcę.

Odsuwam się od furtki i sprawdzam jej wysokość. Zastanawiam się, czy zdołam ją przeskoczyć. Nie ma żadnej tabliczki ostrzegawczej z wizerunkiem wściekłego psa, chyba jest względnie bezpiecznie. Czuję się teraz trochę tak, jak to opisywała Helena. Mierzę się z życiem, sprawdzam, jak daleko mogę zabrnąć bez poniesienia konsekwencji. Wczoraj ktoś też nie stosował się do zasad, gdy syczał, że mnie zabije. Dlaczego ja mam ich przestrzegać? Policja nie dała mi żadnej ochrony, wysłali tylko patrol pod mój blok. Gdyby nie Łukasz, byłabym zdana sama na siebie. Rozsadza mnie gniew. Chcę, żeby ten koszmar wreszcie się skończył.

– Zaczekaj – mówi Łukasz i kiwa głową w lewo.

Patrzę we wskazanym przez niego kierunku i widzę dwóch facetów w poplamionych, roboczych ciuchach, którzy opuszczają sąsiadujący dom. Chyba trwa tam jakiś remont.

Mężczyźni wsiadają do białego busa i odjeżdżają, a my w cichym porozumieniu powoli podchodzimy do opuszczonej przez nich posesji. Krew wciąż szumi mi w uszach, adrenalina mnie trzyma. Przez fasadę

gniewu przebija się rozsądek. Tak, tędy będzie bezpieczniej. Budynek nie ma okien na parterze, zdarty tynk szpeci wysokie ściany.

W oddali widzę betoniarkę, dalej kopiec piasku i jakieś zwoje folii. Chyba nikogo więcej tu nie ma. Przynajmniej na chodniku nie widać żadnego samochodu. Stare, kute ogrodzenie wygląda na solidne, ale furka jest zabezpieczona tylko kawałkiem drutu, najpewniej też będzie wymieniana.

Łukasz rozgląda się na boki, a potem majstruje przy prowizorycznym zamknięciu, które chwilę temu założył robotnik. Potem wchodzimy na ścieżkę wyłożoną starą kostką brukową okalającą opustoszały dom. Obydwoje patrzymy na żywopłot oddzielający nas od ogrodu Czarkowskiego. Jest wysoki, ale na szczęście niezbyt gęsty. Przez prześwity między intensywnie zielonymi igłami widać dom Kapitana. Coś się dzieje na tarasie. Przystajemy w tym samym momencie. Zbliżamy się do żywopłotu. Łukasz mówi, że widzi jakieś blond włosy, to kobieta. Na dźwięk tych słów całe ciało pokrywa mi gęsia skórka.

– Gdzie? – pytam półszepceniem, a potem wchodzę między tuje i patrzę w kierunku tarasu Czarkowskiego, na którym stoi długa, kraciasta huśtawka.

– Schowała się w domu. Może zaraz się pojawi.

Czarkowski stoi przy drzwiach tarasowych z lampką wina w dłoni. Jest zwrócony do nas tyłem, po chwili ktoś do niego dołącza, widzę już złociste, pofalowane włosy, zaczynam oddychać przez usta, czując, że zaraz zemdleję. Czy to ona?

Ma na sobie czarną bluzę oversize i chyba białe klapki. Zarzuca ręce Czarkowskiemu na szyję, całują się. Potem idą za rękę na huśtawkę, siadają na niej i wtedy widzę ją w całości. To... nie... Helena. To jeszcze dziecko. Młoda dziewczyna. Ma najwyżej piętnaście lat, ale może być młodsza.

Jej świeża buzia jest nieskażona makijażem. Na czole ma niewielką czerwoną plamę, to chyba coś w rodzaju rumienia. W gardle mi zasycha,

gdy widzę, jak Czarkowski gładzi jej szczupłe ramię, a potem zaczyna całować ją za uchem. Dziewczyna przymyka oczy, gdy Kapitan muska ją po brzuchu. Potem ściąga swój złoty zegarek, odkłada go na stolik i wsuwa dłoń niżej, a ona rozchyła nogi.

Odsuwam się od tuj. W głowie mi się kręci. Łukasz tam jeszcze zostaje, chyba robi zdjęcia. Potem do mnie dołącza. W głowie mnożą mi się obrazy, które wyobrażałam sobie podczas czytania pamiętnika Heleny. Choć to nie była ona, mam wrażenie, że właśnie zobaczyłam młodszą wersję swojej przyjaciółki, że to ta sama dziewczyna. Wiem, co wydarzy się później, jak bardzo wpłynie na nią to, co teraz robi z tym człowiekiem na huśtawce, która właśnie zaczyna skrzypieć.

– Jedźmy stąd – mówi Łukasz – wszystko jasne. Czarkowski przywiózł sobie kochankę, nie chciał, żeby sąsiedzi zobaczyli.

– Kochankę?! – pytam. – To jeszcze dziecko.

– Wiem, ale teraz nic z tym nie zrobimy. Sfotografowałem ich. Przekażę to policji. Gdy dołączymy do tego zapiski z pamiętnika Heleny, będzie można ukreślić na niego bata.

– Kawał drania. Ilu dziewczynom to zrobił?! – unoszę głos.

Skrzypienie huśtawki ustaje. Patrzymy na siebie oniemiały. Łukasz powoli się odwraca i podchodzi do tuj, a potem gwałtownie się od nich odrywa i idzie w moim kierunku, wskazując palcem na dom.

Widzę przez prześwity między krzewami, że Czarkowski zbliża się do ogrodzenia, musiał usłyszeć mój głos. Biegniemy z Łukaszem w stronę domu, chowamy się za schodami prowadzącymi na werandę. Siadam na ziemi i liczę uderzenia serca. Sama nie wiem, kiedy łapiemy się z Łukaszem za rękę. Ściskam teraz mocno jego palce, czując, jak wszystko kręci mi się przed oczami. Niemal wyczuwam na sobie wzrok Czarkowskiego, choć to niemożliwe, żeby nas zobaczył.

Jeśli jednak wyjdzie na ulicę i podejdzie do furtki, natychmiast nas dostrzeże. Czekamy tak przy obdartych, betonowych schodach parę minut,

ale nic się nie dzieje. Potem powoli wstajemy i kierujemy się do wyjścia. Wiem już, że Heleny tu nie ma. To znaczy dla Kapitana jest. Tylko że w wersji sprzed lat.

Całą drogę powrotną myślę o dziewczynie, którą ujrzałam w domu Czarkowskiego. Wyglądała na bezgranicznie zakochaną. Ulegam złudzeniu, że ją znam i wiem, co myśli, dzięki zapiskom Heleny. Ciekawe, czy ona też nie czuła się akceptowana w swoim otoczeniu. Może znamię, które ma na czole, w jakiś sposób ją osłabia? Sprawia, że ma kompleksy? Ludzie uwielbiają schematy, przestępcy też. Podejrzewam, że Czarkowski stosuje taką samą metodę w stosunku do każdej ze swoich ofiar. Wybiera te niepewne siebie, rozbite emocjonalnie, które lgną do każdego, kto okaże im odrobinę ciepła. Teraz jest już majątnym mężczyzną, imponuje młodym dziewczynom bogactwem, znajomościami, życiową ogładą. Dla nich nie liczy się to, że ma żonę i dzieci. Są jeszcze zbyt młode, żeby myśleć takimi kategoriami. Im wystarczą jego zapewnienia o tym, że są dla niego najważniejsze.

Dojeżdżamy do Wilkowa po dziewiątej. W drodze Łukasz pisze z kimś esemesy. Gdy tylko przystajemy na światłach lub czekamy, aż pociąg przejedzie, wyciąga telefon i coś w nim sprawdza. Mówi, że ma problem z jednym z klientów, jutro będzie musiał wrócić do Wrocławia i załatwić parę spraw.

Chcę mu zaproponować, że z nim pojedę, ale póki co się nie odzywam. Dobrze wiem, że moim gwałtownym zrywem i próbami wejścia do domu Czarkowskiego nadwyreżyłam jego zaufanie. To nic, że dzięki temu udało nam się wyjaśnić całą sytuację i mogliśmy wrócić do domu. Łukasz i tak uważa, że przegięłam.

Po wejściu do domu babci dopada mnie straszne zmęczenie. Wyciągam pierzynę z szafy, rozkładam kanapę i ścielę łóżko, a potem niemal natychmiast się do niego kładę. Łukasz najpierw kręci się po domu, sprawdza okna, drzwi, pyta, czy da się tu jeszcze wejść w inny sposób.

Jego zachowanie sprawia, że znowu zaczynam się stresować. Mam wrażenie, że zauważył coś niepokojącego, ale nie chce mi powiedzieć co. Gdy go o to pytam, wypiera się. Mówi, że to zboczenie zawodowe i że bym się o nic nie martwiła.

Potem siada na fotelu, niedaleko mnie, najwyraźniej krępuje się położyć na kanapie. Choć minionej nocy spaliśmy na jednym łóżku, to jednak teraz robi się między nami niezręcznie. Wtedy przerażenie wzięło górę i wszystko inne wydawało się mniej ważne, ale dziś oboje widzimy już to, co do tej pory kryło się za kulisami. Czy znowu się do siebie zbliżyliśmy? Czy to tylko reakcja na tę trudną sytuację?

Na szczęście powieki same mi opadają i jestem po części zobojętniała na to, co dzieje się dookoła. Zdaję sobie jednak sprawę, że przy Łukaszu czuję się i tak dużo swobodniej niż przy Dorianie, z którym w zeszłym tygodniu dzieliłam pokój w schronisku. On był dla mnie obcym facetem, podczas gdy Łukasz jest bliski, bardzo bliski. Walcząc ze znużeniem, mówię:

– Połóż się obok mnie.

Choć w pokoju jest ciemno, a sylwetka Łukasza rysuje się tylko na fotelu, czuję, że mi się przygląda. Jego spojrzenie mnie pali.

Nie reaguje na moje słowa, a mi robi się głupio. Po co to powiedziałam? Do mojego umysłu wdzierają się problemy, które na moment ode mnie odpłynęły. Wiem, że jutro trzeba będzie zdecydować, co dalej. W drodze powrotnej pytał, co zrobię z pamiętnikiem Heleny.

– Łukasz, co się dzieje? – z moich ust wydobywa się nagle pytanie, bo wciąż milczy i to zaczyna mnie niepokoić.

Dłonie ma zaciśnięte na oparciach fotela. Wydaje mi się, że cały czas mnie obserwuje, w napięciu, jakby na coś czekał.

Nagle wstaje, ściąga koszulkę i kładzie się na kanapie, tuż obok mnie, dużo bliżej niż wczoraj. Wtedy trzymaliśmy bezpieczny, przyjacielski dystans, ale dzisiaj go nie ma.

Głos grzęźnie mi w gardle, po ciele płyną dreszcze. Sama nie wiem, kiedy nasze usta łączą się w powolnym pocałunku. Czy to oznacza, że znowu jesteśmy parą? Nie umiem sobie na to odpowiedzieć. Czasem, kiedy wracał do domu po pracy, zrywał ze mnie wszystko i kochaliśmy się w różnych miejscach. W ten sposób odreagowywał to, co wydarzyło się w ciągu dnia. Seks w takiej chwili jest jak ucieczka do przyjemnego miejsca, w którym doznania są spotęgowane dozą strachu. Tej nocy jednak żadne z nas nie chce takiej bliskości. To nie moment na rozładowywanie napięcia, obydwójce czujemy, że prawdziwe wyzwania dopiero przed nami. Trzeba rozwikłać tę sprawę. Leżymy tylko przytuleni na twardym materacu, którego sprężyny chrzęszczą przy każdym ruchu. Ręce Łukasza zacisnęły się w obręcz na mojej talii. Wydaje się bardziej spięty niż ja. Serce bije mu szybko, wyczuwam jego pulsowanie na swoim ciele. Coś ewidentnie go męczy, ale nie chce mi zdradzić, co.

Rozdział 25

Budzę się w środku nocy, czując dojmujący smutek. Łukasza nie ma już za mną, nie wiem, gdzie poszedł. Okno za kanapą jest uchylone, co przeraża mnie tak bardzo, że w pierwszej chwili nawet nie jestem w stanie się poruszyć. Kark owiewa mi chłodne, nocne powietrze. Na zewnątrz szumi jednostajnie deszcz, jak nienastrojony telewizor.

Słyszę kroki w kuchni, powolne i ciche, jakby ktoś się skradał. Potem dochodzi do nich charakterystyczny dźwięk przeskakującego stawu.

– Łukasz – mówię niemal bezgłośnie, w nadziei, że to on.

Nikt mi jednak nie odpowiada. Łudzę się, że wstał tylko na chwilę, poszedł nalać sobie wody. Próbuję wymacać dłonią telefon, który zostawiłam na ziemi, pod kanapą, ale nigdzie go nie ma. Mój strach się wzmacnia. Zbieram się w sobie i pytam głośniejszym głosem:

– Łukasz?

Wciąż cisza i ten nieznośny odgłos kroków. Dociera do mnie, że to nie on. On by mi przecież odpowiedział. Tym razem zapytałam o to wyraźnie. Mój zalekziony głos wypełnił cały pokój, dotarł do kuchni. Ktoś celowo mnie ignoruje. Łukasz zostawił mnie tu samą, zrobił to specjalnie. To dlatego obserwował mnie w napięciu, siedząc na fotelu. Nie chciał się konfrontować z wrogiem, którego zdołał w jakiś sposób wyczuć. Uciekł przez okno. Dzikie myśli przeskakują w mojej głowie jak slajdy, każda inna, wykoślawiona.

Ja też ucieknę, postanawiam, podsuwając się na kolanach do okna.

Do odgłosów kroków dochodzi dziwny szmer, jakby ktoś przesuwał coś ciężkiego po podłodze. Gdy słyszę ten dźwięk, serce podchodzi mi do gardła. Sprężyny skrzypią, gdy stoję na kanapie i sięgam do okna. Otwieram je szerzej, ostre krople deszczu są jak małe igły. Z trudem wciągam powietrze, czując za sobą czyjś oddech, ktoś tu wszedł, ktoś łapie

mnie za włosy. Szarpie się z nim, udaje mi się wyrwać. Odwracam się i widzę zakapturzonego mężczyznę, który trzyma łom z wygiętym, zaostrzonym końcem. Z gardła wydobywa mi się ochryply ryk, jakbym była zwierzęciem prowadzonym na rzeź. Czuję okropny ucisk w klatce piersiowej i słyszę gdzieś obok głos Łukasza, spokojny, ciepły ton, który nie pasuje do tej chwili:

– Sonia, spokojnie, już dobrze.

Wsluchuję się w ten głos, który raptem zdaje się wypełniać całe pomieszczenie, mój oprawca znika, jakby był jedynie migawką, a ja znowu leżę na kanapie, z głową zanurzoną w miękkiej poduszce. Łukasz gładzi mnie po policzku. Powoli się podnoszę, patrzę na szczelnie zamknięte okno. Potem przerzucam wzrok na wejście do kuchni, które wypełnia kotara z drewnianych koralików. W moim śnie jej nie było.

– Co ci się przyśniło? – pyta głosem pełnym niedowierzania.

– Nic – odpowiadam, chcąc jak najszybciej oddalić się od tego koszmaru.
– Nieważne.

Pochylam się i próbuję wyczuć na podłodze telefon. Odnajduję go bez trudu, sprawdzam godzinę. Jest trzecia trzydzieści. Fakt, że mam telefon pod ręką mnie uspokaja, utwierdza w przekonaniu, że koszmar był nieprawdziwy, odległy od tej bezpiecznej nocy. Zgadza się tylko deszcz. Tylko on szumi za oknem, łącząc się niewidoczną linią z moim snem.

Udaje mi się znowu zasnąć. Budzę się ponownie o ósmej rano, idę do kuchni, stawiam kawiarkę na gaz, osowiała i wciąż zmęczona. Potem parzę kawę w szklance z ciemnego szkła i otwieram drzwi wejściowe, chcąc trochę przewietrzyć dom, bo panuje tu straszny zaduch.

Wychodzę do ogrodu, wciągając wilgotne, poranne powietrze. Liście są mokre od deszczu, który padał w nocy, ale teraz jest już pogodnie. Słońce rozświetla ten dzień, niosąc nadzieję na to, że wszystko się jeszcze ułoży. Robię kilka kroków przed siebie, wpatrzona w brudne witryny szarego baraku stojącego naprzeciwko. Niegdyś był tu sklep spożywczy. Babcia

zawsze cieszyła się, że nie musi daleko chodzić po zakupy. Kupowałyśmy tam z Elą lody na patyku i oranżadę w szklanych butelkach. Spotykałam się pod sklepem z kolegami ze wsi, gdy przyjeżdżałam do babci na wakacje. To swego rodzaju symbol mojego dzieciństwa, po którym teraz nie ma śladu. Został tylko wyblakły od słońca szyld z ledwie czytelnym napisem: „Delikatesy u Wioli”.

Dochodzę do mokrej od deszczu furtki, chcę się o nią oprzeć, ale pokrywająca ją woda mnie zniechęca. Zerkam w dół i wtedy go widzę. Zaczynam się trząść. Krople gorącej kawy spadają na moje bose stopy.

Patrzę rozgorączkowanym wzrokiem w lewo i w prawo. Na drodze nikogo nie ma. Ta pustka wydaje się złowieszcza, wzmacnia mój strach.

– Łukasz! – krzyczę na całe gardło, czując się tak, jakbym śniła koszmar.

Nikt mi nie odpowiada. Odwracam się na pięcie i szybkim krokiem idę do domu, udaje mi się odłożyć szklankę z kawą na szafkę stojącą w sieni. Potem trzaskam z impetem drzwiami i przekręcam klucz w zamku.

Idę do pokoju, ale mam wrażenie, że wszystko w domu przechyliło się na bok. Łukasz wciąż śpi, odwrócony do mnie plecami, a ja mam przed oczami cały czas ten sam widok.

Łom leżący na drodze, prawie na poboczu, tuż przed furtką domu babci.

W nocy musiałam usłyszeć, jak ktoś ciągnął go po ziemi, być może najpierw podszedł pod dom. Otacza go kamienna ścieżka i to mogłoby się zgadzać. Wyglądał inaczej niż w koszmarze. Był stary, zniszczony, miał spłaszczoną końcówkę.

– On wie, że tu jestem – mówię, a drżenie mojego głosu sprawia, że Łukasz natychmiast otwiera oczy.

– Co? – Siada na łóżku, pocierając dłońmi twarz.

– Łom. Przed furtką leży łom. Ktoś go tu zostawił w nocy.

– Niemożliwe.

Zrywa się z łóżka i wychodzi z pokoju, po chwili otwiera już drzwi. Wraca po minucie i nie odzywając się do mnie słowem, sięga po telefon.

Chyba rozmawia z Walewską.

– Przyślij kogoś, tak, techników, jak najszybciej.

Dom babci robi się dla mnie za ciasny. Chcę jak najszybciej się stąd wydostać. Gdy przyjeżdża policja, za nią technicy, mam wrażenie, że doszło tu do brutalnego morderstwa, choć jeden z policjantów sugeruje, że to mógł być zbieg okoliczności. Być może ten łom leży tu od dawna. Korzystaliśmy od wczoraj tylko z bramy wjazdowej, nikt nie podchodził do furtki. Ja wiem, że zostawił go tu mój prześladowca, Walewska jest tego samego zdania, ale pozostali najwyraźniej biorą różne opcje pod uwagę. Obchodzą okoliczne domy i pytają sąsiadów, czy nie widzieli tu kogoś podejrzanego w nocy lub dziś rano. Chyba nikt nie mówi im niczego sensownego.

Wyjeżdżamy z Wilkowa około południa. Jestem przerażona tym, że ten człowiek mnie tu znalazł. Może jest w stanie namierzać sygnał z telefonu komórkowego? Przychodzi mi na myśl Czarkowski, on ma wystarczająco dużo pieniędzy, by móc uruchomić odpowiednie kontakty. Czuję, że za moimi plecami toczy się gra, o której nie mam pojęcia. Po tym, co się stało, znowu budzą się we mnie podejrzenia, że Helena nie żyje.

Póki co zatrzymujemy się w mieszkaniu Łukasza. Po osiedlu cały czas kręci się radiowóz policyjny. Mam nadzieję, że to odstraszy tego człowieka, kimkolwiek jest.

Ściągając buty w schludnym przedpokoju, zastanawiam się, co teraz. Czy muszę uciekać z tego miasta? Kraju? Gdzie będę w pełni bezpieczna? Tak się przecież nie da żyć. Sylwia ponoć nie dostała już więcej żadnych pogróżek. Dał jej spokój, tylko mnie wciąż prześladowuje.

Kładę czapkę z daszkiem na białej, wąskiej szafce i dyskretnie rozglądam się po kawalerce. Jestem tu pierwszy raz. Uderza mnie, że w środku jest bardzo czysto, dużo czystiej niż u mnie. Zamieszkaliśmy ze sobą po miesiącu znajomości, właściwie nie pamiętam, jak wyglądało jego

poprzednie mieszkanie, czy ono też lśniło czystością? Może tylko ja żyję w chaosie?

– Jak tu czysto – mówię, gdy przechodzimy do przestronnego pokoju dziennego.

– Bo mało tu przebywam. Ciągłe siedzę w pracy – tłumaczy się pospiesznie, jakby moje słowa były jakimś zarzutem.

Kładę swoją torbę na okrągłym stoliku. Wystaje z niej pamiętnik Heleny, który powoduje wyłącznie niepokój, wręcz ból.

Łukasz wychodzi do sąsiedniego pokoju. Chyba rozmawia przez telefon z Kaśką. Prosi ją, żeby zajęła się pilnymi tematami zaplanowanymi na dzisiaj. Kaśka chyba nie jest zachwycona. Trudno mi się słucha słów:

– Wiem, wiem, ale nie mam wyboru. Nie zostawię jej samej.

Gdy wraca, siedzę na fotelu, oplatając samą siebie ramionami.

– Dzięki za wszystko – mówię.

– Nie musisz dziękować – wydaje się urażony.

– Mimo wszystko...

– Sonia, jest OK – wchodzi mi w słowo. – Daj spokój.

– Jeśli chcesz, możesz wrócić do pracy. Ja sobie tu poradzę.

– Dzisiaj nie muszę, nie przejmuj się. – Mruga, jakby chciał dodać mi otuchy.

– Jak mam się nie przejmować? Ta sytuacja mnie wykończy – odpowiadam – na co my właściwie czekamy?

– Aż wszystko się trochę uspokoi. Czas potrafi zdziałać cuda. Facet popełni jakiś błąd i go złapiemy.

Biorę prysznic. Potem zamawiamy jakieś jedzenie z dowozem, które w siebie wmuszam. Nie mogę sobie znaleźć miejsca w mieszkaniu Łukasza. Próbuję coś czytać, potem skaczę pilotem po telewizyjnych kanałach, oglądam film, a raczej patrzę tępo w telewizor. Prawda jest taka, że nie mogę się na niczym skupić. Wieczorem dzwoni do mnie Dorian. Nie słyszeliśmy się od paru dni.

– Halo? – Odbieram, spoglądając znacząco na Łukasza.
– Cześć Sonia, słuchaj, chciałbym z tobą porozmawiać. Byłem wczoraj u ciebie, ale cię nie zastałem.
– Wyjechałam.
– Daleko? Może przyjedziesz dzisiaj do mnie? To ważne.
– O co chodzi Dorian? Powiedz przez telefon.
– Nie mogę przez telefon. Najlepiej by było, gdybyś do mnie przyjechała.
Chodzi o Helenę.

Słucham go z bijącym mocno sercem. Patrzą to na Łukasza, to na swoje buty, które zostawiłam w przedpokoju.

– Myślę, że powinnaś o tym wiedzieć. Że ty powinnaś. Ponoć tobie też ktoś groził.

– To prawda.

Pewnie policja go o to pytała, myślę. Chyba nieoficjalnie wciąż jest dla nich jednym z podejrzanych.

– Musimy tę sprawę doprowadzić do końca. Tak się nie da żyć – przekonuje.

Jakby czytał mi w myślach.

– Wiem, ja też mam tego dość. Postaram się do ciebie przyjechać, ale nie obiecuję.

Łukasz krzywi się, słysząc moje słowa. Pewnie myśli, że oszalałam. Prawda jest jednak taka, że znam ich kawał życia i nie mogę tak po prostu się poddać. Cały czas zastanawiam się, co robić. Być może rozmowa z Dorianem coś rozjaśni.

Tłumaczę to Łukaszowi przez kolejną godzinę. Jest przeciwny, mówi, że to niebezpieczne. Ale przecież w zeszłym tygodniu spędziłam z Dorianem kilka dni i choć nie ufam mu w stu procentach, to myślę, że miał mnóstwo okazji, żeby mnie skrzywdzić. Sylwia zeznała, że to nie on groził Helenie w kwaciarni, to był ktoś inny.

Gdy mówię to wszystko Łukaszowi, utwierdzam się w przekonaniu, że powinnam tam pojechać. Moja decyzja przypomina tę z wczoraj, gdy podeszłam pod furtkę Czarkowskiego. Opuściłam samochód, bo rozpierała mnie potrzeba działania. Sięgnęłam po prawdę i otrzymałam ją. Czuję całą sobą, że teraz powinnam zrobić to samo.

W końcu postanawiamy, że pojedziemy tam razem. Łukasz będzie czekał przed domem, na podjeździe. Pójdę tam na parę minut, góra kwadrans, nie dłużej, potem wrócę i powtórzę mu to, czego się dowiedziałam. Jemu jedynemu mogę zaufać.

Rozdział 26

Dorian

Gdy Sonia podjeżdża pod mój dom, na dworze jest już prawie całkiem ciemno. Oczywiście nie jest sama, przywiózł ją Łukasz, rozpoznaje jego auto od razu. Wychodzę na werandę i teatralnie unoszę dłonie, jakbym poddawał się policji. Sonia wysiada z samochodu, on zostaje w środku i póki jeszcze pali się w środku światło, piorunuje mnie wzrokiem. Pewnie odwoził ją od tej wizyty, ale ona się uparła, jak zawsze.

Teraz otwiera furtkę i wchodzi na ścieżkę z kostki brukowej przecinającą trawnik. Wydaje mi się, że schudła, jej oczy są podkrążone, ręce ma wepchnięte w kieszenie jeansów. Zbliżyła się już do werandy i posyła mi blady uśmiech, a mnie przychodzi na myśl, że nie zasłużyła na to, co się stało.

Wchodzimy do środka.

– Napijesz się czegoś? – pytam.

– Nie, dzięki. Dorian, mów, co ci leży na sercu. Łukasz na mnie czeka.

Nawet nie wchodzi do salonu. Oparła się o szafkę na buty i patrzy na mnie wyczekująco.

– OK, OK. – Zachowuję bezpieczną odległość, żeby nie wzbudzać w niej jeszcze większego lęku. – Powiedz, Sonia, czy Helena kogoś miała?

– W jakim sensie? – pyta bez przekonania.

– Czy spotykała się z kimś za moimi plecami? Ostatnio, gdy u mnie byłaś, dużo wypilem i właściwie nie zadałem ci tego pytania, a chcę wiedzieć. Muszę wiedzieć, czy to było lub jest moje dziecko, zrozum.

Zaciskam pięści. Próbuję nad sobą panować, ale to nie jest łatwe.

– Nawet nie wiedziałam, że ona jest w ciąży. Przecież już ci mówiłam.

– Spędzałyście mnóstwo czasu razem.

– Ale, jak się okazuje, nie wiedziałam o niej praktycznie nic, zresztą tak jak o tobie – dodaje ciszej.

– Co masz na myśli?

– Nieważne.

– Ty coś wiesz. – Robię krok w jej kierunku, a ona zerka odruchowo na drzwi.

Zatrzymuję się. Nie chcę jej spłoszyć.

– Prędeż ty – odpowiada, patrząc mi nieufnie w oczy.

– O co ci chodzi? – Przełykam ślinę.

– Ostatnio gdy tu byłam, znalazłam z garderobie zdjęcia. Zabrałam je stąd.

– Jakie zdjęcia?

– Któreś z was mnie sfotografowało, gdy jeszcze się nie znaliśmy.

– Niemożliwe. Gdzie je znalazłaś?

– Po twojej stronie garderoby – kiwa głową w kierunku sypialni – w pudełku po butach, razem z aparatem.

– Nic o tym nie wiem, przysięgam. – Unoszę dłonie w obronnym geście.

– Musiała je zrobić Helena, a może ktoś jej dał te fotografie, wiedział, że się znacie – tłumaczę jej, ale widzę, że mi nie wierzy.

Jeszcze tego brakowało. Oszukała mnie. Gdy ostatnio przyłapałem ją na szperaniu w garderobie, czułem, że coś nie gra, pytałem, ale nie chciała powiedzieć, o co chodzi.

Staliśmy się sobie obcy, choć jeszcze miesiąc temu mieliśmy świetną relację. Helena wszystko zniszczyła, jak zawsze.

– Słuchaj, jeśli powiem ci coś ważnego, to pokażesz mi te zdjęcia? – Zerkam w stronę jej torebki.

Mam ochotę ją wyrwać i sprawdzić, czy tam są.

Przytakuje.

– Helena miała... – zaczynam bez przekonania.

Jestem zły na moją żonę i chcę ją ukarać za to, co mi zrobiła. Za to, że zataiła przede mną ciążę. Wiem, że gdybym powiedział całą prawdę, policja inaczej podeszłaby do sprawy jej zaginięcia. Być może udałoby się im ją odnaleźć, ale wtedy ukrećę też bata na siebie. To trudny moment, w którym muszę podjąć jakąś decyzję.

– Co miała? – ponagla Sonia.

Taki plan.

– Miała... – przeciągam, coraz bardziej wątpiąc w to, że w tej chwili powinienem się przyznać do wszystkiego.

– Helena miała obsesję na twoim punkcie – mówię wreszcie i odsuwam się tym samym od prawdy, którą chciałem obdarować Sonię.

– Jaką obsesję? – pyta niepewnie.

– To nie było normalne. – Szukam odpowiednich słów. – Nigdy wcześniej nie zaprzyjaźniła się z żadną kobietą. – Wskazuję na nią dłonią. – Na pewno miał na to wpływ fakt, że uratowałaś jej życie, ale mimo wszystko uważam, że byłyście za blisko.

– Nie byłyśmy za blisko! – oponuje gwałtownie.

– Kiedyś po jednej z imprez zaczęła opowiadać, że chce ci zapewnić jak najlepszą przyszłość i że jeśli coś się jej stanie, to mam przepisać na ciebie Chloris. To było bardzo dziwne, więc nie potraktowałem jej słów poważnie.

Złoty środek. Przekazuję jej właśnie fragment tego, co wiem.

– Tak powiedziała? Że chce mi zapewnić jak najlepszą przyszłość?

Kiwam głową.

Mruży oczy, delikatnie porusza ustami, jakby powtarzała bezgłośnie moje słowa.

– Sonia, pokaż mi te zdjęcia.

Zdaje się mnie nie słyszeć, pozostaje teraz w swoim świecie. Nikt nie ma do niego dostępu. Jest tylko ona i to, co właśnie jej powiedziałem.

– Sonia – powtarzam, ale ona mnie ignoruje.

Bez słowa odrywa się od szafki, a potem wychodzi z mojego domu.

Rozdział 27

Sonia

Chciała zapewnić mi jak najlepszą przyszłość? To za wiele, nawet jak na naszą przyjaźń. Fakt, kiedyś ją uratowałam, ale odwdzięczyła mi się za to, wciągając mnie do świata florystyki, odmieniając moje życie.

Dochodząc do auta, wspominam jej przerażone oczy, gdy przebudziła się tuż po wypadku, a ja pochylałam się nad nią. Powiedziała: „To nie ja, to on”, jakby mi się z czegoś tłumaczyła. Zatrzymuję się przy drzwiach od samochodu, kładę dłoń na klamce. Otacza mnie ciemność, niebo usłane jest gwiazdami. Nadeszła chłodna i wilgotna noc, przy każdym wydechu z ust wydobywa się para. Odwracam się w kierunku ich ogrodu, zerkając kątem oka na drzwi wejściowe. Dorian na szczęście za mną nie wyszedł. Jest w totalnej rozsypce, tak jak i ja.

Boczna szyba auta zjeżdża w dół:

– Sonia, wsiadasz? – pyta Łukasz, ale mu nie odpowiadam.

Wciąż patrzę na ogród ciągnący się za budynkiem, widzę domek gospodarczy podświetlony przez kulistą lampę, obok mającą krzewy i pierwsze hortensje otaczające wolierę z papugami.

„Wybrałam fragment ogrodu, który wydawał mi się bezpieczny. Od razu wymyśliłam też, jak najlepiej go później zakryć”.

Czy to tam ukryła ciało człowieka, którego potrafiła, wracając od Kapitana? To ona wymyśliła wolierę. Chciała mieć papugi. Powiedziała mi kiedyś, że stworzyła ją dopiero po śmierci teścia.

– Sonia – powtarza Łukasz, wrywając mnie z zamyślenia.

– Muszę tam pójść.

– Zostaw to policji – przekonuje, ale ja go nie słucham, tylko wracam do ich ogrodu.

Słyszę, jak Łukasz wychodzi z samochodu i rusza za mną, lecz nie zatrzymuję się. Chcę to zobaczyć, właśnie teraz. Spojrzeć na ich ogród z innej perspektywy. Teraz, gdy przeczytałam już pamiętnik Heleny, to miejsce kojarzy mi się z cmentarzem, do którego każdego dnia wchodziła. Patrzyła na woliere z kieliszkiem wina w dłoni, wspominając to, czego się dopuściła w przeszłości. Alkohol pomagał jej się znieczulić, zapomnieć. Rano była w kwaciarni, robiła to, co kocha, a gdy wracała do domu, znowu zaczynał się horror.

Dlaczego nie wezwała tamtej nocy policji? Być może nawet nie poszłaby do więzienia, dostałaby wyrok, sprawa byłaby przejrzysta. Kierował nią lęk, przez który podjęła złą decyzję.

Idę przed siebie, moje nogi zanurzają się w wysokiej trawie, która kładzie się pod każdym moim krokiem. Z reguły jest idealnie przycięta, ale Dorian przestał dbać o ogród. Chyba podlewa tylko niektóre kwiaty, nie kosi trawy, nie zbiera liści, które zaczęły opadać z drzew.

Zatrzymuję się dopiero naprzeciwko woliery. Pies sąsiada zaczyna szczekać. Do mnie jest przyzwyczajony, ale pewnie zobaczył Łukasza. Możliwe, że zaraz wyjdzie do nas Dorian, jednak w tej chwili to nie jest już ważne.

W woliere jest kilka wielkich gałęzi. Śpią na nich papugi, każda na innej. Pomimo że są tu ze sobą od tylu lat, samce i samice, nigdy nie połączyły się ze sobą w pary. Zawsze żyły osobno, nieufnie, od czasu do czasu któraś padała, zadziobana przez inną. Wówczas Helena szybko dokupywała nową i nazywała ją tak samo. Zakopała Ritę w kącie ogrodu i tydzień później w woliere była już nowa Rita, o podobnym umaszczeniu. Nie chciała zaburzyć porządku w kręgu ptaków, który stworzyła za drobnymi, metalowymi kratkami. Namiętnie podlewała wielobarwną rabatę z hortensji otaczającą ten mały świat. Kiedyś powiedziała mi, że to nasadzenie obrazuje pory roku i tym samym życie człowieka. Zaczyna się po lewej stronie, od zielonych kwiatostanów symbolizujących wiosnę,

stopniowo przemienia się w czerwone, oznaczające lato, potem przygasa do jesiennej pomarańczy, by zakończyć się zimową bielą.

Teraz myślę, że dbając o kwiaty rosnące przy woliery, w rzeczywistości pielęgnowała grób.

– Sonia, co ty robisz? – pyta mnie Łukasz. – Chodźmy stąd, poważnie.

– Zaraz pójdziemy – odpowiadam mu cicho, a potem patrzę na podłoże woliery.

Nie zwróciłam na to wcześniej uwagi, ale teraz widzę, że jest wyłożone drobną kostką brukową, podobną do tej z zabytkowych dróg.

To miejsce jest odgrodzone od reszty ogrodu, solidnie zabezpieczone. Oprócz Heleny nikt tu nie miał wstępu.

Idę do domku gospodarczego, słysząc za sobą jakiś szum. Chyba podnosi się roleta na drzwiach tarasowych. Czuję ścisk w żołądku na myśl o ponownej konfrontacji z Dorianem. Nie spodoba mu się to, że kręcimy się po jego ogrodzie. Zastanawiam się, czy Łukasz ma przy sobie broń. Mam nadzieję, że tak i jednocześnie liczę na to, że nie będzie musiał jej użyć.

Domek gospodarczy jest zabezpieczony kłódką. Klucz zapewne ma przy sobie Dorian. Szmer unoszących się rolet ustał, słyszę teraz cichy zgrzyt. Drzwi tarasowe się otwierają.

– Sonia?! O co wam, kurwa, chodzi?! – słyszę za sobą wzburzony głos Dorigana.

Idzie do nas szybko, z uniesionymi ramionami, jakby szykował się do ataku.

– Wynoście się stąd! – krzyczy.

– Nie możemy, nic nie rozumiesz! – odpowiadam.

– To mnie, kurwa, oświeć!

Idzie wprost na mnie z dłońmi zaciśniętymi w pięści, w ostatniej chwili na drodze staje mu Łukasz. Mam wrażenie, że zaraz zaczną się szarpać, ale na szczęście tak się nie dzieje.

Patrzę na nich z zapartym tchem, gdy Dorian mówi:

– Zaraz zadzwonię na policję.

– My też to zrobimy – odpowiada mu Łukasz – i uwierz mi, że to ty będziesz miał większe kłopoty.

Coś w posturze Doriana się zmienia. Ramiona mu lekko opadają, robi mały krok w tył. Ten widok sprawia, że udaje mi się wziąć głębszy oddech.

– O co wam chodzi? – pyta.

– Przeczytałam jej pamiętnik – odpowiadam drżącym głosem, a każde słowo z trudem wypływa z moich ust.

– Co? – odpowiada szeptem.

Światło księżyca pada na jego zgaszone oczy, zapadnięte, nieogolone policzki wyglądają, jakby były oszpecone przez ciemne bruzdy.

– Wiem, że to ty wywołałeś pożar w domu jej rodziców – mówię, czując, że zaczyna brakować mi powietrza.

Muszę to jednak w końcu z siebie wyrzucić. Koniec kłamstw, chorych gier.

Przymyka oczy, a potem spuszcza wzrok. Na jego zmęczonej twarzy dostrzegam wyraz ulgi.

Ta reakcja mnie zaskakuje. Chyba podświadomie oczekiwałam czegoś innego. Ataku, ucieczki, wyparcia, wszystkiego oprócz akceptacji. Może tak to wygląda, gdy przez lata potajemnie nosi się w sobie ciężar. Kiedy ktoś wskaże go palcem, brakuje już sił na to, żeby zaprzeczać.

– Nic nie wiesz – mówi. – Nie jesteś mną. Całe życie próbowałem jej to wynagrodzić.

– Ale się nie dało?

Kręci przecząco głową. Odwraca się w stronę domu, waha się, jakby chciał tam teraz wrócić.

– Dorian. – Zbieram się na odwagę i podchodzę do niego, łapię go za rękę, ale mi ją gwałtownie wyrywa.

– Zostaw mnie, kurwa.

Spuszcza głowę i stoi tak chwilę. Nie wiem, co mam robić, jak go przekonać, że nie mam złych zamiarów. Chcę tylko odkryć prawdę, by wiedzieć, czy powinnam ją dalej chronić.

– Mówiłem ci, że chciałem od niej odejść – odzywa się nagle. – Choć raz zrobić coś dla siebie.

– Tak, pamiętam.

– Słyszałem niedługo potem, jak rozmawiała z kimś przez telefon. Wynikało z tego, że chce upozorować własną śmierć. Wyjść w góry i już z nich nie wrócić.

Rozdział 28

Patrzemy z Łukaszem na siebie. Jego twarz nie wyraża żadnych emocji, jakby przeczuwał, że tak było, ja tymczasem czuję się oszukana i pominięta.

Toksyczni ludzie – to słowa, które przychodzą mi na myśl, gdy mija szok, którego doznałam, słysząc słowa Doriana.

– Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałeś?! – pytam gorączkowo. – Gdy byliśmy w górach, gdy szukał jej TOPR?

Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

– Nie wiedziałem, co się dzieje. Chciałem jej pomóc, pomyślałem, że jeśli to zrobiła, to miała ważny powód, jakieś problemy, o których oczywiście nie chciała mi powiedzieć. My od lat nie byliśmy już normalnym małżeństwem. Pomyślałem, że... – zawiesza głos i unosi lekko dłonie – że tak będzie lepiej.

Patrzy to na mnie, to na Łukasza, jakby badał nasze reakcje, sprawdzał, czy mu wierzymy.

– Co ona myślała? Że zaginie w Tatrach i nikt nie będzie jej szukał? – dziwi się Łukasz.

– Nigdy jej nie rozumiałem. Zauważyłem tylko, że zbierała od dawna gotówkę. Wybierała po trochę z banku, przyjmowała dodatkowe zamówienia.

Unosi głowę ku gwieźdzystemu niebu i wypuszcza cicho powietrze.

– Nie wiedziałem tylko, że zaszła w ciążę. To mnie dobiło, bo możliwe, że uciekła z moim dzieckiem.

Ogród delikatnie szumi, jakby pochłaniał słowa Doriana, a mi robi się zimno od słów, które na mnie zrzucił.

Wszystko zaplanowała. Coś jednak poszło nie tak, bo zdecydowała się zniknąć szybciej.

– Mam tego dość – dodaje Dorian. – Przyznam się do wszystkiego, zadzwonię na policję, kurwa. – Przykłada dłonie do czoła. – Nie da się tak żyć.

– Poczekaj – mówię.

Spogląda na mnie przybity.

– Czy masz klucz od tej kłódki? – Kiwam głową w kierunku domku gospodarczego.

– A po co ci? – Krzywi się zaskoczony. – Nie zaglądałem tam od lat, to świątynia Heleny.

– Proszę, daj mi go.

– Sonia, daj już spokój. Zakończmy to tu i teraz.

– Proszę, daj mi ten klucz! – drę się na całe gardło, dając tym samym upust złości i strachowi, które trawią mnie od środka.

Przeraża mnie to, jak wiele jest w moim głosie desperacji. Doriana chyba też, bo nie odzywając się ani słowem, podchodzi do domku gospodarczego. Potem schyla się do donicy z czerwoną sundavillą. Nie podaje mi jednak klucza, który przed momentem był wsunięty pod liście, tylko trzyma go w dłoni, nieufnie patrząc to na mnie, to na Łukasza.

– Dlaczego chcecie tam wejść?

– Muszę coś sprawdzić. – Wyciągam do niego dłoń. – Proszę, chodzi o wpisy w jej pamiętniku – staram się mówić spokojnie.

– Oddałaś już go policji?

– Jeszcze nie. Ciągle biję się z myślami.

Dorian w końcu przekazuje mi ten klucz. Otwieram kłódkę, a potem wchodzę do zagraconego pomieszczenia, w którym wszystko jednak ma swoje miejsce. Włączam latarkę w telefonie i oświetlam zgromadzone tu przedmioty.

Białe butelki z nawozami, zwój czarnej wikliny, trytytki w foliowych workach. Po lewej stronie, na kaflowej podłodze leży łopata, obok niej widły i stary kilof z pozółkłą rękojeścią. Na jego widok spinam wszystkie

mięśnie. Ręka opada mi jednak bezwładnie, jak szmacianej kukiełce. „Kilof by się przydał”, powiedział do Heleny ten facet, gdy wieźli tutaj zabitego człowieka. Czy to właśnie tego kilofu użyli, żeby ułatwić sobie kopanie w ziemi? Przy ścianie stoi kilka dużych paneli z siatki, takich samych jak te, z których wykonano wolierę.

Na końcu pomieszczenia jest ciemna, plastikowa szafa, oparte są o nią dwa wiekowe składaki. Przetykam ślinę, bo ich widok kojarzy mi się z zapiskami Heleny. Nie wyciągnęła ich stąd, choć minęło już tyle lat. Mimo że zawsze dbała o porządek, w domku gospodarczym nie jest czysto, jakby tylko dokładała tu rzeczy, niczego nie zabierając.

Z zewnątrz dobiega głos Łukasza:

– Ktoś tu jest.

Cichy, niespokojny ton.

– Tam – odpowiada mu Dorian.

Słyszając tę krótką wymianę słów, cała się usztywniam. Odwracam się w kierunku otwartych drzwi, ale zauważam jedynie oddalające się ode mnie cienie, które po chwili rozplývają się. Gdzieś pobiegli. Czy zobaczyli w ogrodzie naszego prześladowcę?

Snop światła, którym rozjaśniam wnętrze, zaczyna drżeć. Przeskakuję nim z kąta w kąt, próbując wyłapać coś konkretnego, robi mi się duszno, choć do tej pory oddychałam w miarę swobodnie. Jakby na zewnątrz zbierało się na burzę, która rozniesie ten domek w strzępy. Muszę zdążyć, zanim będzie za późno.

Nie dają mi spokoju rowery oparte o szafę. Helena napisała, że pod nimi schowała ten należący do mężczyzny, którego zabiła. Podchodzę do nich rozedrgana, słysząc w oddali czyjś krzyk. Jakiś facet drze się tak, jakby odzierali go ze skóry. Mam nadzieję, że to nie Łukasz. Nie Dorian. Że to ktoś inny.

Brakuje mi tchu. Ponownie się odwracam, chcę stąd wybiec, ale gdy mam to zrobić, zauważam fragment cienkiego koła wyłaniający się spod

szerokich paneli drobnej siatki opartych o ścianę. Podchodzę do nich i je odchylam, każdy opada na podłogę z cichym brzękiem. W końcu moim oczom ukazuje się kolarzówka z wygiętą do dołu kierownicą, która dotyka przedniego koła.

Zaczynam drżeć, oczy wypełniają się łzami. Łapię za ramę i z trudem wyprowadzam ją z domku gospodarczego. Pewnie powinnam zostawić ją tak jak jest, przy ścianie, ale nie potrafię. Przeczucie, które nakazało mi tu wejść, zaczyna nabierać przerażającego kształtu.

Kładę rower na trawie, zanosząc się płaczem. Ma czarną, matową barwę, jakby zasmoloną, ale to nie jest jego prawdziwy kolor, co widać przez niedociągnięcia przy łączeniach. Przybliżam do nich latarkę i dostrzegam dużo jaśniejszy odcień, wyłaniający się spod hebanowego pokrycia.

Przemalowała rower, lecz nigdy go stąd nie wyniosła, jakby chciała katować się jego widokiem. Idę do domku gospodarczego i sięgam po kilof. Wracam z nim do roweru i przeciągam jego ostrzem po ramie. Farba schodzi natychmiast, ukazując właściwą, czyli niebieską, barwę.

Kilof wypada mi z dłoni, klękam przy rowerze pozbawiona sił. Kręci mi się w głowie, czuję się tak, jakby coś wysssało powietrze z otoczenia. Dotykam kół, potem przenoszę dłoń na zardzewiały, sztywny łańcuch, cienkie, sflaczałe opony.

Serce trzepocze mi w piersi, jakby chciało z niej wyskoczyć. Znowu chwytam kilof i sunę ostrzem raz za razem po ramie. Przez głowę przesączają mi się teraz słowa z pamiętnika. To jak pisała, że najpierw się mnie bała, że byłam dla niej sennym majakiem. Potem myślę o zdjęciach, które mi zrobiła, gdy jeszcze się nie znałyśmy. Dorian stwierdził, że miała na moim punkcie obsesję.

Ostrze sunie po ramie, nieznośnie piszcząc, odkrywa biały, kanciasty napis, który dobrze znam.

„Huragan”.

Dalej dopisane grubym żółtym kolorem:

„Mirka”.

To... To... To rower mojego taty.

Rozdział 29

Znowu słyszę jakieś głosy, gdy siedzę zapłakana w wysokiej trawie. Z ciemności wyłaniają się cienie. Tym razem trzy. Zbliżają się do mnie powoli, ociężale.

– Nie ruszaj się, bo nie ręczę za siebie! – dobiega mnie głos Łukasza.

Po chwili widzę już wszystko wyraźniej. Trzymają z Dorianem jakiegoś zakapturzonego człowieka, który wierzga nogami po trawie. Opiera się z całych sił, ale oni ciągną go w moim kierunku.

– Poznajesz go? – woła do mnie Łukasz. – No, pokaż się jej, dupku.

Wpatruję się w twarz, która z każdą sekundą jest coraz bliżej. Kaptur zsuwa mu się na tył głowy i powoli go rozpoznaję. Krótka, rzadka grzywka, krzaczaste brwi i małe, paciorkowate oczy. To Daniel.

Czuję się tak, jakbym miała zaraz zemdleć. Ciśnienie rozsadza mi czaszkę. Wstaję, a potem znowu padam na ziemię, uderzając kolanem o kierownicę roweru. Czuję przeszywający ból, który promieniuje aż do biodra.

Daniel przeklina, odgraża się, że wszystkich nas załatwi łomem. Że jeszcze popamiętamy. Jest chyba naćpany. W pierwszym odruchu chcę powiedzieć, żeby go puścili, bo nie mogę patrzeć na jego męczarnię. Mam wrażenie, że rzeczywistość, w której żyłam od tylu lat, zaczyna się gwałtownie przeobrażać. Przestaję za nią nadażać. Przecież on mieszka z moją matką, w jednym domu, a teraz Dorian i Łukasz traktują go jak wroga.

Skąd on się tu wziął? – pytam siebie w myślach. Czy wiedział, że Helena potrafiła mojego ojca?

To, co się dzieje, jest za ciężkie, nie do udźwignięcia. Czuję się tak, jakby spadła na mnie lawina, spod której nie mogę się wydostać. Siedzę na

chłodnej ziemi, trzymając się za kolano i patrząc na ich próby obezwładnienia Daniela.

– Ta suka nam płaciła przez tyle lat! – krzyczy. – Po co się w to wszystko wpierdoliłaś!

Patrzy na mnie nienawistnie. Widzę jego twarz wyraźnie, bo pada na nią światło z lampy stojącej przy domku gospodarczym.

– Komu płaciła? – wyduszam z siebie tak cicho, że mnie nie słyszy.

Łukasz jednak zaciska dłoń na jego ramieniu i powtarza po mnie:

– Komu płaciła?!

– Gdzie ona jest?! – Daniel zachowuje się tak, jakby nie słyszał naszych pytań, jakby był pogrążony w amoku. – Ma nam dać kasę!

Przykładam dłonie do uszu i zamykam oczy, jak dziecko, które udaje, że świat wokół niego nie istnieje. Potem kiwam się do przodu i tyłu, zatracając się w płaczu. Gdy na moment rozszerzam palce, słyszę dźwięki syren, są coraz bliżej. Ktoś chyba wezwał policję. Chcę, żeby go stąd zabrali, niech zniknie, raz na zawsze. Boję się go jak nikogo innego, bo był mi bliski, a okazuje się, że zupełnie go nie znałam. Moje życie jest siatką utkaną z cudzych kłamstw. Straciłam punkt odniesienia.

Rozdział 30

Wracam do swojego mieszkania około dwudziestej drugiej. Przekręcam klucz w zamku, wchodzę do środka, zamykam drzwi. Nie myślę o niczym, skupiam się jedynie na kolejnych ruchach i oddechach, jakbym w środku była pusta.

Łukasza ze mną nie ma. Przywiózł mnie tutaj i wrócił na komisariat, żeby porozmawiać jeszcze z Walewską, która przyjechała pod koniec naszego przesłuchania. Nic dziwnego, że nie było jej w pracy. Jest już noc, wszyscy żegnają ten dzień, a ja mam wrażenie, że to dopiero ponury początek.

Daniel został aresztowany. Nie mam pojęcia, co wyjawi podczas przesłuchania, bardzo chciałabym się dowiedzieć, jak będzie się tłumaczył, co powie. Niestety, ma ponoć problem z utrzymaniem trzeźwości. Przynajmniej tak powiedział Łukasz.

Pamiętnik jest już w rękach Walewskiej. Gdy jej go przekazałam, nie wydawała się szczególnie zaciekawiona jego zawartością. Na dobrą sprawę jeszcze nie wie, że w środku jest tak wiele ważnych informacji. Zostawiłam jej też cztery zdjęcia, które znalazłam w domu Heleny i Dorianana. Wszystko miałam przy sobie. Może przez zmęczenie, a może dlatego, że widziała, w jakim jestem stanie, nie pytała, od kiedy jestem w posiadaniu tych dowodów.

Kładę się na łóżku, bo nie mam sił na nic innego. Patrę w sufit i myślę o tacie. Czy to, co Helena napisała w pamiętniku, było naprawdę o nim? Wykopała dół w ogrodzie, żeby go ukryć. Ktoś jej towarzyszył. Tato zniknął piętnaście lat temu. Daniel musiał mieć wtedy niespełna dwadzieścia lat. Co prawda, Helena nie wspominała w pamiętniku, w jakim wieku był mężczyzna, który jej pomógł, ale wydawało mi się, że chodziło o kogoś starszego.

Sięgam po telefon i dzwonię do matki, ale nie odbiera. Może to dobrze. Nie wiem, czy w tej chwili jestem w stanie opowiedzieć jej o tym, co się stało. Może poczekam do jutra, kiedy dowiem się czegoś więcej.

Czy ona naprawdę zabiła mojego ojca? Nie odszedł. Nie zostawił nas, tylko zginął.

Dziadkowie nie żyli, nie miał rodzeństwa. Nikt się nim nie interesował, matka uniosła się honorem i powiedziała, że nie będzie go szukała, nie będzie się prosiła, sama sobie poradzi. Ja tęskniłam, czułam się porzucona i samotna. Zadawałam sobie pytania, co zrobiłam źle, a potem nie potrafiłam sobie ułożyć życia z żadnym facetem, bo podświadomie czułam, że skoro tato mnie zostawił, to każdy mnie zostawi.

Tymczasem szczątki mojego ojca przez te wszystkie lata najprawdopodobniej leżały parę kilometrów od miejsca, w którym mieszkałam.

Daniel powiedział, że płaciła „nam”, a nie jemu. Czy wtajemniczył we wszystko Milenę? Żyli razem z pieniędzy Heleny? To nie mieści mi się w głowie.

Przewracam się na bok i patrzę na pasiastą tapetę podobną do tej z mojego pokoju w rodzinnym domu. Zawsze mi się podobała i chciałam ją mieć też w swoim mieszkaniu. Teraz mnie drażni, wydaje się napromieniowana złem.

Słyszę dzwonek domofonu i ciało zalewa mi strach. Boję się tak samo jak ostatnio, gdy usłyszałam w słuchawce ten zniekształcony głos, który groził, że mnie zabije. Choć wiem, że Daniel przebywa w areszcie, nie potrafię zapanować nad tym paraliżującym uczuciem. Zastanawiam się, czy nie jest zamieszany w to ktoś jeszcze.

Podchodzę powoli do słuchawki, podnoszę ją i mówię niepewnie:

– Halo?

– Soniu, wpuść mnie – słyszę zrozpaczony głos mojej matki.

Jeszcze nigdy mnie tu nie odwiedziła. Oczywiście zna adres, ale mimo wszystko nie interesowała się do tej pory tym, jak żyję. Zawsze liczył się tylko jej dom.

Wciskam guzik z symbolem klucza, a potem otwieram szybko drzwi wejściowe. Choć wiem, że to tylko moja matka, czuję ucisk w klatce piersiowej, gdy na nią czekam.

Wchodzi do mojego mieszkania z przerażeniem w wielkich, brązowych oczach. Wargi jej drżą, ma na sobie za dużą kataną, która należy chyba do Tadeusza.

– Wejdz. – Wskazuję dłonią pokój dzienny, ale ona kręci przecząco głową.

– Aresztowali Tadeusza – mówi bez wstępów. – Rozumiesz? Inwalidę. Wywieźli go z domu na wózku. Na nic się zdały moje błagania, żeby dali mu spokój.

Zasłania dłonią usta.

– Dlaczego go aresztowali? – pytam, walcząc z kulą rosnącą mi w gardle.

– Ponoć coś zrobił wiele lat temu, nie wiem.

Kręci mi się w głowie. Czy to Tadeusz? Czy to on spotkał wtedy Helenę na szosie?

Patrzę na rozedrgane ciało mojej matki i zastanawiam się, czy dam radę to teraz wykrztusić.

– Mamo, chodźmy do pokoju, muszę ci coś powiedzieć.

Idę pierwsza. Matka dołącza do mnie dopiero po chwili. Siada w fotelu, a ja na kanapie. Nie wiem, od czego zacząć, więc najpierw pytam o moment, w którym widziała ojca po raz ostatni. Dnia nie musi podawać. Ja wiem, że to była sobota. Graliśmy w karty około piętnastej. Potem tato pojechał na ryby. Miał tam rozłożyć namiot i zostać na noc, ale już nie wrócił do domu, tak przynajmniej mi powiedziała matka. „Ten dupek znowu się ulotnił” – rzuciła w złości. Spałam na górze i nie wiem, czy tak było. Rodzice sypialnię mieli na dole.

Matka wierci się w miejscu, prosi o wodę. Potem mamrocze, że nie pamięta tego momentu dobrze, ale nie wierzę jej.

– Po co ci to wiedzieć? To i tak nic nie zmieni! – podnosi głos, a ja już wiem, że coś ukrywa.

– Mamo, to jest bardzo ważne. Tato najprawdopodobniej nie żyje. Policja podejrzewa, gdzie mogą być jego szczątki.

Kręci już tylko głową, po jej pomarszczonych policzkach płyną łzy.

– Mamo – ponagliam.

Czuję się silniejsza niż w chwili, gdy leżałam na łóżku. Mam cel, próbuję coś ustalić, dla siebie, ale też w imię taty. Jestem mu to winna. Wszyscy jesteśmy.

– Och, Sonia – mówi w końcu. – Nigdy ci tego nie powiedziałam, bo wydawało mi się, że to i tak nic nie zmieni.

– Powiedz teraz – naciskam.

– Miałam romans z Tadeuszem, gdy byłam jeszcze z twoim ojcem.

Przymykam oczy. Podejrzewałam, że tak było. Tadeusz po zniknięciu ojca bardzo szybko pojawił się w naszym domu. Myślałam zawsze, że to dlatego matka nigdy nie szukała taty.

– Zrozum – kontynuuje. – Mirek pojawiał się i znikał, był jak duże dziecko, nie można było na nim polegać. Wtedy, w sobotę, nagle pojawił się w domu, wrócił około północy i zobaczył nas... – zawiesza głos i poprawia siwy kosmyk, który opadł jej na czoło. – Podszedł do Tadeusza, uderzył go, wsiadł na rower i gdzieś pojechał. Tadeusz w przyпіływie złości pobiegł za nim. Nie wrócił już do mnie. Zadzwoił rano, bardzo zmęczony, powiedział, że wyjaśnili sobie wszystko z Mirkiem. Że Mirek postanowił odejść. Nie wierzę, że zrobił mu krzywdę. – Zanosi się płaczem, który wskazuje na to, że jest zupełnie inaczej. – Tadek nikogo by nie zabił!

– Zabił go ktoś inny – mówię powoli – a Tadeusz był świadkiem.

– O czym ty mówisz?

Przekazuję jej to, co podejrzewam. Nie wdaję się w szczegóły, nie mam na to sił. Gdy kończę, i tak wydaje mi się, że to ją przerasta. Zaczyna oponować, wypierać. Mówi:

– Tadek to dobry człowiek, przynosił pieniądze do domu, chowałam je w słoiku w szafce. Ty też z nich korzystałaś!

Przypominam sobie słoik z grubym dnem stojący na ciemnej półce w szafce, zwinięte w środku banknoty, po które od czasu do czasu sięgałam. – Ja zarabiałam grosze! – krzyczy matka – Tadek mi pomagał!

– Nie Tadek, tylko Helena – szepczę, a potem nie mówię już nic.

Matka zostaje u mnie na noc, zasypia dopiero nad ranem. Jest niespokojna, jakby bała się o swoje życie, a ja próbuję ułożyć sobie w głowie wszystko to, co na nas spadło.

Około ósmej dzwoni do mnie Łukasz. Mówi, że Walewska właśnie składa wniosek o przeszukanie domu Heleny i Doriana, poszerzone o penetrację ogrodu. Być może jeszcze dziś rozpoczną się prace techników. Dorian na wszystko wyraził zgodę, nie robi żadnych problemów. Skontaktował się już ze swoim adwokatem, choć póki co nie zostały mu postawione żadne zarzuty. Najważniejsze jest jednak to, co Łukasz mówi na koniec:

– Tadeusz się do wszystkiego przyznał. Szantażował przez parę lat Helenę, a po swoim wypadku na budowie wtajemniczył we wszystko syna i on zrobił się jeszcze bardziej napastliwy. Dręczył Helenę, wyciągał od niej pieniądze na narkotyki. Dawała im je parę razy w roku, po kilka, kilkanaście tysięcy złotych. Dwa tygodnie temu Daniel przyszedł do kwaciarni do Heleny, wyrwał jej nożyce i ugodził ją nimi w twarz. Poleciała krew. Opowiadał o tym później ojcu. Po tej sytuacji zniknęła.

Słucham tego wszystkiego, obserwując moją zgarbioną matkę, która siedzi przy stole w kuchni i dmucha w parujący kubek kawy. Dziś jest jakby inna, bardziej wycofana. Już nie płacze, chyba jest w jakiejś psychicznej zapaści. Będę musiała porozmawiać z jej psychiatrą. Boję się, że po ostatnich wydarzeniach zrobi sobie jakąś krzywdę.

– Szukali Heleny na własną rękę – mówi tymczasem Łukasz. – Daniel był pewien, że ukrywa się w domu, stąd ten napis na bramie garażowej. Chciał ją zastraszyć. Potem zachowywał się coraz gorzej. Śledził cię. Usłyszał, jak rozmawiałaś w domu z Sylwią o tym, że widziała go w kwiaciarni, wpadł w paranoję, zaczął wam grozić. Rozpoznał jej adres dzięki zdjęciu na Facebooku. Sfotografowała się kiedyś pod swoją klatką. Poszedł tam i zobaczył ją w oknie na parterze, paliła papierosa. Za tobą pojechał nawet do Wilkowa. Matka mu powiedziała, że tam jesteś.

Gdy ponownie na nią zerkam, wciąż spokojnie dmucha w kawę, wpatrzona w tablicę nad stołem, do której przyczepione są pamiątkowe magnesy.

– Daniel zostanie zatrzymany na trzy miesiące w areszcie, podobnie jak Tadeusz – kontynuuje Łukasz. – Teraz najważniejsze jest jednak to, żeby sprawdzić ogród i odnaleźć w nim...

– Wiem – wchodzę mu w słowo, a przed oczami mam roześmianą twarz ojca. – Dziękuję ci, Łukasz – mówię cicho.

– Nie ma sprawy. Później przyjadę, to jeszcze pogadamy.

– W porządku.

Rozłączam się i siadam obok matki przy stole. Ciszę przerywa jedynie miarowe tykanie ściennego zegara.

Rozdział 31

Pochowaliśmy go w grobie, w którym leżała Ela. Na pogrzebie było siedem osób. Staram się nie wspominać chwili, w której dostałam telefon od Walewskiej z informacją, że znaleźli ludzkie szczątki pod wolierą, bo to był cios w samo serce. Co prawda, wtedy policja jeszcze ustalała tożsamość na podstawie testów DNA, ale ja wiedziałam swoje. Wszystko ułożyło się w całość już tamtej feralnej nocy, gdy ciągnęłam ostrzem kilofa po ramie kolarzówki. Później potwierdzono, że szkielet odnaleziony w ogrodzie należy do mojego ojca.

Matka się załamała i od tamtej pory pije jeszcze więcej. Nie chce brać leków. Odsunęła się ode mnie. Czuję, że obwinia mnie o wszystko, co się stało. Chyba wolałaby żyć w nieświadomości. Niedawno, zamroczona alkoholem, zapytała mnie:

– Źle ci było?! Po co to wszystko wywlekłaś?!

Proces Tadeusza i Daniela wciąż trwa, tymczasowo siedzą w areszcie we Wrocławiu. Nie dostali zgody na zwolnienie za kaucją, zresztą nikt by jej nie wpłacił. Spakowałam ich rzeczy do worków na śmieci i po kłótniach z matką, która krzyczała, żebym tego nie robiła, wyniosłam je do ich dawnego, rozpadającego się domu, w którym wciąż mieszka siostra Tadeusza. Mam nadzieję, że nie wyjdą na wolność przez długi czas, ale ciężko powiedzieć, jaki będzie wyrok, bo sprawa jest „nietykowa”.

Prokurator wspominał coś o pięciu latach dla Daniela i dziesięciu dla Tadeusza. Milena ponoć o niczym nie wiedziała. Na podstawie pamiętnika Heleny i zeznań, moich i Łukasza, Adamowi Czarkowskiemu został postawiony zarzut wykorzystywania seksualnego osoby niepełnoletniej. Zależy mi na tym, żeby poniósł karę za to, co zrobił Helenie, ale tu prokurator ma związane ręce, bo wciąż jej nie odnaleziono.

Łukasz przekazał jednak policji zdjęcia, które wykonał na Krzykach, gdy obserwowaliśmy dom Czarkowskiego. Okazało się, że dziewczyna, którą sprowadził wtedy do domu, miała czternaście lat. Zeznała, że spotykał się też z jej koleżankami. Wybierał dziewczyny z patologicznych domów, spragnione akceptacji. Udzielał się charytatywnie, więc nie wzbudzał niczych podejrzeń. Zarzekał się podczas przesłuchań, że to „one zawsze robiły pierwszy krok, a nie on”. Kompletna kpina.

Dowiedziałam się tego od Łukasza, który uruchomił swoje znajomości na wrocławskiej komendzie i monitorował sprawę. Gdy mi to powiedział, pomyślałam, że Czarkowski naprawdę był jak mięsożerna roślina, pogrążona w oczekiwaniu na ofiarę, kusząca zapachem i zewnętrznym pięknem. Potem, gdy łup zsunął się po wewnętrznej ścianie w głąb kielicha, nie było już odwrotu – był pożerany żywcem. Fakt, że to nie Kapitan robił pierwszy krok, nic nie zmienia. Wciąż pozostawał drapieżnikiem, który karmił się cudzym nieszczęściem.

Próbuję o tym wszystkim zbyt często nie myśleć. Próbuję patrzeć w przyszłość, budować swoje życie od nowa, choć nie jest to łatwe. Od dnia, w którym znalazłam rower taty w ogrodzie Heleny, minęły dwa miesiące. Straciłam wystarczająco dużo czasu na życie w kłamstwie. Już wiem, przed kim się tłumaczyła, pisząc swój pamiętnik. Chodziło o mnie.

Właśnie krzątam się po Chloris, a raczej po tym, co po niej zostało. Przykurzone witryny, jakieś paprochy walające się po podłodze, ani jednego wazonu, ani jednego kwiatu. Puste, zabrudzone białe ściany, które niebawem zostaną zapewne pomalowane przez nowego najemcę. Muszę opróżnić do końca tylko ostatnią komodę.

Przez szybę widzę Doriana. Właśnie opiera rower o ścianę i wchodzi do środka.

– Cześć, Sonia.

– Cześć.

– Wczoraj zabrałem regały do garażu, ale jeśli chcesz, możesz je stamtąd wziąć. Mogą ci się przydać.

– Nie, dziękuję, nie chcę stąd niczego. Obiecałam tylko, że pomogę ci opróżnić lokal – przypominam mu.

– Wiem, tak tylko mówię. – Ściąga czapkę z daszkiem i przejeżdża dłonią po włosach. – Jutro mam oddać klucze właścicielowi.

– Wyrobimy się – odpowiadam. – Jak twoje sprawy? – pytam.

– Dobrze. Trochę mnie maglowali, ale już jest lepiej. Nie postawili mi żadnych zarzutów w związku z ... – przeciąga – ...pożarem. – Odchrząkuje.

– Ale sprawa zaginięcia Heleny wciąż jest w toku. Chyba myślą, że wiem, gdzie ona jest. To totalnie chore.

– Dziwisz się? Wiedziałaś, że zamierzała upozorować własną śmierć i milczałaś. Nic nikomu nie powiedziałaś.

– Miałem wobec niej dług.

– Jak widać, ona też go miała. Na przykład wobec mnie.

– Myślisz, że zaszła w ciążę z tym facetem? Z Kapitanem? – pyta.

W jego ustach słowo „Kapitan” brzmi tak, jakby Czarkowski był bohaterem komiksu. Nie wiem sama czemu, ale to wzbudza we mnie współczucie.

– Nie mam pojęcia, Dorian.

– Powinna być jeszcze w ciąży – prawie wchodzi mi w słowo.

– Chyba że nie jest – odpowiadam ponuro.

Obydwoje wiemy, o co chodzi. Już raz przecież to zrobiła.

– Bierzmy się do pracy, już niedużo zostało – udaje, że nie usłyszał, a mi robi się niezręcznie, że to powiedziałam.

Przecież wiem, że on też nie ma łatwo.

Wysprzątanie komody nie zajmuje nam dużo czasu. Potem obydwójka wychodzimy z Chloris, a ja jadę do lokalu po drugiej stronie miasta, w którym urządzam swoją własną kwiaciarnię.

Nazwę ją „Atena” – od bogini mądrości i słusznej wojny. Ona będzie przyświecać mojemu życiu, nie chcę być jak delikatna Chloris. Nie chcę przemieniać cierpienia w kwiaty. Pragnę wreszcie rozkwitnąć, zapłonąć ogniem. Już wiem, dlaczego wcześniej nie było to możliwe.

Żyłam otoczona kłamstwami, w nieznośnej energii, której nie potrafiłam zdefiniować, ale to nie zmienia faktu, że była dla mnie obciążeniem. Wiem już, dlaczego Helena tak do mnie lgnęła. Chciała mi wynagrodzić śmierć ojca i przepisać na mnie Chloris – jakby to mogło uciszyć jej wyrzuty sumienia.

Wiadomość o śmierci taty, choć druzgocąca, sprawiła, że zrobiło mi się lżej. Nareszcie zrozumiałam, dlaczego przed laty zniknął. To nie była moja wina. To odkrycie wzmocniło mnie.

Sylwia zgodziła się pomóc mi w urządzeniu nowego lokalu. Na razie będzie pracowała na umowę zlecenie. Nie jest pewna, czy zostanie na dłużej. Nie dziwię się jej. Jest młoda i wciąż nie pozbierała się do końca po tym, co się stało, ale cieszę się, że chce spróbować.

Moja kwaciarnia jest mniejsza od Chloris, ale ma wielką witrynę, za którą ustawiłam już białą rzeźbę ogrodową wykonaną z betonu. Jest to posąg Ateny, po którym płyną pędy z dekoracyjnymi liśćmi, przypominające szarfę. Żywe pąki koralowych piwonii wystają z pnącza. Piją wodę z małych zbiorniczków schowanych za swoimi płatkami. Pewnie będę musiała je jeszcze parę razy wymienić, zanim otworzymy kwaciarnię, ale chcę mieć tam już coś pięknego, co będzie rozjaśniało przestrzeń, jakiś punkt centralny, który nada charakter całemu wnętrzu.

Chcę, żeby w środku było dużo bieli i zieleni. Marzy mi się też ściana z mchu, który jest ręcznie zbierany, a później stabilizowany za pomocą gliceryny. Dzięki temu zachowuje kolor i fakturę przez długie lata. Zostaje zatrzymany w czasie, tak jak wspomnienie dnia, w którym zakochałam się we florystyce, na sali weselnej w hotelu Czarkowski. Staram się patrzeć na to, co dobre. To daje mi energię do dalszej pracy.

Sylwia dołącza do mnie po południu. Myjemy nowe wazon, zastanawiamy się, jak rozłożyć kwiaty. I gdzie powinna stać lada, a gdzie regały z ozdobnymi doniczkami. Siedzimy w Atenie do wieczora, a potem wracam do mojego mieszkania, w którym czeka na mnie Łukasz.

Sama nie wiem, kiedy do siebie wróciliśmy. To było naturalne. W sytuacji zagrożenia zrozumieliśmy, że wciąż bardzo nam na sobie zależy. Wiem, że problemy w naszym związku powodowała moja okaleczona psychika, ciągle podejrzenia o to, że Łukasz odejdzie, zostawi mnie, tak jak przed laty zrobił to ojciec.

Nigdy nie szukałam taty, bo bałam się odrzucenia. Zniechęciły mnie do tego także słowa ciotki o tym, że chyba go widziała nad morzem, z nową rodziną. To mnie sparaliżowało. Teraz już wiem, że musiała go z kimś pomylić. Ja jednak uwierzyłam jej bez wahania, bo pragnęłam jakiegokolwiek wytłumaczenia, choćby było najbardziej bolesne. W końcu otrzymałam to prawdziwe, które z jednej strony zburzyło część mojego dotychczasowego świata, a z drugiej pozwoliło na zbudowanie czegoś nowego.

Gdy tylko wchodzę do mieszkania, wyczuwam zapach mleka kokosowego, które tak lubię. Łukasz ugotował tajską zupę z krewetkami. Zajadam się nią, opowiadając mu o tym, co dziś robiłam. On miał wyjątkowo wolne, ale jutro zniknie na cały dzień, bo jedzie na obserwację. W przeszłości takie sytuacje wywoływały między nami spięcia. Teraz jest inaczej. Mam więcej dystansu. Uporządkowałam swoją przeszłość i lepiej radzę sobie z terażniejszością.

Tej nocy śni mi się koszmar, w którym dostaję esemesa z pogrózkami. Po przebudzeniu, w pierwszym odruchu sprawdzam telefon. Jest czysto. Ostatnia wiadomość jest z popołudnia – od Sylwii, która pyta, czy chcę kawę na wynos.

Nie mogę już jednak zasnąć. Przeglądam zdjęcia i trafiam na to, które przedstawia list od Heleny. Powraca do mnie najważniejsze pytanie

ostatnich miesięcy. Gdzie ona jest? W Oławie? W Tatrach? W Polsce w ogóle?

Chciałabym spojrzeć jej w oczy, teraz, gdy znam już prawdę.

Później przypominam sobie o wiadomości, którą otrzymałam, będąc jeszcze w górach. Odnajduję ją szybko w skrzynce odbiorczej.

„Ta sprawa dotyczy też ciebie”.

Przysłał mi ją ktoś z nieznanego numeru. Dobrze pamiętam, że w pierwszym momencie mnie przeraziła. Nie wiedziałam, kto był jej nadawcą. Ostatecznie przekazałam ten numer policji, ale z tego, co wiem, za każdym razem, gdy próbowali go namierzyć, nie było sygnału. Cały czas był wyłączony. Poza tym nie dostałam już od niego żadnych wiadomości, potem zatrzymano Daniela oraz Tadeusza i chyba uznano, że to był mylny trop.

Pod wpływem impulsu odpowiadam teraz temu numerowi. Piszę:

„Wiem już wszystko o tacie, przeczytałam pamiętnik. Gdziekolwiek jesteś, wybaczam ci”.

Nie mam pojęcia, czy odezwała się wtedy do mnie Helena, ale nic nie stracę, jeśli odpiszę w ten sposób. Potem czekam, wpatrując się w ekran, czy przyjdzie raport doręczenia. Łukasz zawsze trochę się ze mnie śmieje, że wciąż mam tę opcję włączoną. Mało kto z niej korzysta, ale ja lubię wiedzieć, czy klient otrzymał wiadomość o tym, że kompozycja jest gotowa szybciej albo że będę miała małe opóźnienie w wykonaniu bukietu na zamówienie.

Raport nie nadchodzi. Choć spodziewałam się tego, teraz jestem rozczarowana. Właściwie nie wiem, na co liczyłam.

Kładę się spać z poczuciem porażki. Znowu ogarnia mnie bezsilność, którą czułam, gdy szukałam parę miesięcy temu Heleny. Różnica jest taka, że wtedy była moją przyjaciółką, a teraz jest kimś zupełnie innym.

Gdy rano parzę kawę, mój telefon cicho pika na stole. Podchodzę do niego z filiżanką espresso i wtedy widzę coś, co momentalnie mnie

rozbudza.

Wiadomość, którą wysłałam w nocy, została doręczona.

Mam wrażenie, że otworzyła się we mnie jakaś wyrwa, którą muszę jak najszybciej wypełnić. Biorę do ręki telefon i dzwonię do Walewskiej. Odbiera niemal natychmiast, co traktuję jak dobry znak.

Mówię jej o wiadomości z nocy i o tym, że właśnie dostałam raport doręczenia, a ona spokojnym tonem odpowiada mi, że teraz się rozłączy, bo musi wykonać kilka telefonów.

Nie mam pojęcia, czy coś z tego będzie. Opadam na krzesło, upijam łyk kawy i czekam. Teraz wiem już, że zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby ją odnaleźć. Najważniejsze jest jednak dla mnie to, że jakiś czas temu wreszcie odnalazłam siebie.

Epilog

– Jest dobrze – mówi, patrząc na swoje odbicie. To, co widzi w lustrze w łazience eleganckiej mazurskiej kawiarni, nie rozczarowuje.

Na długim blacie obok umywalki pręży się skrzydłokwiat w błyszczącej, czarnej donicy. Ona użyłaby innej, jasnej i matowej, która lepiej podkreśliłaby śnieżnobiałą barwę kwiatów na długich, wzniesionych pędach. Nie zamierza jednak zwracać nikomu uwagi, nie będzie się niepotrzebnie wychylać. Zbliża się jedynie do rośliny i wciąga w siebie jej subtelny zapach. Skrzydłokwiat skutecznie oczyszcza powietrze z toksyn. Powinna go wąchać nieustannie.

Przychodzi do tej kawiarni od czasu do czasu. Całe życie była długowłosą blondynką, a teraz stała się krótko ściętą brunetką. Nosi też duże, kocie okulary i choć zmieniła niedawno fryzurę, to właśnie dzięki nim czuje się kimś innym. Lubi to uczucie. Bardzo je lubi. Wychodzi z łazienki i zbliża się do baru, poprawiając bluzkę na ładnie zaokrąglonym brzuchu.

– Latte, o ile dobrze pamiętam. – Barista wskazuje na nią palcem, a ona kiwa głową i się uśmiecha. – Patrycja, prawda?

Z jej ust prawie wydobywa się: „Nie”. W ostatniej chwili gryzie się w język i ponownie przytakuje. Właściwie nigdy nie lubiłam imienia „Helena”, myśli, widząc, jak przystojny brunet pisze „Patrycja” na plastikowym, białym kubku.

Po paru minutach odbiera napój i siada przy stoliku, rozglądając się dyskretnie na boki. Nie wie, czy kiedykolwiek jeszcze uwolni się od obaw, że ktoś ją rozpozna. Po urodzeniu dziecka chce wyjechać za granicę. Może tam uda jej się odetchnąć pełną piersią. Kapitan uruchomił swoje kontakty i załatwił jej nowe dokumenty. Jest teraz Patrycją Rozmiszewską, urodzoną dwa lata później niż Helena. Dostała nowy dowód i akt urodzenia –

w Warszawie. To tam Kapitan znalazł kogoś, kto za odpowiednią opłatą był w stanie to załatwić.

Po wypadku, w którym zginął ojciec Soni, nie zeszła się już z Kapitanem, ale cały czas robiła mu bukiety, stroiła dla niego weselne sale. Prawda jest taka, że potrzebowała go w swoim życiu. Lubiła przyjeżdżać do jego hotelu, opierać mu się. Wchodziła wtedy w inną rzeczywistość, a jej umysł i ciało zaczynały wibrować. Czuła, że ma nad nim przewagę. W ten sposób zyskiwała siłę. Tylko przy nim i w kwiaciarni czuła się mocna. Gdy jednak mierzyła się ze swoimi prześladowcami, wszystko się zmieniało. Facet, który ją szantażował, wplątał w to wszystko swojego syna.

Chciała się przyznać. Był taki moment, w którym zapragnęła powiedzieć o wszystkim Soni. Szykowała się do tego parę tygodni, układała w głowie słowa – wciąż i wciąż na nowo. Ale później zaszła w ciążę z Dorianem i postanowiła ostatni raz o sobie zawalczyć. Nie mogła znieść myśli, że urodzi dziecko w tak potwornej rzeczywistości. Szantażyści wciąż ją prześladowali, nieustannie przypominając o tym, kto leży w ogrodzie, do którego codziennie wychodziła.

Chciała opuścić swoje życie. Po prostu się z niego wypisać.

Pomyślała, że Kapitan ma obowiązek jej w tym pomóc. Odwiedziła go w hotelu i opowiedziała mu o wszystkim, co się stało tamtej feralnej nocy, gdy zabiła człowieka. Zagroziła, że pójdzie do jego żony, opowie o ich romansie i o jego słabości do młodych dziewczyn. Przerażony tym, co się stało, pojechał z nią do banku. Dał jej pieniądze, które dołożyła do swoich oszczędności. Potem załatwił jej nową tożsamość i zatrudnił jako zdalną asystentkę w jednym ze swoich nadmorskich hoteli. Tylko na papierze, żeby miała ubezpieczenie.

Wiedziała, że to wszystko jest rozwiązaniem tymczasowym, że potem coś wymyśli. Wyjedzie za granicę z synkiem. Zacznie pracę w dużej, nowoczesnej kwiaciarni. Wierzyła, że ma takie zdolności, że zatrudni ją każdy.

Plan był trudny, ale innego nie miała. Pieniądzy powinno jej starczyć na kilka lat.

Chciała opuścić Oławę tydzień później, ale w sobotę wieczorem do kwiaciarni przyszedł jej oprawca, a raczej syn faceta, który ją prześladował. Znowu zażądał pieniędzy. Wiedząc, że niedługo wyjedzie, odmówiła mu. Pierwszy raz od tylu lat nie dała mu ani złotówki. Wtedy ją zaatakował, zranił jej własnymi nożycami. Krew trysnęła na podłogę. Powiedział jej, że ma czas do jutra. Postanowiła uciec szybciej.

Nie dawał jej spokoju jedynie fakt, że Sonia o niczym nigdy się nie dowie. Zasługiwała na prawdę, jednak Helena nie odważyła się jej zwierzyć. Dlatego postanowiła podrzucić koleżance swój pamiętnik. Wrzuciła go do torby z rzeczami, które Sonia miała zabrać z Chloris. To jedyne, na co było ją stać. Chciała się przed nią jakoś usprawiedliwić. Wyrzuty sumienia trawiły ją od wielu lat. Jeszcze zanim się poznały, podjeżdżała czasem pod dom, o którym opowiedział jej Tadeusz. Patrzyła na te dwie dziewczyny pozbawione ojca. Robiła im zdjęcia. Potem jedna z nich uratowała jej życie. Potraktowała to jak znak od losu.

Gdy wyjeżdżała z Oławy, zostawiła Soni list, w którym za wszystko przeprosiła.

Potem biła się z myślami, czy przyjaciółka na pewno właściwie wszystko odczyta. Przecież nie napisała w pamiętniku, że zabiła jej ojca. Dlatego pewnej nocy, gdy ukrywała się jeszcze w Warszawie, napisała jej krótkiego esemesa: „Ta sprawa dotyczy też ciebie”. Dostała ten numer od Kapitana. Powiedział, że jest w pełni bezpieczny, więc go wykorzystała. Potem jednak na wszelki wypadek wyłączyła telefon i już z niego nie korzystała, wierząc, że przyjaciółka odkryje prawdę.

Parę dni temu na moment włączyła telefon. Chciała dać znać Kapitanowi, że wszystko w porządku. Prosił, żeby się odezwała, gdy wszystko się ułoży. Wiadomość, która wyświetliła się na ekranie, sprawiła, że wszystko zawirowało jej przed oczami.

„Wiem już wszystko o tacie, przeczytałam pamiętnik. Gdziekolwiek jesteś, wybaczam ci”.

Popłakała się ze szczęścia, potem wyłączyła telefon i go zniszczyła. Esemes od Soni, choć krzepiący, przyprawił ją o dreszcze. Był jak głos z zaświatów. Liczyła na to, że jej prześladowcy zostaną ukarani. Jednocześnie cieszyła się, że sama tego uniknęła. Bała się więzienia. Czuła, że nie zasłużyła na taki los, nie po tym wszystkim, co przeszła. Miała dla kogo żyć.

– Jest dobrze – powtarza sobie.

Jej plan się powiódł. Uwolniła się od swojego dawnego życia, zostawiła wszystko za sobą. Wyszła w góry i przepadła. Jej krzyk rozniósł się echem nad przepaścią. Miała nadzieję, że dotarł do tych trzech facetów, którzy szli przed nią. Po tym, jak krzyknęła, szybko zmieniła kurtkę z czarnej na niebieską, założyła inną czapkę z daszkiem i schowała pod nią włosy. Rzuciła swój zakrwawiony szalik na skały. Rana, którą zrobiła sobie na wnętrzu dłoni, bardzo piekła, ale wiedziała, że musi zostawić jakiś ślad. Zmieniła szlak powrotny, nie wracając już do schroniska w Dolinie Pięciu Stawów.

Zniknęła.

Kapitan na pewno jej nie wyda, bo sam ma mnóstwo grzechów na sumieniu. Poza tym nawet on nie wie, gdzie teraz zamieszkała.

Wraca z kawą do mieszkania, myśląc, że wychodzi cało z każdej opresji. Przez tyle lat utrzymała przy sobie Doriana, przystojnego mężczyznę, którego zazdrościła jej każda koleżanka. Był z nią, bo miał wyrzuty sumienia w związku z pożarem. Tak długo to wykorzystywała. Ten niedopałek, który zniknął w otchłani nocy... Dorian nie zdawał sobie sprawy z tego, że kiedy zasnął, zeszła na dół, oblała benzyną zasłony i je podpaliła. To ona wywołała pożar. Chciała ukarać swoich rodziców i jednocześnie odwrócić ich uwagę od Kapitana. Nie przypuszczała, że spłonie cały dom. Nie chciała tego, ale potem pomyślała, że w ten sposób

zdobędzie lojalność Doriana. Chciała mieć status żony, a nie tylko kochanki starszego o kilkanaście lat mężczyzny. Sama już nie wie, czy zawsze była zła, czy Kapitan ją zniszczył. Wierzy, że to drugie. Stała się muchą, która wpadła do paszczy kaptownicy. Martwą w środku, żywą i piękną na zewnątrz.

Wchodząc do klatki na skromnym osiedlu bloków, słyszy za sobą powolne kroki. Czuje na plecach wwiercające się w nią spojrzenie i natychmiast się odwraca. Widzi brunetkę, jej ciasno zebrany kucyk i duże szmaragdowe oczy. Od razu myśli, że ta kobieta nie jest jej przychylna. Za nią kroczy dwóch umundurowanych mężczyzn. Czuje się jak w potrzasku. Dopiero teraz spuszcza wzrok i widzi policyjną legitymację zawieszoną na szyi kobiety. Funkcjonariuszka rozchyła ją szybko, a ona odczytuje natychmiast w myślach: aspirant Edyta...

– Aspirant Edyta Walewska, Komenda Powiatowa Policji w Oławie. Pani Helena Bardo, prawda?

Łapie się za brzuch i zaczyna biec przed siebie, na oślep. Wpada wprost w ręce dwóch policjantów, próbuje im się wyrwać, bez skutku. Dopiero wtedy dociera do niej, że to koniec.

Sonia jej nie wybaczyła. Sonia ją ukarała. I choć jej ciałem wstrząsają kolejne dreszcze, głęboko w środku czuje ulgę.

Podziękowania

Przy pisaniu *Florystek* pomagało mi wiele osób. Dziękuję mężowi. Rafał, jak zawsze mogłam na ciebie liczyć w chwilach zwątpienia i wtedy, gdy zwyczajnie brakowało mi sił. Nieustannie dmuchasz w moje żagle i jestem ci za to wdzięczna.

Dziękuję teściowej. Mamo, Twoja opinia na temat książki była bezcenna.

Uściski dla mojej redaktorki inicjującej, Marysi Tengowskiej. Dziękuję za wszystkie Twoje rady i wartość, którą wprowadziłaś do tej historii. Skłoniłaś mnie do wzmożonej pracy nad tekstem, dziś wiem, że *Florystki* bardzo Ciebie potrzebowały.

Dziękuję moim redaktorkom, Aleksandrze Janiszewskiej i Hannie Trubickiej, za czujność, trafne komentarze do tekstu i sprytne rozwiązania w niektórych, bardzo delikatnych kwestiach.

Dziękuję Małgorzacie Borek, wspaniałej florystce, właścicielce oławskiej kwiaciarni „Małgorzata”. Gosiu, dziękuję za to, że odsłoniłaś przede mną świat florystyki, Twoja wiedza była dla mnie wielką inspiracją. Podsunęłaś kilka rozwiązań, które z powodzeniem zastosowałam w książce. Obdzieliłam Twoim talentem i energią moje bohaterki. Dzięki Tobie wszystko stało się bardziej autentyczne.

Dziękuję mojej Cioci, Wandzie Nosek, za pomoc przy kwestiach związanych z Orlą Percią. Ciociu, chodzisz po górach od wielu lat, bardzo je czujesz. Dziękuję za Twoje wsparcie!

Jestem też wdzięczna moim wspaniałym Czytelnikom. Dziękuję, że sięgacie po moje powieści, bez Was nie byłoby mnie.

Redaktorka inicjująca: Maria Tengowska
Redaktorka prowadząca: Aleksandra Janiszewska
Redakcja: Hanna Trubicka
Korekta: Sylwia Kompanowska

Projekt okładki: Natalia Twardy
Zdjęcia wykorzystane na okładce: Dewins/Adobe Stock, lyulkamazur/Envato Elements,
ozaiachin/Envato Elements

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-8318-510-1

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo